

Craig

Russell



MRO CZNA SERIA

ZMARTWYCHWSTAŁY

CYKL HAMBURSKI

w
ab
two

lesiojot

Craig Russell

Przełożył
Jerzy Malinowski

ZMARTWYCHWSTAŁY

 **fabryka
sensacji**
Warszawa 2013

Jesteśmy nieśmiertelni.

Buddyści wierzą, że każda forma życia, każda świadomość jest niczym samotny płomień świecy, lecz między kolejnymi płomieniami istnieje ciągłość. Wyobraź sobie odpalenie jednej świecy od drugiej, potem następnej, i jeszcze jednej, i jeszcze... Tysiąc płomieni przechodzących z jednej świecy na drugą przez całe pokolenia. Każdy płomień rzuca inne światło, każdy pali się w inny sposób. A mimo to jest to wciąż ten sam płomień.

Obawiam się jednak, że czas zgasić twój płomień. Ale nie martw się... Ból, jaki ci zadam, sprawi, że pod koniec będziesz płonąć jaśniej.

PROLOG

1

DWADZIEŚCIA OSIEM DNI PO PIERWSZYM MORDERSTWIE, CZWARTEK 15 WRZEŚNIA 2005

Stacja kolejowa w Nordenham, 145 kilometrów na zachód od Hamburga

Fabel zwrócił uwagę, że jak na ironię Nordenham było stacją końcową. To właśnie tu, na wiele sposobów, kończyła się ich podróż. Stąd nie było już dokąd jechać dalej.

Reflektory policyjnych radiowozów stojących po drugiej stronie torów oświetlały peron, który wyglądał teraz jak scena teatralna. Krystaliczna biel – ostra niczym diament, czysta, oślepiająca. Nawet kolorowa fasada budynku stacji z przełomu wieków wydawała się wyblakła – jej kontury rysowały się nienaturalnie ostro, jak na architektonicznym szkicu, i przypominały teatralne dekoracje, na które padały wielkie cienie dwóch postaci na peronie – jednej stojącej, drugiej powalonej na kolana.

W oczy rzucał się wyraźny blask ostrza trzymanego przy szyi kłęczącego mężczyzny przez stojącą za nim postać.

Fabel pośpiesznie rozważał tysiące sposobów, w jakie mogła się zakończyć ta sytuacja. Cokolwiek teraz powie, jakiegokolwiek podejmie działanie, będzie to mieć swoje nieuniknione konsekwencje, zainicjuje cały łańcuch zdarzeń. A konsekwencją może być śmierć niejednej osoby.

Bolała go głowa od ciężaru odpowiedzialności. Mimo że był wrzesień, nocne powietrze miało sterylny, chłodny posmak i z każdym oddechem tworzyło szare, mgliste obłoczki, zupełnie

nie na miejscu w tym nizinym krajobrazie, bardziej pasujące do terenów górzystych. Zdawało się, że powietrze jest zbyt rozrzedzone, by nieść jakikolwiek inny dźwięk niż rozpaczliwy, na wpół łkający oddech klęczącego mężczyzny. Fabel spojrzał na swoich ludzi, trzymających broń, sprawiających wrażenie, że za chwilę podejmą decyzję, by zabić. Szczególną uwagę zwrócił na Marię – jej pobladłą twarz, błyszczące lodowato oczy, napięte ścięgna dłoni, w której spoczywał sig-sauer.

Fabel prawie niezauważalnie poruszył głową w nadziei, że jego ekipa weźmie to za znak do powstrzymania się od jakichkolwiek działań.

Spojrzał twardo na stojącego w blasku światła mężczyznę. Od miesięcy razem ze swoimi ludźmi starał się nadać tożsamość zabójcy, którego ścigali. Okazało się, że jest nim człowiek o wielu nazwiskach; prowadząc perwersyjną krucjatę, sam siebie nazwał Czerwonym Franzem; tymczasem media w pogoni za niezdrową sensacją ochrzciły go mianem Fryzjera z Hamburga. Ale teraz Fabel znał też jego nazwisko.

Przed Czerwonym Franzem, zwrócony twarzą w tym samym kierunku, klęczał mężczyzna w średnim wieku. Czerwony Franz trzymał go za siwe włosy, odchylając do tyłu jego głowę i odsłaniając blade gardło. Wyżej, na czole, nad wykrzywioną ze zgrozy twarzą, a poniżej linii włosów ziała cięta rana. Twarz klęczącego zalewała w rytm uderzeń serca krew. W pewnej chwili z jego gardła dobył się cienki zwierzęcy skowyt.

W ciemnościach nocy rozświetlonych blaskiem reflektorów połyskiwało złowrogo ostrze noża, który Czerwony Franz trzymał u swego boku.

– Na litość boską, Fabel... – głos klęczącego mężczyzny był napięty i drżący z przerażenia – ...pomóż mi... Proszę... Pomóż mi, Fabel...

Fabel zignorował błagania i nie spuszczał wzroku z Czerwonego Franza. Wyciągnął przed siebie dłoń, jakby chciał wstrzymać ruch uliczny.

– Spokojnie... tylko spokojnie. Nie pozwolę na to. Nikt z nas nie pozwoli. Nie będziemy tańczyć tak, jak nam zagrasz. Dzisiaj historia się nie powtórzy.

Czerwony Franz roześmiał się gorzko. Dłoń trzymająca nóż drgnęła i ostrze znowu błysnęło w świetle.

– Naprawdę myślisz, że tak po prostu odejdziesz? Ten bydlak... – Ponownie szarpnął za włosy klęczącego mężczyzny, z którego zalanych krwią ust znów wyrwał się skowyt. – Ten bydlak zdradził mnie i to wszystko, co było dla nas ważne. Myślał, że za moją śmierć kupi sobie nowe życie. Tak jak kupił za śmierć innych.

– To czysta fantazja... – odezwał się Fabel. – Nie chodziło o twoją śmierć.

– Czyżby? Dlaczego w takim razie zacząłeś wątpić w to, w co wierzyłeś, kiedy mnie szukałeś? Nie istnieje coś takiego jak śmierć; są tylko wspomnienia. To, co różni mnie od innych, to fakt, że pozwolono mi pamiętać, tak jakbym patrzył na wszystko przez przeszkloną ścianę. Pamiętam wszystko. – Urwał. Krótką chwilę ciszy przerwał tylko daleki dźwięk samochodu przejeżdżającego ulicami Nordenham, gdzieś na tyłach stacji kolejowej, który po chwili zaniknął. – A historia się powtórzy. Taka już jest jej natura. Historia powtórzyła *mnie*... Tak się szczybisz, że w młodości studiowałeś historię. Ale czy ją kiedykolwiek rozumiałeś? Wszyscy jesteśmy tylko wariacjami na ten sam temat. Co już się zdarzyło, zdarzy się ponownie. Ci, którzy byli wcześniej, pojawią się znowu. Raz za razem. Historia to początek. Ona się tworzy.

– W takim razie stwórz własną historię – odparł Fabel. – Pozmieniaj wszystko. Daruj sobie, człowieku. Dzisiaj historia się nie powtórzy. Dzisiaj nikt nie umrze.

Czerwony Franz uśmiechnął się. Jego uśmiech był zimny, ostry i przenikliwy niczym nóż, który trzymał w ręce.

– Naprawdę? Przekonamy się, panie nadkomisarzu. – Ostrze noża uniosło się w stronę gardła klęczącego mężczyzny.

Rozległ się krzyk. A potem padł strzał.

RÓWNONOC WIOSENNA, ROK 324 N.E.

Tysiąc sześćset osiemdziesiąt jeden lat przed pierwszym morderstwem, bagno Bourtanger, Fryzja Wschodnia

Bładoniebieskie, czyste niebo spoglądało swoim bezchmurnym okiem na płaskie, pozbawione wyrazu wrzosowisko.

Kroczył dostojnie, pełen dumy. Nie czuł się zakłopotany ani poniżony swoją nagością, przyoblekł skórę w powiew powietrza i promienie słońca, jakby były to królewskie szaty. Jego grube, dopiero co umyte i pachnące włosy lśniły złościście w jasnym świetle dnia. Wzdłuż drewnianego pomostu przerzuconego nad grząskim gruntem wiwatowali i pozdrawiali go ludzie, których znał od urodzenia.

Przed nim i za nim szła jego świta: kapłan, wódz, kapłanka i gwardia honorowa. Wokół pobrzmiwały pełne pochwał głosy. Wśród tych twarzy i głosów nie brakowało też kobiet szlachetnie urodzonych, które wcześniej były jego żonami. Teraz zapomniano o jego niskim urodzeniu, przestał być kimś bez znaczenia. Ten dzień, ten akt sprawił, że zyskał pozycję wyższą od wodza czy króla. Stał się niemal bogiem.

Kiedy ich mijali, zaczęli śpiewać. Śpiewali o początku i o końcu; o powtórnych narodzinach; o odnawiających się słońcach, księżycach, porach roku. O wielkim, cudownym, tajemniczym cyklu. Ale przede wszystkim śpiewali o jego powtórnych narodzinach. Pełnych chwały narodzinach. Narodzi się od nowa, otrzyma lepsze, czystsze życie.

Wraz z całą świtą zbliżył się do końca drewnianej drogi przez groblę i ujrzał miejsce, gdzie zebrano gałęzie drzew orzechowych, którymi go okryją; dodatkowo przycisną

kamieniami, żeby nie powstał, nim nadejdzie jego czas. Pomost się skończył; przed nimi rozpościerała się lśniąca, grafitowa powierzchnia wody, w której odbijało się jasne niebo.

Nadszedł czas.

Czuł, jak serce zaczyna mu walić w piersiach. Zszedł z drewnianego pomostu i dostrzegł otaczający świat z nadzwyczajną ostrością – mokrą, zapadającą się mierzwę i twardą, bagnistą trawę pod stopami, powietrze i słońce na swojej skórze, silne ramiona gwardii honorowej mocno trzymające go za ręce. Trzech mężczyzn razem weszło do bagnistego bajora. Zanurzyli się po pas. Na nagich nogach i genitaliach poczuł niemiłe mrowienie pod wpływem zimnej wody.

Zaczął ciężko oddychać; serce przyśpieszyło swój rytm, jakby czuło, że za chwilę przestanie bić i w tych ostatnich chwilach chciało dać z siebie maksimum. Musiał wierzyć. Zmuszał się do wiary. To był jedyny sposób, by nie ulec panice, która zaczynała go dosięgać, goniła go, głośno krzycząc, niewidoczna i niesłyszalna dla gapiów.

Kapłanka zsunęła z ramion swoją suknię i wkroczyła naga do wody. W dłoni przyciśniętej do piersi ścisnęła nóż ofiarny. Jego ostrze połyskiwało w promieniach słońca. Taki mały nóż; był wojownikiem i nie potrafił powiązać tej ozdoby z końcem własnego życia. Kapłanka stanęła przed nim; woda ciasno otaczała ją w pasie, mroczna i ciemna w porównaniu z jej jasną skórą. Uniosła ramię i położyła dłoń na jego czole, wypowiadając przy tym rytualną formułę. Wiedział, jak postępować, więc poddał się naciskowi jej ręki, odchylił do tyłu i położył na wodzie. Jego głowa zanurzała się powoli, a woda zaciągała gęstą, torfiastą zasłonę na twarz.

Dwie osoby ze świty nadal trzymały go za ręce, ale teraz poczuł także inne dłonie przytrzymujące jego ciało i nogi. Miał otwarte oczy. Gęste, mroczne bagno kłębiło się wokół niego, samo niepewne, do czego przynależy – do ziemi czy wody. Jego złociste włosy zwichrzyły się i straciły w mętnej wodzie blask.

Wstrzymał oddech. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale instynkt kazał mu zatrzymać powietrze w płucach, a tym

samym życie w ciele. Płuca zaczęły płonąć, domagając się tlenu, i wtedy po raz pierwszy stawiał opór dłoni kapłanki. Nacisnęła mocniej, choć wciąż bardzo delikatnie, ale uścisk rąk na jego ciele stał się silniejszy i poczuł, że jest wpychany coraz głębiej, aż w końcu kamienie na dnie otarły się o jego plecy.

Panika, która do tej pory próbowała go dogonić, dopadła go wreszcie i krzyczała teraz, że nie będzie żadnych nowych narodzin, nie będzie nowego początku. Tylko śmierć. Teraz on zaczął krzyczeć, jego głos eksplodował chmurą bąbelków przedzierających się przez błotnistą maź ku światłu dnia, którego miał już nigdy nie ujrzeć. Zimna, słonawa woda wypełniła usta i gardło. Miała smak ziemi i robactwa, korzeni rozkładających się roślin. Smak śmierci. Wdarła się do protestujących płuc. Szarpnął się konwulsyjnie, ale zaraz pochwyciło go więcej rąk i przycisnęło do dna, do śmierci.

W tej samej chwili na swojej szyi poczuł pocałunek ostrza trzymanego przez kapłankę, poczuł, jak kłębiąca się wokół niego woda stała się jeszcze ciemniejsza. Bardziej czerwona.

* * *

Mylił się; mimo wszystko miały nastąpić ponowne narodziny. Nim jednak ponownie ujrział światło dnia, minęło szesnaście stuleci. W tym czasie jego złociste włosy zmieniły kolor na płomiennie rudy.

I wówczas mógł się narodzić na nowo. Jako Czerwony Franz.

DWADZIEŚCIA LAT PRZED PIERWSZYM MORDERSTWEM, PAŹDZIERNIK 1985

Stacja kolejowa w Nordenham, 145 kilometrów na zachód od Hamburga

Główna stacja kolejowa w Nordenham znajdowała się na nasypie nad rzeką Weser. Było październikowe popołudnie i jakaś rodzina stała na peronie, czekając na pociąg. Duży budynek stacji, peron i daszek z kratownicy oświetlało późnojesienne słońce – jasne, ale nieogrzewające.

Stali na końcu peronu – ojciec, matka i dziecko. Ojciec był wysoki i szczupły, po trzydziestce. Przydługie, gęste i nieco zbyt ciemne włosy starannie zaczesał do tyłu, odsłaniając szerokie, jasne czoło, ale kilka niesfornych kosmyków spadało na kołnierz płaszcza. Czarne bokobrody, wąsy i kozia bródka podkreślały tylko bladość karnacji i cynobrowy odcień warg. Matka również była wysoka, tylko kilka centymetrów niższa od męża; miała szaroniebieskie oczy i tlenione proste blond włosy. Była ubrana w beżowy płaszcz do kostek i wełnianą czapkę, a przez ramię przewiesiła dużą kolorową torbę. Chłopiec miał około dziesięciu lat i był jak na swój wiek wysoki; najpewniej odziedziczył wzrost po rodzicach. Podobnie jak ojciec miał bladą, smutną twarz okoloną czupryną kręconych, rozrzuconych w nieładzie czarnych włosów.

– Zaczekajcie tu – polecił stanowczo, choć grzecznie ojciec. Odsunął kosmyk popielatoblond włosów z czoła matki. – Przywitam Pieta sam, kiedy przyjedzie. Jeśli zauważysz jakieś oznaki kłopotów, zabierz chłopca i znikaj ze stacji.

Kobieta zdecydowanie kiwnęła głową, ale w jej oczach błysnęła strach. Mężczyzna uśmiechnął się, ucisnął jej ramię i odszedł.

Zajął miejsce pośrodku peronu. Pracownik niemieckich kolei wyszedł ze swojej budki, zeskoczył z peronu na tory i łamiąc przepisy, nieśpiesznie przeszedł na drugą stronę. Jakaś kobieta w średnim wieku, ubrana w typowy dla zachodnioniemieckiego mieszczaństwa drogi i niegustowny strój, wynurzyła się z hali kasowej z biletem w rękę i stanęła dziesięć metrów na prawo od mężczyzny. Wysoki, blady mężczyzna jakby nie zwracał uwagi na to, co dzieje się wokół niego. W rzeczywistości jego oczy śledziły ruchy poszczególnych osób znajdujących się na tej prowincjonalnej stacji.

Z hali kasowej wyszła na peron kolejna osoba. Ten mężczyzna również był wysoki i szczupły, tyle że miał długie blond włosy związane z tyłu w kucyk. Szczupłą, kościstą twarz znaczyły blizny po przebytej w dzieciństwie ospie. Jego ruchy i wyraz twarzy miały sprawiać wrażenie naturalnych, ale – w przeciwieństwie do ciemnowłosego – w oczach widoczna była nerwowość, a każdy krok zdradzał napięcie.

Dzielił ich już tylko metr. Twarz bruneta rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Piet! – zawołał z entuzjazmem, choć niezbyt głośno. Blondyn nie odwzajemnił uśmiechu.

– Mówiłem ci, że to niewskazane – odezwał się blondyn. Jego niemiecki skażony był syczącym holenderskim akcentem. – Mówiłem, żebyś nie przychodził. To nie był dobry pomysł.

Ciemnowłosy wzruszył filozoficznie ramionami, a jego twarzy nie opuszczał uśmiech.

– Wszystko, co robimy, jest niewskazane, Piet, ale za to absolutnie konieczne. Tak samo jak to spotkanie. Boże, Piet... jak miło znowu cię widzieć. Przyniosłeś pieniądze?

– Jest pewien problem – odpowiedział Holender. Brunet spojrzął na stojącą na końcu peronu kobietę z dzieckiem. Kiedy odwrócił się z powrotem do Holendra, na jego twarzy nie było już cienia uśmiechu.

– Jaki problem? Potrzebujemy pieniędzy na podróż. Musimy znaleźć nowy, bezpieczny dom.

– To już koniec, Franz – odparł Holender. – Koniec nastąpił już dawno temu i powinieneś się z tym pogodzić. Pozostali...

uważają tak samo.

– Pozostali? – prychnął ciemnowłosy. – Niczego się po nich nie spodziewałem. To tylko zgraja drobnomieszczańskich palantów udających aktywistów. W połowie zaangażowanych, a w połowie wystraszonych. Słabeuszy zgrywających się na niepokonanych. Ale ty, Piet... Od ciebie oczekuję więcej. Nie możesz się teraz wycofać. Ja... my cię potrzebujemy.

– To koniec. Nie widzisz tego, Franz? Czas rzucić to wszystko. Nie mogę tego już dłużej robić. Straciłem wiarę. – Holender cofnął się o kilka kroków. – Przegraliśmy, Franz. Przegraliśmy. – Zrobił kolejne kroki w tył i rozejrzał się trwożliwie na boki. Ciemnowłosy poszedł za jego spojrzeniem, ale niczego nie zobaczył. Mimo to poczuł, że coś ściska go za gardło. Zaciśnął mocniej palce na kolbie makarowa kalibru 9 milimetrów, ukrytego w kieszeni płaszcza. Holender znów zaczął mówić. Teraz miał rozbiegane oczy.

– Przepraszam, Franz... Bardzo cię przepraszam... – Odwrócił się i zaczął uciekać.

Wszystko rozegrało się w ciągu kilku sekund, choć zdawało się trwać wieczność.

Holender, biegnąc, wołał do kogoś niewidocznego. Przed matką i synem pojawił się kolejarz z czarnym pistoletem w wyciągniętej ręce. Kobieta w niegustownym płaszczu przyklekła ze zdumiewającą zręcznością i wydobyła spod płaszcza broń. Wycelowała w ciemnowłosego, każąc mu położyć ręce na głowie.

Ciemnowłosy obrócił gwałtownie głowę i spojrzał na kobietę z dzieckiem. Kobieta zanurzyła rękę w przepastnej torbie. W torbie powstała dziura po pocisku, kiedy nacisnęła spust znajdującego się w niej MP5. Jednocześnie odepchnęła od siebie chłopca, który upadł na peron. Pocisk trafił fałszywego kolejarza pierś. Blondynka obróciła się w miejscu z pistoletem w rozdartą, dymiącej torbie i wymierzyła w policjantkę z oddziału antyterrorystycznego GSG 9, przebraną za gospodynię domową. Policjantka przestała celować w mężczyznę, skierowała broń w stronę blondynki i strzeliła dwukrotnie, a potem jeszcze dwa razy. Trafiła matkę chłopca

w klatkę piersiową, twarz i czoło. Kobieta była martwa, nim jej ciało runęło na peron.

Ciemnowłosey widział, jak blondynka umiera, ale nie było teraz czasu na żal. Usłyszał krzyki tuzina policjantów z GSG 9, ubranych w hełmy i kamizelki kuloodporne, wybiegających z budynku dworcowego na peron. Machali wściekle do Holendra, dając mu znać, żeby przestał biec i zszedł z linii strzału. Policjantka ponownie wymierzyła broń w ciemnowłosego, który wyszarpnął z kieszeni płaszcz rosyjskiego makarowa, ale nie wycelował ani w policjantkę, ani w żadnego z antyterrorystów.

Pierwszy pocisk wystrzelony przez policjantkę trafił go w pierś dokładnie w tej samej chwili, kiedy jego pocisk roztrzaskiwał tył głowy Holendra.

Franz Mühlhaus, inaczej Czerwony Franz – anarchizujący terrorysta, którego twarz straszyla Niemców w RFN z listów gończych rozlepionych od Kolonję po Monachium – upadł na kolana z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, z makarowem zwisającym z półotwartej dłoni i głową zwieszoną na zakrwawionej piersi.

Umierając, widział słabnącym wzrokiem bladą twarz swojego syna, jego szeroko rozwarte oczy i usta otwarte w niemym krzyku. Jakimś cudem znalazł w sobie dość sił, by wraz z ostatnim oddechem powiedzieć tylko:

– *Verrater...*

Zdrajcy.

CZEŚĆ PIERWSZA

1

TRZY DNI PRZED PIERWSZYM MORDERSTWEM, PONIEDZIAŁEK 15 SIERPNIĄ 2005

List, wyspa Sylt, 200 kilometrów na północny zachód od Hamburga

Chciał, żeby ta chwila trwała całą wieczność.

Ogarniał zmysłami każdy zakątek lądu, morza i nieba. Stał boso i czuł poszczególne ziarenka sypkiego piasku ocierającego się o podeszwy stóp i wciskającego pomiędzy palce. Czuł się tak, jakby to miejsce, ten czas były jego jedynym wspomnieniem. Tutaj, pomyślał, nie istnieje przeszłość ani przyszłość, jest tylko obecna chwila. Ta wyspa na Morzu Północnym była długa, wąska i płaska. Nie było na niej niczego, co mogłoby powstrzymać wiejący wiatr, który hamował dopiero na solidniejszym duńskim wybrzeżu. Kiedy tak stał, wiatr protestował przeciwko jego obecności, szarpiąc wściekle materiał spodni i kołnierzyk koszuli, rozwiewając włosy na czole. Smagał policzki i wdzierał się w każdą zmarszczkę na twarzy, kiedy patrzył on na obłoki sunące po nieprawdopodobnie wielkiej, błękitnej tarczy nieba.

Jan Fabel był raczej przeciętnego wzrostu; skończył czterdzieści lat, ale jego wygląd miał w sobie nadal coś chłopięcego, głównie za sprawą szczupłej, kościstej sylwetki i rozwianej blond czupryny. Miał oczy koloru jasnoniebieskiego, inteligentne i wesołe, choć teraz zmrużone, zredukowane do wąskich szparek na pokrytej zmarszczkami

twarży wystawionej na wściekle podmuchy wiatru. Twarz miał opaloną i nieogoloną, i jak chłopięca postura była przypomnieniem niedawno minionej młodości, tak srebrzący się trzydniowy zarost zapowiadał nadchodzącą starość.

Od strony wydm znajdujących się za jego plecami zbliżała się kobieta – wysoka jak on, ubrana w koszulę i spodnie z białego lnu. Szła na bosaka, ale w rękę niosła czarne sandały na płaskim obcasie. Ją także smagał wiatr, wygładzając lnianą tkaninę na krągłościach ciała i burząc długie czarne włosy. Fabel nie zauważył nadejścia Susanne. Stała za jego plecami, rzuciła sandały na piasek i objęła go. Obrócił się i pocałował ją namiętnie, a potem oboje patrzyli na morze.

– Właśnie sobie myślałem – odezwał się w końcu – że stojąc tu, można zapomnieć, kim się naprawdę jest. – Spojrzał na swoje stopy i wcisnął palec w piasek. – Jest cudownie. Tak się cieszę, że ze mną przyjechałaś. Dużo bym dał, żebyśmy nie musieli jutro wyjeżdżać.

– Rzeczywiście jest cudownie. Ale, niestety, każde z nas ma swoje życie, do którego musi wrócić... – Susanne uśmiechnęła się pocieszająco. W jej głosie pobrzmiwał lekko bawarski akcent. – Chyba że – ciągnęła – zamierzasz zapytać brata, czy nie potrzebuje kelnera.

Fabel wciągnął głęboko powietrze i na chwilę wstrzymał oddech.

– Wiesz, że to nie byłoby takie złe? Nie miałbym więcej do czynienia z tym całym gównem. Żadnych stresów...

Roześmiała się.

– Założę się, że nigdy nie pracowałeś jako kelner.

– Zawsze mógłbym robić coś innego. Cokolwiek.

– Nieprawda, nie mógłbyś – odparła. – Znam cię. Po miesiącu zacząłbyś tęsknić.

Wzruszył ramionami.

– Może masz rację. Ale tu się czuję kimś innym. Kimś, kim wolałbym być.

– To tylko wakacje... – Wiatr zarzucił Susanne na twarz welon z włosów. Odgarnęła je na bok.

– Nie chodzi o wakacje. Ważne jest to miejsce. Syłt zawsze

była dla mnie wyjątkowa. Pamiętam, jak pierwszy raz tu przyjechałem; czułem się tak, jakbym znał tę wyspę od zawsze. To tutaj przyjechałem, kiedy zostałem postrzelony. – Mówiąc to, podrapał się bezwiednie po lewym boku, jakby chciał sprawdzić, czy rana sprzed dwudziestu lat się zabiłiła. – To miejsce kojarzy mi się z wyzdrowieniem. Z poczuciem bezpieczeństwa i spokoju. – Roześmiał się. – Czasem, kiedy myślę o świecie tam... – wskazał na morze, za którym znajdowała się niewidoczna stąd reszta Europy – ...świecie, w którym przyszło nam żyć, zaczynam się bać. A ty?

Susanne skinęła głową.

– Czasami. Tak, czasami. – Położyła dłoń w miejscu, gdzie miał bliźnę po postrzale. Pocałowała go w policzek. – Zimno mi. Chodźmy coś zjeść...

Fabel nie ruszył się od razu. Pozwolił, by wiatr znad Morza Północnego jeszcze chwilę smagał mu twarz, patrzył, jak spienione fale rozbijają się o brzeg, a kilka samotnych obłoków popychanych silnymi podmuchami sunie po niebie. Słuchał skrzeku mew, groźnego pohukiwania wody i desperacko szukał alternatywy dla pozostania tu w charakterze kelnera.

W końcu odwrócił się i ruszył za Susanne w stronę wydm i znajdującego się za nimi hotelu z restauracją jego brata.

Północnofryzyjska wyspa Sylt ciągnie się niemal równoległe do brzegu kontynentu, w miejscu gdzie Niemcy graniczą z Danią. Obecnie jest połączona ze stałym lądem usypaną przez człowieka groblą zwaną Hindenburgdamm. Na grobli są tory kolejowe, po których pociągi dowożą bogatych i znanych Niemców do ich ulubionego miejsca letniego wypoczynku. Na wyspie znajduje się też lotnisko, a ze stałym lądem łączy ją również połączenie promowe. Latem wąskie drogi pełne są lśniących mercedesów i porsche.

Pewnie dlatego, że hotel wcześniej był zwyczajnym gospodarstwem, starszy brat Fabla Lex nazywa tych sezonowych przybyszów letnią stonką. Lex prowadzi ten mały hotel i restaurację na północnym skraju wyspy od dwudziestu

pięciu lat. Niekwestionowany talent Lexa jako szefa kuchni, w połączeniu z otwartym widokiem na połac złotego piasku i morze, sprawia, że w sezonie płynie do jego hotelu nieprzerwany strumień gości. Hotel był pierwotnie tradycyjnym fryzyjskim gospodarstwem, zachowała się nawet fasada z dębowych bali i szeroki dach stawiający dzielnie opór wiatrom znad Morza Północnego. Lex dobudował nowoczesną część, w której mieści się restauracja. W hotelu jest tylko siedem pokoi dla gości i wszystkie są zarezerwowane na wiele miesięcy naprzód. Ale Lex ma także małe, oddzielne mieszkanie składające się z kilku pokoi na strychu starego domu, i tego nigdy nie wynajmuje. Trzyma te pokoje dla rodziny i przyjaciół. A przede wszystkim dla swojego brata.

Fabel i Susanne zeszli na kolację około ósmej. Restauracja była już prawie całkiem wypełniona zamożnymi klientami, ale Lex, jak co dzień, jeden z najlepszych stolików, tuż przy panoramicznym oknie, zarezerwował dla Fabela i Susanne. Susanne zamieniła lnianą koszulę i spodnie na czarną sukienkę bez rękawów. Kruczoczarne włosy upięła w kok, odsłaniając smukłą szyję. Sukienka opinała jej ciało i kończyła się na tyle wysoko nad kolanami, by wyeksponować kształtne nogi, i na tyle nisko, żeby wyglądała skromnie i gustownie.

Fabel doskonale zdawał sobie sprawę z urody Susanne, widział, jak mężczyźni wodzą za nią wzrokiem od chwili, gdy weszli do restauracji. Ich związek trwał nieco ponad rok i zdążyli już przejść skomplikowane etapy wzajemnego poznawania się. Teraz byli już stałą parą i Fabel czerpał z tego poczucie bezpieczeństwa i komfortu. A kiedy swój wolny czas spędzała z nimi także jego córka Gabi, po raz pierwszy od rozpadu małżeństwa z Renate, miał także poczucie, że jest członkiem rodziny.

Kierownik sali, Czech o imieniu Borys, zaprowadził ich do stolika. Wiszące nisko nad horyzontem słońce nadało piaskowi, morzu i niebu złocisty odcień. Kiedy zostali usadzeni przy stoliku, Borys zapytał ich miło brzmiącą niemczyzną, czy życzą sobie coś do picia przed posiłkiem. Zamówili białe wino, a Susanne oddała się rytuałowi obserwowania pozostałych

osób na sali. Jedna z nich, za plecami Fabla, najwyraźniej przykuła jej uwagę.

– Czy to nie ten polityk, Berthold Müller-Voight?

Fabel już zaczął się obracać na krześle. Susanne położyła dłoń na jego ramieniu i uściśniła.

– Na miłość boską, Janie, nie tak ostentacyjnie. Kiepsko ci wychodzi obserwacja jak na policjanta.

Uśmiechnął się.

– To może tłumaczyć mój kiepski współczynnik wykrywalności...

Obrócił się ponownie, tym razem próbując nieporadnie omieść wzrokiem całą restaurację. Za jego plecami, po lewej stronie siedział mężczyzna po pięćdziesiątce ubrany w golf i ciemną marynarkę. Ten strój swoją swobodą wskazywał na wyjątkowo drogiego projektanta. Przerzedzone włosy mężczyzna zaczesał starannie do tyłu, a na krótko przystrzyżonej brodzie widać było tylko nieliczne plamki siwizny. Miał starannie wystudiowany wygląd uznanego reżysera, muzyka, pisarza czy może rzeźbiarza. Mimo to Fabel rozpoznał go jako osobę uprawiającą kontrowersyjną sztukę polityki. Szczupła blondynka obok niego była co najmniej o dwadzieścia lat młodsza. Siedziała bez ruchu, roztaczając wokół siebie aurę eleganckiej, a zarazem bezczelnej seksualności. Jej spojrzenie przez chwilę zetknęło się ze spojrzeniem Fabla, który odwrócił się z powrotem do Susanne.

– Masz rację. To Müller-Voight. Lex na pewno będzie zachwycony, że jego restauracja jest na tyle odlotowa, by gościć ulubieńców proekologicznej lewicy.

– A kim jest ta dziewczyna?

Fabel uśmiechnął się szeroko, z satysfakcją.

– Nie wiem, ale na pewno jest przyjazna środowisku.

Susanne przechyliła lekko głowę na bok. Zdaniem Fabla był to typowy tylko dla niej sposób na okazanie wyjątkowej koncentracji.

– Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że już ją wcześniej widziałam. Trudno nadażyć za jego miłosnymi podbojami. On chyba czerpie satysfakcję z kolejnych doniesień prasowych

w tabloidach.

– Na pewno nie jest zachwycony artykułami, które na jego temat pisze Fischmann. – Fabel miał na myśli Ingrid Fischmann, dziennikarkę, która postawiła sobie za cel przedstawienie opinii społecznej ludzi mających związki z lewicowym ekstremizmem czy terroryzmem lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

– Myślisz, że to prawda? – zapytała konspiracyjnie Susanne, pochylając się nad stołem. – Naprawdę mógł mieć związek ze sprawą Wiedlera?

– Nie wiem... Było sporo spekulacji i poszlak. Ale zdaniem policji w Hamburgu nie wniosły one niczego nowego do sprawy.

– Ale?

Fabel skrzywił się, jakby próbował zmierzyć to, co niemierzalne.

– Ale kto wie, co ma na niego Federalna Policja Kryminalna.

– Fabel czytał artykuł Fischmann na temat Müllera-Voighta. Napisała w nim o uprowadzeniu i zamordowaniu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku bogatego hamburskiego przemysłowca Thorstena Wiedlera. Wiedler kazał swojemu szoferowi zatrzymać się na miejscu, jak się zdawało, poważnego wypadku drogowego. Ten wypadek został upozorowany przez członków gangu cieszącego się złą sławą terrorysty Franza Mühlhausa – Czerwonego Franza. Grupa terrorystyczna, której przewodził, była równie tajemnicza jak nazwiska polityków, którzy ją wspierali. Jediną znaną postacią był sam Mühlhaus.

Ludzie Czerwonego Franza postrzelili kierowcę Wiedlera, a samego przemysłowca upchnęli w bagażniku i odjechali. Kierowca przeżył, lecz Wiedler nie. Co się z nim stało, pozostaje do tej pory tajemnicą. Ostatnia znana fotografia Wiedlera przedstawia jego posiniaczoną twarz i gazetę z widoczną datą. Porywacze wysłali ją do jego rodziny i do mediów.

Opublikowano oświadczenie, że przemysłowiec został „stracony”, ale w przeciwieństwie do innych ofiar terrorystów jego ciała nie podrzucono w miejsce, gdzie można by je znaleźć.

Z tego powodu nieznana była dokładna data śmierci Wiedlera, nie przeprowadzono też sekcji zwłok. Mimo setek aresztowań i faktu, że wszyscy wiedzieli, iż to grupa Mühlhausa stoi za tą zbrodnią, nikomu nie udało się postawić zarzutów.

Dziennikarka Ingrid Fischmann w swoim artykule napisała o tym, że Berthold Müller-Voight, w owym czasie znacznie bardziej radykalny, został zatrzymany na czterdzieści osiem godzin przez policję. Faktem jest, że prawie każdy działacz polityczny był zaangażowany w poszukiwania Wiedlera. Ingrid Fischmann podkreślała jednak, że choć nic nie wiadomo o pozostałych członkach grupy terrorystycznej, to istnieją dowody wskazujące, iż kierowca samochodu, w którym został uprowadzony Wiedler, osiągnął później wysoką pozycję społeczną. Fischmann nie oskarżyła bezpośrednio Müllera-Voighta, obawiając się procesu o zniesławienie, ale pozostawiła czytelnikom wyciągnięcie wniosków.

Fabel odwrócił się jeszcze raz, żeby zerknąć na niskiego, pozującego na artystę mężczyznę siedzącego w towarzystwie seksownej blondynki. Rozmawiali, nie patrząc na siebie, z obojętnym wyrazem twarzy, jakby tylko zapelniali ciszę pomiędzy kolejnymi kęsami. Mało prawdopodobne, by Müller-Voight był terrorystą, ale faktem jest, że prowadził radykalną politykę. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych sympatyzował z Danielem Cohn-Benditem, Joschką Fischerem i innymi lewicowymi notablami. Jego obecną politykę trudno było zdefiniować. Mimo pewnej niespójności poglądów został wybrany do hamburskiego senatu i został ministrem środowiska w rządzie krajowym burmistrza Hansa Schreiberera.

– Pewnie nigdy się nie dowiemy, ile miał wspólnego z tamtym porwaniem – podsumował Fabel. – Jeśli w ogóle miał.

Pojawił się Borys i przyjął od nich zamówienie. W czasie posiłku oddawali się jałowej, nieco melancholijnej rozmowie, jaką może prowadzić para, której kończą się wspaniałe wakacje. Tymczasem słońce powoli rozpląnęło się w morzu, zabarwiając wodę krwistą czerwienią. Nie śpieszyli się; liczba gości w restauracji zmalała, ucichł gwar rozmów. Kiedy podano

im kawę, z kuchni wyszedł Lex i podszedł do ich stolika. Był znacznie niższy od Jana i miał gęste, czarne włosy. Mnogość zmarszczek na jego twarzy świadczyła, że jest osobą, która nieustannie się uśmiecha. Ich matka była Szkotką, ale wszystkie celtyckie geny przekazała jego bratu. Lex był starszy od Jana, choć zawsze wydawał się młodszy duchem. To Jan był zwykle tym rozsądniejszym, który wyciągał starszego brata z różnych tarapatów, kiedy jako dzieci mieszkali w Norddeich. Wtedy niedojrzałość Lexa denerwowała Jana, ale teraz mu jej zazdrościł. Lex miał na sobie fartuch kucharski i spodnie w kratę, i choć zwyczajowo się uśmiechał, w jego ruchach widoczne było zmęczenie.

– Długi wieczór? – zapytał Fabel.

– Każdy wieczór jest długi – odparł Lex, przysuwając sobie krzesło. – A to dopiero początek sezonu.

– Jedzenie było wyśmienite, Lex – pochwaliła Susanne. – Jak zwykle.

Lex pochylił się, ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

– Jesteś bardzo inteligentna i wymagająca, Susanne. Tym bardziej dziwi fakt, że skończyłaś u boku niewłaściwego brata.

Susanne uśmiechnęła się szeroko i zamierzała coś odpowiedzieć, kiedy ich uwagę zwróciły podniesione głosy przy stoliku w rogu. Partnerka Müllera-Voighta podniosła się raptownie, odsuwając z głośnym zgrzytem krzesło, i rzuciła serwetkę na talerz. Wyszczała coś niezrozumiałego do wciąż siedzącego przy stole Müllera-Voighta i wyszła z restauracji. Müller-Voight wpatrywał się w swój talerz, jakby chciał z niego wyczytać, co powinien teraz zrobić. Przywołał Borysa, zapłacił kartą kredytową, nie spoglądając nawet na rachunek, i wyszedł, nie patrząc na nikogo z sali.

– Może poszło o jego politykę w kwestii gazów cieplarnianych – rzucił z uśmiechem Fabel.

– Pojawiał się tu już kilka razy w ciągu ostatniego miesiąca – powiedział Lex. – Pewnie ma dom na wyspie. Nie wiem, kim jest ta dziewczyna, ale nie zawsze tu z nim przychodzi. I wygląda na to, że już tu nie wróci.

Susanne spojrzała na drzwi, przez które wyszła kobieta,

a potem Müller-Voight, i potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić natrętną myśl.

- Jestem pewna, że już ją gdzieś widziałam. – Upiła łyk kawy.
- Ale nie mogę sobie za Boga przypomnieć gdzie.

NOC PIERWSZEGO MORDERSTWA, CZWARTEK, 18 SIERPNIĄ 2005

22.15, dzielnica Schanzenviertel, Hamburg

Cała sztuka polegała na tym, by pozostać niezauważonym.

Wiedział, jak to wygląda – jak nic nieznaczące zerknięcie do samochodu przez przypadkowego przechodnia, po chwili już zapomniane, może zostać po kilku miesiącach wydobyte przez przesłuchującego i w połączeniu z dziesiątkami innych drobnych niekonsekwencji naprowadzić policję na jego trop. Na miejscu zbrodni, w jego najbliższym otoczeniu, w całej okolicy, musiał praktycznie pozostać niezauważony.

Dlatego siedział bez ruchu, w ciemności i ciszy. Czekał na odpowiednią chwilę.

Schanzenviertel to dzielnica Hamburga słynąca z ruchliwości i nawet w tak późny czwartkowy wieczór wiele się tu działo. Ale w tej wąskiej bocznej uliczce panował spokój. Stało tu mnóstwo zaparkowanych samochodów. Skorzystanie z własnego samochodu było ryzykowne, ale było to dobrze skalkulowane ryzyko – ciemny volkswagen polo wyglądał dostatecznie anonimowo pośród innych samochodów. Nikt nie zwróci na niego uwagi. Istniało tylko ryzyko, że ktoś zauważy go siedzącego w samochodzie. Siedzącego i czekającego.

Wcześniej ściszył radio; z głośników dobiegała jakaś rozmowa. Był zbyt zajęty, żeby jej słuchać. Jego myśli zbyt mocno zaprzętało oczekiwanie, by informacje o kampanii wyborczej kandydatów na urząd kanclerski wywołały w nim odrazę, jaką zwykle odczuwał wobec nich. Kiedy zbliżył się właściwy czas, poczuł suchość w ustach, przyspieszony puls, i wyłączył radio.

Siedział teraz w ciemności i ciszy i walczył z targającymi nim emocjami. Musiał poczekać na odpowiednią porę, zapomnieć o wszystkim innym i skoncentrować się. Musiał być zdyscyplinowany. Japończycy mieli na to specjalne określenie – *zanshin*, stan spokoju i relaksu, braku lęku w obliczu niebezpieczeństwa czy trudnego wyzwania, który pozwalał działać umysłowi i ciału z najwyższą dokładnością i skutecznością. A jednak nie mógł zapanować nad uczuciem, że oto wypełnia się jego przeznaczenie. Całe życie przygotowywał się na ten moment. Więcej, niejedno ludzkie życie zostało poświęcone po to, by znalazł się w tym miejscu, w tym czasie. Punkt zbieżności był już blisko. Dzieliły go od niego sekundy.

Ostrożnie położył sztruksowe zawiniątko na fotelu pasażera. Zerknął w przód i w tył na ulicę, rozwiązał tasiemkę i rozwinął zawiniątko. Ostrze połyskiwało jasno, ostre i piękne w świetle ulicznej latarni. Wyobraził sobie, jak ćwiartuje ciało. Oddziela mięso od kości. Takim narzędziem mógłby uciszyć podstępne głosy, wyrzeźbić olśniewającą ciszę.

Zauważył jakiś ruch.

Zasłonił granatowym sztruksem piękne ostrze. Położył dłonie na kierownicy i wbił wzrok przed siebie, kiedy jakiś rower mijał jego samochód. Obserwował, jak rowerzysta zdejmuje jedną nogę z pedału, zsiada, wyjmuje z kosza łańcuch i kłódkę i podprowadza rower do stojaka przy budynku.

Roześmiał się cicho, patrząc na rytuał zabezpieczania pojazdu. Nie ma potrzeby, pomyślał. Zostaw go, niech ktoś ukradnie. Nie będziesz już go potrzebował w tym życiu.

Rowerzysta wyjął z kieszeni klucze i wszedł do mieszkania.

W panujących wewnątrz samochodu ciemnościach naciągnął lateksowe rękawiczki chirurgiczne. Z tylnego siedzenia zabrał torbę na przybory kosmetyczne i położył ją obok sztruksowego zawiniątka.

Zbieżność.

Poczuł, jak ogarnia go niezwykle spokój. *Zanshin*. Sprawiedliwości stanie się zadość. Rozpocznie się zabijanie.

DZIEŃ PO PIERWSZYM MORDERSTWIE, PIĄTEK 19 SIERPNIĄ 2005

8.57, dzielnica Schanzenviertel, Hamburg

Zatrzymała się na chwilę i spojrzała w niebo, mrużąc oczy przed porannym słońcem tak optymistycznie rozświetlającym Schanzenviertel. To miało być jej pierwsze spotkanie tego dnia. Zerknęła na zegarek i pozwoliła sobie na lekki uśmiech zadowolenia. Ósma pięćdziesiąt siedem. Trzy minuty przed czasem.

Kristina Dreyer dumna była z tego, że nigdy się nie spóźniała. Była zresztą dumna z wielu innych rzeczy w swoim życiu. Miała obsesję na punkcie punktualności. Odkrywała siebie na nowo – jaką osobą teraz się stała. Doskonale wiedziała, co to jest chaos. Znała go lepiej, niż większość ludzi potrafi sobie wyobrazić. Chaos ją ogarniał. Odarł z godności, pozbawił młodości, a przede wszystkim sprawił, że straciła kontrolę nad własnym życiem.

Ale teraz Kristina znów była w formie. Jej życie, które niegdyś było anarchią i niemożliwym do wyobrażenia tumultem, obecnie było ściśle uregulowane. Wszystko w jej życiu obecnie było proste, jasne i uporządkowane – strój, także ten roboczy, małe nieskazitelnie czyste mieszkanie, volkswagen golf z nalepką „Sprzątanie” na bocznych drzwiach. Proste, jasne i uporządkowane było także to jej życie, którego tak jak mieszkania postanowiła z nikim nie dzielić.

Bezprzykładna pedanteria Kristiny ujawniała się szczególnie wyraźnie w pracy. Była nadzwyczaj dobra w tym, co robiła. Lista jej klientów z okręgu Eimsbüttel była długa, co oznaczało, że cały tydzień miała wypełniony pracą, a każdy z klientów

ceniał ją za staranność i uczciwość. Ale przede wszystkim za absolutną niezawodność.

Kristina dobrze sprzątała. Sprzątała mieszkania, sprzątała wille. Sprzątała domy duże i małe, należące do młodych i starych, Niemców i cudzoziemców. Do każdego domu, do każdego zadania podchodziła z taką samą skrupulatnością. Nie omijała niczego. Nie szła na skróty.

Miała trzydzieści sześć lat, ale wyglądała na dużo starszą. Była drobną, szczupłą kobietą. Kiedyś, zaledwie dziesięć lat temu, choć dla niej to były całe wieki, miała ładne rysy, delikatne. Tymczasem teraz wyglądała tak, jakby ktoś ściśle obciągnął skórą jej kościsty szkielet. Wydatne, ostre kości policzkowe sterczały złowrogo z twarzy, a skóra na nich była zaczerwieniona i szorstka. Nos był mały i tuż poniżej grzbietu kość i chrząstka nie łączyły się ze sobą.

Trzy minuty przed czasem. Uśmiech znikł z jej twarzy. Pojawienie się zbyt wcześnie było tak samo niewłaściwe jak spóźnienie. Co prawda jej klient, pan Hauser, nie dowie się o tym, jako że był już w pracy. Ale punktualność Kristiny oznaczała, że zachowany jest porządek jej świata, że nie wdrze się do niego żadna przypadkowość, która mogłaby się rozprzestrzenić jak rak i wprowadzić zagrażający życiu i zdrowiu psychicznemu chaos. Tak jak to działo się wcześniej.

Przekreśliła klucz w zamku i otworzyła drzwi ramieniem, ciągnąc za sobą odkurzacz.

Kristina uważała, że narodziła się na nowo. Nie miała dzieci ani mężczyzny, który mógłby być ich ojcem, a jednak stworzyła samą siebie od nowa – tchnęła w siebie życie, odsuwając na bok to, co było wcześniej. „Nie pozwól, żeby historia twojego życia określała, kim jesteś albo kim się staniesz” – powiedział jej ktoś, kiedy była w najbardziej podłym nastroju. To był punkt zwrotny. Wszystko uległo zmianie. Wszystko, co wiązało się z jej dawnym, mrocznym życiem, porzuciła, zapomniała o tym.

I teraz, kiedy Kristina Dreyer stała w progu mieszkania, które miała tego pogodnego piątkowego ranka posprzątać, z jej dawnego życia wychynęła historia i chwyciła ją mocno za

gardło.

Ten zapach. Mocny, mdlący, metaliczny odór zakrzepłej krwi unoszący się w powietrzu. Rozpoznała go od razu i zaczęła się trząść.

Tu była śmierć.

9.00, dzielnica Eppendorf, Hamburg

Niepokój był głęboko ukryty. Przypadkowy obserwator w jej zachowaniu dostrzegłby tylko pewność siebie. Ale doktor Minks nie należał do zwyczajnych obserwatorów.

Jego pierwszą pacjentką tego dnia była Maria Klee, elegancka kobieta po trzydziestce. Wyglądała bardzo atrakcyjnie; zaczesane do tyłu blond włosy odsłaniały szerokie, jasne czoło; może tylko twarz miała nieco zbyt pociągłą i zbyt wąski nos.

Maria, ubrana w drogie spodnie, siedziała naprzeciw doktora Minksa z nogą założoną na nogę i dłońmi o wypiełgnowanych paznokciach spoczywającymi na kolanie. Siedziała wyprostowana; zupełnie spokojna, czujna, ale odprężona. Szaroniebieskimi oczami wpatrywała się w psychologa nieruchomo, pewnie, ale nie wyzywająco. To spojrzenie zdawało się mówić, że czeka na zadanie pytania albo złożenie propozycji, ale jest gotowa cierpliwie i grzecznie zaczekać, aż lekarz zacznie mówić.

Na razie doktor Friedrich Minks milczał. Nieśpiesznie przeglądał notatki. Był niskim i przysadzystym mężczyzną w bliżej nieokreślonym średnim wieku; miał ziemistą cerę i przerzedzone ciemne włosy, ciemne oczy skrywały się za szklami okularów. W przeciwieństwie do swojej wytwornej pacjentki sprawiał wrażenie, jakby ktoś go rzucił z całych sił na krzesło, a siła uderzenia zmięła go jeszcze bardziej w jego i tak pomiętym już garniturze. Uniósł wzrok znad notatek i spojrzał na starannie zbudowany gmach pewności siebie, jaki Maria Klee prezentowała swoją mową ciała. Blisko trzydziestoletnie doświadczenie psychologa pozwalało mu błyskawicznie dojrzeć fałsz.

– Jesteś dla siebie bardzo surowa. – Dzieciństwo spędzone przez Minksa w Szwabii pozostawiło ślad w jego akcencie. – I moim zdaniem to jest główny problem. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Marii nie drgnęła nawet powieka, tylko lekko wzruszyła ramionami.

– Co pan ma na myśli, doktorze?

– Dobrze wiesz. Odmawiasz sobie prawa do lęku. To część mechanizmu obronnego, jaki wytworzyłaś. – Pochylił się w jej stronę. – Strach jest rzeczą naturalną. Po tym, co przeszłaś, odczuwanie strachu jest więcej niż naturalne... Jest istotną częścią procesu leczenia. Jak czułaś ból, kiedy dochodziło do zdrowia twoje ciało, tak musisz poczuć strach, by wyleczyć umysł.

– Ja chcę tylko dalej żyć, doktorze Minks. Bez tych wszystkich bzdur.

– To nie są bzdury. To pewien etap dochodzenia do siebie po przeżytej traumie, przez który musisz przebrnąć. Ale ponieważ uważasz strach za wadę i starasz się walczyć z naturalnymi reakcjami, wydłużasz tylko ten etap... I obawiam się, że wydłuży się on w nieskończoność. Stąd właśnie te napady paniki. Wsublimowałaś i stłumiłaś swój naturalny strach i przerażenie, ale on wydostaje się na powierzchnię w takiej zniekształconej formie.

– Myli się pan – odparła Maria. – Nigdy nie próbowałam zaprzeczać temu, co mi się stało. Temu, co on... co on mi zrobił.

– Nie to miałem na myśli. Nie wypierasz samego zdarzenia. Odmawiasz sobie prawa do doświadczania strachu, przerażenia czy nawet oburzenia z powodu tego, co ten człowiek zrobił. Albo tego, że musi jeszcze wytłumaczyć się ze swojego postępowania.

– Nie mam czasu uzalać się nad sobą.

Minks pokręcił głową.

– Uzalenie się nie ma tu nic do rzeczy. Chodzi o stres pourazowy i naturalny proces leczenia. O rozwiązanie problemu. Dopóki go nie rozwiążesz, nie zdołasz prawidłowo komunikować się z otaczającym światem. Z innymi ludźmi.

– Mam do czynienia z ludźmi na co dzień. – W szaroniebieskich oczach pacjentki pojawiło się teraz wyzwanie. – Chce pan powiedzieć, że jestem mniej efektywna?

– Pewnie jeszcze nie... Ale jeśli nie pozbedziemy się tych upiorów, to dadzą one o sobie znać w twojej pracy zawodowej.

– Minks przerwał. – Z tego, co mi powiedziałaś, masz coraz wyraźniejsze objawy afefobii. Biorąc pod uwagę rodzaj pracy, jaką wykonujesz, może to być bardzo kłopotliwe. Rozmawiałaś o tym ze swoimi przełożonymi?

– Doskonale pan wie, że to oni załatwili tę terapię. – Maria odchyliła głowę lekko do tyłu, a w jej głosie zabrzmiała obronna nuta. – Ale nie. Nie rozmawiałam z nimi o tych... najnowszych problemach.

– Cóż – powiedział doktor Minks – znasz moje zdanie na ten temat. Uważam, że pracodawcy powinni być świadomi twoich kłopotów. – Zrobił krótką przerwę. – Wspomniałaś o tym mężczyźnie, z którym zaczęłaś się spotykać. Jak się mają sprawy?

– Okej... – W głosie Marii nie pozostało nic z wyzywającego tonu. Przygarbiła się, jakby uszła z niej energia. – Bardzo go lubię. A on mnie. Ale... nie potrafimy jeszcze być ze sobą blisko.

– Chcesz powiedzieć, że nie było między wami intymnego kontaktu... żadnego przytulania, całowania? Czy może miałaś na myśli seks?

– Miałam na myśli seks. Albo coś bliskiego seksowi. Dotykamy się. Całujemy... ale wtedy zaczynam czuć... Wtedy dostaję napadu paniki.

– Czy on rozumie, dlaczego się wycofujesz?

– Częściowo. Nie jest łatwo mężczyźnie, nikomu, pogodzić się z tym, że jego dotyk, jego bliskość budzą odrazę. Staralam mu się to wytłumaczyć, a on obiecał, że zatrzyma to dla siebie. Wiem, że i tak nikomu by o tym nie powiedział. On to rozumie. Wie, że do pana przychodzę... to znaczy niekonkretnie do pana... wie, że staram się rozwiązać swój problem.

– To dobrze. – Minks znowu się uśmiechnął. – A co ze snami? Miewasz je jeszcze?

Maria przytaknęła. Obronny mur, jakim się otoczyła, zaczął

się kruszyć, a ona sama przygarbiła się jeszcze bardziej. Jej dłonie wciąż spoczywały na kolanach, ale palcami zaczęła miętosić materiał spodni.

– Wciąż to samo? – zapytał Minks.

– Tak.

Doktor Minks pochylił się na krześle.

– Musimy do tego wrócić. Razem odwiedzić twoje sny. Rozumiesz to, prawda?

– Znowu?

– Tak. Znowu. – Gestem kazał jej się odprężyć.

– Wracamy do twojego snu. Do miejsca, w którym widzisz napastnika. Zacznę teraz liczyć. Wracamy, Mario... raz... dwa... trzy...

9.00, dzielnica Schanzenviertel, Hamburg

Kristina zostawiła otwarte drzwi, opierając o nie odkurzaczy i pozostawiając sobie w ten sposób drogę ucieczki. Zapach śmierci obudził w niej głęboko ukryte stare instynkty. Słyszała rytmiczny dźwięk i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to szum krwi w jej uszach. Z wiadra, które przyniosła ze sobą, wyjęła butelkę płynu do czyszczenia w sprayu i trzymała ją teraz w drżącej ręce niczym pistolet.

– Panie Hauser?! – zawołała w stronę holu i pograżonych w ciszy pokoi. Z napięciem wsłuchiwała się w jakikolwiek odgłos, jakiegokolwiek poruszenie, jakiegokolwiek oznakę życia w mieszkaniu. Podskoczyła ze strachu na dźwięk przejeżdżającego ulicą samochodu, któremu towarzyszyło głucho dudnienie hałaśliwej muzyki. Tymczasem w mieszkaniu panowała cisza.

Kristina przeszła przez przedpokój, kierując się w stronę salonu z butelką z płynem czyszczącym wciąż trzymaną w niepewnej dłoni, podczas gdy drugą ręką opierała się o ciągnące się wzdłuż ściany półki z książkami. Przeciągnęła przy tym bezwiednie palcami po jednej z półek i stwierdziła, że wymaga ona odkurzenia.

Odetchnęła z ulgą, kiedy znalazła się w salonie i nie zastała tam niczego nieprzewidzianego prócz faktu, że pan Hauser zostawił szczególny nieporządek – butelka whisky i w połowie opróżniona szklanka stały na stoliku obok fotela, a na sofie leżały porozrzucane książki i czasopisma. Zawsze zdumiewało ją, że ktoś tak dbający o środowisko może nie dbać o własne otoczenie. Kristina, pracowita sprzątaczką, omiotła spojrzeniem pomieszczenie, układając sobie plan pracy. Ale druga Kristina, ta dawna, krzyczała gdzieś z głębi trzewi, że przecież tu panuje śmierć, której zapach unosił się w zatęchłym powietrzu.

Wycofała się do przedpokoju. Zatrzymała się nagle, skupiając całą swoją uwagę na słuchaniu. Jakiś dźwięk. Dochodził z sypialni. Coś stukalo. Ktoś stukal. Ruszyła w stronę drzwi sypialni.

– Herr Hauser! – zawołała jeszcze raz i zatrzymała się. Nie usłyszała żadnej odpowiedzi, tylko złowieszcze stukanie. Zacisnęła mocniej palce na butelce i otworzyła drzwi z taką energią, że odbiły się od ściany i zamknęły z powrotem tuż przed jej twarzą. Otworzyła je ponownie, tym razem ostrożniej. Sypialnia była przestronna i widna, w kolorze złamanej bieli i z wypolerowaną drewnianą podłogą. Okno było lekko uchylone i wiatr poruszał żaluzjami, które rytmicznie stukwały w szybę. Kristina wypuściła wstrzymywany oddech, na pół śmiejąc się, na pół wzdychając z ulgą. Ale niepokój nie opuścił jej całkiem i kazał wrócić do przedpokoju.

Przedpokój miał kształt litery L. Poruszała się teraz nieco pewniej. Dotarła do zakrętu, za którym znajdowała się druga sypialnia i łazienka. Skręcając, stwierdziła, że drzwi drugiej sypialni są otwarte, a promienie słoneczne wpadające przez okna oświetlają zamknięte drzwi łazienki. Kristina zamarła w bezruchu.

Do drzwi łazienki coś przypięto. Poczowała napływ przyprowadzającej o mdłości fali przerażenia. To była skóra jakiegoś zwierzęcia. Małego zwierzęcia, choć nie potrafiła powiedzieć jakiego. Futro było mokre, zmierzwiłone i jaskrawoczerwone. Nienaturalnie czerwone. Sprawiało

wrażenie, jakby zostało przed chwilą ściągnięte. Na podłogę przy drzwiach skapywała krew.

Przesunęła się w kierunku drzwi, oddychając płytko i urywanie, i przyjrzała się skórze. Wyciągnęła rękę, jakby chciała jej dotknąć, ale palce zatrzymały się raptownie tuż przed połyskującym na czerwono futrem.

Minęło zbyt mało czasu, by dotarło do niej, co widzi i co to oznacza. Przez głowę przebiegła jej tylko jedna myśl. Ta najprostsza, stwierdzająca oczywisty fakt. Myśl była straszna i w jednej chwili zburzyła jej uporządkowany świat. Od ścian przedpokoju odbił się echem i wydostał przez wciąż otwarte drzwi na zewnątrz przerażający, nieludzki wrzask. I kiedy delikatny materiał świata Kristiny Dreyer rozdarł się na kawałki, zdała sobie sprawę, że to ona sama krzyczy.

Wróciło przerażenie. Wróciły dawno pogrzebane wspomnienia.

To, na co patrzyła, nie było zwierzęcym futrem.

9.10, dzielnica Eppendorf, Hamburg

Maria we śnie stała na łące. Jak zawsze w jej snach wszystko było przerysowane. Księżyc na niebie był zbyt duży i zbyt jasny, świecił niczym sceniczny reflektor. Trawa pieszcząca jej nagie nogi, poruszana niesłyszalnymi podmuchami wiatru, skręcała się nienaturalnie. Nie było żadnego dźwięku. Żadnego zapachu. Przez chwilę cały świat Marii ograniczał się do dwóch zmysłów – wzroku i dotyku. Rozejrzała się. Ciszę przerwał łagodny głos z nutą szwabskiego akcentu. Głos, który dochodził z innego świata niż ten, w którym się znajdowała.

– Gdzie teraz jesteś, Mario?

– Tam. Na łące.

– Czy to jest ta sama łąka i ta sama noc? – zapytał nieziemski głos psychologa.

– Nie... Wydaje mi się, że... Ale tu wszystko jest inne. Większe. Szersze. Miejsce jakby to samo, ale w zupełnie innym świecie. W innym czasie. – Gdzieś w dali dostrzegła galeon

płynący w stronę Hamburga; jego wielkie białe żagle marszczyły się lekko pod wpływem słabego wiatru. Zdawało się, że sunie po falującej trawie łąki zamiast po wodzie. – Widzę okręt. Stary żaglowiec. Odpływa.

– Co jeszcze?

Obróciła się i spojrzała w innym kierunku. Na skraju łąki, jak na skraju świata, stały niewielkie, mroczne ruiny jakiegoś budynku, może zamku. Z jednego z okien dobywało się zimne, jaskrawe światło.

– Widzę zamek. Tam powinna być nieużywana stodoła. Ale jestem daleko od niej. Zbyt daleko.

– Boisz się?

– Nie, nie odczuwam strachu.

– Co jeszcze widzisz?

Maria obróciła się i lekko podskoczyła. On tam był, za nią, cały czas. I choć śniła ten sen już tyle razy i wiedziała, że powinien tam być, to wciąż była zaskoczona, stając z nim twarzą w twarz. Tyle że tak jak w poprzednich snach jego postać nie budziła w niej takiego pierwotnego lęku jak na jawie, gdy patrzyła na jego zdjęcia albo gdy wyłaniał się z mrocznych głębi wspomnień.

Był wysoki. Jego ciężkie ramiona były obwieszane jakąś egzotyczną bronią i osłonięte ciemną peleryną. Zdjął z głowy zdobny hełm. Miał ostre słowiańskie rysy twarzy i był w jakiś bezduszny sposób przystojny. Przenikliwymi, błyszczącymi i przeraźliwie zimnymi szmaragdowozielonymi oczami wpatrywał się w nią i uśmiechał. Uśmiechał się uśmiechem kochanka, choć spojrzenie było zimne. Stał blisko niej. Tak blisko, że czuła jego lodowaty oddech.

– On jest tutaj – powiedziała, patrząc w te zielone oczy, ale mówiąc do lekarza w innym wymiarze.

– Jestem tutaj – odezwał się okrutnie przystojny Słowianin.

– Boisz się? – Głos Minksa, głos dobiegający z innego wymiaru, stał się cichszy.

– Tak – odparła. – Teraz się boję. Ale lubię ten strach.

– Czujesz coś oprócz strachu? – zapytał Minks, ale jego głos był prawie niesłyszalny. Maria poczuła, że jej strach się

zmienia. Staje się silniejszy.

– Prawie cię nie słyszę – poskarżyła się. – Dlaczego twój głos jest taki słaby?

Minks odpowiedział coś, ale jego głos rozplynał się w powietrzu i nic nie usłyszała.

– Dlaczego cię nie słyszę? – Jej strach zyskał nowy, jeszcze większy wymiar. Palił jak płomień. – Dlaczego cię nie słyszę? – krzyknęła w mroczne niebo ze zbyt dużym księżycem.

Wasył Witrenko pochylił się, by pocałować ją w czoło. Miał suche, zimne wargi.

– Ponieważ się mylisz, Mario – odezwał się z ciężkim wschodnioeuropejskim akcentem. – Doktora Minksa tu nie ma. To nie jest jedna z twoich sesji hipnozy. To rzeczywistość. – Sięgnął pod luźną czarną pelerynę. – To nie sen. I nie ma tu nikogo prócz ciebie i mnie.

Maria chciała krzyknąć, ale nie mogła. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w złowrogi blask księżyca odbity od długiego szerokiego ostrza noża.

9.10, dzielnica Schanzenviertel, Hamburg

Kristina nigdy wcześniej nie widziała ludzkiego skalpu, ale miała absolutną pewność, że to, na co patrzy, jest właśnie skalpem. Początkowo zmylił ją kolor włosów. Były rude. Nienaturalnie rude.

Ale teraz nie miała już żadnych wątpliwości, że to są ludzkie włosy. Lśniące, mokre włosy. I skóra. Duży, postrzępiony krążek. Skalp był przypięty do drzwi trzema pinezkami. Górna część odwinęła się, ukazując pomarszczoną i zakrwawioną wewnętrzną stronę skóry oddzielonej od czaszki. Spływał z niej czerwony, połyskujący strumyczek w kształcie wydłużonej litery Y.

Krew.

Kristina potrząsnęła głową. Nie. Nigdy więcej. Zbyt wiele krwi widziała już w swoim życiu. Nie. Nie teraz, kiedy odmieniła swoje życie. To nie w porządku.

Pochyliła się do przodu jeszcze raz i poczuła, że drżą jej nogi, z trudem dźwigając ciężar ciała. Tak, tu była krew, ale za dużo. Poza tym była zbyt jaskrawoczerwona. Tak samo jaskrawoczerwona jak mokre, zmierzwione włosy.

Czuła pulsowanie krwi w uszach. Do kogo należały te włosy?

Wyciągnęła drżące palce i nacisnęła drzwi w miejscu niezabrudzonym krwią.

– Herr Hauser?!... – zawołała trwożliwie.

Popchnęła drzwi mocniej.

9.12, dzielnica Eppendorf, Hamburg

Witrenko uśmiechnął się do Marii. Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie, jakby zamierzał z nią tańczyć. Czuła jego umięśnione ciało blisko siebie.

– Kochasz mnie? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała zgodnie z prawdą. Strach osłabł. Odsunął się od niej odrobinę, ale wciąż mocno ją trzymał. Uniósł nóż, przeciągnął ostrze po jej ramionach, piersiach i zatrzymał w miękkim zagłębieniu tuż pod mostkiem.

– Chcesz, żebym to zrobił? Znowu?

– Tak. Chcę, żebyś to znowu zrobił. – Spojrzała w jego wciąż zimne i okrutne zielone oczy.

Rozległ się grzmot burzy. Potem kolejny. Poczowała, jak ostrze uciska coraz mocniej brzuch, a potem przeszył ją ostry ból, kiedy czubek noża przebił skórę. Zagrzmiało jeszcze dwukrotnie i świat wokół niej pogrążył się w ciemnościach.

Maria otworzyła oczy i spojrzała na doktora Minksa. Trzymał przed sobą wyciągnięte ręce, jakby przed chwilą klaskał. To był ten grzmot, który kazał jej powrócić. Wyprostowała się i rozejrzała po gabinecie, jakby chciała się upewnić, że wróciła do rzeczywistości.

– Wykluczyłaś mnie, Mario – odezwał się Minks. – Nie chciałaś, żebym tam był.

– On przejął kontrolę – odparła i odkaslnęła, kiedy zdała sobie sprawę, że drży jej głos.

– Nieprawda. Panowałaś nad wszystkim. On nie istnieje w twoich snach. To ty go ciągle od nowa stwarzasz. Panujesz nad jego słowami i działaniami. Z własnej woli wykluczyłaś mnie z tego snu. – Urwał i zagłębił się w fotelu. Ze zmarszczonymi brwiami zaczął przeglądać notatki. – Widziałaś te same szczegóły co poprzednio?

– Tak. Galeon, tam gdzie tamtej nocy była policyjna łódź patrolowa, i zamek w miejscu stodoły. Nie rozumiem tylko, dlaczego we śnie to wszystko jest takie skomplikowane. Dlaczego on ma na sobie zbroję? I dlaczego wszystko zmieniło się w jakieś historyczne odpowiedniki?

– Nie wiem. Być może próbujesz umieścić to, co zdarzyło się tamtej nocy, w przeszłości... W odległej przeszłości, jakby w poprzednim życiu. Czy masz wrażenie, że to jest ta sama noc, kiedy zostałaś pchnięta nożem?

– Tak i nie. Wygląda tak samo, ale w innym wymiarze, w innym wszechświecie. Tak jak pan powiedział, w zupełnie innym czasie.

– A czy w tym scenariuszu pozwalasz napastnikowi zbliżyć się do siebie? Pozwalasz na osobisty kontakt?

– Tego właśnie nie mogę zrozumieć – odparła Maria. – Dlaczego pozwalam się dotykać jemu, a nikomu innemu nie?

– Ponieważ to on jest źródłem twojej traumy. Źródłem twojego strachu. Gdyby nie ten człowiek, nie przeżywałabyś stresu, nie cierpiałabyś na afefobię, nie miewałabyś napadów paniki. – Minks wyjął gruby, oprawiony w skórę receptariusz i zaczął coś w nim pisać. Następnie wyrwał receptę i podał ją Marii. – Proszę to zażywać. Sprawa jest zbyt skomplikowana, by ograniczyć się do terapii psychologicznej.

– Leki? – Maria nie odebrała recepty. – Co to jest?

– Propranolol. Beta-bloker. To samo, co przepisuje się na nadciśnienie. Dawka jest niewielka. Proszę przyjmować jedną tabletkę osiemdziesięcimiligramową w szczególności trudnych dniach. Jeśli będzie naprawdę źle, proszę zwiększyć dawkę do stu sześćdziesięciu miligramów. Nie cierpisz na astmę albo inne choroby układu oddechowego?

Maria zaprzeczyła ruchem głowy.

– Jak to działa?

– To jest inhibitor noradrenaliny. Hamuje wydzielanie substancji, która nasila poczucie lęku. Albo złości. – Minks wcisnął Marii receptę do ręki.

– Czy to będzie miało wpływ na moją pracę?

Minks uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie powinno. Niektórzy czują się zmęczeni lub senni, ale nie w takim stopniu jak po zażyciu valium. Lek może cię nieco spowolnić, ale innych efektów ubocznych nie będzie. I tak jak wspomniałem, bierz go, kiedy będziesz naprawdę tego potrzebowała.

Doktor Minks wstał i uściśnął dłoń Marii. Zauważyła, że jego ręka była zimna i mięsista. I dość wilgotna. Cofnęła swoją dłoń nieco za szybko.

Po potwierdzeniu u recepcjonistki terminu kolejnej wizyty Maria ruszyła w stronę windy. Zatrzymała się na chwilę, żeby wyjąć z torebki dwie rzeczy. Pierwszą była chusteczka, którą energicznie wytarła dłoń uściśniętą przez Minksa. Drugą – jej służbowy sig-sauer, który włożyła do kabury u pasa.

9.12, dzielnica Schwanzenviertel, Hamburg

Kristina Dreyer stała jak wmurowana w drzwiach łazienki. Otworzyła usta do krzyku, ale ze strachu głos uwiązał jej w gardle. Od czterech lat, dwa razy w tygodniu sprzątała łazienkę Hausera tak, że wszystko w niej lśniło. Wycierała wszystkie powierzchnie, wymiatała wszystkie kąty, polerowała krany. Znała to pomieszczenie tak dobrze, że mogła się w nim poruszać z zamkniętymi oczami.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj panowało tu prawdziwe piekło.

Łazienka była jasna i przestronna. Wysokie, pozbawione zasłonek okno, w którym dolna szyba była matowa, wychodziło na małe kwadratowe podwórko. Rano wpadały przez nie promienie słońca. Ktoś mógłby uznać, że wystrój łazienki jest zbyt chłodny. Ale nie dla Kristiny, dla której nic nie było dość sterylne. Całe pomieszczenie wyłożono płytkami ceramicznymi

– dużymi, jasnoniebieskimi na podłodze, mniejszymi, białymi na ścianach. Łazienkę Hausera dobrze się sprzątało, bo światło docierało do każdego zakamarka, a płytki posłusznie poddawały się rękóm Kristiny uzbrojonym w detergenty.

Na jasnoniebieskiej terakocie widniała wielka plama krwi w kształcie tęczy. Na jednym jej końcu, pomiędzy muszlą sedesową a brzegiem wanny, leżał Hauser. Na porcelanowej muszli sedesowej lśniły plamy jasnej krwi. Hauser patrzył gniewnie na Kristinę z rozdziawionymi szeroko ustami i zmarszczonymi z wyrazem zaskoczenia brwiami. Panowała cisza, przerywana tylko uderzeniami kropel wody kapiącej z niedokręconego kranu na emaliowaną powierzchnię wanny. Ze ściśniętego przerażeniem gardła Kristiny wydobył się przedziwny bulgot, coś pomiędzy szlochem a odruchem wymiotnym.

Twarz Hausera była zbryzgana kleistą jasną krwią. Na czole, jakieś pięć, sześć centymetrów nad brwiami ktoś zrobił poziome nacięcie, proste, tylko gdzieniegdzie postrzępione. Nacięcie było głębokie. Do kości. I długie, kończyło się nad uszami. Skóra razem z włosami została zerwana, ukazując zakrwawione sklepienie czaszki. Ta zakrwawiona twarz i widoczna czaszka nasunęły Kristinie myśl o jakiejś potwornej parodii ugotowanego jajka. Kolejne plamy krwi widniały na jego koszuli i spodniach. Kristina zauważyła kolejne cięcie na szyi. Upuściła na podłogę butelkę z płynem czyszczącym i oparła się ramieniem o ścianę. Nagle poczuła, jak opuszczają ją siły i osunęła się na podłogę, ocierając policzkiem o zimne kafelki. Siedziała bezwładnie w kącie przy drzwiach, wpatrując się w postać martwego klienta. Zaczęła szlochać.

Tyle tu było do posprzątania.

9.15, komenda główna policji, dzielnica Alsterdorf, Hamburg

Nowa siedziba hamburskiej policji – komenda główna – mieściła się na północ od parku Winterhuder. Jan Fabel nigdy

nie potrzebował dużo czasu na dojechanie do Alsterdorfu ze swojego mieszkania w Poseldorfie, ale dziś jechał tu po raz pierwszy po czterodniowym urlopie. Jeszcze niedawno stał z Susanne na szerokiej plaży w List na wyspie Sylt. Tak niedawno, a jakby wieki temu.

Mijając plamy słońca przeświecającego przez gałęzie drzew, nie śpieszył się z powrotem do codziennego życia, w którym był szefem wydziału zabójstw. Ale kiedy słuchał w samochodzie radia, każda kolejna informacja była niczym ołów, który wciąga go do prawdziwego świata, oddalając wizję złotego piasku i jasnego nieba.

Fabel trafił na końcówkę informacji o zbliżających się wyborach powszechnych. Konserwatywna koalicja CDU/CSU, na której czele stała Angela Merkel, zwiększyła jeszcze bardziej swoje notowania w sondażach. Wszystko wskazywało na to, że ryzykowna zagrywka kanclerza Gerharda Schrödera z rozpisaniem wcześniejszych wyborów była błędem. Komentator omawiał zmianę stylu i wyglądu pani Merkel – fryzurę w oczywisty sposób podpatrzyła u Hillary Clinton. Fabel westchnął, słuchając, jak różni partyjni liderzy „pozycjonują się” wobec elektoratu. Wyglądało na to, że w niemieckiej polityce nieważne już były przekonania i idee, lecz tylko osobowości. Tak jak wcześniej Brytyjczycy i Amerykanie, Niemcy zaczęli bardziej cenić formę niż treść, osobowość niż politykę.

Uwagę Fabla przykuła informacja o starciu dwóch takich osobowości. Burmistrz Hamburga z ramienia socjaldemokratów Hans Schreiber stoczył ostrą debatę z Bertholdem Müllerem-Voightem, ministrem środowiska w rządzie krajowym, będącym członkiem partii Bündnis90-Die Grünen. Tym samym Müllerem-Voightem, którego widzieli z Susanne w restauracji Lexa. SPD i Zieloni byli częścią rządzącej w Niemczech koalicji i rząd krajowy miał także zabarwienie czerwono-zielone, choć wymiana zdań między politykami wcale nie wskazywała, że Müller-Voight jest sprzymierzeńcem Schreibera. W politycznych strukturach zaczęły pojawiać się przedwyborcze pęknięcia. Animoszje

między obydwoma politykami dało się zauważyć już od kilku miesięcy. Müller-Voight nazwał żonę Schreibera Karin Lady Makbet, odnosząc się w ten sposób do jej ambicji zostania żoną kanclerza federalnego. Fabel znał Schreibera – i to lepiej, niż Schreiber mógłby sobie tego życzyć – toteż nietrudno mu było zgodzić się z opinią, że ambicje polityka są takie same jak jego żony.

Fabel zatrzymał się na czerwonym świetle przy parku Winterhuder. Bezmyślnie przyglądał się przejeżdżającej przed maską jego samochodu rowerzystce, potem zerknął w bok i zauważył, że samochodem, który zatrzymał się obok niego, kierowała kobieta po trzydziestce. Karciała za złe zachowanie dwoje dzieci siedzących z tyłu, rzucając gniewne spojrzenia w lusterko wsteczne, zżywieniem poruszając ustami w monologu niesłyszalnym z powodu zamkniętych okien. Nieco dalej pracownik parku zamiatał alejkę prowadzącą do olbrzymiej, nakrytej kopułą wieży ciśnień.

Życie codzienne miasta. Zwykli ludzie ze zwykłymi zmartwieniami. Żaden z nich nie miał na co dzień do czynienia ze śmiercią.

Kolejne doniesienie dotyczyło Londynu, którym wstrząsnęły samobójcze ataki bombowe. Druga seria ataków nie powiodła się, głównie z powodu wadliwych zapalników. Fabel próbował się pocieszyć, że Hamburg jest daleki od takich problemów. Że to inny kraj. Fala terroryzmu, która przetoczyła się przez Niemcy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, przeszła już do historii, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy runął mur berliński. Ale było takie powiedzenie dotyczące Hamburga: „Kiedy w Londynie pada deszcz, w Hamburgu otwierają parasole”. Fabel, jako pół-Brytyjczyk, bardzo je lubił, bo utwierdzało jego przynależność do tego miejsca, ale dzisiaj nie brzmiało ono wesoło. Dzisiaj nigdzie nie było bezpiecznie.

Nawet w Hamburgu terroryzm i jego konsekwencje podstępnie zakradały się do codziennego życia ludzi. Po potwornościach jedenastego września zmieniła się nawet droga Fabla z jego mieszkania w dzielnicy Poseldorf do centrum

miasta. Konsulat amerykański znajdował się na brzegu rzeki Alster; po atakach nadbrzeżna arteria została zamknięta i Fabel musiał teraz jeździć do pracy inną trasą.

Zmieniły się światła i kierowca stojący za Fablem głośnym trąbieniem wyrwał go z zamyślenia. Fabel ruszył w stronę komendy.

Kolejna wiadomość w radiu, jak na ironię, dotyczyła protestów przeciwko zamknięciu konsulatu brytyjskiego w Hamburgu. Najbardziej anglofilskie miasto Niemiec było zaskoczone taką decyzją. Hamburg zawsze szczylił się największą, po Nowym Jorku, liczbą konsulatów. Ale wojna z terroryzmem zmieniła sposób kontaktowania się poszczególnych państw. Fabel zatrzymał samochód na strzeżonym parkingu przed komendą. Niepewność przyszłości sprawiła, że jego kiepski nastrój po urlopie jeszcze się pogorszył.

Budynek komendy głównej policji w Hamburgu miał niecałe pięć lat i wciąż sprawiał wrażenie nowego, niczym dopiero co uszyty płaszcz dopasowany do sylwetki właściciela. Projekt architektoniczny zakładał stworzenie budynku w kształcie Polizei Stern, policyjnej gwiazdy, gdzie pięciopiętrowy gmach komendy rozchodził się na wszystkie strony świata z centralnego punktu, jakim było okrągłe, pozbawione dachu atrium.

Wydział zabójstw mieścił się na trzecim piętrze. Kiedy Fabel wysiadł z windy, powitał go ostrzyżony na jeża mężczyzna w średnim wieku o budowie solidnego pniaka. Pod pachą trzymał jakąś teczkę, a w wolnej ręce kawę. Na widok Fabla jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– Cześć, szefie, jak tam urlop?

– Za krótki – odparł Fabel, ściskając dłoń nadkomisarza Wernera Meyera. Werner pracował z Fablem dłużej i bliżej niż ktokolwiek inny w wydziale zabójstw. Jego budząca postrach sylwetka stała w zupełnej sprzeczności z podejściem do policyjnej pracy. Werner był w obsesyjny sposób metodyczny

w zbieraniu dowodów. Fakt, że nie pomijał żadnych szczegółów, pozwolił rozwiązać niejedną trudną sprawę. Poza tym był bliskim przyjacielem Fabla.

– Powinieneś być wziąć jeszcze jeden dzień – powiedział Werner. – Przeciągnąłbyś urlop do kolejnego weekendu.

Fabel wzruszył ramionami.

– Zostało mi tylko kilka dni do wykorzystania, a chcę spędzić jeszcze jakiś wydłużony weekend na Sylcie. Pojadę tam w urodziny brata. – Obaj mężczyźni ruszyli zaokrąglonym korytarzem, który otaczał atrium. – Ostatnio był względny spokój. Trochę mnie to niepokoi. Czuję, że czeka nas jakaś poważna sprawa. Działo się coś?

– Nic, czym musielibyśmy cię niepokoić – odparł Werner. – Maria zamknęła sprawę Olgi X, w St Pauli była awantura zakończona morderstwem, a poza tym nic specjalnego. Zwołałem zebranie, wszystkiego się dowiesz.

Zespół zebrał się w głównej sali konferencyjnej wydziału zabójstw tuż przed południem. Do Fabla i Wenera dołączyła nadkomisarz Maria Klee – wysoka, elegancka kobieta po trzydziestce. Nie wyglądała na oficera policji. Miała starannie przycięte blond włosy, a gustowny szary żakiet i spódnica nadawały jej wygląd prawnika z jakiejś wielkiej korporacji. Razem z Wernerem tworzyła drugą linię zarządzania, podległą Fablowi. Ponad półtora roku temu, po akcji, w której zginął jeden z członków zespołu, a ona została ranna, zaczęła się kolegować z Wernerem.

Kiedy Fabel wszedł do sali konferencyjnej, przy stole już siedziało dwoje młodszych oficerów. Komisarz Anna Wolff i Henk Hermann byli protegowanymi Fabla. Każde z nich miało inny styl pracy i inne zalety. Sposób zarządzania Fabla zakładał wykorzystywanie przeciwieństw – tam gdzie inni widzieli groźbę konfliktów, on dostrzegał okazję do uzupełniania się. Anna i Henk wciąż szukali tej równowagi – podczas tamtej akcji zginął poprzedni partner Anny Paul Lindermann. Zginął, ratując jej życie.

Anna Wolff jeszcze mniej przypominała policjantkę niż Maria Klee, ale w zupełnie przeciwny sposób. Nie wyglądała na swoje

dwadzieścia osiem lat, zwykle nosiła dżinsy i za dużą skórzaną kurtkę. Miała ładną twarz, krótko obcięte, nastroszone czarne włosy, duże czarne oczy i pełne wargi zwykle pomalowane wściekle czerwoną szminką. Łatwiej było sobie wyobrazić Annę pracującą w salonie fryzjerskim niż jako detektywa z wydziału zabójstw. Ale Anna Wolff była twarda. Pochodziła z rodziny, która cudem ocalała z Holocaustu, i przed powrotem do ojczystego Hamburga służyła w armii izraelskiej. Prawdę mówiąc, Anna była chyba najtwardszym członkiem zespołu Fabela – inteligentna, niezwykle stanowcza, a przy tym impulsywna.

Henk Hermann stanowił całkowite przeciwieństwo Anny. Wysoki, tyczkowaty, z bladą cerą i wiecznie poważną miną. Jeszcze bardziej niż Anna w niczym nie przypominał oficera policji. To samo można było powiedzieć o Paulu Lindermannie. Fabel zdawał sobie sprawę, że fizyczne podobieństwo Henka i jego zabitego poprzednika nie pozwalało całemu zespołowi zapomnieć o Paulu.

Fabel spojrzał na zgromadzonych przy stole ludzi. Za każdym razem zaskakiwało go, jak bardzo różnili się członkowie jego zespołu. W niczym nie przypominali jednej rodziny.

Werner zapoznał Fabela ze wszystkimi bieżącymi sprawami. Kiedy był na urlopie, zdarzyło się tylko jedno zabójstwo – bijatyka pijanych ludzi w sobotni wieczór pod jednym z nocnych klubów w St Pauli zakończyła się wykrwawieniem na śmierć dwudziestojednolatka. Werner oddał głos Annie Wolff i Henkowi Hermannowi, którzy zdali szczegółową relację z dotychczasowych postępów w śledztwie. Ten rodzaj zabójstwa stanowił dziewięćdziesiąt procent przypadków, jakimi zajmował się ich wydział. Przejmująco prostych – chwila bezsensownej wściekłości, zwykle wzmocnionej alkoholem, wystarczała, by jedna osoba straciła życie, a druga je sobie zrujnowała.

– Mamy coś jeszcze na tapecie? – zapytał Fabel.

– Domykamy sprawę Olgi X – rzuciła Maria znad notatek. Jeśli chodzi o Olgę X, to nie dość, że nie miała nazwiska, to i prawdziwość jej imienia pozostawała wątpliwa, ale zespół czuł

się w obowiązku nadać jej jakąś tożsamość. Nikt nie wiedział, skąd przyjechała, wiadomo było tylko, że gdzieś z Europy Wschodniej. Zarabiała na życie jako prostytutka i została pobita, a następnie uduszona przez klienta – grubego, łysiejącego trzydziestodwuletniego agenta ubezpieczeniowego z Heimfeld Thomasa Wiesehana, który miał żonę, troje dzieci i żadnej przeszłości kryminalnej.

Patomorfolog, doktor Möller, oszacował wiek Olgi na osiemnaście-dwadzieścia lat.

Fabel wyglądał na zaskoczonego.

– Przecież Werner mówił mi, że sprawa Olgi X jest już dawno zamknięta. Mamy przyznanie się do winy i niepodważalne dowody. O jakim domyślanym mówisz?

– Nie miałam na myśli samego morderstwa. Chodzi o to, że moim zdaniem ma to związek z handlem żywym towarem. Biednym dzieciakom z Rosji czy Bóg wie skąd obiecuje się porządną pracę na Zachodzie, a potem zmusza się je do prostytucji. Olga najpierw padła ofiarą handlarza żywym towarem, a dopiero potem mordercy. Wiesehan zabił ją, zgoda... ale w jego łapy pchnął ją szef jakiegoś gangu.

Fabel uważnie przyjrzał się Marii. Odpowiedziała szczerym, choć nieodgadnionym spojrzeniem swoich niebieskoszarych oczu. To nie było podobne do Marii, żeby tak mocno angażowała się w sprawę. Co innego Anna czy sam Fabel. Ale nie Maria. Ona swoją skuteczność w pracy zawdzięczała zimnemu, profesjonalnemu i bezstronnemu podejściu.

– Rozumiem, co czujesz. – Fabel westchnął. – Naprawdę rozumiem. Ale to nie nasze zmartwienie. Mieliśmy do rozwiązania zagadkę morderstwa i rozwiązaliśmy ją. Nie twierdzę, że masz na to zupełnie machnąć ręką; po prostu przekaz LKA6 to, co masz. – Fabel miał na myśli nowo utworzony, zatrudniający dziewięćdziesięciu oficerów policji, szósty oddział Krajowej Policji Śledczej, zajmującej się przestępczością zorganizowaną.

Maria wzruszyła ramionami. Trudno było cokolwiek wyczytać z jej niebieskoszarych oczu.

– Okej, szefie.

– Coś jeszcze? – zapytał Fabel.

Nim ktokolwiek miał szansę odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Werner podniósł słuchawkę i pomrukując potwierdzająco, zapisał coś w notesie.

– Jak na zawołanie – odezwał się, odkładając słuchawkę. – Na stanowisku archeologicznym niedaleko Speicherstadt odkryto ciało.

– Stare?

– Właśnie próbują to ustalić. Ekipa Holgera Braunera jest już w drodze. – Werner miał na myśli szefa ekipy kryminalistycznej. – Komu mam to przydzielić, szefie?

– Daj to mnie – powiedział Fabel. – Wy macie dość roboty z tym zabójstwem pod nocnym klubem. – Wziął do ręki notatnik i zapisał szczegóły dotyczące odkrycia. Następnie wstał i zdjął z oparcia krzesła marynarkę. – A ja się chętnie przewietrzę.

Południe, dzielnica Schanzenviertel, Hamburg

Kristina zdawała sobie sprawę, że znów przyszło jej się zmierzyć z Chaosem. Żyła w nim przez całe lata, aż kiedyś zaprowadził ją na próg szaleństwa i wtedy wyгнаła go ze swojego życia, choć było to przeżycie wyjątkowo traumatyczne i bolesne.

Teraz Chaos na nowo szalał wokół niej. Jakieś odległe tamy zostały przerwane i fala zamieszania cicho podpłynęła, by rzucić się na nią wściekle w chwili, gdy otwierała drzwi mieszkania Hausera. Wiedziała, że czeka ją najtrudniejsza w życiu bitwa, że musi na nowo pokonać Chaos.

Był już środek dnia. Cały ranek zajmowała się łazienką. Glazura na ścianach znów lśniła zimnym blaskiem, terakota błyszczała. Hauser leżał teraz w wannie. Kristina walczyła z Chaosem, stosując Metodę. Nie pozwoliła się zaślepić przerażeniu i opracowała strategię doprowadzenia łazienki do porządku.

Zaczęła od przeniesienia Hausera do wanny, tak żeby

nieporządek ograniczyć do jednego miejsca. Kiedy walczyła z jego ciałem, odsłonięta, zimna i oślizgła od krwi i resztek tkanki, czaszka dotknęła jej policzka. Kristina rzuciła się do muszli klozetowej, zwymiotowała, przez chwilę dochodziła do siebie, a następnie wróciła do swojego zadania. Rozebrała nieboszczyka i wrzuciła nasiąknięte krwią ubranie do plastikowego worka na śmieci. Później skierowała w dół słuchawkę prysznicową i zmyła ręką krew z jego ciała. Na głowę nałożyła mu drugi worek i mocno go zakleiła wokół ramion znalezioną w jednej z szuflad taśmą. Potem zdjęła zasłonę prysznicową i owinięła nią ciało Hausera, uszczelniając zaimprovizowany pakunek taśmą.

Musiała jeszcze raz zmierzyć się z ciężarem jego martwego ciała. Wytaszczyła je z wanny, położyła na czystej podłodze i zajęła się dezynfekcją wanny. Herr Hauser zawsze nalegał, żeby używała środków nieszkodliwych dla środowiska – octu do czyszczenia toalety i tym podobnych. Czyniło to pracę Kristiny dużo cięższą, ale nie przejmowała się tym. Uwielbiała szorować, czyścić i polerować. Tyle że tym razem było za dużo roboty. Wyczyściła wannę, toaletę i umywalkę wybielaczem; takim samym wybielaczem potraktowała płytki na ścianach i podłodze. Na koniec spryskała wszystkie powierzchnie płynem antybakteryjnym w spreju.

Gotowe. Nie pokonała Chaosu. Dobrze o tym wiedziała. Udało jej się jedynie odeprzeć jego atak. Była tu cały ranek, a to oznaczało, że zawiodła innych klientów, których miała zaplanowanych na piątek. Nie byłoby to tak tragiczne, gdyby się po prostu spóźniła, ale ona w ogóle do nich nie poszła. A to wywoła efekt domina – dziś, jutro i przez cały tydzień. Opinia osoby punktualnej i solidnej, na jaką pracowała przez cztery lata, w ciągu czterech godzin runęła niczym domek z kart. Wkrótce po tym, jak minęła pora, kiedy miała zjawić się u kolejnego klienta, zaczął dzwonić jej telefon komórkowy. Wyłączyła go, żeby skupić się na bieżącym zadaniu.

Kristina oceniła wzrokiem łazienkę. Udało się przynajmniej przywrócić porządek. Z wyjątkiem owiniętego w poliuretan Hausera, który leżał na podłodze przy wannie, łazienka wyglą-

dała czyściej i bardziej lśniaco niż kiedykolwiek wcześniej.

Oparła się o ścianę, ze ścierką w dłoni w gumowej rękawicy, i pozwoliła sobie na lekki uśmiech satysfakcji. W tej chwili zdała sobie sprawę, że za jej plecami, w drzwiach łazienki ktoś stoi. Obróciła się gwałtownie i oboje podskoczyli. Wysoki, szczupły, ciemnowłosy młody mężczyzna o delikatnych rysach i zdumionym spojrzeniu wielkich oczu patrzył na Kristinę, a potem zauważył owiniętą w zasłonkę mumię koło wanny. Zbladł, wydał z siebie przejmujący dźwięk, obrócił się na pięcie i zaczął biec korytarzem w stronę drzwi wyjściowych.

Kristina przez chwilę obojętnie wpatrywała się w puste już miejsce w progu, a następnie odwróciła wzrok.

Zapomniała doczyścić jeden kąpielni.

Południe, dzielnica HafenCity, obszar Speicherstadt, Hamburg

Dla Fabla to był najbardziej charakterystyczny krajobraz Hamburga.

Jechał ulicą Mattenwiete w stronę Łaby, a kiedy minął most Holzbrücke, otworzył się przed nim widok na misternie zdobione szczyty i wieżyczki magazynów przy Speicherstadt.

Speicherstadt oznacza „miasto magazynów”. I tym właśnie był ten obszar, składający się z całych rzędów bogato zdobionych, wysokich budynków magazynowych z czerwonej cegły, przedzielonych brukowanymi ulicami i kanałami. Te piękne dziewiętnastowieczne budynki były niczym płuca, które tchnęły życie w hamburski handel.

Dla Fabla architektura Speicherstadt była esencją jego miasta. Architektura zdobna i pewna siebie, a przy tym praktyczna i powściągliwa. W taki właśnie sposób najbogatsze niemieckie miasto i jego mieszkańcy okazywali swoje bogactwo i sukces – w sposób jasny i godny. Speicherstadt był także symbolem hamburskiej niezależności i specjalnego statusu miasta-kraju związkowego. Niezależności, która w różnych okresach historii bywała mocno niepewna. Na moście

Brooksbrücke stały na straży pomniki Hammonii i Europy, uosobienie dwóch bóstw – Hamburga i Europy.

Do niedawna Speicherstadt było największym na świecie obszarem celnym, ogrodzonym i strzeżonym przez posterunki celne na każdym wjeździe. Fabel minął stojący po prawej stronie dawny posterunek, w którym mieściła się obecnie kawiarnia. Naprzeciwko, po drugiej stronie brukowanej Kehrwieder Brook, stał pierwszy z magazynów Speicherstadt, który również znalazł nowe przeznaczenie. Wiła się przed nim długa kolejka turystów pragnąca podziwiać „Lochy Hamburga”. Ten pomysł, podobnie jak wiele innych, przywędrował tu z Wielkiej Brytanii. Fabel nie potrafił zrozumieć ludzkiej potrzeby bycia straszonym, doświadczania namiastki przerażenia. Może dlatego, że sam miał dosyć straszliwej rzeczywistości.

Skręcił w lewo, w Kehrwieder Brook, mijając Kibbelsteg, która przecinała Speicherstadt na pół. Po obu stronach ulicy wznosiły się wysokie ceglane magazyny z lśniącymi patyną w południowym słońcu dachami. Tu w dalszym ciągu prowadzony był wszelkiego rodzaju handel. Na zwieszonych z dachów budynków stelażach wisiały sterty orientalnych dywanów, a kiedy minął Kaffeerosterei, ciepłe powietrze wypełniło się charakterystycznym dla Speicherstadt zapachem palonych ziaren kawy.

Jechał dalej i w końcu dziewiętnastowieczną zabudowę zastąpiła ta najnowsza, z dwudziestego pierwszego wieku. Nad jego głową poruszał się las dźwigów. Był w HafenCity, największym niemieckim placu budowy.

Hamburg zawsze był miastem oportunistów – handlarzy i przedsiębiorców. Niezależny charakter miasta opierał się na zdolności spoglądania poza własny horyzont i łączności z szerokim światem. W średniowieczu hamburscy politycy zawsze byli kupcami. I zawsze przedkładali handel nad politykę. Od tamtej pory nic się nie zmieniło.

HafenCity było wielkim współczesnym projektem, tak jak niegdyś wielkim projektem był Speicherstadt. Odważną wizją. Budowa miała potrwać dwadzieścia lat. Na tyłach statecznych,

zbudowanych z czerwonej cegły magazynów Speicherstadt wyrastały, jedna po drugiej, pełne młodzieńczej energii, nowe świątynie handlu, całe ze stali i szkła. To były dwie wielkie wizje, które zrodziły się w różnych stuleciach, choć pod wpływem tej samej ambicji – uczynienia z Hamburga najważniejszego portu handlowego Europy. Hafencity budowano etapami. Za jednym razem powstawał cały rząd budynków – na przemian luksusowych apartamentowców i lśniących biurów ery elektroniki. Gdy cały szereg już stał, zabierano się do wznoszenia kolejnego. Ale choć w każdym z tych nowych, lśniących gmachów był zainstalowany szerokopasmowy internet, docierał tu także zapach palonej kawy, przypominając współczesnemu światu, że stary Speicherstadt wciąż jest żywą częścią miasta.

Hamburg lubił się chwalić swoją wizją przyszłości i dlatego na brzegu Łaby wznosiła się ku niebu dwustumetrowej wysokości platforma widokowa w kształcie kapitańskiego mostka, z napisem po angielsku: „Hafencity VIEWPOINT”. Z jej szczytu goście mogli podziwiać panoramę przyszłości. Patrząc w jednym kierunku, widzieli stare nabrzeże Kaispeicher A, gdzie miała powstać nowa opera z dachem przypominającym morskie bałwany. W innym kierunku ich wzrok przykuwał luksusowy terminal dla statków położony w miejscu, gdzie Łaba zakreślała i gdzie Hamburg z Harburgiem spinały liczne łukowe mosty. Wokół wieży widokowej teren był oczyszczony, zrównany i czekał na swoje nowe szaty.

Fabel zostawił samochód na zaimprovizowanym, wyboistym parkingu znajdującym się dwieście metrów od platformy widokowej. Na miejscu było już dwóch umundurowanych funkcjonariuszy hamburskiej policji, którzy odgradzali teren. W tym wypadku były to działania raczej zbędne; archeologia stosuje te same metody co kryminalistyka, teren więc już wcześniej ogrodzono i podzielono na kwadranty. Zbliżając się do wyznaczonego miejsca, Fabel zobaczył szefa ekipy kryminalistycznej Holgera Braunera, który miał na sobie biały kombinezon, a na butach niebieskie ochraniacze. Rozmawiał

z jakimś młodszym i wyższym od siebie mężczyzną z długimi ciemnymi włosami związanymi z tyłu w kucyk. Jego spłówały zielony T-shirt i nieco ciemniejsze spodnie luźno zwisały na kościstej sylwetce. Kiedy Fabel zbliżył się do nich, obaj obrócili w jego kierunku głowy.

– Janie... – Holger Brauner uśmiechnął się do Fabla. – To jest doktor Severts z wydziału archeologii Uniwersytetu Hamburskiego. Kieruje tutaj wykopaliskami. Doktorze Severts, to nadkomisarz Fabel z wydziału zabójstw.

Fabel uściśnął dłoń Severtsa. Sprawiała wrażenie sękatą i szorstką, jakby piasek, w którym grzebał Severts, wgrzył się w skórę. Pasowała kolorem do jego ubrania. Cała postać archeologa sprawiała wrażenie ziemistej.

– Właśnie rozmawialiśmy z doktorem o tym, jak podobne są nasze zajęcia. Powiedziałem, że w tym wypadku bardziej przydałby się mój zastępca Frank Grüber. Zajmował się archeologią, zanim przeszedł do laboratorium kryminalistycznego.

– Grüber? – zdziwił się Fabel. – Nie wiedziałem, że był archeologiem. – Frank Grüber był w zespole Braunera dopiero od nieco ponad roku, ale dało się już zauważyć, dlaczego Brauner uczynił go swoim zastępcą – on, podobnie jak jego szef, potrafił na miejscu przestępstwa dostrzec nie tylko szczegóły, ale także kontekst. Nic dziwnego, skoro był wcześniej archeologiem – badanie historii konkretnego obszaru i miejsca zbrodni wymagało takiego samego rodzaju intelektu. Fabel przypomniał sobie, jak kiedyś zapytał Grübera, dlaczego został kryminalistyką. „Jesteśmy zmarłym winni prawdę” – tak brzmiała jego odpowiedź, która zrobiła na Fablu wrażenie, odpowiedź godna archeologa.

– To strata dla archeologii, a zysk dla kryminalistyki – powiedział Brauner. – Mam szczęście, że trafił do naszego zespołu. Frank ma jeszcze jedno ciekawe hobby. Rekonstruuje twarze na podstawie szkieletów. Uniwersytety z całego kraju przesyłają mu czaszki do rekonstrukcji. Zawsze uważałem, że taka umiejętność bardzo by się przydała w identyfikacji nieznanymi szczątków... kto wie, może dzisiaj nadszedł czas, by

spróbować tej metody...

– Obawiam się, że nie – odparł Severts. – Ta ofiara ma twarz... Tędy, panie nadkomisarzu. – Archeolog zaczął, aż Fabel włoży niebieski kombinezon wręczony mu przez Braunera, a następnie zaprowadził go na stanowisko archeologiczne. W jednym kącie ziemia była wykopana głębiej, tarasowo. – Dzięki porządkowaniu tych terenów mamy okazję poszukać pozostałości wczesnośredniowiecznej osady. W większej części były tu moczary, gdzieniegdzie zupełnie zalane przez wodę, ale jednocześnie utworzyła się tu naturalna przystań i miejsce, gdzie krzyżowały się...

– Nadkomisarz Fabel studiował historię średniowiecza – przerwał mu Brauner.

Myśl, że policjant z wydziału zabójstw mógł mieć wykształcenie akademickie, najwyraźniej speszyła Severtsa, ponieważ zatrzymał się i otaksował Fabla wzrokiem. Po krótkiej chwili jego pociągła twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– Naprawdę? Super. – Ruszył na nowo, prowadząc Fabla i Braunera do rogu stanowiska. Musieli zejść dwa stopnie w dół i zatrzymali się na dnie wykopu o powierzchni pięciu metrów kwadratowych. Ujrzał gładką i równą powierzchnię oraz wykop na tyle płytki, że widać było powierzchnię gruntu wokół niego. Fabel nie wyobrażał sobie, ile cierpliwości musiała kosztować taka praca, a potem roześmiał się cicho, kiedy pomyślał o Wernerze jako archeologu.

Wykop był ogrodzony; wybrane warstwy ziemi – mieszanina piasku, suchej czarnej ziemi i jakiegoś połyskliwego, szorstkiego minerału – leżały po bokach. Powierzchnia dna wykopu była naszpikowana fragmentami czegoś, co przypominało gruby jutowy worek. W jednym z narożników widoczna była górna część męskiego ciała. Ciało leżało na boku, odwrócone do nich plecami, od pasa w dół zakopane w ziemi. Wyglądało, jakby leżało w łóżku.

– Znaleźliśmy go dziś wcześniej rano – wyjaśnił Severts. – Nasza ekipa zaczyna pracę, przed godzinami szczytu.

– Kto go znalazł? – zapytał Fabel.

– Franz Brandt. Mój magistrant. Odsłoniliśmy ciało na tyle,

by się przekonać, że nie leży tu od wieków, i skontaktowaliśmy się z policją. Mamy sfotografowaną i udokumentowaną każdą fazę odsłaniania.

Fabel i Brauner zbliżyli się do ciała. Na pewno nie leżało tu od wieków. Mężczyzna miał na sobie marynarkę z szorstkiej niebieskiej serży. Obrócili ciało, żeby zobaczyć twarz – wąską, bladą i ściągniętą, z kosmykami blond włosów. Pod zamkniętymi powiekami oczy zapadły się w głąb czaszki, a szyja wydawał się zbyt cienka i mizerna w porównaniu z wciąż białym kołnierzykiem koszuli. Skóra nieboszczyka wyglądała jak stary pożółkły papier, a szeroką, kanciastą brodę pokrywał dwu-, trzydniowy zarost. Wyniszczenie nie pozwalało określić wieku ciała, ale coś w twarzy i nieregularnym zarostie wskazywało, że była to osoba młoda. Wargi się lekko rozchyłały, jakby zmarły chciał coś powiedzieć, a jedna ręka zdawała się ścisnąć coś w powietrzu. Coś niewidocznego dla żywych.

– Nie leży tu długo – stwierdził Fabel, kucając. – Z tego, co widzę, rozkład jest ograniczony. Ale to najdziwniejszy trup, z jakim miałem do czynienia od długiego czasu. Wygląda, jakby umarł z głodu. – Wstał i rozejrzał się wokół z niepewną miną. – Ktoś musiał się porządnie napracować, żeby go tak głęboko zakopać. To wymagało dużo wysiłku i dużo czasu. Trudno sobie wyobrazić, jak można to zrobić niezauważenie, nawet w nocy.

– Nikt się nie natrudził – zauważył Severts. – Nie ma śladów wskazujących na to, żeby ziemia wokół ciała była naruszona.

Teraz nad ciałem pochylił się Brauner. Dotknął palcami w lateksowych rękawiczkach twarzy nieboszczyka, westchnął z rozczarowaniem, zdjął rękawiczkę i ponownie dotknął papierowej skóry gołą ręką. Uśmiechnął się ponuro i spojrzał na Severtsa, który ze zrozumieniem pokiwał głową.

– On nie umarł z głodu, Janie – odezwał się Brauner. – Śmierć spowodował brak płynów i powietrza. Jest kompletnie zasuszony. To mumia.

– Co takiego? – Fabel ponownie przykucnął. – Wygląda na normalnego nieboszczyka. Myślałem, że zmumifikowane ciała są brązowe i łykowane.

– Tylko te znajdujące w bagnach. – Dołączył do nich wysoki i szczupły młody mężczyzna z rudymi włosami związanymi w kucyk.

– To jest Franz Brandt – wyjaśnił Severts. – Jak już mówiłem, to on znalazł ciało.

Fabel podniósł się i uściśnął dłoń rudzielca.

– Kiedy go po raz pierwszy zobaczyłem, od razu podejrzewałem, że jest zmumifikowany – tłumaczył dalej Brandt. – Doktor Severts to prawdziwy ekspert w tej dziedzinie, ale ja również interesuję się mumiami. W ciałach wydobytych z mokradeł zachodzi zupełnie inny proces; kwasy i tanina w torfowiskach zabarwiają skórę, która zamienia się dosłownie w skórzaną torbę. Czasem pozostaje tylko skóra, podczas gdy narządy wewnętrzne, a nawet kości ulegają rozpuszczeniu. – Wskazał ruchem głowy ciało. – Ten facet ma wygląd mumii pustynnej. Jest wychudzony i ma skórę jak pergamin... zasuszył się bardzo szybko w środowisku pozbawionym dostępu tlenu.

– I mimo takiego wyglądu nie umarł niedawno. Z drugiej strony, sądząc po ubraniu, nie jest reliktem średniowiecza. – Severts wskazał otoczenie nieboszczyka. – Ślady wokół ciała podsuwają mi myśl, jak to się stało. Badania geofizyczne i dokumenty mówią, że w miejscu, w którym stoimy, w czasie drugiej wojny światowej było nabrzeże załadunkowe.

Brauner podszedł do paska połyskującej ziemi. Wziął małą bryłkę w palce i rozgniół ją.

– Szkło?

Severts kiwnął głową.

– To był piasek. Wszystko tu to w zasadzie taki sam jasny piasek. Ale pod wpływem wysokiej temperatury zamienił się w kryształki szklawa.

Fabel ponuro pokiwał głową.

– Brytyjskie bombardowanie w czterdziestym trzecim?

– Tak przypuszczam – odparł Severts. – To by pasowało do wszystkiego, co wiemy o tym miejscu. A ta forma mumifikacji jest typowa dla oddziaływania wysokiej temperatury towarzyszącej pożarowi. Moim zdaniem ten człowiek szukał

schronienia w jakimś schronie z piasku usypanym na nabrzeżu. Gdzieś bardzo blisko musiała nastąpić eksplozja bomby zapalającej, która go zwyczajnie upiekła.

Fabel nie mógł oderwać oczu od z mumifikowanego ciała. Operacja Gomora. Brytyjczycy nocą, a Amerykanie w dzień zrzucili łącznie na Hamburg osiem tysięcy trzysta czterdzieści cztery tony bomb zapalających i materiałów wybuchowych. W niektórych częściach miasta temperatura powietrza osiągała tysiąc stopni Celsjusza. W płomieniach upiekło się około czterdziestu pięciu tysięcy mieszkańców miasta. Przyglądał się rysom twarzy wygładzonym przez ubytek wody z organizmu. Mylił się. Oczywiście, że widział wcześniej takie ciała – na starych, czarno-białych fotografiach z Hamburga i Drezna. Wiele ciał zamieniło się w mumie, wysuszyło w jednej krótkiej chwili, kiedy na ulicach powietrze pozbawione tlenu osiągnęło temperaturę jak w piecu, a schrony zamieniły się w piekarniki.

– Trudno uwierzyć, że ten człowiek nie żyje od ponad sześćdziesięciu lat – powiedział w końcu.

Brauner uśmiechnął się szeroko i poklepał Fabla dłonią po ramieniu.

– To czysta biologia, Janie. Aby doszło do rozkładu, potrzebne są bakterie, a bakterie potrzebują tlenu. Nie ma tlenu, nie ma bakterii, nie ma rozkładu. Kiedy go odkopimy, w klatce piersiowej znajdziemy pewnie ślady procesów gnilnych. W naszych wnętrznościach są bakterie i to one pierwsze zaczynają nas pożerać, kiedy umrzemy. Tak czy inaczej, przeprowadzę badania, a potem prześlę ciało do Instytutu Medycyny Sądowej w Eppendorfie, gdzie zrobią pełną sekcję zwłok. Może nawet uda się ustalić przyczynę zgonu, choć już teraz stawiam swoją roczną pensję, że było to uduszenie. Ustalimy też w przybliżeniu wiek biologiczny ofiary.

– Okej – zgodził się Fabel. Obrócił się w stronę Severtsa i jego studenta Brandta. – Nie widzę powodu, by hamować pracę na wykopaliskach. Ale jeżeli znajdziecie panowie coś, co ma lub może mieć związek z tym ciałem, proszę dać mi znać. – Wręczył Severtsovi swoją służbową wizytówkę.

– Na pewno – odparł Severts, wskazując ciało. – Chociaż on

nie wygląda na ofiarę morderstwa.

Fabel wzruszył ramionami.

– Wszystko zależy od punktu widzenia.

13.50, dzielnica Schanzenviertel, Hamburg

Telefon zadzwonił, kiedy Fabel wracał do komendy głównej. Werner zameldował, że razem z Marią są w Schanzenviertel. Zabójca został ujęty, niemal na gorącym uczynku, bo uprzątał miejsce zbrodni i przygotowywał się do usunięcia ciała.

Było oczywiste, że Werner ma wszystko pod kontrolą, ale Fabel czuł potrzebę uczestniczenia w „prawdziwym” śledztwie po poranku poświęconym sprawie sprzed blisko sześćdziesięciu lat, która na dodatek nie okazała się morderstwem. Odpowiedział Wernerowi, że jedzie prosto pod adres, który tamten mu podał.

– Tak przy okazji, Janie – powiedział Werner – chyba powinieneś wiedzieć, że mamy do czynienia z czymś w rodzaju rytualnej ofiary... To Hans-Joachim Hauser.

Fabel natychmiast rozpoznał to nazwisko. Hauser był w latach siedemdziesiątych dość znaczącym działaczem radykalnej lewicy, a obecnie niestroniącym od mediów i głośno wyrażającym swoje opinie obrońcą środowiska naturalnego.

– Boże, to jakieś szaleństwo... – powiedział Fabel bardziej do siebie niż do Wenera.

– To znaczy?

– Chodzi o synchronizację w czasie. No, wiesz, kiedy coś, czego się nie spodziewasz, zdarza się kilka razy z rzędu w krótkim okresie. Jadąc dziś rano do komendy, słyszałem w radiu Bertholda Müllera-Voigta. Tego senatora od środowiska. Ostro się przejechał po swoim szefie Schreiberze. A dwa czy trzy dni temu widziałem go w restauracji mojego brata. Jeśli dobrze pamiętam, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych Müller-Voigt i Hauser tworzyli zgrany duet.

– Fabel urwał i dodał ponuro: – Tylko tego nam było trzeba. Morderstwa osoby publicznej. Prasa jeszcze się nie zleciała?

– Nie – odparł Werner. – Pamiętaj, że mimo usilnych starań Hauser to, w przeciwieństwie do swojego kumpla Müllera-Voigta, raczej przebrzmiała pieśń.

– Już nawet nią nie jest... – Fabel westchnął.

Dzielnica Schanzviertel słynęła z nieuporządkowania i żywiowości. Ale i tu, podobnie jak w wielu innych częściach miasta, zachodziły wielkie zmiany. Leżała na północ od St Pauli i w przeszłości nie zawsze cieszyła się dobrą opinią. Do tej pory zdarzały się tu specyficzne problemy.

Było to idealne miejsce do zamieszkania dla kogoś takiego jak lewicowy działacz ekologiczny. Schanzenviertel było chyba najbardziej wielokulturową dzielnicą Hamburga; w licznych restauracjach podawano potrawy chyba wszystkich kuchni świata. Do odwiedzin zachęcały kina, teatr w Sternschanzen Park i kafejki z ogródkami letnimi. Nie brakowało tu jednak problemów społecznych, mających związek przede wszystkim z narkotykami. Było to miejsce, gdzie jedni nosili ciuchy z second-handu, a inni popijali w kafejce mokkę, stukając w klawiaturę ultranowoczesnych, ultracienkich tytanowych laptopów.

Mieszkanie Hansa-Joachima Hausera mieściło się na parterze solidnej kamienicy z lat dwudziestych, w samym centrum dzielnicy, niedaleko miejsca, gdzie Stresemannstrasse krzyżowała się z Schanzenstrasse. Przed domem stała gromadka policyjnych samochodów w nowych, srebrno-niebieskich barwach, a chodnik został odgradzony czerwono-białą policyjną taśmą. Fabel zatrzymał swoje bmw za jednym z radiowozów. Zza taśmy podszedł do niego zdecydowanym krokiem mundurowy. Fabel wysiadł z wozu, pokazał swoją owalną odznakę policji kryminalnej i ruszył w stronę kamienicy. Policjant się wycofał.

Werner Meyer czekał w prugu mieszkania Hausera.

– Nie możemy na razie wejść – powiedział, wskazując na korytarz i Marię rozmawiającą z młodym mężczyzną o chłopięcym wyglądzie, ubranym w biały kombinezon

technika kryminalistycznego. Nad jego bladą twarzą przesłoniętą szklami okularów kłębiła się gęsta czupryna ciemnych włosów. Fabel rozpoznał w nim Franka Grübera, zastępcę Holgera Braunera, archeologa, o którym wcześniej rozmawiali z Severtsem. Grüber i Maria mówili zapewne o miejscu zbrodni, choć Grüber wydawał się zupełnie rozluźniony. Tymczasem Maria stała oparta plecami o ścianę z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Harry Potter i Królowa Śniegu... – rzucił szyderczo Werner.
– To prawda, że coś ich łączy?

– Nie mam pojęcia – skłamał Fabel. Maria w pracy nigdy nie dzieliła się informacjami o swoim życiu osobistym, w tym także o uczuciach. Ale Fabel był wtedy – jako jedyny – przy niej, kiedy leżała bliska śmierci po ciosie nożem zadany przez jednego z najgroźniejszych zabójców, jakich kiedykolwiek przyszło im ścigać. Przeżywał razem z nią przerażające, długie minuty oczekiwania na śmigłowiec sanitarny. Ten wspólnie przeżywany strach sprawił, że wytworzyła się między nimi niewypowiedziana słowami intymna więź. W ciągu dwóch lat, które minęły od tamtego zdarzenia, Maria zwierzała mu się czasem, ale tylko w sprawach, które mogły mieć wpływ na jej pracę. Jedno z takich zwierzeń dotyczyło jej związku z Frankiem Grüberem.

Grüber właśnie kończył naradę z Marią. Dotknął jej łokcia w geście pożegnania i wrócił do przedpokoju mieszkania. Coś w tym geście zaniepokoiło Fabla. Nie jego bezpośredniość, raczej prawie niezauważalne napięcie w postawie Marii, które mu towarzyszyło. Jakby nagle poraził ją lekko prąd.

Maria zbliżyła się do drzwi mieszkania.

– Nadal nie możemy tam wejść – wyjaśniła. – Grüber ma tam masę roboty. Zabójczyni została przyłapana na sprzątanii miejsca zbrodni. Najwyraźniej dobrze się przyłożyła do pracy, bo technicy mają problem ze znalezieniem czegoś wartościowego. – Wzruszyła ramionami. – Ale tylko teoretycznie. Czy może być lepszy dowód niż złapanie mordercy na gorącym uczynku?

– Podejrzana została przyłapana na uprzątanii miejsca

zbrodni... przez kogo? – Fabel zwrócił się do Marii.

– Przez przyjaciela Hausera... – odparła Maria. – Bardzo młodego i śliczniutkiego przyjaciela, Sebastiana Langa. Zauważył, że drzwi nie są zamknięte... chociaż zapewne miał swój klucz.

Fabel pokiwał głową. Hans-Joachim Hauser nigdy nie czynił tajemnicy ze swojego homoseksualizmu.

– Lang wrócił, żeby coś zabrać z mieszkania przed pójściem na lunch – ciągnęła Maria. – Usłyszał dobiegające z łazienki hałasy i przypuszczając, że to Hauser, wszedł i zastał zabójczynię sprzątającą miejsce zbrodni.

– Gdzie jest podejrzana? – zapytał Fabel.

– Mundurowi zawieźli ją do komendy – wtrącił się Werner. – Sprawia wrażenie niezrównoważonej... zdołała jedynie wykrztusić, że nie skończyła sprzątać.

– Okej. Skoro nie możemy obejrzeć miejsca zbrodni, wrócimy do wydziału zabójstw i przesłuchamy podejrzaną. Ale chciałbym, żeby najpierw doktor Eckhardt oceniła jej poczytalność. – Fabel otworzył klapkę telefonu komórkowego i wybrał wpisany na listę kontaktów numer.

– Instytut Medycyny Sądowej... doktor Eckhardt przy telefonie... – usłyszał kobiecy głos, niski, ciepły i z lekkim bawarskim akcentem.

– Cześć, Susanne... to ja. Co słyhać?

– Chciałabym być teraz na Sylcie... – Westchnęła. – O co chodzi?

Fabel wyjaśnił, że aresztowali w Schanzenviertel kobietę i chcieliby, żeby ją przebadala przed przesłuchaniem.

– Do późnego popołudnia jestem zajęta. Może być szesnasta?

Fabel zerknął na zegarek. Była trzynasta trzydzieści. Jeśli mieli czekać na wyniki badania, to przesłuchanie rozpocznie się najwcześniej wieczorem.

– Okej. Ale chyba dokonamy wstępnego przesłuchania przed badaniem.

– Świetnie. Widzimy się o szesnastej w komendzie. Jak się nazywa podejrzana?

– Chwileczkę... – Fabel odwrócił się w stronę Marii. – Jak się

nazywa ta kobieta w areszcie?

Maria otworzyła notes i chwilę szukała w nim informacji.

– Dreyer... – powiedziała w końcu.

– Kristina Dreyer?

Maria spojrzała zaskoczona na Fabla.

– Tak. Znasz ją?

Fabel nie odpowiedział.

– Oddzwonię później – powiedział do Susanne i rozłączył się.

Następnie zwrócił się do Marii: – Zawołaj Grübera. Powiedz mu, że nie obchodzi mnie, na jakim etapie są jego badania. Chcę natychmiast obejrzeć miejsce zbrodni i ofiarę.

14.10, dzielnicza Schanzenviertel, Hamburg

Grüber błyskawicznie zrozumiał, że próby powstrzymania ekipy z wydziału zabójstw przed oględzinami miejsca zbrodni są daremne. Mimo to ze stanowczością niepasującą do jego młodzieńczego wyglądu wymusił na gościach włożenie pełnego kombinezonu i masek na twarz prócz zwyczajowych ochraniaczy na buty i lateksowych rękawiczek.

– Praktycznie niczego nam nie zostawiła – wyjaśnił Grüber. – To najstaranniej posprzątane miejsce zbrodni, z jakim kiedykolwiek się zetknąłem. Wszystkie powierzchnie zdążyła przemyć wybielaczem albo jego roztworem. Ślady kryminalistyczne zostały zatarte, a to, co pozostało z DNA, też na wiele się nie zda.

Kiedy się przebrali, Grüber poprowadził Fabla, Wenera i Marię w głąb mieszkania. Fabel zaglądał do mijanych pokoi. W każdym z nich pracował przynajmniej jeden technik kryminalistyczny. Fabel zwrócił uwagę, jak czyste było całe mieszkanie. Było przestronne, duże, a mimo to wydawało się ciasne z powodu wszechobecnych półek z książkami, które zajmowały wszystkie ściany. Na jednym z regałów piętrzyły się starannie ułożone czasopisma, a półki w przedpokoju uginały się pod ciężarem książek, płyt winylowych i CD. Fabel przystanął i przyjrzał się okładkom. Były tu albumy Reinharda

Meya, znacznie starsze od wydań na płytach kompaktowych. Ale Hauser najwyraźniej czuł potrzebę słuchania protest songów wcześniejszego pokolenia w technologii odpowiedniej dla następnego. Fabel roześmiał się w duchu na widok płyty CD z *Ewigkeit* Corneliusa Tamma. Tamm okrzyknął się niemieckim Bobem Dylanem i osiągał w latach sześćdziesiątych sukcesy, tyle że potem popadł w zapomnienie. Fabel zdjął z półki wielki album z błyszczącą obwolutą; to była kolekcja fotografii Dona McCullina wykonanych w Wietnamie. Obok, na półce, stał przewodnik po angielsku i kilka tytułów dotyczących ekologii. Wszystko było tak bardzo przewidywalne. W miejscach, gdzie brakowało książek, znajdowały się oprawione w ramki plakaty. Fabel zatrzymał się dłużej przed jednym z nich – była to czarno-biała fotografia młodego wąsatego mężczyzny z powiewającymi na wietrze, długimi do ramion włosami. Był rozebrany do pasa i siedział na prostej ławie z jabłkiem w dłoni.

– Kim jest ten hipis? – Werner spoglądał Fabelowi przez ramię.

– Spójrz na datę zrobienia tego zdjęcia. Tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty dziewięć. Ten facet był hipisem siedemdziesiąt lat przedtem, nim komukolwiek przyszedł do głowy taki pomysł. To jest – postukał palcem w lateksowej rękawiczce – Gustav Nagel, patron wszystkich niemieckich ekologów. Sto lat temu próbował przekonać Niemców do porzucenia industrializacji i militarizmu, pokochania pacyfizmu, przejścia na wegetarianizm i powrotu do natury. Nie zapominajmy, że chciał, żebyśmy przestali pisać rzeczowniki dużą literą. Nie wiem, co to ma wspólnego z ruchem zielonych. Może zużywalibyśmy mniej atramentu.

Fabel przez chwilę odwzajemniał wyzywające, trzeźwe spojrzenie Nagla, a następnie ruszył za Grüberem.

Ekipa techników kryminalistycznych koncentrowała swoją uwagę na końcu korytarza i samej łazience.

– Znaleźliśmy tu kilka plastikowych toreb – tłumaczył Grüber, kiedy dotarli do progu łazienki. – Wyjęliśmy ich zawartość, ale same torby trafiły na Butenfeld. – Grüber użył

powszechnie używanego skrótu oznaczającego Instytut Medycyny Sądowej, ten sam, w którym Susanne pracowała w charakterze psychologa. Instytut był częścią kliniki uniwersyteckiej, która mieściła się w północnej części miasta, przy ulicy Butenfeld. – Udało nam się między innymi znaleźć... – Grüber przywołał jednego z techników, który wręczył mu duży, kwadratowy i przezroczysty plastikowy woreczek. Plastik był gruby i dość sztywny. W środku znajdował się krążek skóry z włosami. Ludzki skalp. W rogach woreczka zebrały się kleiste plamy krwi.

Fabel przyjrzał się zawartości, nie wyjmując Grüberowi woreczka z rąk. Zlekceważył własny odruch wymiotny i pełne obrzydzenia pomrukiwania Wenera za swoimi plecami. Włosy na skąlpie były rude. Zbyt rude. Grüber czytał w myślach Fabela.

– Te włosy zostały ufarbowane. Znaleźliśmy świeże ślady farby na skórze. Nie potrafię na razie stwierdzić, czy zabójca użył farby do włosów, czy innego rodzaju pigmentu. Cokolwiek to było, musiało zostać użyte tuż przed zdjęciem nieboszczykowi skalpu.

– A skoro mowa o nieboszczyku... gdzie on jest? – Fabel zmusił się do odwrócenia wzroku od magnetyzującego widoku skalpu. Mimo tylu lat przepracowanych w wydziale zabójstw wciąż szokowało go okrucieństwo, z jakim jeden człowiek potrafił traktować drugiego.

Grüber wskazał gestem głowy.

– Tędy. Domyślasz się chyba, że to nie jest zbyt przyjemny widok...

Kiedy tylko weszli do łazienki, Fabel zrozumiał, że Grüber nie przesadzał, mówiąc o kłopotach ekipy kryminalistycznej. Prócz leżącego obok wanny pakunku przypominającego kształtem ludzkie ciało nie było tu niczego, co świadczyłoby o tym, że jest to miejsce zbrodni. Nawet powietrze było przesiąknięte zapachem wybielacza i cytrynowego odświeżacza powietrza. Wszystko wokół lśniło czystością.

– Może i Kristina Dreyer jest podejrzana o morderstwo –

stwierdził ponuro Werner – ale zaraz się dowiem, ile bierze za godzinę... popracujemy nad nią jeszcze raz.

– Zabawne, że ty to mówisz – odezwała się Maria, najwyraźniej nie dzieląc dobrego humoru Wenera. – Ona jest faktycznie zawodową sprzątaczką. Ma swoją firmę i samochód pełen środków czystości, który stoi przed domem. Z drugiej strony... w sprzątaniu tego mieszkania przeszła samą siebie.

– Już dobrze – próbował załagodzić Fabel. – Spójrzmy, co tu mamy.

Wyglądało to tak, jakby ekipa kryminalistyczna nałożyła na mumię dodatkową warstwę bandażu. Dreyer owinęła wcześniej ciało zasłoną prysznicową i obwiązała taśmą. Teraz technicy dodali swoje ponumerowane paski taśmy, pokrywające całą zasłonę. Ciało sfotografowano ze wszystkich stron i miało zostać za chwilę zabrane do laboratorium kryminalistycznego w Butenfeld. Tam ponumerowane paski zostaną jeden po drugim zerwane i przeniesione na czystą płytę z pleksiglasu, a wszelkie dowody zabezpieczone do badań. Jeśli okaże się, że ciało pod zasłoną jest ubrane, proces ten zostanie powtórzony w celu zebrania włókien.

Fabel przyjrzał się pakunkowi o kształcie człowieka.

– Odsłoń twarz. Chcę się upewnić, że to Hauser.

Grüber odchylił lekko zasłonę. Pod nią znajdowała się głowa i ramiona owinięte w czarną plastikową torbę. Fabel niecierpliwie kiwnął głową i Grüber delikatnie naciął worek, odsłaniając twarz i głowę. Spoglądał na nich zamglonym martwym spojrzeniem spod zmarszczonych brwi Hans-Joachim Hauser. Fabel spodziewał się kolejnego skurczu żołądka, tymczasem nic nie poczuł, patrząc na to coś na podłodze. Bo takie sprawiała ta twarz wrażenie – czegoś, a nie kogoś. Kukły. Główną przyczyną była pewnie deformacja głowy, odsłonięte kości czaszki, woskowość skóry na twarzy.

Fabel spodziewał się też, że rozpozna ciało; w końcu Hans-Joachim Hauser był bardzo silnie zaangażowany w radykalne ruchy lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Często fotografował się z prawdziwymi luminarzami radykalnej lewicy

– Danielem Cohnem-Benditem, Petrą Kelly, Joschką Fischerem czy Bertholdem Müllerem-Voigtem – choć mimo usilnych starań zawsze pozostawał na uboczu wielkiej polityki. Jak łatwo ludzie wpadają w pułapkę czasu i nie umieją się z niej wyrwać, pomyślał Fabel. W jego pamięci Hauser pozostał szczupłym, niemal dziewczęcym młodzieńcem o długich, gęstych włosach, gromiącym poczynania hamburskiego senatu w latach osiemdziesiątych. Szara, woskowa i lekko napuchnięta twarz nieboszczyka nic a nic nie przypominała oblicza tamtego Hansa-Joachima Hausera. Fabel próbował sobie nawet wyobrazić ofiarę z włosami, ale i to nie pomagało.

– Pięknie – odezwał się Werner z miną, jakby wziął do ust coś wyjątkowo niesmacznego. – Bardzo pięknie. Sprzątaczką, która zdejmuje skalpy. Czy ona nie jest przypadkiem czerwonoskóra?

– Skalpowanie to stara europejska tradycja – zauważył Fabel. – Robiliśmy to tysiące lat wcześniej niż Indianie. Oni się tego nauczyli od przybyszów z Europy.

Grüber odciągnął większy fragment zasłony, odsłaniając szyję Hausera.

– Spójrzcie na to...

W poprzek szyi bieгло szerokie i głębokie cięcie. Brzegi były czyste i nieposzarpane, jakby wykonane skalpelem. Spod skóry wystawały warstwy przerośniętej tłuszczem tkanki. Cięcie było też pozbawione śladów krwi; Kristina Dreyer umyła ciało i to, co Fabel teraz widział, przypominało ciała leżące w kostnicy.

Fabel odwrócił się w kierunku Marii i Wenera. Zamierzał coś powiedzieć, ale zauważył, że Maria wpatruje się uporczywie w okaleczoną głowę i szyję Hausera. Nie było w tym spojrzeniu przerażenia ani typowej dla niej zimnej oceny sytuacji. To było spojrzenie puste, pozbawione emocji, jakby ją szczątki Hansa-Joachima Hausera zahipnotyzowały.

– Mario? – Fabel pytająco zmarszczył brwi. Wydawało się, że Maria wraca z dalekiej podróży.

– Musiało być bardzo ostre... – odezwała się głucho. – Mam na myśli ostrze. Takie cięcie można zrobić chyba tylko brzytwą.

– Tak, to była brzytwa – odpowiedział Grüber, wciąż klęcząc

nad ciałem. Fabel zwrócił uwagę, że Grüber, choć udzielił profesjonalnej odpowiedzi, to z troską patrzył na Marię. – Lub chirurgiczny skalpel.

Fabel się wyprostował. Pomyślał o kobiecie, która trafiła do aresztu. I o twarzy, którą ledwie pamiętał sprzed ponad dziesięciu lat.

– Bardzo metodyczna robota – odezwał się w końcu i zwrócił do Wenera: – Jesteś pewny, że ta podejrzana, Kristina Dreyer, została złapana na sprzątanu miejsca zbrodni? To znaczy, czy jesteście pewni, że to ona zrobiła?

– Nie ma żadnych wątpliwości – odparł Wener. – Mundurowi musieli ją nawet powstrzymać. Nie przestała sprzątać, kiedy pojawili się na miejscu.

Fabel ponownie przyjrzał się łazience. Błyszczała czystością jak sala operacyjna.

– To nie ma sensu – mruknął.

– Co? – zapytała Maria.

– Po co te wszystkie okaleczenia? Zdjęcie skalpu, podejrzenie gardła? To wszystko chyba ma jakieś znaczenie... to jakby rodzaj wiadomości.

– Zwykle tak jest – odpowiedział Grüber, prostując się. Cała czwórka, zebrana w półokrąg, spojrziała w dół na kukłę, która kiedyś była człowiekiem. Zdawało się, że mówiąc, zwracają się do tego martwego ciała niczym milczącego moderatora, który lepiej zdoła przekazać pozostałym ich myśli. – Jeśli się kogoś skalpuje, to po to, żeby zabrać skalp ze sobą. Nie rozumiem, dlaczego zabójczyni oskalpowała ofiarę, a potem wrzuciła skalp do worka na śmieci, zamierzając go później wyrzucić.

– O to właśnie mi chodzi – powiedział Fabel. – To jakiś rodzaj przesłania. Jakiś chory symbolizm. Ale zwykle robi się to w taki sposób, żeby inni mogli o tym zaświadczać. Naprawdę rzadko okalecza się martwą już ofiarę dla samego okaleczenia.

Maria przytaknęła.

– Dlaczego w takim razie schrzaniła to wszystko? Po co tyle się natrudziła, a potem zabrała się do sprzątanu miejsca zbrodni i ukrycia ciała? A przede wszystkim dlaczego postanowiła wyrzucić do śmietnika swoje trofeum?

– Otóż to. Dlatego chcę, żebyśmy wrócili do komendy. Muszę porozmawiać z Kristiną Dreyer. To wszystko tutaj nie pasuje.

W tej samej chwili jeden z techników zawołał Grübera. Fabel, Maria i Werner stanęli za plecami Grübera, kiedy ten przykucnął, by sprawdzić ślad na fudze łączącej ceramiczną obudowę wanny z podłogą. Cokolwiek tam było, Fabel nie mógł tego dostrzec.

– Co tam mamy?

Technik uchwycił coś pęsetą i uniósł. Włos.

– Nie rozumiem... – powiedział technik. – Sprawdziałem wcześniej to miejsce i zupełnie przeoczyłem włos.

– Nie przejmuj się, nietrudno o takie przeoczenie – uspokoił go Grüber. – Sam też byłem tu wcześniej i nie zauważyłem. Najważniejsze, że w końcu go znalazłeś.

Fabel wyciągnął szyję, żeby dostrzec włos.

– Dziwię się, że w ogóle go znaleźliście.

Grüber wziął od technika pęsetę i podszedł z nią do światła. Wyjął z walizki szkło powiększające i zaczął przyglądać się włosowi tak, jak jubiler oceniający cenny brylant.

– Zabawne...

– Co takiego? – zapytał Fabel.

– Ten włos jest rudy. Naturalnie rudy, a nie ufarbowany jak skalp. Zresztą jest zbyt długi, by należał do ofiary. Czy podejrzana ma rude włosy?

– Nie – odpowiedział Fabel, a Maria i Werner wymienili spojrzenia. Kristina Dreyer została przecież zabrana do aresztu przed pojawieniem się Fabela.

15.15, komenda główna policji, dzielnica Alsterdorf, Hamburg

Kiedy Fabel wszedł do pokoju przesłuchań, na twarzy Kristiny Dreyer pojawił się wyraz ulgi. Siedziała, mała i żałosna, ubrana w zbyt duży kombinezon technika kryminalistycznego, który dostała, gdy zabierano jej ubranie do badań.

– Witaj, Kristino – powiedział Fabel i przysunął sobie krzesło do siedzącego Wenera i Marii. Jednocześnie wręczył Wenerowi teczkę.

– Witam, panie Fabel. – W kącikach bladoniebieskich oczu Kristiny pojawiły się łzy; jedna z nich spłynęła po szorstkiej skórze na kości policzkowej. W jej głosie wibrowało napięcie. – Miałam nadzieję, że to będzie pan. Znowu nabałagałam, Herr Fabel. Wszystko przepadło... to jakieś szaleństwo... znowu...

– Dlaczego to zrobiłaś, Kristino? – zapytał Fabel.

– Musiałam. Musiałam to posprzątać. Nie mogłam pozwolić, by to znowu zwyciężyło.

– Żeby co zwyciężyło? – zapytała Maria.

– Szaleństwo. Bałagan... ta krew.

Wener, który przeglądał teczkę, zamknął ją i odchylił się w krzesle z miną człowieka, który nagle wszystko zrozumiał.

– Przepraszam, Kristino – odezwał się Wener. – Nie skojarzyłem w pierwszej chwili twojego nazwiska. Spotkaliśmy się już tu kiedyś, prawda?

Kristina spojrzała na Fabla błagalnym wzrokiem. Zauważył, że w tej samej chwili zaczęła drżeć, a jej oddech stał się płytki i urywany. Nieraz widywał przestraszonych podejrzanych, ale nagle przerażenie tej kobiety było wyjątkowo przejmujące i uruchomiło w jego głowie dzwonek alarmowy.

– Dobrze się czujesz, Kristino? – zapytał. Pokiwała głową.

– To nie tak samo. To wcale nie jest tak samo... – odezwała się do Wenera. – Poprzednim razem... – Głos jej się załamał i Fabel zauważył, że drżenie zaczęło przeradzać się w spazmy.

– Na pewno dobrze się czujesz? – zapytał ponownie.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Fabel nie zdążył zareagować. Oddech Kristiny przeszedł nagle w ostry świst; twarz, do tej pory czerwona, nabiegła krwią, zbladła. Kobieta uniosła się na krzesło i chwyciła brzegi stołu z taką siłą, że zaczerwienione od detergentów knykcie zbieleły. Każdy wdech był długim spazmem wstrząsającym całym jej ciałem. Sprawiała wrażenie, jakby zamknięto ją w próżni – desperacko próbowała wciągnąć powietrze do obolałych płuc. Rzuciła się naprzód, złożyła wpół jak scyzoryk i uderzyła z całych sił głową

w stół. Następnie, jakby odwiedzona niewidzialną liną, przechyliła się na prawo. Fabel rzucił się, żeby ją złapać.

Maria poderwała się tak szybko, że Fabel nie zauważył, kiedy jej krzesło upadło na podłogę. Odepchnęła go ramieniem, złapała Kristinę za ramiona, położyła ją na podłodze i rozpięła zamek błyskawiczny kombinezonu pod szyją.

– Dajcie torbę... – warknęła Maria na Fabla i Wenera, którzy patrzyli na nią, nic nie rozumiejąc. – Dajcie jakąś torbę. Papierową, plastikową, wszystko jedno.

Werner wybiegł z pokoju. Fabel przyklęknął obok Marii, która trzymając w dłoniach głowę Kristiny, próbowała uchwycić jej spojrzenie.

– Posłuchaj mnie, Kristino, wszystko będzie dobrze. To tylko napad paniki. Staraj się zapanować nad oddechem. – Maria odwróciła się do Fabla. – Wpadła w skrajną panikę. Przetleniła układ krwionośny... Wezwij lekarza.

Werner wbiegł z powrotem do pokoju, ściskając w ręce brązową papierową torbę. Maria przycisnęła ją mocno do nosa i ust Kristiny. Każdy wdech samoistnie zgniatał papier. W końcu oddech Kristiny zaczął zyskiwać regularny rytm. Do pokoju weszło dwóch ratowników medycznych i Maria odsunęła się, pozwalając im zająć się leżącą kobietą.

– Nic jej nie będzie – powiedziała – ale chyba lepiej, żeby doktor Eckhardt przebadła ją, zanim ponownie zaczniemy przesłuchanie.

– To robiło wrażenie – zauważył Werner. – Skąd wiedziałaś, co robić?

Maria wzruszyła tylko ramionami.

– Zwyczajna pierwsza pomoc.

Ale po raz drugi tego dnia mowa ciała Marii sprawiła, że Fabel poczuł się zaniepokojony.

Fabel, Maria i Werner pili kawę w kantynie komendy przy stole znajdującym się obok dużego okna, przez które widać było parking i dalej baraki oddziału prewencji.

– Ty prowadziłeś tę sprawę? – zapytał Werner.

– Jako jedną z moich pierwszych w wydziale zabójstw – odparł Fabel. – Sprawę Ernsta Rauhego, seryjnego sadysty, gwałciciela i mordercy, który miał w latach osiemdziesiątych na sumieniu sześć ofiar. Został uznany za niepoczytalnego i umieszczony w dobrze strzeżonym skrzydle szpitala Ochsenzoll. Kiedy trafiłem do wydziału zabójstw, był tam przetrzymywany już od kilku lat.

– Uciekł? – zapytała Maria.

– Rzeczywiście... – odpowiedział za Fabela Werner. – Byłem wtedy w służbie mundurowej i brałem udział w pościgu... Przeszukiwaliśmy bagna. Ale on miał pomocnika.

– To była Kristina?

– Tak. – Fabel wpatrywał się w swoją kawę, mieszając jej powierzchnię łyżeczką, jakby mieszał we wspomnieniach zawartych w filiżance. – Była pielęgniarką w szpitalu. Ernst Rauhe nie był szczególnie inteligentny, ale doskonale manipulował ludźmi. A jak sami widzieliście, Kristina nie należy do zbyt odpornych osobowości. Rauhe wmówił jej, że jest miłością jego życia, jego zbawieniem. Zapanował nad nią w sposób absolutny. W końcu Kristina uwierzyła, że wszystkie oskarżenia wobec niego są bezpodstawne, ale ponieważ trafił do szpitala psychiatrycznego, nie mógł udowodnić swojej niewinności. – Fabel przerwał i upił łyk kawy. – Później okazało się, że Kristina zamierzała rozpętać kampanię na rzecz uwolnienia go. Rauhe przekonał ją jednak, że byłoby to daremne i raczej powinna ukrywać przed światem swoje wsparcie dla niego, póki nie będą gotowi.

– Do ucieczki... – wtrącił Werner. – Jeśli dobrze pamiętam, nie tylko pomogła mu w ucieczce, ale ukrywała go w swoim mieszkaniu.

– O Boże... – zawołała Maria. – Pamiętam!

Fabel pokiwał głową.

– Jak powiedział Werner, w poszukiwania byli zaangażowani prawie wszyscy policjanci w Hamburgu, Górnej Saksonii i Szlezwiku-Holsztynie. Nikt się nie spodziewał, że ktoś w szpitalu mógł mu pomagać i bezpiecznie go z niego wywieźć. Przez blisko dwa tygodnie przetrząsnęto wszystkie stodoły,

budynki gospodarcze i noclegownie. Minał ponad miesiąc i skontaktował się z policją szpital. Byli coraz bardziej zaniepokojeni stanem zdrowia jednej z pielęgniarek. Zaczęła tracić na wadze i przychodziła do pracy posiniaczona. Potem przestała w ogóle pokazywać się w pracy i urwał się z nią kontakt. Dopiero wtedy w szpitalu zorientowano się, że choć ograniczony, to miała ona kontakt z Rauhem. Prócz utraty wagi i siniaków koleżanki z pracy zauważyły, że kilka tygodni przed zniknięciem zaczęła się dziwnie zachowywać.

– A tą pielęgniarką była Kristina Dreyer – dokończyła myśl Maria.

Fabel pokiwał głową.

– W pierwszej chwili sądziliśmy, że Rauhe wybrał ją sobie za cel i zaczął ją prześladować po swojej ucieczce ze szpitala, a potem zamordował. I wtedy do sprawy włączył się wydział zabójstw. Pojechałem z ekipą do mieszkania Kristiny w Harburgu. Ze środka dochodziły jakieś głosy... jęki... więc wyważyliśmy drzwi. I tak jak się spodziewaliśmy, zastaliśmy tam miejsce zbrodni. Ale to nie Kristina została zamordowana. Ona stała naga na środku pokoju. Od stóp do głów była we krwi. Cały pokój był zachlapany krwią. W ręce trzymała siekiere, a na podłodze leżało to, co pozostało z Ernsta Rauhego.

– A teraz historia się powtarza? – zastanawiała się głośno Maria.

Fabel westchnął.

– Sam nie wiem. To nie pasuje. W trakcie śledztwa wyszło na jaw, że Ernst Rauhe w ostatnich chwilach swojej wolności regularnie gwałcił i torturował Kristinę. To była ładna, drobna dziewczyna, ale Rauhe zamienił jej twarz w miazgę. Choć być może tym, co skłoniło ją do morderstwa, były raczej męczarnie psychiczne. Kazał jej chodzić na czworakach nago, jak psu. Nie pozwalał jej się umyć. Wielokrotnie ją dusił, prawie na śmierć. Kristina zdała sobie sprawę, że kiedy się nią znudzi, na pewno ją zabije, tak jak zabijał wcześniej.

– Więc uprzedziła cios?

– Tak. Uderzyła go siekiere w tył głowy. Ale była zbyt niska

i zbyt słaba, żeby go zabić. Kiedy się na nią rzucił, zaczęła zadawać cios za ciosem. Ernst Rauhe w końcu wykrwawił się na śmierć, ale dowody wskazują na to, że Kristina zadawała ciosy siekierą długo po tym, kiedy już nie żył. W całym mieszkaniu było pełno krwi, tkanek, kości. Zmasakrowała jego twarz. Wtedy to było dla mnie najokropniejsze miejsce zbrodni, jakie przyszło mi oglądać.

Maria i Werner siedzieli przez chwilę w milczeniu, jakby przenieśli się do małego wynajmowanego mieszkania w Harburgu, gdzie młody Fabel z przerażeniem przyglądał się piekielnej scenie.

– Kristina nigdy nie została skazana za zamordowanie Rauhego – ciągnął Fabel. – Uznano, że była czasowo niepoczytalna, a poza tym miała uzasadnione powody, by obawiać się o swoje życie. Spędziła za to sześć lat w Fuhlsbittel za pomoc w ucieczce. Gdyby Rauhe zabił kogoś w czasie, który spędził na wolności, wątpię, żeby dostała mniej niż piętnaście lat.

– Masz rację – odezwała się Maria. – To nie ma sensu. Z tego, co wiemy, Kristiny nie łączyło z Hauserem nic prócz cotygodniowego sprzątanía. Widzieliśmy też, jak zmasakrowane zostało ciało. To wymagało czasu i starannego zaplanowania. Takie okaleczenie ciała powinno mieć również jakieś znaczenie. Kristina zabiła Rauhego w przypiływie desperacji spowodowanej utrzymującym się stanem zagrożenia. To było działanie pod wpływem chwili, tymczasem zabójstwo Hausera zostało starannie zaplanowane i dokonane z zimną krwią.

Fabel przytaknął ruchem głowy.

– Tak właśnie uważam. Zwróćcie uwagę na ten jej atak. Ona jest bardzo spięta. To zupełnie nie pasuje do tego, co zobaczyliśmy na miejscu zbrodni.

– Chwileczkę – zastopował ich Werner. – Nie zapominajmy, że została złapana, kiedy próbowała ukryć ślady swojego dzieła... Po co ktoś niewinny miałby zacierać ślady? Poza tym czy to nie dziwny zbieg okoliczności, że osoba złapana na miejscu zbrodni była już kiedyś oskarżana o morderstwo?

– Wiem – odrzekł Fabel. – Nie twierdzę, że to nie Kristina. Uważam tylko, że coś tu nie pasuje i musimy zachować trzeźwy osąd.

Werner wzruszył ramionami.

– Ty tu jesteś szefem...

17.30, komenda główna policji, dzielnica Alsterdorf, Hamburg

Kiedy Susanne dała wreszcie zgodę na ponowne przesłuchanie Kristiny Dreyer, Fabel czuł się już zmęczony pierwszym dniem pracy. Siedzieli z Susanne w jego gabinecie, sączyli kawę i rozmawiali o stanie umysłu Kristiny. W ciemnych oczach Susanne widać było rezygnację i zmęczenie, tak jak w oczach Fabla. Pierwszy dzień po urlopie zaczął się tak dobrze i nagle bardzo się skomplikował.

– Będziesz musiał się z nią bardzo łagodnie obchodzić – powiedziała Susanne. – Jest w kiepskim stanie. I naprawdę wolałabym być obecna przy przesłuchaniu.

– Okej... – Fabel potarł oczy, próbując usunąć z nich zmęczenie. – Jak ją oceniasz?

– Wydaje się oczywiście, że cierpi raczej na ciężką neurozę, a nie na jakikolwiek rodzaj psychozy. Muszę też powiedzieć, mimo obciążających ją dowodów, że jest bardzo mało prawdopodobną kandydatką na morderczynię. Uważam, że jest raczej ofiarą niż sprawczynią.

– No dobrze... – Fabel otworzył drzwi przed Susanne. – Chodźmy i przekonajmy się.

* * *

W białym kombinezonie, który wciąż miała na sobie, Kristina Dreyer sprawiała wrażenie drobnej i kruchej. Fabel usiadł pod ścianą, pozwalając Marii i Wernerowi prowadzić przesłuchanie. Susanne usiadła obok Kristiny, która zrezygnowała z prawa do adwokata.

– Masz siłę rozmawiać, Kristino? – zapytała Maria, choć w jej

głosie nie było słycać specjalnej troski, i nie czekając na odpowiedź, włączyła czarny magnetofon. Kristina skinęła głową.

– Chcę to wszystko wyjaśnić – powiedziała. – Nie zabiłam go. Nie zabiłam Herr Hausera. Prawie go nie widziałam.

– Ale zabiłaś już wcześniej – wtrącił się Werner. – A teraz zastaliśmy cię sprzątającą miejsce zbrodni. Skoro chcesz wszystko wyjaśnić, to może powiesz nam prawdę? Wiemy, że zabiłaś pana Hausera i próbowałaś to ukryć. Gdybyśmy ci nie przeszkodzili, po zbrodni nie byłoby śladu.

Kristina wpatrywała się w Wenera, ale nie odpowiedziała. Fablowi natomiast zdawało się, że widzi, jak zaczyna znowu drżeć.

– Proszę trochę łagodniej, panie nadkomisarzu – odezwała się Susanne do Wenera. I spokojniejszym tonem zwróciła się do Kristiny: – Kristino, pan Hauser został zamordowany. Fakt, że posprzątałaś miejsce zbrodni, utrudnia policji odkrycie, co naprawdę się zdarzyło. Im więcej czasu zajmie im dotarcie do prawdy, tym trudniej będzie złapać mordercę, jeśli to nie ty nim jesteś. Musisz opowiedzieć policjantom o wszystkim, co tam się wydarzyło.

Kristina Dreyer ponownie skinęła głową, a potem zerknęła na Fabla, jakby szukała wsparcia w oficerze, który ją dziesięć lat wcześniej aresztował.

– Pan wie, co się działo wcześniej, Herr Fabel. Pan wie, co mi zrobił Ernst Rauhe...

– Tak, wiem, Kristino. I chcę wiedzieć, co się wydarzyło tym razem. Czy Hauser coś ci zrobił?

– Nie. Boże, nie. Jak już mówiłam, rzadko widywałam pana Hausera. Zawsze był w pracy, kiedy sprzątałam jego mieszkanie. Pieniądze zostawiał w kopercie na stoliku. On mi niczego nie zrobił. Nigdy.

– Co się w takim razie stało? Skoro nie zabiłaś Hausera, to dlaczego sprzątałaś miejsce zbrodni?

– Tam było tyle krwi. Tyle krwi. Wszędzie. To mnie doprowadzało do szaleństwa. – Kristina urwała. Po chwili w jej głosie, wciąż drżącym, pojawiła się twardsza nuta. – Jak

zwykle, przyjechałam dziś rano, żeby posprzątać mieszkanie pana Hausera. Mam klucz, więc weszłam do środka. Już w progu wiedziałam, że coś jest nie tak. A potem znalazłam... znalazłam to...

– Skalp? – zapytał Fabel.

Kristina przytaknęła.

– Gdzie on był? – zapytała Maria.

– Przypięty do drzwi łazienki. Całe wieki zajęło mi sprzątanie.

– Chwileczkę – wtrącił się Werner. – O której przyjechałaś do domu Hausera?

– O ósmej pięćdziesiąt siedem. Dokładnie o ósmej pięćdziesiąt siedem. – Mówiąc to, Kristina starła opuszką palca jakąś kropkę z blatu stołu. – Nigdy, przenigdy się nie spóźniam. Możecie sprawdzić w moim zeszycie wizyt.

– Więc kiedy znalazłaś skalp, wrzuciłaś go do kosza i zaczęłaś myć drzwi? – zapytał Werner.

– Nie. Najpierw weszłam do łazienki i znalazłam pana Hausera.

– Gdzie on był?

– Między sedesem a wanną. Wpół siedział, jakby...

– I twierdzisz, że w tym momencie już nie żył? – zapytała Maria.

– Tak. – Oczy Kristiny zaszklily się od łez. – Siedział tam z odciętym czubkiem głowy... to było straszne.

– Okej – odezwała się Susanne. – Postaraj się uspokoić.

Kristina głośno pociągnęła nosem i kiwnęła głową. Bezwiednie oblizała językiem czubek palca i ponownie przetała ten sam punkt na blacie stołu, próbując usunąć jakąś plamę niewidoczną dla pozostałych osób obecnych w pokoju.

– To było straszne – odezwała się w końcu. – Straszne. Jak można zrobić coś takiego drugiemu człowiekowi? Herr Hauser wydawał się taki miły. Jak mówiłam, prawie zawsze był w pracy, kiedy przychodziłam sprzątać, ale gdy go widywałam, wydawał się uprzejmy i grzeczny. Nie wiem, dlaczego ktoś mógł mu coś takiego zrobić...

– A my nie wiemy i nie rozumiemy – powiedziała Maria – dlaczego ktoś, kto odkrył taką zbrodnię, postanowił nie

zawiadamiać policji, tylko wziął się do sprzątanania... przy okazji niszcząc ważne dowody. Kristino, jeśli jesteś niewinna, to dlaczego próbowałaś ukrywać ślady zbrodni?

Kristina dalej ścierała niewidoczną plamę na fornirowej powierzchni stołu. Wciąż odpowiadała, nie podnosząc głowy.

– Mówili, że byłam nie w pełni władz umysłowych, kiedy zabiłam Rauhego. Że miałam zaburzoną równowagę psychiczną. Nie wiem tego. Ale wiem, że w więzieniu byłam stuknięta. Prawie zupełnie oszalałam. To z powodu tego, co zrobił mi Rauhe. Z powodu tego, co ja jemu zrobiłam. – Podniosła głowę, miała zaciętą minę, a oczy zaczerwienione i mokre od łez. – Miewam ataki paniki. Naprawdę paskudne. Dużo silniejsze niż ten dzisiaj. Czuję wtedy, że się duszę, dławię wdychanym powietrzem. To tak jakby wszystko, czego się boję, wszystko, czego się kiedykolwiek w przeszłości bałam, całe to przerażenie, jakie wzbudzał we mnie Rauhe... w tym jednym momencie przychodziło do mnie. Za pierwszym razem myślałam, że to atak serca... i byłam zadowolona. Myślałam, że uwolnię się od tego piekła. W więzieniu trafiłam na obserwację jako potencjalna samobójczyni i wysłano mnie do więziennego psychiatry. Dowiedziałam się, że cierpię na wyjątkowo silny stres pourazowy i zaburzenia obsesyjno-kompulsywne.

– Jaką formę przyjmowały te zaburzenia? – zapytała Susanne.

– Rozwinęła się u mnie silna fobia przed zanieczyszczeniem... brudem, zarazkami. A zwłaszcza wszystkim, co dotyczy krwi. Fobia stała się tak silna, że przestałam miesiączkować. Większość czasu za kratami spędziłam w więziennym szpitalu. Wszystko mogło wywołać panikę. Ataki stawały się coraz silniejsze, aż wreszcie wyłądowałam w szpitalu na stałe.

– Czym cię leczono? – zapytała Susanne.

– Chlordiazepoksydem i amitryptyliną. Potem odstawili amitryptylinę, bo za bardzo mnie oszalała. Chodziłam też często na terapię i to mi bardzo pomagało. Jeśli przejrzelicie moją teczkę, to wiecie, że wypuszczono mnie przed terminem.

– Więc terapia poskutkowała? – zapytał Werner.

– I tak, i nie... Poczulałam się dużo lepiej i mogłam sobie jakoś

radzić w życiu. Ale dopiero po wyjściu z więzienia zaczęłam czuć się dużo lepiej. Zostałam skierowana do specjalistycznej kliniki w Hamburgu, jedynej, która zajmuje się fobiami, zaburzeniami lękowymi i nerwicami natręctw.

– Klinika Strachu kierowana przez doktora Minksa? – zapytała Maria.

– Tak... Ta sama. – Kristina sprawiała wrażenie zaskoczonej.

Nastąpiła chwila ciszy, kiedy wszyscy czekali, aż Maria zada pytanie. Ale nie zrobiła tego, wpatrywała się tylko uważnie w oczy Kristiny.

– Doktor Minks zdziałał cuda – ciągnęła Kristina. – Pomógł mi wrócić do życia. Pomógł mi się pozbierać.

– To musiało być skuteczne – Werner odchylił się na krześle z uśmiechem – skoro zostałam sprzątaczką. Bo czy nie oznacza to, że codziennie musisz zmierzyć się ze swoimi najgorszymi lękami?

– O to właśnie chodziło! – Kristina nagle stała się pobudzona.

– Doktor Minks zmusił mnie do konfrontacji z moimi demonami. Z moim strachem. Zaczęło się od małych kroczków. Coraz bardziej i bardziej mierzyłam się z rzeczami, które wywoływały u mnie napady paniki.

– Zanurzanie... – przytaknęła Susanne. – Obiekt wywołujący strach staje się obiektem swoim.

– Zgadza się, tak właśnie nazywał to doktor Minks. Mówił, że mogę nauczyć się kontrolować i kanalizować swoją fobię, a w końcu całkowicie ją pokonać. – Ze sposobu, w jaki Kristina wypowiadała te słowa, widać było, że używa obcego jej, tylko wyuczonego słownictwa. – Pokazał mi, że potrafię zapanować nad chaosem i wprowadzić do swojego życia porządek. Aż w końcu zostałam sprzątaczką. – Przerwała i z jej twarzy zniknął entuzjazm. – Kiedy weszłam do mieszkania pana Hausera... kiedy zobaczyłam pana Hausera i to, co mu zrobiono, pomyślałam, że cały mój świat legł w gruzach. Czulałam się, jakbym znów trafiła do swojego dawnego mieszkania, gdzie... – Urwała. – Ale doktor Minks nauczył mnie, że muszę się cały czas pilnować. Powiedział, że nie mogę pozwolić, żeby moja przeszłość czy mój strach mnie

definiowały, żeby określały, kim mogę się stać. Doktor Minks tłumaczył, że muszę powstrzymać to, czego się boję, a czyniąc tak, pohamuję sam strach. Naprawdę czułam, że jestem o krok od szaleństwa. Musiałam zapanować nad tym wszystkim. Musiałam zdławić strach, nim on zdoła zdławić mnie.

– I zaczęłaś sprzątać? To chcesz nam powiedzieć? – zapytał Werner.

– Tak. Najpierw krew. To trwało bardzo długo. Potem całą resztę. Nie pozwoliłam mu zwyciężyć. – Kristina ponownie wytarła niewidoczną plamę na stole. Po raz ostatni. Zdecydowanie. – Nie widzicie? Chaos nie zwyciężył. Panuje nad sobą.

19.10, komenda główna policji, dzielnica Alsterdorf, Hamburg

Po przesłuchaniu Kristiny Dreyer zespół spotkał się na krótkiej odprawie. Kristina nadal była główną podejrzaną i miała pozostać na noc w areszcie, ale było jasne, że nikt z obecnych nie jest przekonany o jej winie. Kiedy spotkanie się zakończyło, Fabel poprosił Marię, żeby została.

– Wszystko u ciebie w porządku, Mario? – zapytał, kiedy zostali sami. Mina Marii dobitnie wyrażała zniecierpliwienie i zakłopotanie. – Chodzi mi o to, że nie odzywałaś się zbyt często.

– Szczerze mówiąc, chyba niewiele było tam do powiedzenia, szefie. Myślę, że musimy poczekać, co badania kryminalistyczne i patomorfologiczne powiedzą nam o przebiegu wypadków. Chociaż Kristina Dreyer nie zostawiła nam zbyt wiele.

Fabel w zamyśleniu pokiwał głową, a następnie zapytał:

– Skąd znasz tę Klinikę Strachu, w której leczy się Kristina?

– Jej otwarciu towarzyszyło duże zainteresowanie. W „Abendblatt” ukazał się na ten temat artykuł. Ta klinika jest wyjątkowa, więc kiedy Kristina Dreyer wspomniała, że się leczyła w klinice, wiedziałam, o którą chodzi. – Jeśli nawet

Maria coś ukrywała, Fablowi nie udało się niczego z jej twarzy wyczytać. Nie po raz pierwszy poczuł się głęboko zirytowany nieprzeniknionością jej oblicza. Po tym, co razem przeszli, uważał, że zasługuje na odrobinę zaufania. Czuł potrzebę zmierzenia się z nią, zapytania wprost, jaki do cholery ma problem. Z drugiej strony Fabel zdawał sobie sprawę, że jest typowym przedstawicielem swojego wieku i wychowania – zwyczajowo unikał spontanicznego wyrażania uczuć. Oznaczało to, że podchodził do wszystkiego w sposób wyważony; oznaczało to także, że często dusił w sobie swoje prawdziwe odczucia. Porzucił ten temat. Nie wspomniał, że niepokoili go zachowanie Marii. Nie zapytał, czy to, co się jej przytrafiło, nie zniszczyło jej życia na zawsze. A przede wszystkim nie wymienił nazwiska potwora, którego widmo w takich chwilach jak ta stawało między nimi – Wasyla Witrenki.

Witrenko wkroczył w ich życie jako tajemniczy podejrzany o morderstwo i odcisnął namacalny ślad na każdym z członków zespołu. Ten Ukrainiec, były oficer specnazu, znał się na instrumentach do zadawania śmierci tak samo dobrze, jak chirurg zna się na instrumentach do ratowania życia. Wykorzystał Marię do opóźnienia pościgu za nim – pozostawiając ją bezdusznie na granicy życia i śmierci, zmusił Fabla do zajęcia się ranną.

– Co myślisz o tej Dreyer? – odezwał się w końcu. – Sądziysz, że to zrobiła?

– Niewykluczone, że dopuściła się tego w nagłym przypływie szaleństwa. Może nie pamięta momentu zabójstwa, a posprzątanie miejsca zbrodni wymazało też wspomnienia o morderstwie. A może mówi prawdę. – Maria przerwała. – Strach często sprawia, że każdy z nas zaczyna się dziwnie zachowywać.

20.00, dzielnica Marienthal, Hamburg

To było to, czemu doktor Günter Griebel poświęcił większą część swojego życia. Kiedy tylko zobaczył bladego, ciemno-

włosego młodego mężczyznę, poznał go. Instynktownie wiedział, że patrzy na znajomą twarz.

Ale Griebel nie znał tego młodego mężczyzny. Z rozmowy wynikało, że nigdy wcześniej się nie spotkali. Mimo to wrażenie pozostało, a wraz z nim niezachwiana, choć złudna pewność, że za chwilę sobie przypomni, skąd go zna. Gdyby tylko mógł umieścić tę twarz w odpowiednim kontekście, wszystko stałoby się jasne. Spojrzenie młodego mężczyzny było denerwujące – świdrował doktora wzrokiem.

Przeszli do gabinetu. Griebel zaproponował drinka, ale gość odmówił. Było coś dziwnego w sposobie, w jaki ten mężczyzna poruszał się po domu; każdy jego ruch wydawał się odmierzony, wykalkulowany. Po krótkiej chwili Griebel poprosił, żeby gość usiadł.

– Dziękuję, że pan się zgodził na spotkanie ze mną – rozpoczął młodszy mężczyzna. – Przepraszam za niekonwencjonalny sposób, w jaki się panu przedstawiłem. Nie miałem zamiaru przeszkadzać, kiedy żegnał pan zmarłą żonę, ale to czysty przypadek, że znaleźliśmy się w tym samym miejscu o tej samej porze, kiedy ja zbierałem się, żeby do pana zadzwonić i zaproponować spotkanie.

– Powiedział pan, że też jest naukowcem – odrzekł Griebel nie tyle z ciekawości, ile żeby zapobiec krępującej ciszy. – W jakiej dziedzinie?

– Powiązanej z pańską, doktorze Griebel. Jestem zafascynowany pańskimi badaniami, szczególnie nad tym, jak uraz przeżyty przez jedno pokolenie może odciskać piętno na następnym. Albo o gromadzeniu wspomnień przez kolejne pokolenia. – Wyprostował i położył ręce na skórzanych poręczach fotela. Przyglądał się swoim dłoniom, jakby je podziwiał. – Ja też na swój sposób poszukuję prawdy. Może ta prawda, której szukam, nie jest tak uniwersalna jak pańska, ale odpowiedź mieści się w tym samym obszarze. – Przeniósł swój świdrujący wzrok z powrotem na Griebla. – Ale nie spotkałem się z panem w sprawach zawodowych. To sprawa osobista.

– W jakim sensie osobista? – Griebel ponownie próbował przypomnieć sobie, gdzie się wcześniej widzieli albo kogo gość

mu przypominał.

– Jak już wspomniałem, kiedy się spotkaliśmy na cmentarzu, szukam rozwiązania pewnych tajemnic z mojego życia. Przez całe życie dręczą mnie wspomnienia, które nie należą do mnie... Dręczy mnie życie, które nie jest moje. I właśnie dlatego tak bardzo interesują mnie pańskie badania.

– Z całym szacunkiem. – W głosie Griebła zabrzmiała wyraźna irytacja. – Zdarzało mi się już słyszeć takie rzeczy wcześniej. Nie jestem filozofem. Nie jestem też psychologiem, a już na pewno nie jestem jakimś pseudoguru New Age. Jestem naukowcem badającym naukową rzeczywistość. Nie zgodziłem się na spotkanie z panem, żeby odkrywać zagadki pańskiej egzystencji. Spotkałem się z panem ze względu na to, co pan powiedział... o przeszłości... ze względu na nazwiska, o których pan wspomniał. Skąd pan je wziął? I skąd panu przyszło do głowy, że ludzie, o których pan wspomniał, mają coś wspólnego ze mną?

Młody mężczyzna uśmiechnął się. Szeroko, zimno, ponuro.

– To wydaje się tak odległe, prawda, Günter? Ty, ja i pozostali? Szedłeś do przodu... Zacząłeś wieść nowe życie. Skryłeś się w drobnomieszczactwie, które nazywałeś banałem. I cały czas próbowałeś udawać, że przeszłość nigdy nie istniała.

Griebel zmarszczył brwi. Skoncentrował się. Nawet głos wydawał się znajomy; brzmiały w nim tony, które gdzieś, kiedyś już słyszał.

– Kim jesteś? – zapytał w końcu. – I czego chcesz?

– To już tyle czasu, Günter. Wszyscy poczuliście się bezpieczni, prowadząc nowe życie, prawda? Wszyscy myśleliście, że zostawiliście przeszłość za sobą. I mnie też. Ale fundament waszego nowego życia była zdrada. – Mężczyzna lekceważącym machnięciem ręki wskazał gabinet, meble, książki. – Poświęciłeś tyle czasu, taki kawał swojego życia badaniom. Badaniom, które miały znaleźć odpowiedź na twoje pytania. Powiedziałeś, że jesteś naukowcem szukającym naukowych faktów. Ale ja cię znam, Günter. Rozpaczliwie szukasz tych samych prawd co ja. Chcesz zajrzeć w przeszłość, w to, co nas uczyniło tym, kim jesteśmy. Ale mimo tak żmudnej

pracy nie posunąłeś się naprzód. A ja tak, Günter. Ja znam odpowiedzi, których szukasz. Ja jestem tą odpowiedzią.

– Kim ty, do cholery, jesteś? – powtórzył pytanie Griebel.

– No, Günter... przecież już wiesz, kim jestem... – Na twarzy młodszego mężczyzny widniał przyklejony jasny, lodowaty uśmiech. – Nie mów, że nie rozumiesz. – Wstał i wyjął ze stojącej na podłodze obok jego nóg teczki duże sztruksowe zawiniątko.

20.50, dzielnica Poseldorf, Hamburg

Fabel czuł się wykończony. To, co miało być zwyczajnym, lekkim pierwszym dniem po urlopie, nieoczekiwanie zmieniło się w coś przytłaczającego, co stanęło mu na drodze i czego nie dało się ani usunąć, ani ominąć. Przebrnięcie przez pełen wydarzeń dzień wyssało z niego całą energię.

Susanne umówiła się na kolację z przyjaciółką i Fabel w ten pierwszy po powrocie z urlopu wieczór zupełnie nie wiedział, co ze sobą począć. Przed wyjściem z komendy zadzwonił do swojej córki Gabi, żeby zapytać, czy nie zechciałaby z nim czegoś zjeść, ale miała już inne plany. Wypytała go o urlop, porozmawiali jeszcze chwilę na różne tematy i w końcu umówili się na późniejszy termin. Rozmowa z córką zwykle poprawiała nastrój Fabla – Gabi cechowała jakaś beztroska serdeczność, w czym była podobna do jego brata Lexa – ale tego wieczoru jej odmowa tylko bardziej go przygnębiła.

Nie miał ochoty przyrządzać sobie samemu kolacji. Czuł potrzebę znalezienia się wśród ludzi, dlatego postanowił wrócić do swojego mieszkania, odświeżyć się i wyjść coś zjeść.

Fabel mieszkał w tym samym miejscu od siedmiu lat – o jedną przecznicę od Milchstrasse, w chyba najmodniejszej hamburskiej dzielnicy. Jego mieszkanie znajdowało się na zaadaptowanym poddaszu dużej kamienicy z przełomu wieków. Dawna wielka willa została ambitnie zmieniona w trzy oddzielne, eleganckie apartamenty. Niestety, ówczesny stan niemieckiej gospodarki nie szedł w parze z ambicją

deweloperów i ceny nieruchomości w Hamburgu gwałtownie spadły. Fabel dostrzegł okazję, by nie wynajmować, tylko stać się prawowitym właścicielem, i kupił mieszkanie na poddaszu. Często myślał o ironicznym wydzwisku tej sytuacji – wylądował w tym znakomicie położonym apartamencie jedynie dlatego, że jego małżeństwo i niemiecką gospodarkę diabli wzięli.

Nawet mimo spadku cen nieruchomości stać go było tylko na to poddasze w Poseldorfie. Było małe, ale uznał, że warto poświęcić przestrzeń na rzecz lokalizacji. W trakcie przebudowy deweloper zorientował się, jak piękny widok stamtąd się roztacza, i wstawił duże panoramiczne okna, sięgające niemal od podłogi po sufit. Widać przez nie było Magdalenen Strasse, pełen zieleni Alsterpark i jezioro Aussenalster. Fabel oglądał czerwono-białe promy na rzece Alster, a w pogodne dni okazałe białe wille i błyszczącą, turkusową kopułę irańskiego meczetu na drugim brzegu.

Dla niego było to miejsce idealne. Niedzielone z nikim. Ale teraz, kiedy jego związek z Susanne wydawał się trwały, wszystko się zmieniło. Zaczynał się nowy etap w jego życiu; może nawet zupełnie nowe życie. zaproponował Susanne, żeby zamieszkali razem, ale rzecz jasna jego mieszkanie w Poseldorfie byłoby dla nich dwojga zbyt ciasne. Mieszkanie Susanne było wystarczająco duże, ale nie stanowiło jej własności, a Fabel nie chciał zdawać się na wynajem. Koniec końców zdecydowali, że połączą siły i kupią razem jakieś mieszkanie. Kryzys na rynku się kończył i dotychczasowe mieszkanie Fabla było warte sporo więcej; mógł je też wynająć, a ich wspólne dochody wystarczyłyby na kupno czegoś w miarę przyzwoitego i niezbyt oddalonego od centrum.

Brzmiało to wszystko rozsądnie, zresztą to on zaproponował, żeby poszukali razem jakiegoś mieszkania, ale za każdym razem kiedy myślał o wyprowadzce z Poseldorfu i porzuceniu swojego małego azylu z pięknym widokiem z okien, żal ściszał mu serce. Początkowo Susanne była temu niechętna. Fabel wiedział, że jej poprzedni związek z dominującym partnerem był nieudany. W rezultacie zaczęła bardzo bronić swojej

niezależności. I wiedział tylko tyle. Susanne, zwykle otwarta i szczerą, była gotowa tylko tyle mu opowiedzieć. Ten epizod z jej życia pozostawał dla Fabla i wszystkich pozostałych osób tajemnicą. Mimo to stopniowo zaczęła się przekonywać do pomysłu wspólnej przeprowadzki do nowego mieszkania i w końcu to ona stała się motorem poszukiwań odpowiedniego miejsca.

Fabel zaparkował na swoim wyznaczonym miejscu przed domem i wszedł do mieszkania. Wziął szybki prysznic, przebrał się w czarną koszulę i spodnie oraz lekką angielską marynarkę, zbiegł na dół i ruszył w kierunku Milchstrasse.

Początki Poseldorfu to Armeleutegegend – dzielnica hamburskich biedaków. Do tej pory sprawia nieco dziwne wrażenie wsi znajdującej się w środku wielkiego miasta. Niemniej od lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku Poseldorf stał się miejscem bardzo modnym, a co za tym idzie, status finansowy jego mieszkańców zmienił się krańcowo. Wyobrażenie o dostatku i szykowności Poseldorfu podkreślił sukces takich osób jak Jill Sander, której imperium mody powstało ze skromnego butików prowadzonego właśnie tu. Milchstrasse znajdowała się w samym centrum Poseldorfu; była to wąska uliczka z mnóstwem barów, klubów jazzowych, butików i restauracji.

Droga z mieszkania do ulubionej kafejki zajęła Fablowi niecałe pięć minut. Kiedy tam dotarł, w lokalu panował już tłok i musiał przeciskać się przez ludzką ciżbę zgromadzoną przy barze. Dotarł do znajdujących się na podwyższeniu w końcu sali stolików i usiadł przy jednym z nich, w kącie, mając za plecami ścianę z cegieł. Nagle poczuł się zmęczony. I stary. Ten pierwszy dzień w pracy wyjątkowo dużo go kosztował; czuł, że coraz trudniej mu wracać do głównego nurtu wydarzeń.

Chcąc nabrać apetytu, starał się odsunąć od siebie widok oskalpowanej głowy Hansa-Joachima Hausera. Ale zamiast niego pojawiał się inny, równie dziwny – wykonana w kostnicy fotografia ładnej, młodej dziewczyny o słowiańskich rysach twarzy, której pozbawili nazwiska i godności handlarze żywym towarem, a życia jakiś gruby, łysiejący facet. Fabel zgadzał się

z Marią, choć nie powiedział tego głośno; byłby zachwycony, gdyby poprowadziła dalej sprawę Olgi X i rozbiła gang wciągający młode dziewczęta do prostytucji pod pozorem rozpoczęcia nowego życia. Tyle że to nie jej zadanie.

Z zamyślenia wyrwało Fabła pojawienie się kelnera. Niejeden raz podawał już Fablowi do stołu, więc wdał się z nim teraz w niespieszną pogawędkę przed przyjęciem zamówienia. To był taki drobny rytuał, który oznaczał, że Fabel jest tu stałym gościem. Ale dla Fabła było to także poczucie przynależności. Zdawał sobie sprawę, że ma swoje przyzwyczajenia; był człowiekiem przewidywalnym i lubił pewien rodzaj rutyny, która pozwalała mu zapanować nad otaczającym go światem. Kiedy siadał w lokalu, w którym zwykł jadać, zaczynał się złościć sam na siebie, na fakt, że gotów był podejmować ryzykowne przedsięwzięcia w pracy, a w życiu prywatnym nie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie przeprosić i nie wyjść; przejść kilka kroków ulicą i zjeść w innej restauracji. Ale oczywiście nie zrobił tego; zamówił piwo Jever i sałatkę śledziową. Jak zwykle.

Kelner właśnie przyniósł piwo, kiedy Fabel zauważył, że ktoś stoi obok niego. Uniósł głowę i zobaczył wysoką kobietę w wieku około dwudziestu pięciu lat, z długimi kasztanowymi włosami i ogromnymi orzechowymi oczami. Była ubrana w elegancką spódnicę i gustowny, gładki top, przy czym ten strój nie skrywał zabójczych krągłości jej ciała. Uśmiechała się, ukazując rząd błyszczących zębów.

– Witam, Herr Fabel... Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Fabel uniósł się na krześle. Wydawało mu się, że rozpoznaje twarz, ale nie potrafił jej przypisać tożsamości. Wreszcie sobie przypomniał.

– Sonja... Sonja Brun... Jak się miewasz? Proszę... – Wskazał krzesło naprzeciwko. – Proszę, usiądź.

– Nie, nie... dziękuję. – Wskazała dłonią grupkę kobiet siedzących przy sąsiednim stoliku, bliżej okna. – Jestem tu z koleżankami z pracy. Po prostu zobaczyłam pana i chciałam się przywitać.

– Proszę, przysiądź się na chwilę. Nie widziałem cię od ponad

roku. Co u ciebie słyhać? – powtórzył pytanie.

– U mnie wszystko w porządku. Nawet lepiej. Dobrze mi idzie w pracy. Dostałam awans. Ale to nieważne... – Sonja urwała. – Chciałabym panu jeszcze raz podziękować za wszystko, co pan dla mnie zrobił.

Fabel uśmiechnął się.

– Nie ma takiej potrzeby. Już podziękowałaś. Niejeden raz. Cieszę się, że dobrze ci się układa.

Rysy Sonji spowaźniały.

– To było dużo więcej niż pomoc, Herr Fabel. Teraz prowadzę zupełnie nowe życie. Dobre życie. Nikt nie wie o... mojej przeszłości. Zawdzięczam to panu.

– Nie, Sonju. Zawdzięczasz to sobie. Ciężko zapracowałaś na to, co teraz masz.

Po chwili niezręcznej ciszy zaczęli luźno i bez przekonania rozmawiać o obecnej pracy Sonji.

– Muszę wracać do koleżanek. Świętujemy urodziny Birgit. Miło było znów pana zobaczyć. – Sonja uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

– Cieszę się, że cię spotkałem, Sonju. I że dobrze ci się wszystko układa. – Uścisnęli sobie dłonie, ale Sonja się zawahała. Nadal się uśmiechała, ale widać było, że nie jest pewna, co zrobić. W końcu wyjęła z torebki mały notes, coś w nim zapisała, a potem wyrwała kartkę i wręczyła ją Fablowi.

– To mój numer. Gdyby był pan kiedyś w okolicy...

Fabel spojrział na skrawek papieru.

– Sonju, ja...

– W porządku... – Uśmiechnęła się. – Rozumiem. Ale proszę to zatrzymać. Na wszelki wypadek.

Pożegnali się w końcu i Fabel patrzył, jak wraca do koleżanek. Poruszała się na swoich długich nogach z taką samą elegancją, jaką zapamiętał. Usiadła przy stoliku, śmiała się i żartowała, ale na jeden krótki moment odwróciła głowę i uchwyciła jego spojrzenie.

Spojrzał jeszcze raz na kartkę wydartą z notesu i zapisany na niej numer telefonu.

Sonja Brun.

Fabel zetknął się z nią w trakcie śledztwa, kiedy to działający pod przykrywką policjant Hans Klugmann stracił życie. Częścią jego kamuflażu było zostanie chłopakiem Sonji Brun, pełnej życia młodej dziewczyny, która w jakiś sposób została wciągnięta w branżę filmów porno i dorabiała jako prostytutka. Klugmann najwyraźniej poczuł coś do Sonji i usiłował wyciągnąć ją z tego. Kiedy został zabity, Fabel złożył milczącą przysięgę, że pomoże Sonji wydostać się z hamburskiego świata występku i korupcji.

Wykorzystał swoje kontakty, by znaleźć Sonji niewielkie mieszkanie na drugim końcu miasta, a także pracę w sklepie odzieżowym. Szybko dowiedział się, jakie powinna przejść szkolenia i wkrótce Sonja podjęła pracę w firmie żeglugowej.

To było proste, ale zmieniło zupełnie jej życie akurat w chwili, gdy mogła pograżyć się w rozpacz po utracie ukochanego i w złości, gdyby odkryła, że ją okłamywał. Fabel ucieszył się, widząc, że się ustabilizowała i oderwała na dobre od dotychczasowego życia.

Wiedział też, że kartkę z numerem telefonu powinien podrzeć i wyrzucić do popielniczki chwilę po tym, jak odeszła od jego stolika. A mimo to wciąż wpatrywał się w nią, zastanawiając się, co począć. W końcu złożył ją na pół i schował do portfela.

Fabel właśnie dopił kawę, kiedy zadzwonił jego telefon. Był na siebie zły, że zapomniał go wyłączyć. Często dochodził do wniosku, że nie przystaje do współczesnego świata – włączone telefony komórkowe w restauracjach i barach były jednym z tych wynalazków dwudziestego pierwszego wieku, których nie tolerował. Nawet nie poczuł, że zjadł kolację. Zdawał sobie sprawę, że ma to jakiś związek z przypadkowym spotkaniem z Sonją. Zaczął myśleć o Kristinie Dreyer. Może rzeczywiście wysprzątała miejsce zbrodni, żeby świat pozostał taki, jaki dla siebie stworzyła – uporządkowany i przewidywalny.

Odebrał telefon.

– Cześć, Janie, to ja. – Fabel poznał głos Wenera. – Trzeba było posłuchać mojej rady i przedłużyć urlop o tydzień.

22.00, dzielnica Speicherstadt, Hamburg

Większość gości była zgaszona, ale duży reflektor, przypominający księżyc w pełni, dobrze oświetlał stojący na stole model architektoniczny, w który wpatrywał się Paul Scheibe. Wciąż czuł radosne podniecenie i dumę, patrząc na trójwymiarowe przedstawienie swojej wizji. Swoich przemyśleń i wyobraźni, które przybrały realną, choć zminiaturyzowaną postać. Już wkrótce jego koncepcja zostanie wpisana w pełnym wymiarze w oblicze miasta. Jego projekt KulturZentrumEins – Centrum Kultury 1, górujące nad Magdeburger Hafen, stanie się perełką Überseequartier w HafenCity. Nie tylko skomponuje się z wyzywającym gmachem opery w Kaispeicher A, ale będzie także rywalizować swą elegancją ze Strandkai Marina.

Jeśli jego projekt zostanie wybrany przez jury i zyska poparcie senatu, budowa rozpocznie się w dwa tysiące siódmym roku. Do konkursu zgłoszono oczywiście także inne projekty, ale Scheibe nie miał żadnych wątpliwości, że żaden z nich nie może się równać ze śmiałością i innowacyjnością jego wizji. Na konferencjach prasowych dowcipnie opisywał konkurencyjne projekty jako pozbawione polotu.

Przedpremierowe przyjęcie nie mogło wypaść lepiej. Dziennikarze pojawili się licznie, a obecność burmistrza Hamburga Hansa Schreibera, a także senatora odpowiedzialnego za środowisko Müllera-Voigta i kilku innych kluczowych członków senatu podkreśliła tylko wagę wydarzenia. Publiczna prezentacja projektu miała nastąpić nie wcześniej niż za dwa dni.

Wszyscy goście już poszli i Scheibe stał teraz samotnie, podziwiając swoją wizję. Ciąg toczących się zdarzeń wskazywał, że jego pomysły staną się rzeczywistością. Za kilka lat stanie na nadbrzeżnym bulwarze i będzie mógł podziwiać galerie sztuki, teatr, otwarte przestrzenie, salę koncertową. Każdy, kto to zobaczy, będzie zaskoczony śmiałością, wizjonerstwem

i czystym pięknem tego projektu. Nie jednego budynku, nie oddzielnych gmachów. Wszystkie przestrzenie, wszystkie formy będą ze sobą organicznie połączone w sensie zarówno architektonicznym, jak i funkcjonalnym. Każdy element, choć oddzielny, to żywotnie istotny, będzie łączył się z pozostałymi, by tchnąć w całość życie i energię. A całość będzie miała praktycznie zerowy wpływ na środowisko.

Zapowiadał się triumf ekologicznej architektury i inżynierii. Ale przede wszystkim będzie to testament radykalizmu Scheibego. Pociągnął z kieliszka duży łyk barolo.

– Pomyślałem, że cię tu jeszcze zastanę. – Głos w sposób oczywisty należał do mężczyzny. Dochodził z cienia w okolicy drzwi.

Scheibe nie odwrócił się, tylko westchnął.

– A ja myślałem, że już poszedłeś. O co chodzi? Czy to nie może poczekać do jutra?

Rozległ się trzepoczący dźwięk i złożony na pół egzemplarz „Hamburger Morgenpost” wylądował na makiemie. Scheibe chwycił gazetę i pochylił się, sprawdzając, czy makieta nie uległa uszkodzeniu.

– Na miłość boską, człowieku, ostrożnie!

– Spójrz na pierwszą stronę... – Słowa były wypowiedziane równym, spokojnym tonem. Mężczyzna w dalszym ciągu nie wychodził z cienia.

Scheibe rozłożył gazetę. Fotografia przedstawiała wielkiego airbusa 800 w dziewiczym rejsie, uchwyconego w chwili, gdy przelatywał nad wieżą kościoła Świętego Michała. Nagłówek głosił, że sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców Hamburga zgromadziło się, by zobaczyć ten przelot. Scheibe wzruszył ramionami.

– Nie to... Mniejszy artykuł, na samym dole...

Scheibe go znalazł. O śmierci Hansa-Joachima Hausera informował napisany małą czcionką nagłówek: „Obrońca przyrody i radykał znany w latach 70. zamordowany w swoim mieszkaniu w Schanzenviertel”. W artykule znalazło się niewiele szczegółów na temat samej śmierci, przedstawiono w nim głównie karierę Hausera. „Morgenpost” uznał za

konieczne przywołać związki Hausera z innymi, bardziej znanymi postaciami z radykalnej lewicy. O jego losach od połowy lat osiemdziesiątych niewiele było wiadomo.

– Hans nie żyje? – powiedział głośno Scheibe.

– Więcej, został zamordowany. Znalaziono go dziś rano.

Scheibe odwrócił się.

– Myślisz, że to coś znaczącego?

– Oczywiście, że tak, idioto. – W głosie mężczyzny zabrzmiała lekka irytacja. – Fakt, że jeden z nas umarł gwałtowną śmiercią, może być przypadkiem, ale musimy być pewni, że nie ma to związku z... naszą przeszłością.

– Wiedzą już, kto to zrobił? Tu napisano, że ktoś trafił do aresztu.

– Moje oficjalne kontakty w komendzie głównej nie podały mi żadnych szczegółów. Tyle że śledztwo dopiero się zaczyna.

– Martwisz się? – spytał Scheibe. – Czy ja powinienem się martwić?

– Być może to nic takiego. Hans, jak wiesz, był gejem i prowadził dość rozwiązłe życie. To mroczny świat.

– Nie sądziłem, że jesteś homofobem... Udaje ci się dobrze ukrywać prawdziwe poglądy przez dziennikarzami.

– Oszczędź mi kazania o politycznej poprawności. Miejmy nadzieję, że to kwestia jego stylu życia, po prostu przypadkowe zabójstwo. – Mężczyzna w progu przerwał. Po raz pierwszy dało się słyszeć, że stracił pewność siebie. – Skontaktowałem się z pozostałymi.

– Rozmawiałeś z nimi? – Ton głosu Scheibego wskazywał zarówno na zdumienie, jak i wściekłość. – Przecież się umawialiśmy... Ty i ja to co innego, jesteśmy skazani na spotkanie się, ale pozostałych nie widziałem od przeszło dwudziestu lat. Umówiliśmy się, że nigdy nie będziemy się ze sobą kontaktować. – Scheibe wodził wściekle wzrokiem po makiecie swojego KulturZentrumEins, jakby bał się, że za chwilę ono wyparuje, rozplynie się w powietrzu. – Nie chcę mieć z nimi nic do czynienia. Ani z tobą. Nic. Zwłaszcza teraz...

– Posłuchaj mnie, ty zarozumiała dupku... Twój cenny projekt jest gównem warty. Jest czystą niekonsekwencją...

Niczym więcej jak mdłym wyrażeniem twojego egotyzmu i drobnomieszczańskiego zarozumiałstwa. Myślisz, że kogoś zainteresuje to gównu, kiedy wyjdzie na jaw twoja przeszłość? Nasza przeszłość? Pamiętaj o priorytetach. W dalszym ciągu w tym siedzisz. I w dalszym ciągu to ja wydaję ci rozkazy.

Scheibe rzucił gazetę na podłogę i pociągnął spory łyk wina. Prychnął z pogardą.

– Nie mów, że wciąż wierzysz w te bzdury?

– To nie ma już nic wspólnego z wiarą, Paul. Chodzi o przeżycie. Nie zrobiliśmy zbyt wiele dla rewolucji, prawda? Ale zrobiliśmy dość, by zniszczyć sobie karierę, jeśli wszystko wyjdzie na jaw.

Scheibe wbił wzrok w kieliszek i w zamyśleniu zamieszał resztkę wina.

– Rewolucja... Boże, nam się naprawdę wydawało, że to jest droga postępu? Sam zobaczyłeś, jaki był Wschód, kiedy runął mur. Czy naprawdę o to walczyliśmy?

– Byliśmy młodzi. Byliśmy innymi ludźmi.

– Raczej głupi.

– Byliśmy idealistami. Nie wiem jak ty, ale my wszyscy walczyliśmy z faszyzmem. Z drobnomieszczańskim samozadowoleniem i szalejącym, bezdusznym kapitalizmem, który teraz całą Europę, cały świat zamienia w amerykański park rozrywki.

– Czy ty słyszysz, co mówisz? Jesteś śmieszny. A najbardziej dziwi mnie fakt, że sam tak entuzjastycznie utkwieś w kapitalizmie. Ale ja robię swoje... – Scheibe znów rzucił okiem na makietę. – Po swojemu. Zresztą nie interesuje mnie polityczny dyskurs z tobą. Rzecz w tym, że odnawianie kontaktów po tylu latach to szaleństwo.

– Dopóki nie zostanie wyjaśniona sprawa śmierci Hansa-Joachima, musimy być czujni. Może inni zauważyli ostatnio coś... niezwykłego.

Scheibe się odwrócił.

– Naprawdę uważasz, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo?

– Nie rozumiesz tego? – Mężczyzna znów wpadł w złość. –

Nawet jeśli śmierć Hansa nie ma nic wspólnego z przeszłością, nadal jest to morderstwo. A morderstwo to węsząca naokoło policja. Grzebanie się w przeszłości Hansa-Joachima. W naszej wspólnej przeszłości. I dlatego jesteśmy narażeni na ryzyko.

Scheibe przez chwilę milczał. Kiedy w końcu się odezwał, mówił powoli, z wahaniem, jakby bał się obudzić uśpione demony.

– Myślisz, że... Czy to może mieć coś wspólnego z tym, co się wtedy wydarzyło? Ze sprawą Franza?

– Po prostu powiedz mi, jeśli zauważysz coś niepokojącego. – Mężczyzna ukryty w cieniu pozostawił pytanie Scheibego bez odpowiedzi. – Skontaktuję się z tobą. A na razie naciesz się tą swoją zabawką.

Scheibe usłyszał, jak zamykają się drzwi sali konferencyjnej. Opróżnił kieliszek i po raz kolejny spojrzął na stojącą na okrągłym stole makietę; tyle że teraz zamiast radykalnej wizji przyszłości widział w niej jedynie stertę białego kartonu i balsy.

22.00, dzielnica Marienthal, Hamburg

Doktor Günter Griebel bez specjalnego zainteresowania patrzył na Fabla znad szkieł okularów do czytania spuszczonej na czubek długiego, cienkiego nosa. Siedział w fotelu z jedną dłonią spoczywającą na utrzymanym na kolanach podręczniku i drugą na skórzanej poręczy. Griebel dobiegał sześćdziesiątki, był wysoki i wciąż jeszcze młodzieńczo tyczkowaty, choć ostatnio zaokrąglił się w pasie i teraz stanowił skrzyżowanie dwóch nieprzystających do siebie sylwetek. Ubrany był w koszulę w kratę, szary, wełniany, rozpinany sweter i szare sportowe spodnie. Wszystko to, włącznie z fotelem i podręcznikiem leżącym na kolanach, było obficie zbryzgane krwią.

Doktor Griebel wyglądał, jakby zadumał się nad treścią utrzymanego na kolanach podręcznika i nie zauważył, kiedy ktoś poderznął mu ostrym narzędziem gardło. Nie wydawał się też zdziwiony faktem, że zabójca zrobił nacięcie na jego czole

i wokół głowy i zdjął mu skalp. Podłużna, szczupła twarz Griebła nie wyrażała niczego, a spojrzenie martwych oczu było puste. Nieco krwi zachlapało prawe szkło okularów, które wyglądało teraz jak szkiełko mikroskopowe z próbką do badania. Fabel patrzył na gęstą, lepłą kroplę krwi, która zebrawszy się na oprawce okularów, skapnęła w końcu na zakrwawiony już sweter.

– Wdowiec – odezwał się Werner stojący za plecami Fabela. – Mieszkał tu sam od śmierci żony zmarłej sześć lat temu. Najwyraźniej jakiś naukowiec.

Fabel rozejrzał się po pokoju. Prócz Wenera i martwego Griebła była tu ekipa kryminalistyczna kierowana przez Holgera Braunera. Dom Griebła należał do tych zamożnych, choć nie w sposób ostentacyjny, willi często spotykanych w części dzielnicy Marienthal zwanej Nopps – symbolizował hamburski dobrobyt połączony z ascezą północnoniemieckich luteranów. Ten pokój był czymś więcej niż tylko gabinetem. Był urządzone praktycznie, jak typowe miejsce pracy – prócz komputera na biurku i rzędów książek na ścianach w kącie stały dwa profesjonalne mikroskopy. Obok mikroskopów stały też inne, wyglądające równie profesjonalnie urządzenia, których przeznaczenia Fabel się nie domyślał.

Ale najważniejsza rzecz w tym pokoju została dodana całkiem niedawno. Praktycznie wszędzie leżały książki, więc zabójca przyczepił skalp Griebła do półki regału, skąd kapał krwią na drewnianą podłogę. Griebel musiał mieć małą łysinę na czubku głowy, bo skalp składał się w połowie z włosów, a w połowie z gołej skóry. Włosy były ufarbowane, podobnie jak u Hansa-Joachima Hausera, na czerwono, ale ich niedostatek sprawiał, że widok ten przyprawiał jeszcze bardziej o mdłości.

– Kiedy został zamordowany? – Fabel zapytał Holgera Braunera zajmującego się skalpem.

– Ostatecznej odpowiedzi udzieli Möller, ale moim zdaniem ten trup jest bardzo świeży. To kwestia co najwyżej kilku godzin. Zaczyna się stężenie pośmiertne powiek i żuchwy, ale stawy palców, które powinny być następne w kolejności, wciąż są w pełni ruchome. Tak więc kilka godzin lub mniej. No

i podobieństwa z morderstwem w Schanzenviertel wydają się oczywiste... Przejrzałem notatki Franka Grübera.

– Kto nas zaalarmował? – Fabel zwrócił się do Wenera.

– Przyjaciół. Chyba też wdowiec. Spotykali się w piątkowe wieczory. Na zmianę u jednego i u drugiego. Kiedy tu przyszedł, zastał drzwi otwarte na oścież.

– Wygląda na to, że przeszkodził naszemu sprawcy. Czy widział kogoś, kiedy tu szedł?

– Nie pamięta, ale jest w okropnym stanie. To facet po sześćdziesiątce. Inżynier na emeryturze z problemami z sercem. Kiedy znalazł to – Werner ruchem głowy wskazał okaleczone ciało Griebła – doznał szoku. Teraz bada go lekarz, ale moim zdaniem minie trochę czasu, nim zdołamy coś sensownego z niego wydobyć.

Na chwilę Fabla rozproszyła myśl, że ktoś mógł przeżyć sześćdziesiąt lat, nie oglądając takiego horroru, z jakim on miał do czynienia na co dzień. Ta myśl wprawiła go w lekkie zdumienie i poczuł coś w rodzaju zazdrości.

Do gabinetu weszła Maria Klee. Sposób, w jaki patrzyła na oskalpowane ciało, przypomniał Fabelowi, że wydawała się tak samo zahipnotyzowana, gdy widziała okaleczonego Hausera. Marię wcześniej cechował raczej chłód i obojętność przy badaniu miejsca zbrodni, ale Fabel zauważył subtelną zmianę w jej zachowaniu, gdy rany zadano nożem. Zmiana ta była widoczna od chwili, gdy wróciła do służby po dokonaniu na nią ataku. Maria oderwała wzrok od ciała i odwróciła się do Fabla.

– Mundurowi przepytali sąsiadów – powiedziała. – Nikt nie widział dziś niczego ani nikogo podejrzanego. Ale biorąc pod uwagę wielkość tych posiadłości i fakt, jak bardzo są od siebie oddalone, nie ma w tym nic zaskakującego.

– Świetnie... – mruknął Fabel. To było frustrujące, że znaleźli się na miejscu tuż po popełnieniu zbrodni, a mimo to ślad okazał się całkiem zimny.

– Jeśli to jakieś pocieszenie, to jedno jest pewne – odezwał się Werner. – Kristina Dreyer mówiła prawdę. Siedzi nadal w areszcie, więc to nie mogła być ona.

Fabel przypatrywał się, jak ekipa kryminalistyczna przystępuje do powolnego, metodycznego szukania śladów na ciele nieboszczyka.

– To marne pocieszenie – powiedział głucho. – Faktem jest, że na wolności chodzi łowca skalpów...

**DWA DNI PO PIERWSZYM MORDERSTWIE,
SOBOTA 20 SIERPNIĄ 2005**

10.00, dzielnica Poseldorf, Hamburg

Fabel od razu poczuł, że to musi być coś ważnego, kiedy tylko usłyszał w słuchawce głos swojego szefa, komendanta Horsta van Heidena. Już sam fakt, że dzwonił do niego do domu, wystarczył, żeby w głowie Fabela rozjarzyły się lampki alarmowe; a jeśli van Heiden zrobił to w sobotę rano, świadczyło niezbicie, że sprawa jest poważna. Fabel wrócił do swojego mieszkania dopiero o trzeciej nad ranem i dobrą godzinę leżał w ciemności, próbując zapomnieć o widoku dwóch okaleczonych głów. Telefon szefa wyrwał go z głębokiego snu. Dobrych kilka sekund minęło, nim zebrał myśli na tyle, żeby pojąć sens tego, co mówił van Heiden.

Wszystko wskazywało na to, że zamordowany poprzedniego wieczoru mężczyzna, doktor Günter Griebel, należał do mało znanej grupy naukowców, która starała się nie afiszować publicznie ze swoją działalnością, ale której prace w jakiejś abstrakcyjnej naukowej rzeczywistości mogły zupełnie odmienić nasze życie.

– Był genetykiem – wyjaśnił van Heiden. – Ponieważ nauka nie jest moją mocną stroną, nie mogę cię oświecić, czym dokładnie Griebel się zajmował. Ale bez wątplenia pracował nad taką dziedziną genetyki, która mogła przynieść olbrzymie zyski. Griebel oczywiście dokumentował wszystkie swoje badania, ale zdaniem ekspertów bez niego rezultaty opóźnią się o dziesięć lat.

– I nie wiesz, szefie, czego te badania dotyczyły? – zapytał Fabel. Dobrze wiedział, co van Heiden miał na myśli, mówiąc,

że nauka nie jest jego mocną stroną. Mocną stroną komendanta była wyłącznie prosta policyjna robota, a właściwie jej część papierkowa.

– Coś tam mówili, ale jednym uchem mi wleciało, a drugim wyleciało. Jakieś dziedziczenie. Za to wiem na pewno, że prasa już się bardzo zainteresowała sprawą. Do mediów musiały przeniknąć szczegóły dotyczące metody zabijania, tego całego skalpowania.

– To na pewno nikt z moich ludzi – oświadczył Fabel. – Gwarantuję.

– A jednak był przeciek. – Ton głosu van Heidena sugerował, że nie do końca przekonały go zapewnienia Fabela. – Tak czy inaczej, chcę, żebyś energicznie zabrał się do śledztwa. Śmierć Griebela to bez wątpienia ogromna strata dla środowiska naukowego, a to oznacza, że pojawią się polityczne naciski. Na dodatek pierwsza ofiara była politykiem, choć mniejszej rangi.

– Oczywiście, traktuję tę sprawę priorytetowo – odpowiedział Fabel, nie kryjąc irytacji, że van Heiden czuje potrzebę popędzania go. – I nie ma tu znaczenia status społeczny ofiar. Gdyby to byli kloszardzi, traktowałbym tę sprawę jako równie pilną. Dla mnie najważniejsze jest to, że w krótkim odstępie czasu popełniono dwa zabójstwa, a okaleczenie ciał wskazuje na działanie psychopaty.

– Informuj mnie o postępach. – Van Heiden się rozłączył.

Fabel poprzedniego wieczoru powiedział Susanne, że będzie pracował pół nocy, więc do niego nie przyszła. Spotkali się na lunchu w Friesenkeller niedaleko Rathausmarkt, głównego placu Hamburga. Chociaż Susanne była psychologiem pracującym wraz z Fablem nad stworzeniem profilu mordercy, nie rozmawiali o sprawie; mieli niepisaną umowę, że bezwzględnie rozdzielają sprawy zawodowe od prywatnych. Prowadzili luźną rozmowę o wspólnych wakacjach na Sylcie, o ponownym wyjeździe na urodziny Lexa i o zbliżających się wyborach.

Po lunchu Fabel poszedł do komendy. Wcześniej obdzwonił wszystkich swoich ludzi i zapowiedział naradę. Holger Brauner i Frank Grüber weszli do sali konferencyjnej krótko po

pojawieniu się tam Fabla, który ucieszył się, że dwóch starszych oficerów z zespołu kryminalistycznego znalazło czas, by uczestniczyć w spotkaniu. Brauner przyniósł ze sobą dwie torby z zebranymi materiałami, co dawało nadzieję, że w miejscu popełnienia drugiej zbrodni zostanie coś istotnego.

Szybko ustawiono tablicę, do której przypięto fotografie obu ofiar – jedną zrobioną za życia i drugą po śmierci na miejscu zbrodni. Maria napisała krótkie biografie obu mężczyzn. Obaj byli mniej więcej w tym samym wieku, ale nic nie wskazywało na to, by ich drogi kiedykolwiek się skrzyżowały.

– Hans-Joachim Hauser był w swoim czasie z pewnością osobą rozpoznawalną. – Maria wskazała jedną z fotografii, zrobioną pod koniec lat sześćdziesiątych. Widać na niej było młodego Hausera rozebranego do pasa, z długimi falującymi włosami opadającymi na ramiona. Zdjęcie miało sprawiać wrażenie naturalnego, ale było pozowane. Fabel uświadomił sobie, że młody i arogancki Hauser czyni z tej fotografii rodzaj przesłania – przypominała ona zdjęcie dziewiętnastowiecznego guru obrońców środowiska, Gustava Nagla, które widział w mieszkaniu Hausera. Jakaś okrutna ironia biła z porównania fotografii długowłosego młodzieńca i tej drugiej, przedstawiającej martwego, oskalpowanego mężczyzny w średnim wieku.

– Z kolei Günter Griebel – ciągnęła Maria, przechodząc do drugiej strony tablicy – starał się ze wszystkich sił pozostać niezauważony. Znajomi, z którymi rozmawialiśmy, a nawet jego szef, zgodnie twierdzili, że nie znosił, kiedy go fotografowano podczas jakichś wydarzeń na uniwersytecie czy na potrzeby publikacji w periodykach. Tak więc motywem zabójstwa nie była raczej zawiść o sławę Hausera.

– Czy są jakieś sugestie, że Griebel mógł być gejem? – zapytał Henk Hermann. – Wiem, że był wdowcem, ale ponieważ pierwsza ofiara była osobą jawnie homoseksualną, zastanawiam się, czy nie występuje tu motyw seksualny lub homofobiczny.

– Nie znaleźliśmy absolutnie nic, co mogłoby coś takiego sugerować – odparła Maria – ale wciąż sprawdzamy życie obu

ofiar. Jeśli Griebel nie afiszował się ze swoją homoseksualną orientacją, to możemy nigdy się tego nie dowiedzieć.

– Ale masz rację, Henk... powinniśmy pójść tym tropem. – Fabel ochoczo pochwalił aktywność najnowszego członka swojego zespołu. Podszedł do stojącej przy tablicy Marii i wbił wzrok w fotografię obu mężczyzn. Jedyne zdjęcie Griebela zrobione za życia było powiększeniem z jakiejś zbiorowej fotografii. Griebel stał sztywno pomiędzy dwoma kolegami w białych fartuchach. Jego dziwna postawa i widoczne napięcie na twarzy dawały jasno do zrozumienia, że nie lubi być fotografowany. Fabel skupił się na tej samej pociągłej, szczupłej twarzy, z okularami na czubku nosa, którą widział z odsłoniętą czaszką poprzedniego dnia. Dlaczego Griebel tak niechętnie stał przed obiektywem aparatu? Z zamyślenia wyrwał go głos Holgera Braunera.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać o odkrytych śladach. A raczej o ich braku. Właśnie dlatego przyszliśmy tu dziś z panem Grüberem. To powinno was zainteresować.

– Kiedy mówisz o braku śladów, domyślam się, że masz na myśli pierwsze zabójstwo, gdzie Kristina Dreyer wszystko zatarła?

– Sęk w tym, Janie – powiedział Brauner – że dotyczy to obu miejsc zbrodni. Morderca chyba wie, jak zacierać ślady, i pozostawia tylko to, co chce, żebyśmy znaleźli.

– Czyli?

Brauner położył obie torby z dowodami na stole konferencyjnym.

– Jak wiecie, Kristina Dreyer zniszczyła wszystkie ślady prócz jednego rudego włosa. Ale podejrzewam, że i tak nie miała czego niszczyć. Z drugiego miejsca zbrodni też nie udało nam się niczego zebrać, chociaż nikt tam nie sprzątał. To praktycznie niemożliwe, żeby ktoś, kto przebywał w jakimś pomieszczeniu, nie pozostawił żadnego śladu. Chyba że potrafi tak doskonale maskować swoją obecność.

– I nasz tajemniczy ktoś to potrafi?

– Wszystko na to wskazuje. Znaleźliśmy tylko jeden ślad, którego nie możemy przypisać do tego miejsca i ofiary. –

Brauner przesunął na środek stołu drugą torbę. – Oto on... drugi włos.

– Świetnie – powiedziała Maria. – Jeśli te włosy do siebie pasują, to oznaczają, że oba morderstwa są ze sobą powiązane. No i mamy DNA. Morderca popełnił błąd.

– Tak, zgoda, włosy do siebie pasują – odrzekł Brauner. – Problem w tym, że oba włosy są dokładnie tej samej długości. I nie są zakończone cebulką. Nie tylko pochodzą z tej samej głowy, ale na dodatek zostały w tym samym czasie odcięte.

– Znakomicie... – stwierdził Fabel. – W takim razie mamy podpis mordercy...

– Jest coś jeszcze... – wtrącił Frank Grüber, zastępca Braunera. – Te dwa włosy zostały rzeczywiście odcięte z tej samej głowy w tym samym czasie, tyle że stało się to jakieś dwadzieścia do czterdziestu lat temu.

CZTERY DNI PO PIERWSZYM MORDERSTWIE, PONIEDZIAŁEK 22 SIERPNIĄ 2005

11.15, dzielnica Marienthal, Hamburg

Fabel stał samotnie w ogrodzie na tyłach willi doktora Griebła i mrużył oczy w jaskrawym blasku słońca. Trzykondygnacyjna willa miała białe ściany i wieńczył ją spadzisty dach z czerwonej dachówki. Sąsiednie domy po obu bokach różniły się od tego tylko szczegółami wystroju. Za jego plecami ciągnął się kolejny rząd robiących równie wielkie wrażenie willi.

Ogród Griebła to głównie trawnik z kilkoma sporymi krzewami i przesłaniającą częściowo widok kępą drzew. Mimo to teren był zbyt otwarty. Morderca nie przyszedł tędy. Z drugiej strony włamanie od frontu czy z boków domu było jeszcze mniej prawdopodobne, chyba że mieli do czynienia z zawodowym włamywaczem. Ale Brauner i jego ekipa musieliby znaleźć ślady włamania – tutaj i w mieszkaniu Hansa-Joachima Hausera.

– Wpuścili cię do środka sami – powiedział do siebie; do zjawy mordercy, który dawno już stąd zniknął. Obszedł dom dookoła i stanął przed frontowymi drzwiami zaklejonymi czerwono-białą policyjną taśmą z zakazem wstępu. – Nikt cię tu nie widział. To znaczy, że Griebel szybko cię wpuścił. Czyżby cię oczekiwał? Umówiłeś się z nim na spotkanie?

Fabel wyjął z kieszeni telefon komórkowy, wybrał numer wydziału zabójstw i połączył się z Anną Wolff.

– Potrzebne mi billingi telefonu Griebła z ostatniego miesiąca. Wszystkich telefonów: domowego, służbowego, komórkowego. Chcę mieć nazwiska i adresy osób, z którymi

rozmawiał. Zaczynj od ostatniego tygodnia. Henk niech zrobi to samo z telefonami Hausera.

– Okej, szefie, już się do tego bierzemy – odpowiedziała Anna. – Wraca pan do komendy?

– Nie. Po południu umówiłem się na spotkanie z kolegami Griebła. A jak Maria i Werner radzą sobie ze sprawdzaniem Hausera?

– Nic nie wiem, szefie. Wciąż jeszcze są w Schanzenviertel. A pytałam, czy pan wraca do komendy, ponieważ szukał pana telefonicznie doktor Severts.

– Severts? – Fabel zastanawiał się chwilę, aż wreszcie przypomniał sobie wysokiego, młodego archeologa, o kolorze skóry, włosów i ubrania przypominającym barwę ziemi, w której grzebał. Zaledwie trzy dni temu Fabel patrzył na zmumifikowane ciało mężczyzny zastygłe przed ponad sześćdziesięcioma laty. A cztery dni temu siedział w restauracji swojego brata i rozmawiał z Susanne o błahostkach.

– Pytał, czy mógłby się pan z nim spotkać na uniwersytecie. – Anna podała mu numer telefonu komórkowego Severtsa.

– Dobrze, zadzwonię do niego. A wy zajmijcie się tymi billingami.

– À propos – powiedziała Anna – widział pan dzisiejsze gazety?

Fabel poczuł, że robi mu się słabo.

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Zawierają bardzo dużo informacji na temat obu miejsc zbrodni. Dziennikarze wiedzą o farbowaniu włosów i oskalpowaniu ofiar. – Anna przerwała i dodała z ociąganiem: – Nadali naszemu łowcy skalpów imię. Der Hamburger Haarschneider.

– Wspaniale. Po prostu cudownie... – powiedział Fabel i rozłączył się.

Fryzjer z Hamburga – idealna nazwa do wystraszenia wszystkich mieszkańców Hamburga.

13.45, dzielnica Blankenese, Hamburg

Scheibe odłożył słuchawkę. Członek komitetu, który został wyznaczony do przekazania mu dobrych wiadomości, był zaskoczony jego reakcją. A właściwie jej brakiem. Scheibe zachował się grzecznie i powściągliwie, można powiedzieć – skromnie. Każdy, kto choć trochę znał egotystycznego Paula Scheibego, byłby zdumiony jego niemą reakcją na wieść, że projekt KulturZentrumEins wygrał konkurs.

Tymczasem Paul Scheibe odebrał to zwycięstwo, które jeszcze kilka dni temu stanowiłoby ukoronowanie jego kariery, jak nieokreślony, mdły ucisk gdzieś w głębi trzewi. Gorzkie zwycięstwo, niemal szyderstwo. Scheibem owładnęło teraz inne uczucie niż radość, bardziej pierwotne – strach.

Wracał samochodem do swojej willi w Blankenese i słuchał wiadomości stacji NDR. Günter. Günter nie żyje. Wcisnął pedał hamulca z taką siłą, że samochód jadący za nim ledwie zdołał go wyminąć, a kierowca, trąbiąc niemiłosiernie, gestykulował z wściekłością. Ale Scheibe nie był świadomy tego, co dzieje się wokół niego. Cały świat ograniczał się w tej chwili do tego jednego zdania, które niczym eksplodujące słońce pożarło wszystko inne: doktor Günter Griebel, pracujący w Hamburgu genetyk, został zamordowany w swoim domu w Marienthal. Na pozostałą część wiadomości nie zwrócił już uwagi: źródła policyjne nie chciały potwierdzić, czy Griebel został zamordowany w taki sam sposób jak Hans-Joachim Hauser, obrońca środowiska naturalnego, którego ciało zostało znalezione w ubiegły piątek.

Kiedys było ich sześciu. Teraz pozostało czterech.

Paul Scheibe stał w kuchni w swoim domu z dłonią na zawieszonym na ścianie aparacie telefonicznym i bezmyślnie spoglądał przez okno na ogród, choć nie widział niczego. Wiał lekki wietrzyk i promienie słońca tańczyły na gałęziach i krwistoczerwonych liściach klonu, którym tak pieczołowicie się zajmował, ale Scheibe widział jedynie własną, nieuchronnie zbliżającą się śmierć. Nagle, jak rażony piorunem, chwycił słuchawkę i wystukał numer. Odebrała kobieta, której

powiedział, z kim chce zostać połączony. Jakiś męski głos zaczął coś mówić, ale Scheibe nie dał mu dojść do słowa.

– Günter nie żyje. Najpierw Hans, teraz Günter... To nie jest zbieg okoliczności... – Głos mu drżał. – To nie może być zbieg okoliczności, ktoś na nas poluje. Zabijają nas jednego po drugim...

– Zamknij się! – syknął głos w słuchawce. – Ty skończony idioto! Trzymaj gębę na kłódkę! Skontaktuję się z tobą dziś po południu. Albo wieczorem. Zostań tam, gdzie jesteś... i nic nie rób, z nikim nie rozmawiaj. A teraz rozłącz się.

W uchu Scheibego rozległ się głośny, przerywany dźwięk. Powoli odłożył słuchawkę. Spojrzał na swoje drżące dłonie, oparł się o marmurowy blat kuchenny i spuścił głowę. Po raz pierwszy od dwudziestu lat zapłakał.

14.30, klinika uniwersytecka, Hamburg-Eppendorf, Hamburg

Fabel bez problemów znalazł wydział genetyki, gdzie pracował Griebel. Znajdował się w tym samym kompleksie budynków co Instytut Medycyny Sądowej oraz Klinika Psychiatrii i Psychoterapii, miejsce pracy Susanne. W klinice uniwersyteckiej prowadzono przeróżne badania kliniczne i biomedyczne; pełniła ona także funkcję największego szpitala w Hamburgu. Fabel znał ją głównie dzięki znakomitemu laboratorium kryminalistycznemu, jednemu z czołowych na świecie. Laboratorium rozrastało się stopniowo przez lata i obecnie mieściło się na północnym krańcu Martinistrasse, stanowiąc małe, niezależne miasteczko.

Profesor von Halen, który kierował wydziałem, czekał na Fabla w recepcji. Von Halen był dużo młodszy, niż się Fabel spodziewał, i nie pasował do jego wyobrażenia o naukowcach. Może dlatego, że wyobrażenie Fabla było stereotypowe, a może dlatego, że z powodu fotografii, do której Griebel tak niechętnie pozował, spodziewał się ujrzeć człowieka ubranego w biały fartuch. Tymczasem profesor miał na sobie elegancki,

ciemny i chyba drogi garnitur i nieco zbyt jaskrawy krawat. Kiedy von Halen prowadził go przez recepcję, Fabel miał wrażenie, że za chwilę znajdzie się w salonie pełnym mercedesów do sprzedania. Tymczasem minęli laboratorium i ciąg gabinetów, w których siedzieli ludzie, wszyscy ubrani w białe fartuchy. Fabel zwrócił uwagę, że praktycznie wszyscy przerywali pracę na ich widok. Najwyraźniej wiadomość o śmierci Griebbla już się rozniosła w formie plotki albo oficjalnie poinformował ich o niej von Halen.

– To był dla nas szok. – Von Halen zdawał się czytać w myślach Fabla. – Doktor Griebel był bardzo spokojnym człowiekiem i lubianym przez personel, który mu bezpośrednio podlegał.

Kiedy mijali laboratorium, Fabel uważnie mu się przyjrzał. Wbrew temu, czego się spodziewał, było tu znacznie mniej próbek, a dużo więcej komputerów.

– Czy krążyły jakieś plotki na temat doktora Griebbla? – zapytał. – Czasem łatwiej natrafić na jakiś ślad dzięki pogaduszkom przy kawie niż powszechnie znanym faktom.

Von Halen pokręcił przecząco głową.

– Günter Griebel nie był typem człowieka, do którego pasowałoby słowo „plotka”. Nie był ani ich źródłem, ani obiektem. Starannie oddzielał życie prywatne od zawodowego. Nie znam tu nikogo, kto utrzymywałby z nim stosunki towarzyskie albo znał jego przyjaciół czy znajomych spoza pracy. Nikt nie znał go na tyle dobrze, żeby o nim plotkować.

Minęli podwójne drzwi i opuścili laboratorium. Na końcu szerokiego korytarza znajdował się gabinet von Halena. Był jasny, przestronny i pełen drogich, nowoczesnych mebli. Von Halen usiadł za ogromnym bukowym biurkiem i wskazał Fablowi krzesło. Gabinet przypominał raczej pomieszczenie w wielkiej korporacji; w połączeniu ze strojem profesora sprawiało to wrażenie, że von Halen zajmuje się bardziej biznesem niż nauką.

– Czy wasza praca ma jakąś wartość komercyjną? – zapytał Fabel.

– W dzisiejszym świecie, Herr Fabel, każda działalność

badawcza związana z biotechnologią czy medycyną ma wartość komercyjną. Na naszym wydziale przenikają się dwa światy, naukowy i biznesu... Stanowimy część uniwersytetu, ale jesteśmy też zarejestrowaną spółką. Prowadzimy interesy.

– Czy doktor Griebel zajmował się komercyjną częścią badań?

– Jak już mówiłem, wszelkiego rodzaju badania mogą mieć zastosowanie komercyjne. I swoją cenę. Ale odpowiadając na pańskie pytanie: nie. Doktor Griebel pracował w dziedzinie, która pozwoli osiągnąć niezwykle postęp w diagnostyce wielu chorób i zapobieganiu im. Owoce pracy doktora będą miały ogromną wartość komercyjną, ale to dopiero za kilka lat. Doktor Griebel był prawdziwym naukowcem. Ta praca była dla niego wyzwaniem i mogła spowodować przełom w nauce. – Von Halen odchylił się do tyłu w swoim wielkim skórzanym fotelu. – I szczerze mówiąc, trochę Günтера rozpieszczałem. Czasami wykraczał poza swój zakres zadań, ale miał na swojej drodze wytyczone pewne kamienie milowe i wiedziałem, że nie traci z oczu głównego celu badań.

– Chce pan przez to powiedzieć, że niemożliwy jest związek pomiędzy pracą doktora Griebla a jego morderstwem?

– Nie, panie nadkomisarzu – odpowiedział z wymuszonym uśmiechem von Halen. – Nie dostrzegam żadnego motywu. Zresztą w ogóle nie mogę go znaleźć. Günter Griebel był zupełnie nieszkodliwym, oddanym pracy naukowcem. Dlaczego ktoś miałby... hmm... zrobić to, co zrobił... Zupełnie tego nie pojmuję. Czy to prawda, co piszą w gazetach?

Fabel pominął milczeniem to pytanie.

– Co było konkretnie przedmiotem badań doktora Griebla?

– Epigenetyka. To dziedzina, która zajmuje się sposobem włączania i wyłączania genów i tym samym zapobieganiem określonym chorobom bądź ich wywoływaniem. Wciąż jest jeszcze w powijakach, ale wkrótce zapewne stanie się jedną z najważniejszych w nauce.

– A z kim pracował?

– Był szefem trzyosobowego zespołu. Pozostałe dwie osoby to Alois Kahlberg i Elisabeth Marksen. Mogę ich panu

przedstawić, jeśli pan sobie życzy.

– Chciałbym z nimi porozmawiać, ale może nie dziś. Zadzwoń, żeby się umówić. – Fabel wstał. – Dziękuję za poświęcony mi czas, profesorze.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

W drodze do drzwi Fabel zauważył wiszącą na ścianie fotografię. Było to zdjęcie grupowe całego zespołu badawczego – tych samych ludzi, których mijał po drodze do gabinetu von Halena.

– Czy tę fotografię zrobiono niedawno? – zapytał.

– Tak. Dlaczego pan pyta?

– Ponieważ brakuje na niej doktora Griebła.

– Nie. Jest tutaj. – Von Halen wskazał wysoką postać z tyłu, częściowo zasłoniętą przez kolegów, stojącą z opuszczoną głową. – To Günter... jak zwykle zepsuł ujęcie. – Von Halen westchnął. – I już nigdy więcej tego nie zrobi...

16.10, komenda główna policji, Hamburg

Zaraz po powrocie do komendy Fabel zadzwonił do Severtsa i umówił się z nim na spotkanie nazajutrz rano w jego gabinecie na Uniwersytecie Hamburgskim. Severts powiedział Fablowi, że w Hafencity odkryli trochę rzeczy osobistych, które z pewnością należały do zmumifikowanego mężczyzny.

Ale ponieważ Fabel miał głowę zaprzątniętą świeżą sprawą, kiedy tylko odłożył słuchawkę, wezwał do siebie Anne Wolff i Henka Hermanna.

– Zdobyliśmy większość billingów obu ofiar – odpowiedziała Anna na pytanie Fabla. – Ustalamy teraz, do kogo należą numery telefonów. Prawdę mówiąc, Griebel nie był specjalnie towarzyski, wykaz połączeń jest wyjątkowo krótki. Natomiast Hauser chyba nie odrywał słuchawki od ucha. Zaczęliśmy od numerów, pod które dzwonił najczęściej lub spod których najczęściej dzwoniło do niego.

– To ma jakiś sens – rzekł Fabel – ale numer, którego szukam, wcale nie musiał się często pojawiać. Być może

dzwonił pod niego tylko raz. I mógł to być telefon na kartę.

– Czego pan właściwie szuka, szefie? – zapytał Henk.

– Wygląda na to, że obie ofiary wpuściły mordercę do domu – odrzekł Fabel. – To mogłoby sugerować, że zarówno Hauser, jak Griebel znali swojego zabójcę czy zabójców albo że morderca wcześniej się z nimi umówił.

– Niestety, mamy do czynienia z kimś, kto skutecznie unika pozostawiania śladów – zauważyła Anna. – Czy to nie próżna nadzieja liczyć, że zostawił swój numer telefonu na billingach?

– Pewnie tak... – Fabel westchnął, zdając sobie sprawę z daremnego trudu – ale przecież jakoś musiał nawiązać kontakt. Jak już mówiłem, spodziewam się, że będzie to rozmowa z budki telefonicznej albo telefonu na kartę, tak więc nie zdołamy przypisać numeru do konkretnej osoby. Niewykluczone też, że kontakt został nawiązany w inny sposób. Może zabójca po prostu podszedł do ofiar na ulicy i zagadnął je pod jakimś pretekstem. Mimo to uważam, że telefon jest bardziej prawdopodobną formą pierwszego kontaktu. Wolę się upewnić, czy moja teoria jest słuszna, nim zabrnjemy w ślepią uliczkę.

– Poza tym – wtrącił się Henk – zawsze istnieje szansa, że nasz sprawca wykazał się niedbałością i nie pomyślał, że będziemy sprawdzać połączenia telefoniczne.

Fabel uśmiechnął się ponuro.

– Chciałbym w to wierzyć... Niestety, słowo „niedbały” zupełnie nie pasuje do tego człowieka.

– Jest pewna interesująca rzecz... – Henk rozłożył na stole przed Fablem kilka kartek. Były to wycinki z gazet ze zdjęciami Hansa-Joachima Hausera. Najświeższa pochodziła z serwisu NDR. – Dostrzega pan na nich wszystkich coś charakterystycznego?

Fabel wzruszył ramionami.

Henk wskazał palcem każdą fotografię po kolei.

– Hans-Joachim Hauser lubił, kiedy widziano, gdy robi to, za czym się opowiadał. Nie miał samochodu i nigdy nie jeździł cudzym samochodem.

Fabel ponownie przyjrzał się zdjęciom. Kilka z nich

przedstawiało Hausera jadącego na rowerze zatłoczonymi hamburskimi ulicami. Na innych rower był widoczny na drugim planie.

– Nie ma go... – powiedział Henk.

– Roweru?

Henk przytaknął.

– Szukaliśmy wszędzie i nie znaleźliśmy. Był bardzo charakterystyczny, oblepiony setkami naklejek z hasłami ekologów. Hauser nigdzie się bez niego nie ruszał. Pytałem przyjaciela Hausera Sebastiana Langa... – Henk zaakcentował słowo „przyjaciel”. – Powiedział, że Hauser trzymał zawsze rower przypięty łańcuchem na podwórku z tyłu domu. Ekipa kryminalistyczna zebrała odciski palców na podwórzu i sprawdziła okna, ale niczego nie znalazła. Jak twierdzi Lang, Hauser miał ten rower od czasów studenckich. Był do niego bardzo przywiązany.

Fabel spojrział jeszcze raz na fotografie. To był bardzo zwyczajny i bardzo staromodny rower; mało prawdopodobne, żeby stał się trofeum psychopatycznego mordercy. Chyba że morderca wiedział o tym, jak mocno Hauser był do niego przywiązany. Dlaczego jednak zostawił skalp, a zabrał rower?

– Wiemy, czy coś zginęło z domu doktora Griebela?

– Trudno to ustalić... – tym razem odpowiedziała Anna. – Doktor Griebel też miał sprzątaczkę, choć chyba nie tak skrupulatną jak Kristina Dreyer, i ona twierdzi, że nie zauważyła, żeby cokolwiek zniknęło.

– Okej... – Fabel zebrał zdjęcia i oddał je Henkowi. – Przekaż to służbom mundurowym. To ma być najpilniej poszukiwany rower w historii niemieckiej policji.

Kiedy Henk i Anna wyszli z gabinetu, Fabel zadzwonił do Instytutu Medycyny Sądowej, do Susanne, która przeprowadzała szczegółowe badanie Kristiny Dreyer przed postawieniem jej zarzutu o umyślne zacieranie śladów. Oficjalnie Kristina wciąż była podejrzana o popełnienie pierwszego morderstwa, ale pozostawienie przez sprawcę rudego włosa i oskalpowanie obu ofiar wskazywało, że mordercą jest ta sama osoba.

– Raport będzie gotowy na jutro – wyjaśniła Susanne. – Prawdę mówiąc, wolałabym, żeby zbadał ją psycholog w warunkach klinicznych. Moim zdaniem Kristina nie może ponosić odpowiedzialności za posprzątanie miejsca zbrodni.

– Znam jej historię, a po rozmowie z nią jestem gotów się z tobą zgodzić. Ale muszę porozmawiać jeszcze z doktorem Minksem z Kliniki Strachu. – Fabel urwał. – Chyba nie warto było wyjeżdżać, skoro po powrocie mamy taki paszтет.

– Nie szkodzi... – Susanne miała ciepły, prawie senny głos. – Przyjdź dziś wieczorem do mnie, przygotuję coś dobrego na kolację. A potem możemy przejrzeć ogłoszenia o sprzedaży nieruchomości, może znajdziemy coś odpowiedniego.

– Znam dwie nieruchomości, które wkrótce trafią na rynek – powiedział posepnym tonem Fabel. – Dotychczasowi właściciele nie będą już ich potrzebowali.

17.30, dzielnica Blankenese, Hamburg

Kiedy zadzwonił telefon, Paul Scheibe miał już za sobą trzy godziny picia. Ale ciepło francuskich winogron nie było w stanie rozgrzać ściśniętych lodowatym strachem wnętrzości. Jego ziemistą twarz pokrywały krople tłustego, zimnego potu.

– Poszukaj budki telefonicznej i zadzwoń do mnie pod ten numer. Nie dzwoń ze swojej komórki. – Głos po drugiej stronie słuchawki podał numer telefonu i połączenie się urwało. Scheibe niezdarnie sięgnął po papier i ołówek i zapisał numer.

Późne popołudniowe słońce oślepiało Scheibego, który wyszedłszy ze swojej willi, skierował się w stronę Łaby. Blankenese zostało zbudowane na stromej skarpie i słynie ze ścieżek-schodów składających się z tysięcy stopni. Niepewnym, chwiejnym krokiem Scheibe zmierzał w kierunku budki telefonicznej przy plaży.

Słuchawkę podniesiono po pierwszym dzwonku. Scheibemu wydawało się, że w tle słyszy odgłos pracy jakiegoś ciężkiego sprzętu.

– To ja – powiedział. Trzy butelki merlota sprawiły, że głos miał lekko zachrypnięty i bełkotliwy.

– Głupi fiucie – syknął głos po drugiej stronie – nigdy, pamiętaj, nigdy nie dzwoń do mojego biura czy na komórkę w innych sprawach jak służbowe. Po tych wszystkich latach, a szczególnie teraz, powinieneś mieć dość oleju w głowie, żeby nie ryzykować ujawnienia się.

– Przepraszam...

– Nie wymieniaj mojego imienia, kretynie... – przerwał mu głos w słuchawce.

– Przepraszam – powtórzył nieprzekonująco Scheibe. Miał ściśnięte gardło nie tylko z powodu wypitego wina. – Spanikowałem. Chryste... Najpierw Hans-Joachim, teraz Günter. To nie jest zbieg okoliczności. Ktoś nas, jednego po drugim, eliminuje...

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

– Wiem. Na to wygląda.

– Na to wygląda? – prychnął Scheibe. – Na miłość boską, człowieku, czytałeś, co im zrobili? Czytałeś, co zrobili z ich włosami?

– Czytałem.

– To przesłanie. Tak, tak, to przesłanie. Nie rozumiesz? Morderca pofarbował im włosy na czerwono. Ktoś poluje na wszystkich członków grupy. Wyjeżdżam. Zamierzam zniknąć. Może wyjadę za granicę... – W głosie Scheibego brzmiała desperacja człowieka, który nie ma żadnego planu, ale udaje, że radzi sobie z czymś, co go przerasta.

– Zostaniesz na miejscu – warknął głos w słuchawce. – Jeśli znikniesz, zwrócisz uwagę nie tylko na siebie, ale na całą grupę. Na razie policja szuka jakiegoś przypadkowego mordercy.

– I co, mam siedzieć i czekać, aż mnie oskalpuje?

– Masz siedzieć i czekać na instrukcje. Skontaktuję się z pozostałymi...

Telefon zamilkł. Scheibe wciąż trzymał słuchawkę przy uchu, patrzył bezmyślnie na poprzerastany trawą piach na brzegu Łaby i płynący bezgłośnie kontenerowiec. Poczł, że pieką go oczy, a w sercu zagościł ogromny smutek na myśl o innym

Paulu Scheibem – tym, którym był niegdyś, butnym i aroganckim. Dawnym Paulu Scheibem, na którym mściły się dziś podjęte w przeszłości decyzje.

Przeszłość go doganiała i mogła zabić.

PIĘĆ DNI PO PIERWSZYM MORDERSTWIE, WTOREK 23 SIERPANIA 2005

10.00, wydział archeologii, Uniwersytet Hamburgski

Severts uśmiechał się na tyle szeroko, na ile pozwalała mu wąska, pociągła twarz. Był ubrany inaczej niż na wykopaliskach w HafenCity – miał na sobie spodnie w prążki, grubą tweedową marynarkę z niemodnie wąskimi klapami i rozpiętą pod szyją koszulę w kratę włożoną na czarny T-shirt. I choć jego strój był teoretycznie bardziej oficjalny niż tamten w terenie, to nadal dominował ziemisty kolor. Gabinet Severtsa był jasny i przestronny, choć zavalony książkami, papierami i jakimiś znaleziskami archeologicznymi. Szerokie, panoramiczne okno zalewało pokój światłem, choć widać było przez nie tylko drugie skrzydło budynku.

Archeolog poprosił Fabla, by usiadł. Nadkomisarz z zaskoczeniem odkrył, że w stroju Severtsa, jego gabinecie i parafernaliach jest coś, co wzbudza w nim uczucie lekkiej zazdrości. Przez chwilę myślał o tym, jak niewiele brakowało, żeby poszedł tą samą drogą; jak bardzo interesował się historią Europy i jak w czasach studenckich planował swoją karierę. I wtedy nagle jeden bezsensowny akt przemocy, szok po śmierci bliskiej mu osoby, zadanej przez kogoś obcego, sprawił, że wszystkie plany wzięły w łeb.

Zamiast odkrywać tajemnice przeszłości, zaczął odkrywać tajemnice śmierci.

Na wielkiej mapie Niemiec wiszącej nad biurkiem Severtsa zaznaczono wszystkie ważniejsze stanowiska archeologiczne w Republice Federalnej, Holandii i Danii. Obok wisiał dużych rozmiarów plakat. Obraz poruszał – była to martwa kobieta leżąca na wznak. Ubrana w wełnianą pelerynę z kapturem,

ciasno opinającą jej smukłe ciało. Kaptur był przyozdobiony długimi piórami, a długie rudobrązowe włosy kobiety rozdzielał przedziałek pośrodku. Skóra na twarzy i nogach, widoczna w załamaniach peleryny, przypominała wyglądem papier i wyglądała tak samo jak u mężczyzny znalezionego w HafenCity.

– Ach... – Severts zauważył wzrok Fabela utkwiony w fotografii. – Widzę, że pan też znalazł się pod wpływem jej uroku... To miłość mojego życia. Ma niezwykłą zdolność podbijania męskich serc. A także zadziwiania – to ona przewróciła do góry nogami całą naszą wcześniejszą wiedzę na temat Europy. Herr Fabel, pozwól pan, że przedstawię prawdziwie tajemniczą damę... Piękność z Loulan.

– Piękność z Loulan – powtórzył Fabel. – Loulan... gdzie to dokładnie jest?

– W tym sęk! – zawołał z ożywieniem Severts. – A jak pan myśli, skąd ona pochodzi? Jakie jest jej pochodzenie etniczne?

Fabel wzruszył ramionami.

– Patrząc na kolor włosów i rysy, podejrzewam, że jest Europejką. Chociaż te pióra nadają jej wygląd Indianki.

– A ile pańskim zdaniem może mieć lat moja ukochana?

Fabel przyjrzał się uważniej. Ciało kobiety uległo mumifikacji, ale było znacznie lepiej zachowane niż jakiegokolwiek inne ciała z bagien, które widział w swoim życiu.

– Sam nie wiem... tysiąc ...najwyżej półtora tysiąca.

Severts nieśpiesznie pokręcił głową, a z jego twarzy nie zniknął uśmiech.

– Mówiłem panu, że to tajemnicza dama. To z mumifikowane ciało, Herr Fabel, liczy sobie ponad cztery tysiące lat. Ma blisko dwa metry wzrostu i za życia miała rude lub blond włosy. A co do miejsca jej odkrycia... to jest nie tylko tajemnicze, ale także intrygujące. – Podszedł do szafy na dokumenty i wyjął z niej grubego segregator.

– To mój rodzinny album – wyjaśnił Severts. – Mumie są moją pasją. – Usiadł przy biurku i zaczął przerzucać kartki, których większość stanowiły duże fotografie z doklejonymi z boków żółtymi fiszkami. W końcu wręczył Fabelowi jedno

błyszczące zdjęcie. – Ten dżentelmen pochodzi z tej samej części świata i jest znany jako Człowiek z Cherchen. I tak zamierzałem go panu pokazać, ponieważ ma związek ze zmumifikowanym ciałem z HafenCity. Proszę spojrzeć. Ten człowiek nie żyje od trzech tysięcy lat.

Fabel przyjrzał się fotografii. To było zdumiewające. Przez krótką chwilę Fabel policjant znów stał się studentem historii i czuł radosne podniecenie, które towarzyszyło mu zawsze, ilekroć otwierały się przed nim wrota przeszłości. Ciało mężczyzny na fotografii było znakomicie zachowane, a podobieństwo do znalezionej w HafenCity uderzające. Z tą różnicą, że skóra nieboszczyka sprzed trzech tysięcy była lepiej zachowana i bardziej napięta. Miał ciemne włosy, krótko przyciętą bródkę i pełne, lekko rozwarte wargi, ukazujące idealnie zdrowe zęby.

– Człowiek z Cherchen zachował się, ponieważ leżał spokojnie przez trzy tysiące lat w pozbawionym powietrza środowisku. Proces mumifikacji był dokładnie taki sam jak w przypadku mężczyzny z HafenCity. I tu, i tu został uchwycony moment w czasie, który możemy teraz podziwiać.

– To niesamowite... – powiedział Fabel. Przyjrzał się jeszcze raz mężczyźnie. Taką twarz mógł spotkać choćby dzisiaj na ulicach Hamburga.

– Mówimy o odległej przeszłości. – Severts zdawał się czytać w myślach Fabla. – Ale chociaż on żył trzy tysiące lat temu, to jest to sto ileś pokoleń. Proszę pomyśleć, tak niewielu ludzi dzieli go od pana i mnie. Herr Brauner wspominał, że studiował pan historię, więc rozumie pan, co mam na myśli, mówiąc, że wcale nie jesteśmy aż tak bardzo oddzieleni od naszej historii, naszej przeszłości, jak nam się czasem wydaje. I jeszcze jedno à propos tego dżentelmena. Podobnie jak Piękność z Loulan, Człowiek z Cherchen był wysoki, miał ponad dwa metry wzrostu. Umarł w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat. Jak pan widzi, Herr Fabel, nikt nie jest tym, za kogo się uważa. Piękność z Loulan i Człowiek z Cherchen należą do grupy nieprawdopodobnie dobrze zachowanych ciał, odnalezionych w tym samym rejonie i mających takie same

wskaźniki kulturowe. Wszystkie są odziane w kolorowe pledy, podobne do szkockich tartanów, wszystkie są wysokie i mają jasną karnację. Wszyscy ci ludzie żyli od trzech do czterech tysięcy lat temu. Otóż, Herr Fabel, Cherchen i Loulan znajdują się we współczesnych Chinach. Te ciała są znane jako mumie z Ürümqi. Pochodzą z Kotliny Kaszgarskiej w regionie autonomicznym Sinciang-Ujgur w zachodnich Chinach. Panuje tam suchy klimat i ciała zostały pogrzebane w bardzo drobnym, suchym piasku. Mówi się, że chińscy archeolodzy, kiedy wykopali kobietę z Loulan, rozplakali się na widok jej urody. Ich odkrycie wywołało spore zamieszanie. Chińskie władze i establishment archeologów nie chcą przyznać, że Europejczycy przybyli do tego regionu i podbili go cztery tysiące lat temu. W Ujgurii żyją dwie zwaśnione społeczności, Turków i Chińczyków, i tureccy nacjonaliści uznali Piękność z Loulan za symbol swoich praw do tej ziemi. Tymczasem te mumie nie są ani tureckie, ani chińskie. Ci ludzie kulturowo byli Celtami. Może nawet proto-Celtami. Przeprowadzone w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku testy DNA wykazały ponad wszelką wątpliwość, że byli Europejczykami. Markery genetyczne łączą ich ze współczesnymi Finami i Szwedami, a także z ludźmi mieszkającymi na Korsyce, Sardynii i w Toskanii.

– Oczywiście – odezwał się Fabel. – Przypominam sobie, że czytałem o tych odkryciach. Jeśli dobrze pamiętam, rząd chiński robił wszystko, co w jego mocy, żeby pomniejszyć wagę znaleziska. To godziło w ich poczucie jedności etnicznej jako narodu.

– Dobrze wiemy, jakie niebezpieczeństwa niesie taki sposób myślenia – odrzekł Severts. – Jak już mówiłem, nikt z nas nie jest tym, za kogo się uważa. – Obrócił się na obrotowym krześle i spojrzał na mumię kobiety. – Niezależnie od sporów toczących się wokół Piękności z Loulan i Człowieka z Cherchen stanowią oni teraz część naszego świata. Naszych czasów. I są tu po to, żeby opowiedzieć nam o swoim życiu. Tak samo jak nasza mumia w HafenCity opowiada o nieodległej przeszłości. – Severts wskazał na fotografię mężczyzny sprzed trzech

tysięcy lat trzymaną przez Fabla. – Chociaż żyli w tak odległych okresach, różnica w stanie zachowania ciała jest niewielka. Gdybyśmy go nie znaleźli, Człowiek z HafenCity mógłby leżeć przez następne trzy tysiące lat. I pozostałby taki sam. Wyglądałby tak samo... Oczywiście wykorzystujemy techniki datowania, ale często w ocenie wieku znaleziska opieramy się raczej na artefaktach i tak zwanym kontekście kulturowym. Dlatego jeszcze raz powrócę do naszej dwudziestowiecznej mumii. – Severts sięgnął do szuflady biurka i wyjął z niej szczelnie zamkniętą plastikową torebkę. Znajdował się w niej niewielki czarny portfel i jakiś ciemnobrązowy kartonik.

Fabel wziął torebkę do ręki i otworzył. Kartonik okazał się książeczką. Na okładce widniał orzeł ze swastyką.

– To jego dokument tożsamości – wyjaśnił Severts. – To ciało już nie jest bezimienne.

Książeczka była wysuszona i krucha; cała, łącznie z fotografią, w różnych odcieniach brązu. Mimo to poznał twarz młodego mężczyzny o blond włosach. Na twarzy wciąż widniały ślady dojrzwania, choć zarysowywały się już ostrzejsze, męskie rysy. Fabel sam był zdziwiony, że od razu go rozpoznał.

Miał na imię Kurt. Twarz, na którą teraz patrzył, i twarz z wykopalisk w HafenCity należały do Kurta Heymanna, urodzonego w lutym tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku, zamieszkałego w hamburskiej dzielnicy Hammerbrook. Fabel jeszcze raz przeczytał treść dokumentu. Miałby teraz siedemdziesiąt osiem lat. Trudno to było pojąć. Dla Kurta Heymanna, wówczas szesnastoletniego, czas zatrzymał się w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku. Został skazany na wieczną młodość.

Przejrzał skórzany portfel. On też stracił całą swoją miękkość, jego powierzchnia przypominała pod palcami pergamin. W środku znajdowały się resztki banknotów i fotografia młodej dziewczyny o blond włosach. W pierwszej chwili Fabel pomyślał, że to zdjęcie ukochanej, ale dostrzegł pewne podobieństwo. Może siostra.

Fabel podziękował Severtsowi i wstał, oddając mu fotografię Człowieka z Cherchen. Kiedy Severts otworzył segregator, żeby

odłożyć zdjęcie na miejsce, inna fotografia przykuła uwagę Fabela.

– A to jest ktoś, kogo znam... – Uśmiechnął się. – Fryzyczyk, taki jak ja. Mogę?

Fabel wyjął fotografię. W przeciwieństwie do innych mumii twarz tej uległa kompletnemu zeszkieleceniu i tylko gdzieś tam ostały się resztki brązowej pergaminowej skóry. Niezwykle w tej postaci było to, że nienaruszona pozostała gęsta grzywa włosów i broda. I właśnie włosom zawdzięczał swoje imię. Choć oficjalnie naukowcy nazywali go tak samo jak brzmi nazwa fryzyjskiej wioski, obok której go znaleziono w tysiąc dziewięćsetnym roku, to opinię publiczną poruszył jaskraworudy kolor jego włosów.

– Tak. To słynny Rudowłosy Franz – powiedział Severts. – A właściwie Człowiek z Neu Versen. Wspaniały, prawda? I w dodatku pański pobratymiec, jak zrozumiałem?

– Mniej więcej. Ja pochodzę z terenów bardziej na północ. Z Norddeich. Neu Versen leży koło bagien Bourtanger. Ale o Rudowłosym Franzu słyszę od dziecka.

– To jest świetny przykład człowieka, który wie drugie życie – życie w naszych czasach. Objeżdża cały świat z wystawą „Tajemniczy ludzie z bagien”. Jeśli się nie mylę, w tej chwili gości w Kanadzie. No i stanowi przykład tego, co Franz Brandt mówił panu tam, na wykopaliskach, o różnych rodzajach mumifikacji. Został wydobyty z mokradeł i jest zupełnie różny od ciał z Ürümchi. Wszystkie jego tkanki zgniły i pozostała tylko skóra, obkurczona i zabarwiona przez kwasy. Innymi słowy, skórzany worek zawierający szkielet. Ale najbardziej niezwykle są jego włosy. To na pewno nie jest ich naturalny kolor. Zafarbowały ją taniny występujące w bagnie.

Fabel słuchał Severtsa, wpatrując się jednocześnie w fotografię. Rudowłosy Franz z koroną płomiennych włosów i szeroko rozwartymi szczękami zdawał się krzyczeć do Fabela. Włosy. Farbowane, rude włosy.

Poczuł mrowienie na plecach.

11.00, dzielnica Altona Nord, Hamburg

Maria zapytała Wenera, czy mógłby ją przez jakąś godzinę zastąpić. Mówiąc to, stała już i zdejmowała z oparcia krzesła zakiet, więc było to raczej stwierdzenie niż prośba. Werner odsunął swoje krzesło od biurka, oparł się wygodnie i zaczął jej się uważnie przyglądać.

– Nie będzie zadowolony, kiedy się zorientuje... – Werner pogłaskał się po pokrytej szczecina głowie.

– Kto? – zapytała Maria. – I w czym się zorientuje?

– Wiesz dobrze, o czym mówię. Wychodzisz, żeby powęszyć w sprawie Olgi X, prawda? Szef powiedział wyraźnie, że masz sobie dać z tym spokój.

– Robię tylko to, o co mnie prosił. Idę do wydziału przestępczości zorganizowanej, żeby im naświetlić sprawę. Zastąpisz mnie czy nie?

Werner odpowiedział na agresywny ton w głosie Marii wzruszeniem barczystych ramion.

– Dam sobie tu radę.

Ten widok za każdym razem wywoływał u Marii przygnębienie.

Kiedyś ten budynek czemuś służył. Ludzie spędzali tu czas na pracy, jedli lunch na stołówce, rozmawiali ze sobą, omawiali kwestie wydajności, zysków, podwyżek płac. Kiedyś ten jednopiętrowy budynek w Altona-Nord był fabryką, niewielką, produkującą chyba jakieś elementy oświetleniowe czy coś podobnego, a teraz stanowił smętną, pustą skorupę. Mało które okno ocalało; z pokrytych graffiti ścian płatami odpadał tynk; na podłodze wały się gruz i śmieci.

Trudno uznać to miejsce za świątynię miłości.

Ale to tu właśnie królowała prostytutka najgorszego hamburskiego sortu – tu urzędowały uzależnione od heroiny i innych narkotyków dziewczyny, dostępne za dużo niższą cenę niż te bardziej wyrafinowane z Herbertstrasse. Pracowały na akord – jak najwięcej numerków w jak najkrótszym czasie, byle

zaspokoić narkotykowy głód lub zapełnić portfele alfonsów. W bladym świetle dnia widoczne były tego dowody – na brudnej fabrycznej posadzce wały się zużyte prezerwatywy.

Olga X nie była narkomanką. Dowiodła tego sekcja zwłok. Sprzedawała pod przymusem swoje ciało w tym obskurnym, zapuszczonym miejscu z innego powodu.

Maria przeszła przez przestronną halę fabryczną i zatrzymała się kilka metrów przed jednym z narożników. Jak na ironię, był on czysty i pusty. Ekipa kryminalistyczna badająca miejsce zbrodni zabrała do badania każdy kawałek gruzu. To było trzy miesiące temu, ale najwidoczniej dziewczyny sprowadzające tu swoich klientów unikały tego narożnika. Może czuły, że to miejsce jest przeklęte. Albo nawiedzone. Tylko jedna rzecz przybyła – mały bukietek zwiędłych kwiatów leżał smutno w kącie. Ktoś położył go jako wzruszającą pamiątkę po życiu, które tu zgasło.

Maria zapamiętała ten narożnik tak, jak wyglądał wtedy. Olga nie była dużą dziewczyną. Drobną, leżała w kącie z rozrzuconymi w nieładzie rękami i nogami, a jej krew mieszała się z pyłem, tworząc mdłą, zapiaszczoną pastę. Maria nigdy nie pozwalała, żeby widok miejsca zbrodni zawładnął jej wyobraźnią, tak jak to się działo z jej kolegami, ale tym razem stało się inaczej. Nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego patrzenie na krucho szczątki anonimowej prostytutki skazało ją na bezsenne noce, ale niejednym razem przychodziło jej do głowy, że przyczyną jest fakt, iż sama o mało nie padła ofiarą mordercy. Poruszył ją też sposób, w jaki ta dziewczyna została oszukana. Większość morderstw, jakimi zajmował się wydział zabójstw, dotyczyła pewnego określonego środowiska – wykolejonych alkoholików, narkomanów, złodziei, dilerów i, oczywiście, prostitutek. Ale ta dziewczyna została do tego świata wepchnięta siłą. To, co miało być obietnicą nowego, lepszego życia na Zachodzie, dobrej pracy i jasnej przyszłości, okazało się oszustwem. Olga, czy jak tam rzeczywiście miała na imię, oddała swoje pieniądze, pewnie wszystkie, jakie zdołała uciulać, i trafiła do niewoli, która zakończyła się nędną, anonimową śmiercią.

Maria przyklęła i przyjrzała się zwiędniętemu bukietowi. Nie był duży, ale przynajmniej ktoś zauważył, że jakaś osoba, istota ludzka, ze swoją przeszłością, nadziejami i marzeniami, straciła tu życie. Kogoś obeszło to na tyle, by położył tu kwiaty. A teraz, po długim dyskretnym wypytywaniu, Maria wiedziała, kim była ta osoba.

Wyprostowała się, słysząc trzaśnięcie drzwiami w drugim końcu hali i zbliżający się odgłos kroków.

11.10, dzielnica Eppendorf, Hamburg

– Zdaje pan sobie sprawę, że to daleko odbiega od przyjętych norm. – Doktor Minks zaprowadził Fabla do swojego gabinetu i gestem zaprosił go, by zajął miejsce na obitym skórą krześle. – Chodzi o to, że nie mogę naruszyć tajemnicy lekarskiej. – Minks usiadł w fotelu naprzeciw nadkomisarza i przyglądał mu się znad okularów. – Zazwyczaj nie rozmawiam na temat pacjentów bez nakazu, ale Frau Dreyer osobiście zapewniła mnie, że będzie zadowolona, jeśli omówię z panem wszystkie aspekty jej choroby i leczenia. Zaznaczam, tego rodzaju sytuacja sprawia, że nie czuję się komfortowo.

– Rozumiem pana – odrzekł Fabel. Czuł się dziwnie nieswojo, siedząc w fotelu naprzeciw tego dziwnego małego człowieczka w pomiętym garniturze. Uświadomił sobie, że to jest fotel, w którym doktor Minks sadzał swoich pacjentów, i wcale nie poprawiło to jego nastroju. – Ale muszę panu wyznać, że moim zdaniem wina Kristiny Dreyer ogranicza się do zniszczenia cennych dowodów śledczych. Jednak nawet za to nie będzie ścigana, gdyż takie zachowanie wynikało z jej stanu psychicznego.

– Ale trzymacie moją pacjentkę w areszcie – zauważył Minks.

– Jeszcze dzisiaj zostanie uwolniona. Mogę dać panu na to słowo. Jednak zostanie poddana dalszym badaniom mającym na celu ocenę jej zdrowia psychicznego.

Minks pokręcił głową.

– Kristina Dreyer jest moją pacjentką i jestem przekonany, że

może powrócić do społeczeństwa. Wasz psycholog mnie także poprosił o ocenę. Wysłałem ją dziś rano. A tak przy okazji, byłem zaskoczony, kiedy dowiedziałem się, że waszym psychologiem jest doktor Eckhardt.

– Zna pan Susanne? – zapytał zdumiony Fabel.

– Na pewno nie tak dobrze jak pan, nadkomisarzu.

– Doktor Eckhardt i mnie łączy... – Fabel gorączkowo szukał odpowiedniego słowa. Zirytował się, czując, jak jego policzki zalewa fala gorąca – ...stosunki zawodowe, a także osobiste.

– Rozumiem. Znam Susanne Eckhardt z Monachium. Byłem jej wykładowcą, a ona była zdolną i wnikliwą studentką. Jestem pewien, że to cenny nabytek dla policji w Hamburgu.

– Ona... – zaczął Fabel. Wspomniał Susanne, że zamierza się spotkać z Minksem i teraz był zdziwiony, że nie powiedziała mu, iż go zna. – Ona właściwie nie pracuje w policji. Jest zatrudniona w Instytucie Medycyny Sądowej tu, w Eppendorfie, a w wydziale zabójstw jest specjalną konsultantką.

Nastąpiła przerwa, podczas której Minks nieprzerwanie wpatrywał się w Fabla, jakby ten był wymagającym diagnozy pacjentem. W końcu Fabel przerwał milczenie.

– Leczył pan Kristinę Dreyer z fobii?

– Ściśle mówiąc, nie. Leczyłem u pani Dreyer cały zespół zaburzeń psychicznych. Jej irracjonalne lęki stanowiły zaledwie manifestację, objaw choroby. Kluczową sprawą było opracowanie takiej strategii leczenia, która pomogłaby jej wieść w miarę normalne życie.

– Zna pan okoliczności, w jakich została znaleziona Kristina Dreyer, i jej zapewnienia, że czuła się zmuszona do posprzątania miejsca zbrodni. Muszę zapytać pana wprost: czy uważa pan, że Kristina Dreyer byłaby zdolna do zamordowania Hansa-Joachima Hausera?

– Nie. Zwykle nie snuję domysłów, czy stan psychiczny moich pacjentów może ich popchnąć do popełnienia przestępstwa, ale odpowiadam – nie. Wierzę w zapewnienia Kristiny i w to, że nie zamordowała Hausera. To jest przerażona kobieta. Właśnie dlatego leczę ją w Klinice Strachu. Kiedy wcześniej zabiła, stało

się tak, ponieważ jej strach osiągnął stadium, którego ani pan, ani ja nie potrafimy sobie wyobrazić. Ten strach dał jej siły, o jakie nie podejrzewalibyśmy kobiety jej postury. Zabijając, zareagowała na bezpośrednie zagrożenie swojego życia, należy też pamiętać, że ten człowiek długo się nad nią znęcał. Ale to przecież pan wie, Herr Fabel, prawda?

– Dziękuję za opinię, panie doktorze... – Fabel wstał i czekał, aż Minks podniesie się z fotela. Tymczasem psychiatra wciąż siedział, wpatrując się w nadkomisarza. Z wyrazu twarzy Minksa nie dawało się nic wyczytać, ale Fabel czuł, że zastanawia się nad tym, co powiedzieć. Fabel usiadł z powrotem na krześle.

– Znałem Hansa-Joachima Hausera – odezwał się Minks. – Pańską ofiarę morderstwa.

– Och... – Fabel był zaskoczony. – Przyjaźniliście się panowie?

– Nie... Na litość boską, nie. Właściwie poprawniej byłoby powiedzieć, że nigdy go znałem. Lata temu. Spotkałem się z nim wówczas kilka razy, ale nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Właściwie nigdy go specjalnie nie lubiłem. – Minks przerwał. – Jak pan wie, lecę tu przyczyny i skutki strachu. Fobie i choroby, które je wywołują. Uczę moich pacjentów, że nie mogą nigdy pozwolić, żeby fobie zaczęły kształtować ich osobowość, żeby to lęki definiowały, kim są. Ale to, oczywiście, nie jest prawda. Nasze lęki nas definiują. Kiedy dorastamy, uczymy się bać odrzucenia, niepowodzenia, samotności, a nawet miłości czy sukcesu. Stałem się ekspertem w analizowaniu ludzkiej osobowości na podstawie odczuwanych lęków. Na przykład pan, Herr Fabel... Podejrzewam, że pochodzi pan z typowego prowincjonalnego środowiska północnych Niemiec i przez całe życie mieszkał pan na północy. Wykazuje pan typowe dla Niemców z tego regionu zachowania: nim zacznie pan mówić czy działać, wycofuje się pan, by starannie przemyśleć problem. Dalej, potrzebuje pan potwierdzenia innych osób dla swoich opinii i działań. Boi się pan wykonania fałszywego kroku. Popęłnienia błędu. I konsekwencji z niego płynących. Dlatego potrzebował pan

potwierdzenia przeze mnie pańskiej opinii na temat Frau Dreyer.

– Nie musi pan zgadzać się z moimi teoriami, panie doktorze.
– Fablowi nie udało się do końca zapanować nad głosem. – Potrzebuję tylko pańskiej opinii na temat pacjentki. I myli się pan. Nie mieszkałem przez całe życie w północnych Niemczech. Moja matka jest Szkotką, a ja jako dziecko przez pewien czas mieszkałem w Wielkiej Brytanii.

– W takim razie tam musi panować podobny sposób myślenia. – Minks wzruszył ramionami gdzieś w czeluściach zbyt dużej, pogniecionej marynarki. – Tak czy inaczej, wszyscy odczuwamy jakieś lęki i to one są odpowiedzialne za sposób, w jaki reagujemy na otaczający nas świat.

– Co to ma wspólnego z Hauserem?

– Jednym z najczęściej odczuwanych lęków jest strach przed zdemaskowaniem. W każdym z nas tkwią takie elementy osobowości, których nie chcielibyśmy ujawniać przed światem. Niektórzy, na przykład, boją się swojej przeszłości. Tej innej osoby, którą niegdyś byli.

– Chce pan powiedzieć, że taki był Hauser?

– Może trudno panu w to uwierzyć, Herr Fabel, ale ja byłem kiedyś kimś w rodzaju radykała. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym byłem studentem i brałem aktywny udział we wszystkich tamtych wydarzeniach. Tyle że jestem zadowolony z tego, co robiłem i kim byłem. Wszyscy wówczas robiliśmy rzeczy dość nierozważne... ale wynikało to z młodzieńczej zapalczywości. Najważniejsze natomiast jest to, że udało nam się wiele zmienić. Dzięki naszemu pokoleniu Niemcy są dzisiaj innym krajem i jestem dumny z tego, że brałem w tym udział. Są jednak i tacy, których nie rozpiera duma. To właśnie w sześćdziesiątym ósmym po raz pierwszy spotkałem Hausera. Był napuszonym, zarozumiałym i nieprawdopodobnie próżnym młodym człowiekiem. Słyszał z przypisywania sobie cudzych pomysłów i bon motów.

– Nie rozumiem, jakie to może mieć znaczenie. Czy to powód, żeby bać się własnej przeszłości?

– Wygląda to niewinnie, prawda? Wykradanie cudzych

pomysłów... – Minks siedział tak głęboko zatopiony w fotelu, jakby całe życie studiował sztukę relaksu, ale nadal mierzył Fabla czujnym spojrzeniem. – Sęk w tym, czyje słowa zapożyczał... w czyje piórka się stroił. Ciekawe i niebezpieczne czasy mają to do siebie, że w radosnym podnieceniu można nie zauważyć zbliżającego się niebezpieczeństwa. Trudno uświadomić sobie, że wśród otaczających nas ludzi znajduje się ktoś naprawdę groźny.

– Doktorze Minks, czy ma pan mi do powiedzenia coś specjalnego na temat przeszłości Hausera?

– Specjalnego? Nie. Nie mogę wskazać niczego specjalnego... Ale mogę wskazać panu kierunek. Doradzałbym panu, panie nadkomisarzu, zajęcie się archeologią. Pogrzebanie w przeszłości. Nie jestem pewny, co... ale wiem, że coś pan znajdzie.

Fabel przyjrzał się niewysokiemu mężczyźnie w pomiętym garniturze. Nie potrafił go sobie wyobrazić w roli rewolucjonisty. Zastanawiał się, czy nie przycisnąć go mocniej, ale uznał, że to będzie bezskuteczne. Minks powiedział wszystko, co mógł, i dawał Fabelowi zawoalowaną wskazówkę.

– Znał pan także doktora Güntera Griebła? – zapytał Fabel. – On został zamordowany w ten sam sposób co Hauser.

– Nie... raczej nie. Czytałem o jego śmierci w gazetach, ale go nie znałem.

– Więc nic panu nie wiadomo o związkach łączących Hausera i Griebła?

Minks pokręcił głową.

– Domyślam się, że Griebel i Hauser byli rówieśnikami. Może pańskie poszukiwania dowiodą, że mieli wspólną przeszłość. Tak czy inaczej, poznał pan, nadkomisarzu, moją opinię na temat Kristiny. Nie jest zdolna do popełnienia tego rodzaju zbrodni.

Fabel wstał i znów czekał, aż Minks się podniesie. Uściśnieli sobie dłonie i podziękował doktorowi za pomoc.

– Ach, przy okazji – odezwał się Fabel przy drzwiach. – Przypuszczam, że zna pan jednego z moich oficerów, Marię Klee.

Minks roześmiał się i pokręcił głową.

– Pozwoliłem panu na dużo, Herr Fabel, ponieważ uzyskałem na to zgodę Kristiny Dreyer, ale nie zamierzam zdradzać tajemnicy lekarskiej i potwierdzać czy zaprzeczać, że pańska koleżanka jest moją pacjentką.

– Nie powiedziałem, że jest pacjentką – odrzekł Fabel, przestępując próg. – Sądziłem po prostu, że pan ją zna. Do widzenia, doktorze.

11.10, dzielnica Altona Nord, Hamburg

Kiedy kroki stały się głośniejsze, Maria wycofała się do kąta, gdzie pobito i uduszono młodą kobietę. Mimo powybijanych szyb w oknach hali fabrycznej, w narożniku było ciepło i duszno. W progu pojawiła się kobieta; rozejrzała się trwożliwie wokół i weszła do środka. Maria wynurzyła się z cienia; kobieta zauważyła ją i uspokojona zaczęła śmiało przemierzać halę.

– Nie mogę długo zostać... – odezwała się na powitanie, kiedy podeszła do Marii. Mówiła z wyraźnym wschodnioeuropejskim akcentem, układając zdania jak ktoś, kto uczył się niemieckiego na ulicy. Maria podejrzewała, że dziewczyna ma nie więcej jak dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery lata, choć z daleka wyglądała na starszą. Była ubrana w tanią jaskrawą sukienkę, tak krótką, że ledwie zasłaniała górną część ud. Miała gołe nogi i sandały na wysokich obcasach mocowane paskiem w kostce. Sukienka z cienkiego materiału, na wąskich ramiączkach opinała jej piersi, uwidoczniając kształt sutek. Cały strój był w zamierzeniu krzykliwie seksowny. Tymczasem barwność sukienki kontrastowała z bladą skórą i chudością ramion dziewczyny, nadając jej wygląd raczej żalostny.

– Nie chcę cię zatrzymywać długo, Nadiu – odpowiedziała Maria. – Potrzebne mi tylko nazwisko.

Nadia spojrzała przez ramię Marii na kąt hali. Kąt, w którym położyła bukiet kwiatów.

– Już pani mówiłam, nie wiem, jak się naprawdę nazywała.

– Nie chodzi mi o jej nazwisko – odrzekła spokojnie Maria. – Chcę wiedzieć, kto wysłał ją na ulicę.

– Nie miała alfonsa. A przynajmniej nie jednego konkretnego. Była tu nowa w grupie.

– W grupie?

– Wszystkie pracujemy dla tych samych ludzi. Ale nie powiem pani dla kogo. Zabiliby mnie, gdyby się dowiedzieli, że w ogóle z panią rozmawiałam.

Maria ujęła dłoń Nadii i obróciła ją wnętrzem do góry. Drugą ręką położyła na niej kilka banknotów po pięćdziesiąt euro i zacisnęła palce dziewczyny.

– To dla mnie bardzo ważne – powiedziała, patrząc jej prosto w oczy. – To ja płacę za tę informację, nie policja.

Nadia otworzyła dłoń, spojrzała na zgniecione banknoty i chciała je oddać Marii.

– Niech pani zabierze pieniądze. Nie zgodziłam się tu przyjść, żeby brać od pani pieniądze. Potrafię więcej zarobić w jedną noc.

– Ale tamte musisz oddać, prawda? – Maria nie sięgnęła po banknoty. – Jak poznałaś Olgę?

Nadia wybuchła śmiechem i pokręciła głową. W każdym jej ruchu dało się wyczuć strach. Zapaliła papierosa i Maria zauważyła, jak drżą jej ręce. Dziewczyna odchyliła głowę do tyłu i wypuściła obłoczek dymu.

– Uważa pani, że pieniądze coś znaczą? Myślę, że są odpowiedzialne za całe zło. Wcześniej sądziłam, że w Niemczech zarobię. I jak skończyłam? Ale wezmę te pieniądze. Wezmę, bo muszę udowodnić, że kiedy zniknęłam im z oczu, pracowałam.

Nadia zabrała trzy banknoty po pięćdziesiąt euro, a resztę oddała Marii.

– Ta dziewczyna, którą pani nazywa Olgą, nie była z Rosji, tylko z Ukrainy. Przywieźli ją tutaj ci sami ludzie co mnie.

Maria poczuła, że jej podejrzenia zaczynają się sprawdzać.

– Handlarze żywym towarem?

Gdzieś z zewnątrz, z okolic drzwi, doszedł ich jakiś hałas. Obie kobiety obróciły się jak na komendę i przez chwilę

wpatrywały w drzwi wejściowe, a kiedy nic się nie wydarzyło, wróciły do rozmowy.

– Powinna pani to wiedzieć – ciągnęła Nadia. – Sporo się w Hamburgu zmienia. Wcześniej były tu tylko dwa rodzaje dziwek – te z St Pauli, wśród nich można było nawet znaleźć dorabiające sobie studentki, i ćpunkki, które puszczały się za narkotyki. Te drugie to było dno. Teraz jest coś nowego. Jesteśmy my. Inne dziewczyny nazywają to targiem bydła... bo przywożą nas ze Wschodu jak bydło i potem sprzedają. Większość dziewczyn pochodzi z Rosji, Białorusi i Ukrainy. Sporo jest też z Albanii, trochę z Polski i Litwy.

– Kto zarządza tym targiem bydła?

– Jeśli pani powiem, zaczną pani ich szukać. Potem oni dowiedzą się, kto pani o nich powiedział, i zabiją mnie. Ale najpierw będą torturować. Potem zabiją moją rodzinę. Nie ma pani pojęcia, co to za ludzie. Kiedy przywożą nowe dziewczyny, najpierw je gwałcą. Potem biją i mówią, że załatwią ich rodziny, jeśli nie będą odpowiednio dużo zarabiać.

– To właśnie spotkało ciebie?

Nadia nie odpowiedziała, ale po jej nosie zaczęła spływać łza, którą szybko wytarła.

– I zrobili to samo dziewczynie, którą pani nazywa Olgą. Uwierzyła im. Mówili, że dostanie dobrą pracę na Zachodzie. Uwierzyła im, bo byli Ukraińcami, tak jak ona.

– Ukraińcami? – Maria poczuła ucisk w piersiach, jakby ciało kurczyło się wokół starej rany. – Powiedziałaś, że ludzie, którzy stoją za targiem bydła, to Ukraińcy?

Nadia rzuciła nerwowe spojrzenie na drzwi fabryki.

– Muszę już iść...

Maria spojrzała ostro na chudą, młodą prostytutkę.

– Słyszałaś o Wasylu Witrence?

Dziewczyna pokręciła przecząco głową. Maria zaczęła grzebać nerwowo w torebce; wreszcie wyjęła kolorową fotografię mężczyzny ubranego w radziecki mundur wojskowy.

– Wasyl Witrenko. Może obito ci się o uszy to nazwisko w związku z ludźmi, którzy sprowadzają ze Wschodu dziewczyny? Czy to może być on?

– Nie wiem. Nie poznaję go. Oddaję pieniądze komuś innemu.

– Jesteś pewna, że nigdy go nie widziałaś? – Maria podsunęła Nadii zdjęcie pod nos, a w jej głosie zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. – Przyjrzyj się tej twarzy. No, patrz!

Nadia spojrzała na fotografię.

– Nie... Nigdy wcześniej go nie widziałam. Takiej twarzy się nie zapomina.

Z postawy Marii znikło nagle napięcie. Zerknęła na trzymaną w rękę fotografię, z której spoglądały na nią szmaragdowe, zimne i okrutne oczy Wasyla.

– Tak... – powiedziała. – Takiej twarzy się nie zapomina.

12.30, port, Hamburg

Dirk Stellamanns był mundurowym, kiedy Fabel wstępował do hamburskiej policji. Wielkim, niedźwiedziowato życzliwym człowiekiem z nieodłącznym uśmiechem na twarzy. To od niego Fabel nauczył się tego wszystkiego o byciu policjantem, czego nie uczą w akademii – różnych subtelności i niuansów, sposobu wchodzenia do pokoju i szybkiego rozeznania się w sytuacji oraz oceny potencjalnego zagrożenia.

Dirk pracował w służbie patrolowej w słynnym komisariacie Davidwache w St Pauli. Przy dwustu tysiącach ludzi tygodniowo, przewijających się przez dwa kilometry kwadratowe barów, kin, dyskotek i lokali ze striptizem, najlepszą bronią policjanta na patrolu była umiejętność rozmawiania z ludźmi. Dirk nauczył Fabla, jak dzięki kilku odpowiednio dobranym słowom można rozładować wybuchową sytuację; jak kogoś, kto aż się prosił, żeby go zamknąć w areszcie, można odesłać z uśmiechem do domu. Wszystko zależało od sposobu podejścia. Fabel podziwiał umiejętności oratorskie Dirka, a nawet nieco mu ich zazdrościł. Był świadom swoich zalet, ale zdawał sobie też sprawę ze słabości – czasem wydobyłby więcej informacji z podejrzanego czy świadka, gdyby potraktował go nieco lepiej.

Dirk był tam, kiedy Fabel i jego partner zostali postrzeleni. Nieudana próba rabunku, dokonana przez członków grupy terrorystycznej, doprowadziła do tego, że Fabel został poważnie ranny. Jego partner nie przeżył. Franz Webern, dwudziestopięcioletni, od niecałych trzech lat żonaty i ojciec osiemnastomiesięcznego syna, leżał na ulicy przed budynkiem Commerzbanku i drżał z zimna, kiedy uchodziło z niego wraz z krwią ciepło, barwiąc na czerwono asfalt.

To był najczarniejszy dzień w karierze Fabla. Skończył się tym, że stał ranny na piersi nad Łabą, twarzą w twarz z siedemnastoletnią dziewczyną uzbrojoną w polityczne banały i broń, której nie chciała opuścić.

Nie chciała opuścić broni... Fabel przez lata powtarzał to zdanie niczym mantrę, próbując ulżyć własnemu sumieniu; strzelił jej w głowę, a ona wpadła jak potrząskana lalka do mrocznej, zimnej wody. Dirk odwiedzał Fabla. Każdego dnia, kiedy tylko nie miał służby. Od chwili gdy Fabel zaczął odzyskiwać przytomność, widział siedzącą cicho obok jego łóżka potężną postać Dirka.

To wtedy uświadomił sobie, że istnieją takie więzi, których – raz zadzierzgniętych – nie da się zerwać.

Teraz Dirk był na emeryturze. Od trzech lat prowadził na nabrzeżu budkę z zapiekankami. Fabel pojawiał się tam praktycznie co drugi wieczór; nie dlatego, że szczególnie cenił Currywurst w wydaniu Dirka, lecz dlatego, że obaj czuli potrzebę bezcelowego, nic nieznaczącego przekomarzania się, czyli tego, co było otoczką ich prawdziwej przyjaźni.

Czasem jednak Fabel potrzebował czegoś więcej. Kiedy prowadził sprawę, która już dała mu w kość, nie szedł do swojego najlepszego przyjaciela Otto Jensena, tylko do Dirka Stellamannsa.

Budka Dirka była taka sama jak osobowość jej właściciela – jasna i nieskazitelnie czysta. Otaczało ją kilka sięgających do piersi stołów z rozpiętymi nad nimi białymi parasolami. Na widok zbliżającego się Fabla Dirka, wciśnięty w idealnie czysty

biały fartuch, uśmiechnął się szeroko.

– Proszę, proszę... Widzę, że masz już dość drogich knajpek w Poseldorfie... – odezwał się do niego w języku fryzyjskim. Obaj pochodzili z Fryzji Wschodniej i zawsze porozumiewali się w tym charakterystycznym języku – mieszaninie niemieckiego, niderlandzkiego i staroangielskiego. – Podać ci jakieś prawdziwe jedzenie?

– Może być jever i krążek serowy – powiedział Fabel, uśmiechając się smętnie. Zawsze zamawiał to samo, kiedy pojawiał się tu w porze lunchu. Znow się rozżołościł na myśl o swojej przewidywalności. Wziął łyk cierpkiego, ziołowego wschodniofryzyjskiego piwa.

– Wyglądasz jak zwykle radośnie. – Dirk wychylił się z budki, opierając łokciami o blat. – Co się stało?

– Czytałeś o zabójstwie Hansa-Joachima Hausera?

– To o Fryzjerze z Hamburga? – Dirk wyduł wargi. – Zabił Hausera i jakiegoś naukowego wyrobnika. Ty się tym zajmujesz?

Fabel pokiwał głową i wypił kolejny łyk.

– To jakieś szaleństwo. Bóg jeden wie, jak prasa dowiedziała się o szczegółach, ale fakt, są prawdziwe. Ten facet naprawdę skalpuje ofiary.

– A to, że farbuje im włosy na rudo, to też prawda?

Fabel znowu przytaknął.

– O co tu chodzi? – Dirk miał minę pełną niedowierzania. – Bóg mi świadkiem, widziałem już niejedno, ale zawsze musi się pojawić jakiś popapraniec, który mnie czymś zaskoczy. Ten gość musi być porządnie stuknięty.

– Na to wygląda. – Fabel przyjrzał się swojej szklance z piwem, nim wypił kolejny łyk. – Dzielne jest jednak to, że on nie zabiera swoich trofeów. Przypina je w widocznym miejscu, tak żeby każdy mógł zobaczyć.

– Rodzaj przekazu?

– Zaczynam się nad tym zastanawiać. – Fabel wzruszył ramionami. Mimo świeżącego słońca w środku poczuł lodowate zimno. Może to za sprawą piwa. A może drzazga niepokoju, która pozostała po tym, jak zobaczył fotografię człowieka z Neu

Versen, Rudowłosego Franza, z włosami zabarwionymi na czerwono po tysiącletnim śnie w zimnej, bagnistej wodzie.

– W takim razie po co to robi? – Fabel skierował pytanie bardziej do siebie niż do Dirka. – Jakie znaczenie ma tutaj rudy kolor?

– Rudy, czerwony? To kolor ostrzegawczy, prawda? Albo o zabarwieniu politycznym. Czerwień to barwa rewolucji, dawnych Niemiec Wschodnich, komunizmu i tym podobnych. – Dirk urwał, żeby obsłużyć jakąś kobietę. Zaczekał, aż klientka znajdzie się poza zasięgiem jego głosu, i kontynuował: – A Hauser nie ocierał się przypadkiem o tamte wydarzenia w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych? Może twój morderca ma coś do czerwonych?

– Być może... – Fabel westchnął. – Kto wie, co się dzieje w jego głowie? Rozmawiałem dziś rano z kimś, kto zasugerował mi, żebym pogrzebał w przeszłości Hausera. A zwłaszcza w jego działalności politycznej. Ale nie pamiętam, żeby Hauser był zaangażowany w cokolwiek zbliżonego do „akcji bezpośredniej”.

– Nie wiadomo, Janie. Całe mnóstwo aktywnych dziś polityków skrywa jakieś tajemnice.

Fabel sięgnął po piwo.

– Tak czy inaczej, przyjrzę się temu... Tonący brzytwy się chwyta.

21.30, dzielnica Osdorf, Hamburg

Maria siedziała na sofie i trzymała pusty kieliszek do wina nad głową, machając nim, jakby dzwoniła dzwoneczkiem. Z kuchni wyszedł Frank Grüber i wziął od niej kieliszek.

– Nalać jeszcze?

– Nalać jeszcze. – Ton Marii był bezbarwny i ponury.

– Wszystko w porządku?! – zawołał Grüber z kuchni, gdzie wkładał naczynia z kolacji do zmywarki. Choć miał trzydzieści dwa lata, zachował wygląd uczniaka. Miał podwinięte do łokci rękawy koszuli, a gęsta grzywka ciemnych włosów spadała mu

na nastroszone w wiecznym wyrazie zdziwienia brwi. – Już trochę wypiął...

– Miałam ciężki dzień. – Spojrzała w jego kierunku i uśmiechnęła się. – Grzebałam w przeszłości rosyjskiej dziewczyny, którą zamordowano trzy miesiące temu. Ukraińskiej dziewczyny – poprawiła się.

– Myślałam, że przekazałaś komuś tę sprawę! – Po chwili pojawił się z kieliszkiem czerwonego wina i postawił go na stoliku przed Marią, a następnie usiadł obok niej na sofie.

– Tak... Ale chodzi mi o to, że ta dziewczyna nie ma nawet imienia. Prawdziwego imienia. Chcę je jej przywrócić. Przecież pragnęła tylko rozpocząć nowe życie. Stać się kimś innym, w innym miejscu. Boże święty, czasem ją rozumiem. – Upiła duży łyk barolo. Grüber położył rękę na oparciu sofy i delikatnie pogładził ją po włosach. Uśmiechnęła się do niego słabo.

– Martwię się o ciebie, Mario. Byłaś u lekarza?

Wzruszyła ramionami.

– Mam wizytę w tym tygodniu. Nienawidzę tego. I nie mam pojęcia, czy to mi pomaga. Ale zmieńmy temat... – Wskazała stojący pod ścianą salonu antyczny kredens. – Nowy nabytek? – zapytała.

Grüber westchnął, wciąż gładząc jej włosy.

– Tak... Kupiłem go w weekend. – Ton jego głosu wskazywał, że niechętnie zmienia temat. – Brakowało mi czegoś przy tej ścianie.

– Wygląda na drogi – zauważyła Maria. – Jak wszystko tutaj... – Ruchem dłoni, w której trzymała kieliszek, omiotła pokój i cały dom.

– Przepraszam – powiedział Grüber.

– Za co?

– Za to, że jestem bogaty. Człowiek nie wybiera, w jakiej rodzinie przychodzi na świat. Nie prosiłem się o bogatych rodziców.

– To mi nie przeszkadza... – odparła.

– Naprawdę? Żyję po swojemu. Zawsze byłem niezależny.

Ponownie wzruszyła ramionami.

– Już mówiłam, nie przeszkadza mi to. To musi być miłe mieć dużo pieniędzy. – Rozejrzała się. Wykończenie było gustowne i bardzo drogie. Wiedziała, że Grüber jest jedynym właścicielem tego dwupoziomowego apartamentu, znajdującego się w dolnej części ogromnej willi w Hochkamp w dzielnicy Osdorf. Podejrzewała, że jest także właścicielem pozostałej części willi, która była wynajmowana. Samo mieszkanie przedstawiało dużą wartość, a co dopiero mówić o całej willi. Hamburg był najbogatszym niemieckim miastem, a rodzice Grübera byli bogaci nawet jak na tutejsze warunki. Co więcej, Frank był ich jedynym dzieckiem. Kiedyś tłumaczył Marii, że rodzice stracili już nadzieję na posiadanie dziecka. Kiedy się urodził, dorastał w świecie, w którym dostawał wszystko, czego zapragnął. Miał odziedziczyć fortunę, choć i teraz nie brakowało mu pieniędzy. Maria często zastanawiała się, dlaczego wybrał karierę naukowca w laboratorium kryminalistycznym, skoro mógł robić, co tylko chciał.

– Posiadanie pieniędzy nie gwarantuje szczęścia – odrzekł.

– To zabawne. – Maria roześmiała się gorzko. – Za to ich brak gwarantuje nieszczęście... – Znów zaczęła myśleć o Oldze X, o Nadii i o ich marzeniach o nowym życiu na Zachodzie. Dla Olgi mieszkanie Grübera byłoby z pewnością spełnieniem marzeń. W swojej naiwności sądziłaby pewnie, że może się takiego dorobić ciężką pracą w niemieckim hotelu czy restauracji. Maria wyobrażała sobie Olgę zawsze w ten sam stereotypowy sposób – mała wioska gdzieś na szerokim stepie, otyłe *babuszki* w czarnych chustach na głowach, dźwigające ciężkie, wyładowane towarami kosze. I świeża, uśmiechnięta Olga spoglądająca na zachód. Maria zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie Olga pochodziła z ponurej, szarej, postkomunistycznej metropolii, ale nie mogła zapomnieć tamtego obrazu.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Frank – powiedziała, uśmiechając się. – Wiesz o tym? Jesteś uprzejmy, miły, przyzwoity. Nie rozumiem, dlaczego zawracasz sobie mną głowę. Twoje życie stałoby się dużo prostsze, gdybyś się ze mną nie wiązał.

– Czyżby? To mój wybór. I dobrze mi z tym.

Spojrzała na niego. Znała go już od roku. Parą byli od sześciu miesięcy, choć do tej pory nie poszli do łóżka. Wpatrywała się w jego duże, niebieskie oczy, chłopięcą twarz i gęstą czuprynę czarnych włosów. Pragnęła go. Odstawiła kieliszek i pochyliła się, obejmując jego głowę dłońmi i przyciągając do siebie. Zaczęli się całować; wcisnęła język w jego usta. Objął ją ramieniem i poczuła ciepło jego ciała.

– Chodźmy do sypialni – powiedziała, wstając i ciągnąc go za rękę.

Rozbierała się tak szybko, że urwała guzik przy bluzce. Nie chciała, żeby ten moment minął; nie chciała, żeby to okno do normalności nagle się zamknęło. Położyła się na łóżku i przyciągnęła go do siebie. Tak bardzo była go spragniona. Poczowała na sobie ciężar jego ciała i nagle zrobiło jej się duszno, zaczęła się krztusić. Nadeszła fala mdłości i teraz chciała już tylko krzyczeć, żeby zszedł z niej, żeby przestał jej dotykać. Spojrzała na łagodną, chłopięco przystojną twarz Franka i poczuła nagle głęboką odrazę. Zauważył, że coś jest nie tak, i odsunął się. Ale Maria zamknęła oczy i przyciągnęła go z powrotem do siebie. Z zaciśniętymi powiekami wyobrażała sobie, że patrzy na nią jakaś inna twarz, i odraza minęła.

Miała wciąż zamknięte oczy, kiedy Frank Grüber w nią wchodził i odsuwała od siebie odrazę, myśląc o innej twarzy – kanciastej i okrutnej. Twarzy patrzącej na nią zimnymi, pozbawionymi miłości, zielonymi oczami.

**DZIEWIĘĆ DNI PO PIERWSZYM MORDERSTWIE,
SOBOTA 27 SIERPNIĄ 2005**

20.30, Neumuhlen, Hamburg

Susanne nie powiedziała tego wprost, ale Fabel czuł, że nie jest zadowolona z jego braku entuzjastycznej reakcji na którekolwiek z mieszkań zakreślonych przez nią czerwonym flamastrem. Zdawał sobie sprawę, że jedną z przyczyn był fakt, iż każdą z reklamowanych nieruchomości oglądał nie w kategoriach czegoś, co umocni ich związek, lecz w kategoriach utraty niezależności. Utraty własnego miejsca. Wcześniej był przekonany, że tego właśnie pragnie, ale teraz, im bliżej było podjęcia decyzji, tym boleśnieszka stawała się niepewność.

Kolejną przyczyną, dla której nie umiał się zdecydować na konkretne mieszkanie, było to, że głowę miał zaprzątniętą próbą dokonania przełomu w śledztwie dotyczącym Fryzjera z Hamburga.

Niepewność Fabela pogłębiło tylko popołudnie spędzone z córką. Spotkali się w centrum miasta; patrząc na swoje szesnastoletnie dziecko, czuł ogarniającą go panikę. Gabi dorastała zbyt szybko i Fabel miał wrażenie, że stracił panowanie nad czasem; że ominęło go tyle wydarzeń w jej życiu.

Spędzili popołudnie, kupując ciuchy na Neuer Wall. A jeszcze rok temu byłoby to dla wyglądającej wówczas jak chłopczyca Gabi przekleństwem. Fabela bolało też trochę to, że córka zaczęła przypominać swoją matkę, a jego była żoną, Renate.

Ostatnio nosiła dłuższe włosy, tak jak Renate. Patrzył, jak Gabi robi zakupy, obserwował jej gesty i nawyki. Nie tylko jej włosy przywoływały wspomnienie Renate, ale także ruchy, podczas gdy uśmiech i naturalny sposób zachowania były takie jak u Lexa.

Po zakupach poszli na kawę do Alsterarkaden. Rathausmarkt i całe nabrzeże rzeki Alster roiły się od turystów. Hamburgskie biuro turystyki ogłosiło niedawno, że ten rok był dla niego jednym z najlepszych. Fabel z córką przekonali się o prawdziwości tego twierdzenia, czekając dziesięć minut na wolny stolik. Trochę czasu zajęło kelnerowi uprzątnięcie bałaganu pozostawionego przez jakąś amerykańską rodzinę. W tym czasie wpatrywali się w Alsterfleet i znajdujący się dalej Rathausmarkt. Fabel przyznał się Gabi do dręczącego go dylematu.

– Jeśli nie jesteś pewien, czy wspólne zamieszkanie jest dobrym pomysłem, to nie powinniście tego robić – doradziła mu.

– To był mój pomysł. To ja się uparłem.

– Ale teraz najwyraźniej ogarnęły cię wątpliwości, *dad*. – Gabi z przyzwyczajenia użyła angielskiego słowa. – To zbyt poważna decyzja, by podejmować ją bez absolutnej pewności. Może po prostu Susanne nie jest odpowiednia dla ciebie.

Nagle Fabel poczuł się głupio, rozmawiając o swoim życiu uczuciowym z własną córką. W końcu kiedyś wydawało mu się, że tą jedyną, odpowiednią dla niego jest jej matka.

– Myślałem, że lubisz Susanne – powiedział.

– Bo lubię. Naprawdę. Jest ideałem. – Gabi urwała i wbiła wzrok w Alsterfleet. – O to chodzi, tato... jest ideałem. Jest piękna, inteligentna, towarzyska... ma wspaniałą pracę... Jak powiedziałam, jest ideałem.

– Mam wrażenie, że uważasz to za coś złego.

– Wcale nie. Tylko może czasami Susanne jest zbyt idealna...

– Nie wiem, co masz na myśli – skłamał Fabel.

– Sama nie wiem... Niby jest taka towarzyska, a czasami wydaje się bardziej zamknięta w sobie niż... – Urwała.

– ...niż ja? – Fabel uśmiechnął się.

– Właśnie. Sprawia wrażenie, jakby cały czas coś w sobie dusiła. Może i jest zupełnie inna niż ty, ale mam wrażenie, że widzimy ją taką, jaką chce nam się pokazać – idealną Susanne. – Gabi wzruszyła bezradnie ramionami. – Och, wiesz, co mam na myśli... mimo to nie mogę o niej powiedzieć złego słowa. To z tobą jest problem. A problem ten polega na tym, że nie wiesz, czy jesteś gotowy na podjęcie tego rodzaju zobowiązania.

Fabel uśmiechnął się szeroko do córki. Miała dopiero szesnaście lat, a czasami wydawała się dużo mądrzejsza od niego. Kiedy tak siedzieli pośród turystów i zakupowiczów i patrzyli na łabędzie kołyszące się na wodach Alsterfleet, Fablowi przyszło do głowy, że w sprawie Susanne Gabi miała całkowitą rację.

Bez względu na ostateczną decyzję Fabel czuł, że Susanne jest coraz bardziej poirytowana jego brakiem zainteresowania. Postanowił zarezerwować stół w drogiej restauracji w Neumuhlen. Ponieważ lokal znajdował się o kilka minut drogi od mieszkania Susanne w Ovelgonne, spotkali się u niej i pojechali taksówką. Restauracja miała ogromne panoramiczne okna wychodzące na Łabę i las dźwigów na drugim brzegu. Rzeką płynęły w milczeniu olbrzymie cielska kontenerowców. Był to typowy krajobraz przemysłowy, choć hipnotycznie piękny; widać było, że wiele osób jedzących tu kolację jest nim zauroczonych. Susanne i Fabel dotarli do restauracji o ósmej trzydzieści, kiedy miękkie i ciepłe światło słońca wpadało przez szyby wprost do środka. Po raz pierwszy od wielu dni Fabel czuł się rozluźniony. Jego nastrój poprawił się jeszcze bardziej, kiedy zostali zaprowadzeni do stolika przy oknie.

Dzisiaj – pomyślał Fabel – nie popuszczę wszystkiego jałową dyskusją. Uśmiechnął się do Susanne, podziwiając posągowy kształt jej głowy i szyi. Była piękną, inteligentną i szlachetną kobietą. Ideałem. Tak jak powiedziała Gabi. Złożyli zamówienie i w oczekiwaniu na pierwsze danie rozmawiali niezobowiązująco. Nagle zdał sobie sprawę, że ktoś stoi obok

nich i szuka wzrokiem kelnera. Mężczyzna koło ich stolika był wysoki i nosił drogie ubranie. Fabel od pierwszej chwili wiedział, że skądś zna tę zadbaną twarz, ale nie mógł sobie przypomnieć skąd.

– Jannick? – Mężczyzna zwrócił się do Fabla zdrobnieniem imienia. Tak zwracali się do niego rodzice i brat; pod takim imieniem był znany w szkole, ale jedyną osobą w Hamburgu, która się w ten sposób do niego zwracała, był jego fryzyjski kumpel Dirk Stellamanns. – Jannick Fabel... czy to ty? – Mężczyzna zwrócił się w kierunku Susanne i nisko skłonił. – Przepraszam, że przeszkadzam... ale jestem szkolnym kolegą pani męża.

Susanne roześmiała się, ale nie sprostowała słów nieznajomego.

– Nic nie szkodzi... – Obróciła się do Fabla i uśmiechnęła psotnie. – Może nas sobie przedstawisz... Jannick?

– Oczywiście. – Fabel wstał i uściśnął dłoń mężczyzny, a następnie zwrócił się do Susanne z wyniosłym uśmiechem. – Susanne, pozwól, że ci przedstawię Rolanda Barta. Roland był jednym z moich najlepszych przyjaciół w szkole.

Susanne uściśnęła dłoń Barta, który po raz wtóry przeprosił za zamieszanie.

– Posłuchaj, Janie – zwrócił się do Fabla. – Nie chcę wam przeszkadzać, ale koniecznie musimy nadrobić zaległości. Jestem tu z żoną...

– Może się przysiadzicie? – zaproponowała Susanne.

– Nie, nie chcielibyśmy się narzucać.

– To żaden problem – powiedział Fabel i skinął na kelnera. – Miło będzie nadrobić zaległości...

Bartz wrócił na chwilę do swojego stolika i wrócił z atrakcyjną, zdecydowanie młodszą od niego kobietą. Fabel słyszał – chyba od matki – że Bartz kilka lat temu rozwiódł się z pierwszą żoną. Nowa Frau Bartz, która przedstawiła się jako Helena, wymieniła z nimi uściski dłoni i usiadła przy stoliku.

Fabla i Barta szybko pochłonęła rozmowa na temat losów ich szkolnych kolegów. Powracały dawno zapomniane nazwiska, do których Fabel usiłował dopasować twarze. Kiedy

mu się to udawało, była to zazwyczaj twarz nastolatka, nie potrafił bowiem sobie wyobrazić dawnych kolegów jako mężczyzn w średnim wieku. Nawet Bartz wyglądał nie tak, jak powinien. Kiedyś był niezgrabnym, tyczkowatym młodzieńcem, który pierwszy w klasie zaczął palić i nie mógł sobie poradzić z trądzikiem na bladej twarzy. Teraz był eleganckim panem w średnim wieku z włosami przyprószonymi siwizną i cerą, już nie bladą i cętkowaną, ale opaloną przez na pewno inne słońce niż to hamburskie. Musiał sobie dobrze radzić w życiu. Ich głównym tematem było to, co robili przez te wszystkie lata, kiedy się nie widzieli. Bartz był zaskoczony na wieść, że Fabel jest detektywem w wydziale zabójstw.

– Boże, Jannick... bez urazy, ale to dziwaczne. Nigdy bym nie przypuszczał, że zajmiesz się taką profesją. Myślałem, że będziesz dalej studiował historię...

– Studiowałem – odparł Fabel. – Tyle że potem zmieniłem zainteresowania.

– Mój Boże... policjant. W dodatku nadkomisarz. Kto by przypuszczał?

– Rzeczywiście, kto by przypuszczał. – Fabla zaczęło denerwować podejście Bartz'a. Musiał to zauważyć.

– Przepraszam... Nie zamierzałem być niegrzeczny. Po prostu zawsze chciałeś zostać historykiem. To znaczy... to, co robisz, jest wspaniałe... ale ja bym chyba nie mógł.

– Czasem też się sam sobie dziwię. A co u ciebie?

– U mnie? Od lat tkwię w biznesie oprogramowania komputerowego. Mam własną firmę. Specjalizujemy się w oprogramowaniu do celów badawczych i naukowych. Zatrudniamy ponad czterysta osób i eksportujemy nasze produkty na cały świat. Nie ma chyba na ziemi takiego uniwersytetu, który nie korzystałby z naszych programów.

Później obie pary wdały się w niezobowiązującą rozmowę. Żona Bartz'a Helena była uroczą kobietą, ale marnym partnerem do rozmowy. Dla Fabla było oczywiste, że Bartz nie ożenił się z nią dla jej przymiotów intelektualnych. Za to rozmowa ze szkolnym kolegą była prawdziwą przyjemnością. Susanne, jak zwykle, podbiła serca wszystkich swoją otwartą

naturą. W pewnej chwili Fabel zauważył jednak, że Bartz dziwnie mu się przygląda. Tak jakby go oceniał.

Jedli i rozmawiali, póki prawie zupełnie nie opustoszała sala. Bartz nalegał na zapłacenie rachunku i wezwał taksówkę, która miała go wraz z żoną zawieźć do Blankense, gdzie, jak określili, mieli uroczę mieszkanko.

Fabel i Susanne odprowadzili Rolanda i Helenę do taksówki. Nocne powietrze wciąż było ciepłe i przyjemne. Nad znajdującą się na drugim brzegu Łaby stoczną mrugały gwiazdy.

– Może was gdzieś podrzucić? – zapytał Bartz.

– Dziękuję, poradzimy sobie. Wspaniale było cię znowu widzieć, Rolandzie. Musimy się postarać utrzymać kontakt.

Obie panie pocałowały się na pożegnanie i Helena wsiadła do taksówki. Roland chwilę się ościagał.

– Posłuchaj, Janie. Mam nadzieję, że się nie obrazisz, ale nie wydajesz się specjalnie zadowolony, kiedy mówisz o swojej pracy. – Bartz wręczył mu swoją wizytówkę. – Tak się składa, że poszukuję osoby na stanowisko dyrektora sprzedaży. Kogoś, kto zajmie się handlem z jankesami i Brytolami. Wiem, że porozumiewasz się biegle po angielsku i zawsze byłeś najbystrzejszym chłopakiem w szkole.

Fabel był zaskoczony.

– Rety... dzięki. Ale ja nie mam pojęcia o komputerach...

– To nie ma znaczenia. Mam czterystu ludzi, którzy się na tym znają. Potrzebuję kogoś, kto się zna na ludziach. W twoim zawodzie wiesz najlepiej, co ludźmi kieruje. A wiedzę o komputerach potrafisz, jak cię znam, przyswoić sobie w kilka miesięcy. Już mówiłem, że byłeś najbystrzejszy.

– Nie wiem...

– Posłuchaj, przy tym, co u mnie zarobisz, policyjna pensja to marne grosze. A i godziny pracy bardziej odpowiednie. No i mniejszy stres. Susanne mówiła, że szukacie dla siebie nowego lokum. Uwierz mi, tego rodzaju praca będzie dla ciebie wymarzona. Zawsze cię lubiłem, Jannick. Wiem, że jesteśmy teraz innymi ludźmi. Dorośliśmy. Ale nie sądzę, żebyśmy się aż tak bardzo zmienili. Proszę cię tylko, żebyś to przemyślał.

– To ci mogę obiecać. – Fabel uściśnął dłoń szkolnego kolegi.

– Wystarczy, że zadzwonisz i masz tę pracę. Ale nie zwlekaj zbyt długo z decyzją. Zależy mi na czasie.

Kiedy odjechali, Susanne wzięła Fabla pod rękę.

– O co chodziło?

– Nic takiego. – Odwrócił się do niej i pocałował ją. – Ładna para, prawda? – powiedział, chowając wizytówkę Bartza do kieszeni.

JEDENAŚCIE DNI PO PIERWSZYM MORDERSTWIE, PONIEDZIAŁEK 29 SIERPNIĄ 2005

9.30, dzielnica Neustadt, Hamburg

Cornelius Tamm siedział i zastanawiał się, jaka różnica pokoleniowa dzieli go od siedzącego naprzeciwko niego młodego człowieka. Był dość młody, żeby być jego synem, ba!, nawet wnukiem. Poważny wiek Corneliusa jednak jakby nie zniechęcał młodzieńca, który przedstawił się jako Ronni, miał pokryte żelazem włosy, odstające uszy, śmieszna kozią bródkę i zwracał się do niego per ty. Najwyraźniej wydawało mu się, że są kolegami albo że jego stanowisko szefa produkcji upoważnia go do takiej poufałości.

– Cornelius Tamm... Cornelius Tamm... – Ronni przez ostatnie dziesięć minut mówił o karierze zawodowej Corneliusa, przy czym uwagę zwracał czas przeszły, którego używał. Teraz siedział, powtarzając w kółko jego nazwisko i wpatrując się w niego znad szerokiego biurka, tak jak patrzy się na wywołujące nostalgię, ale niezbyt cenne pamiątki.

– Powiedz mi, Corneliusie... – Chłopiec z wielkimi ideami i jeszcze większymi uszami rozszerzył wargi w niezbyt serdecznym uśmiechu – ... jeśli wolno spytać... skoro chcesz wydać płytę ze swoimi największymi przebojami, dlaczego nie skorzystasz ze swojej dotychczasowej wytwórni? To uprościłoby kwestię praw autorskich et cetera.

– Nie nazwałbym ich moją wytwórnią. Nie nagrywałem u nich od lat. Ostatnio głównie koncertuję. To dużo lepsze... Kontakt z widownią dobrze mnie nastraja...

– Zauważyłem, że sprzedajesz swoje płyty przez internet – przerwał Corneliusowi młodzieniec. – Jak idzie sprzedaż?

– Radzę sobie... – Corneliusowi nie podobał się wygląd młodego człowieka. Nie dość, że nosił irytującą kozią bródkę, to na dodatek był niski, a jego prawe ucho odstawało dużo bardziej niż lewe. W rekordowo krótkim czasie Ronniemu udało się sprawić, że początkowa umiarkowana niechęć Corneliusa zmieniła się w dojrzałą, zapiekłą nienawiść.

– Przypuszczam, że twoje kawałki kupują tylko dziadki... Nie, nie, to nic złego. Mój tata był twoim wielkim fanem. I całego tego nurtu protestu z lat sześćdziesiątych. – Cornelius spędził wiele godzin nad swoją prezentacją, w której udawał, że płyta z jego najgłośniejszymi przebojami będzie się sprzedawać nie tylko wśród dotychczasowych fanów, ale zainteresuje też nowe pokolenie niezrażonej do niej młodzieży. Dokument leżał na biurku przed Ronnim. Nieotwarty. – Jest całe mnóstwo piosenkarzy twojego pokolenia. Obawiam się, że oni już się nie sprzedają. A jeśli, to pod warunkiem że przygotowali nowy materiał, lepiej przystający do współczesności. Na przykład Reinhard Mey. Będę szczerzy, ludzie nie chcą teraz polityki w muzyce. – Ronni wzruszył ramionami. – Przykro mi, Corneliusie, nie sądzę, żebyśmy pasowali do siebie... Mam na myśli naszą wytwórnię i twój styl.

Cornelius patrzył na uśmiech Ronniego i czuł coraz większą nienawiść. I nie chodziło o to, że jego uśmiech był zdawkowy i nieszczerzy, chodziło o to, że dawał mu wyraźnie do zrozumienia, że jest zdawkowy i nieszczerzy. Zabrał swoją ofertę z biurka i odwzajemnił uśmiech.

– Cóż, Ronni, jestem rozczarowany. – Ruszył w stronę drzwi, nie podawszy młodzieńcowi ręki. – Jedno muszę przyznać, masz dobre ucho do muzyki. Szczególnie to prawe...

10.30, klinika uniwersytecka, Hamburg-Eppendorf, Hamburg

Było jasne, że profesor von Halen uważa, iż powinien być obecny przy przesłuchaniu, tak jak odpowiedzialny rodzic, kiedy jego dwójkę dzieci przepytuje policja. Dopiero kiedy

Fabel zapytał, czy może porozmawiać sam na sam z Aloisem Kahlbergiem i Elisabeth Markszen, niechętnie opuścił gabinet.

Oboje naukowcy byli młodszy od Griebla i już po ich pierwszych słowach można było się zorientować, że darzyli swojego zmarłego kolegę wielkim szacunkiem. Wręcz czuli respekt. Alois Kahlberg miał około czterdziestu pięciu lat, przypominał wyglądem ptaka i dla uzyskania lepszego kąta widzenia odchyłał odruchowo głowę do tyłu, zamiast poprawić na nosie niemodne, wielkie okulary z grubymi szklami. Elisabeth Markszen była dobre dziesięć lat młodszą, nieatrakcyjną i wyjątkowo wysoką kobietą z wiecznie zarumienioną twarzą.

Fabel pytał ich o nawyki zmarłego kolegi, jego osobowość, życie prywatne. Okazało się, że Griebel był dwuwymiarowy. Bez względu na to, ile by światła na niego skierować, nie ciągnął się za nim żaden cień, brakowało jakiegokolwiek głębi. Griebel po prostu nigdy nie rozmawiał z Markszen czy Kahlbergiem na temat inny niż praca.

– A co z jego żoną? – zapytał Fabel.

– Umarła jakieś pięć lat temu. Rak – odpowiedziała Elisabeth Markszen. – Wydaje mi się, że była nauczycielką. Nigdy o niej nie wspominał. Spotkałam ją raz, mniej więcej rok przed jej śmiercią, na jakimś przyjęciu. Cicha jak on... widać było, że źle się czuje w towarzystwie. To była taka firmowa impreza, w której uczestniczyliśmy w mniejszym czy większym stopniu z musu. Griebel z żoną większość czasu spędzili w kącie, rozmawiając ze sobą.

– Czy jej śmierć mocno go poruszyła? Czy jego zachowanie uległo znaczącej zmianie? A może był wyjątkowo przygnębiony?

– Z doktorem Grieblem zawsze był kłopot. Niczego po sobie nie okazywał. Wiem, że co tydzień chodził na jej grób. Została pochowana gdzieś niedaleko Lurup, skąd pochodziła jej rodzina. Albo na Altonaer Volkspark Huptfriedhof, albo na Flottbeker Friedhof.

– Nie mieli dzieci?

– Nigdy o tym nie wspominał.

Fabel rozejrzał się po luksusowo urządzonej gabinecie von

Halena. W jednej z przeszklonych szaf dostrzegł stos błyszczących broszur, które pewnie rozdawano potencjalnym inwestorom i partnerom handlowym.

– Nad czym właściwie pracował doktor Griebel? – zapytał. – Profesor von Halen wspominał o tym, ale niewiele zrozumiałem.

– Był epigenetykiem – odpowiedział Kahlberg. – To zupełnie nowa i wysoce wyspecjalizowana dziedzina genetyki. Zajmuje się tym, w jaki sposób geny włączają się i wyłączają, i jaki to ma wpływ na zdrowie i długowieczność.

– Ktoś wspomniał o pamięci genetycznej. Co to takiego?

– Ach... – Kahlberg natychmiast się ożywił. – To najnowszy obszar badań epigenetycznych. Sprawa jest zupełnie prosta. Mamy coraz więcej dowodów na to, że możemy paść ofiarą chorób, które nie powinny nas dotknąć... które były chorobami naszych przodków.

– Obawiam się, że to nie jest dla mnie takie proste.

– Okej, ujmę to inaczej... Ogólnie istnieją dwie przyczyny chorób: są choroby, do których jesteśmy genetycznie predysponowani – do których mamy wrodzone skłonności. Drugą przyczyną jest środowisko: palenie, zanieczyszczenia, dieta i tym podobne. Otóż ostatnie badania dowodzą, że możemy także dziedziczyć choroby wywołane przez środowisko.

Fabel nie wyglądał na ani odrobinę mądrzejszego, więc wątek podjęła Elisabeth Marksens.

– Wszystkim nam się wydaje, że żyjemy w oderwaniu od naszej przeszłości, ale tak nie jest. Na północy Szwecji jest takie niewielkie miasteczko, które nazywa się Overkalix. Żyje tam bogata społeczność, jakość i standard życia są bardzo wysokie. Tymczasem miejscowi lekarze zauważyli zwiększoną częstotliwość występowania chorób zwykle towarzyszących niewłaściwemu sposobowi odżywiania. Są jeszcze dwa czynniki, które sprawiają, że Overkalix jest miejscem szczególnym. Po pierwsze, miasto leży za kręgiem polarnym i w całej swej historii było stosunkowo mocno odizolowane od reszty świata, co oznacza, że dzisiejsi mieszkańcy pochodzą od

tych samych rodzin, które żyły tam sto czy dwieście lat temu. I po drugie, niezwykle są zapisy w kościelnych i miejskich księgach. Zapisywano w nich nie tylko datę narodzin i śmierci, ale także przyczynę śmierci oraz dobre i złe zbiory. Kiedy miasto znalazło się w centrum zainteresowania naukowców, okazało się, że od stu do stu pięćdziesięciu lat temu miasto, którego gospodarka opierała się głównie na rolnictwie, kilkakrotnie przeżywało okresy głodu. W rezultacie wielu mieszkańców umarło, a ci, którzy przeżyli, cierpieli na choroby związane z niewłaściwym odżywianiem. Po porównaniu współczesnej dokumentacji medycznej z zapiskami w starych księgach okazało się, że potomkowie ofiar głodu mieli dokładnie takie same problemy zdrowotne, chociaż ani oni sami, ani ich rodzice nigdy nie cierpieli głodu. Dowodzi to, że myliliśmy się, sądząc, iż przekazujemy dzieciom tylko te chromosomy i geny, z którymi sami się urodziliśmy. Okazuje się, że to, czego doświadczamy teraz – te wszystkie czynniki środowiskowe – może mieć bezpośredni wpływ na naszych potomków.

– Niewiarygodne. I cała teoria jest oparta na przykładzie tylko tego jednego szwedzkiego miasta?

– To na początek. Badania były zakrojone na szeroką skalę i znaleziono wiele innych przykładów potwierdzających słuszność tych założeń. Potomkowie osób ocalałych z Holocaustu wykazują znacznie większą podatność na choroby wywołane przez stres czy uraz. Jedno, dwa, trzy pokolenia później pojawiają się objawy stresu pourazowego. Początkowo kładziano to na karb tego, że rodzice czy dziadkowie szczegółowo opisywali swoje traumatyczne doświadczenia, ale wkrótce stwierdzono, że takie same wskaźniki stresu, na przykład podwyższony poziom kortyzonu w ślinie, można znaleźć u potomków, którzy nigdy nie słyszeli od bliskich krewnych o doświadczeniach Holocaustu.

– Nadal nie rozumiem, jak to się dzieje – rzekł Fabel. – Jak to przechodzi z pokolenia na pokolenie.

– To zależy od płci. U mężczyzn reakcja międzypokoleniowa jest przenoszona przez plemniki, u kobiet jest częścią

programowania życia zarodkowego.

Fabel miał niepewną minę.

– Czynniki środowiskowe i doświadczalne, które przechodzą na kolejne pokolenia, to te, których doświadczają chłopcy przed okresem dojrzewania i w jego trakcie, przechodzą także przez zarodki żeńskie w macicy. Krótko mówiąc dane są gromadzone w plemnikach, których wytwarzanie rozpoczyna się w okresie dojrzewania. Dziewczynki rodzą się ze wszystkimi swoimi komórkami jajowymi, więc tutaj najważniejszy jest czas, kiedy żeński zarodek jest jeszcze w łonie matki. To, czego doświadcza matka w czasie ciąży lub wcześniej, jest przenoszone na zarodek, który przechowuje pamięć genetyczną w tworzących się komórkach jajowych.

– Niesamowite. I to właśnie badał doktor Griebel? – zapytał Fabel.

– Na całym świecie tym tematem zajmuje się wielu naukowców. Epigenetyka stała się ważnym i wciąż rosnącym polem badawczym. Pamięta pan może nadzieje, jakie wiązaliśmy z projektem stworzenia ludzkiego genomu. Uważano wtedy, że będziemy umieli znaleźć wszystkie geny odpowiedzialne za choroby, ale spotkało nas rozczarowanie. Wydano niewyobrażalne sumy pieniędzy i poświęcono mnóstwo czasu na stworzenie genetycznej mapy człowieka, która okazała się niezbyt skomplikowana. Złożone są wszystkie kombinacje i permutacje wewnątrz genomu. I epigenetyka może stanowić klucz, którego szukamy. Doktor Griebel należał do garstki uczonych z całego świata, którzy torowali drogę do zrozumienia mechanizmów transferu genetycznego.

Fabel siedział przez chwilę cicho, rozważając to, co usłyszał od dwojga naukowców. Oni czekali cierpliwie, ptakopodobny Kahlberg ze swoimi grubymi szklami okularów, Markszen z zarumienioną, pozbawioną wyrazu twarzą, jakby rozumieli, że laik potrzebuje czasu, by to pojąć. Dla Fabela te informacje brzmiały fascynująco, ale były zupełnie nieprzydatne z punktu widzenia prowadzonego śledztwa. Czy motywem zabójstwa Griebela mogła być jego praca?

– Profesor von Halen wspominał coś o mniejszych

projektach badawczych, którymi zajmował się doktor Griebel – odezwał się w końcu.

Kahlberg i Markszen wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Kiedy nie pojawia się natychmiastowe zastosowanie komercyjne – odezwał się Kahlberg – profesor von Halen traktuje to jak dywersję. Faktem jest, że doktor Griebel zajmował się szerzej dziedziczeniem genetycznym. A szczególnie możliwością dziedziczenia pamięci. Nie tylko na poziomie chromosomalnym, ale prawdziwej pamięci przekazywanej z pokolenia na pokolenie.

– To oczywiście nie jest możliwe?

– Są dowody takiego dziedziczenia u innych gatunków. Wiemy na przykład, że u szczurów poczucie zagrożenia wyuczone przez jedno pokolenie jest przekazywane następnemu... choć nie znamy mechanizmu odpowiadającego za tę dziedziczoną wiedzę. Doktor Griebel zwykł mawiać, że „instynkt” jest najbardziej nienaukową z naukowych koncepcji. Twierdził, że robimy pewne rzeczy „instynktownie”, ponieważ odziedziczyliśmy pamięć o zachowaniach, które pozwalają nam przetrwać. Podobnie jak u dziecka, które wykonuje pierwsze ruchy kroczące chwilę po urodzeniu, a potem ponownie uczy się chodzić rok później. Jest to przejawem instynktu wyuczonego w odległej genetycznej przeszłości, kiedy żyliśmy gdzieś na sawannach i niezdolność poruszania się mogła stanowić śmiertelne zagrożenie. Doktor Griebel był zafascynowany tym projektem. A właściwie należałoby powiedzieć, że był nim owładnięty.

– A pan sam wierzy w odziedziczoną pamięć?

Kahlberg skinął głową.

– Wierzę, że jest to całkiem możliwe. A nawet prawdopodobne. Tyle że nie znamy do tej pory mechanizmu. Potrzebne są dalsze badania.

Elisabeth Markszen uśmiechnęła się ponuro.

– Bez doktora Griebla będziemy musieli na to poczekać dłużej.

– **Masz** coś? – zapytał Werner, kiedy Fabel zadzwonił na jego komórkę z parkingu przed kliniką.

– Nic. Moim zdaniem praca Griebbla nie ma związku z jego śmiercią. A co u was?

– Anna ma coś ciekawego. Wyjaśni ci, kiedy wrócisz. Poza tym komendant van Heiden chce, żebyś się zameldował u niego razem z Marią o trzeciej po południu.

Fabel się zasępił.

– Nalegał na obecność Marii?

– Bardzo.

11.45, komenda główna policji, Hamburg

Anna Wolff zapukała do drzwi gabinetu Fabla i weszła bez prośnienia. Fabel zawsze świadomie starał się nie zwracać uwagi na atrakcyjny wygląd Anny, ale tego dnia jej skóra lśniła w sposób szczególnie w promieniach porannego słońca, a czerwona szminka podkreślała pełnię warg. Wyglądała wyjątkowo młodo i świeżo; Fabel przyłapał się na tym, że razi go jej młodość i wyzywająca seksualność.

– Mamy coś?

– Przesłuchałam ponownie Sebastiana Langa, przyjaciela Hausera... tego, który przyłapał Kristinę Dreyer na uprzątnięciu miejsca zbrodni. Okazuje się, że on i Hauser byli dalecy od założenia szczęśliwej rodziny. Według niego związek przeżywał kryzys z powodu seksualnej rozwiązłości Hausera. Najwyraźniej lubował się w przygodnych romansach, nie zważając na to, czy jest w stałym związku, czy nie. Poza tym lubił młodych chłopców. Lang nie bardzo chciał o tym rozmawiać. Moim zdaniem obawiał się, że jego zazdrość może zostać potraktowana jako potencjalny motyw, ale jego alibi na czas zabójstwa Hausera wydaje się wiarygodne.

Fabel chwilę rozważał usłyszaną informację.

– Zatem możliwe jest, że morderstwo ma związek z homoseksualizmem Hausera. W takim razie powinniśmy uważniej przyrzeć się preferencjom seksualnym Griebbla. Gdzie

Hauser poznawał swoich przypadkowych partnerów?

– Pewnie tam, gdzie poznał Langa. W klubie gejowskim w St Pauli... on ma jakąś taką angielską nazwę... – Anna zaczęła ze zmarszczonymi brwiami przerzucać kartki notesu. – Mam... Klub nazywa się Firehouse.

– Remiza. – Fabel pokiwał głową. – Pójdź tam z Paulem i popytaj.

Anna wpatrywała się chwilę w Fabla zmieszana.

– Miałeś na myśli mnie i Henka?

Fabel nie wiedział, co odpowiedzieć. Paul Lindermann był niegdyś partnerem Anny. Jego śmierć wstrząsnęła Anną bardziej niż kimkolwiek innym z wydziału zabójstw. Dlaczego to powiedział? Czy wybrał Henka Hermanna na miejsce Paula tylko dlatego, że Henk przypominał zabitego poprzednika? Nietrudno pomylić nazwiska, szczególnie nazwiska ludzi zajmujących to samo stanowisko. Ale Fabel nigdy wcześniej nie mylił nazwisk.

– Boże, Anno, przepraszam...

– W porządku, szefie... – powiedziała Anna. – Ja też nie potrafię zapomnieć o Paulu. Przyjrzę się z Henkiem temu klubowi i zobaczymy, co jeszcze uda nam się ustalić na temat Hausera.

Fabel odprowadził Annę do drzwi i podszedł do biurka Marii, które stało naprzeciwko biurka Wenera. Fabel zwrócił uwagę, że oba biurka są idealnie wysprzątane. To jego pomysłem było, żeby Maria i Werner zostali partnerami; czuł, że na zasadzie łączenia przeciwieństw będą się uzupełniali dzięki różnym kwalifikacjom i odmiennemu podejściu do konkretnego zagadnienia. Problem polegał na tym, że byli tacy sami w swojej drobiazgowości. Pomyślał o tym, jak pomylił imiona Paula i Henka w rozmowie z Anną. Do tej pory uważał, że w doborze współpracowników jest innowacyjny i kreatywny. A może wcale nie był taki innowacyjny; może bezwiednie wciąż wybierał podobnych ludzi.

– Pora stawić się w gabinecie komendanta van Heidena –

powiedział do Marii. – Domyślasz się, o co chodzi? – Fabel był często wzywany do szefa, szczególnie gdy prowadził ważne śledztwa, ale rzadko zdarzało się, żeby jednocześnie zapraszano jego podwładną.

Maria wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, szefie.

W oczach Fabla szef był wzorcem policjanta. Zawsze w szeregach policji, w dowolnym kraju, był ktoś taki jak Horst van Heiden. Więcej nawet, Fabel potrafił wyobrazić sobie kogoś podobnego jako średniowiecznego strażnika nocnego czy wiejskiego konstabla.

Komendant van Heiden miał około pięćdziesięciu pięciu lat i nie był specjalnie wysoki, ale wyprostowana sylwetka i szerokie ramiona poprawiały jego posturę. Ubierał się zawsze dobrze, choć bez polotu, a dziś miał na sobie ładnie skrojony granatowy garnitur i starannie wyprasowaną białą koszulę oraz śliwkowo-czerwony krawat. Garnitur, koszula i krawat sprawiały wrażenie drogich, choć van Heiden posiadał niezwykłą umiejętność upodabniania nawet najelegantszych ubrań do policyjnego munduru.

Na Fabla i Marię, prócz van Heidena, czekało jeszcze dwóch mężczyzn. W jednym z nich, przysadzistym i muskularnym, Fabel rozpoznał Markusa Ullricha z BKA. BKA było policją federalną, działającą na terenie całych Niemiec. Drogi Fabla i Ullricha skrzyżowały się już wcześniej w trakcie kilku ważnych śledstw. Ullrich wydał się wtedy Fablowi człowiekiem, z którym dobrze się współpracuje, mimo że niechętnie wpuszczał kogokolwiek na swoje podwórko. Drugi mężczyzna był tego samego wzrostu co Ullrich, lecz nie był tak muskularny. Nosił okulary bez oprawki, za którymi kryły się jasnoniebieskie oczy zdradzające błyskotliwą inteligencję. Gęste blond włosy miał starannie zaczesane do tyłu.

– Pana Ullricha oczywiście znasz – odezwał się van Heiden. – Przedstawiam ci pana Wiktora Turczenko. Herr Turczenko jest oficerem ukraińskiej policji.

Fabel poczuł gdzieś w głębi chłód, jakby ktoś zostawił otwarte drzwi na powitanie niespodziewanej zimy. Odwrócił się i zerknął na Marię; jej twarz nic nie wyrażała.

– Miło mi państwa poznać – powiedział Turczenko, wyciągając do nich rękę. Twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech, ale wyraźny obcy akcent przywołał u Fabela złe wspomnienia i chłód w głębi trzewi stał się jeszcze dotkliwszy.

– Herr Turczenko pojawił się tu w związku ze śledztwem, które prowadzi na Ukrainie – kontynuował van Heiden, kiedy wszyscy usiedli. – Poprosił o zorganizowanie tego spotkania. Przede wszystkim chciał porozmawiać z panią, Frau Klee.

– Doprawdy? – W głosie Marii zabrzmiała podejrzliwość.

– Rzeczywiście, Frau Klee. Jak wiem, zajmowała się pani sprawą – dwiema sprawami – ściśle powiązanymi z moim śledztwem. – Turczenko wyjął z teczki zdjęcie i dał je Marii. – W tej samej chwili ciepły uśmiech ustąpił ponurej minie. – Mam nazwisko, które pragnęła pani poznać.

Maria spojrzała na fotografię. Przedstawiało nastolatkę, może siedemnastoletnią dziewczynę. Fotografia była ziarnista, zapewne stanowiła powiększenie fragmentu większego zdjęcia. Dziewczyna uśmiechała się do kogoś lub czegoś znajdującego się za plecami fotografa. Gdzieś w oddali. Być może, pomyślała Maria, patrzyła na zachód.

– Jak się naprawdę nazywała? – zapytała głucho.

Turczenko westchnął.

– Magda Sawicka. Miała osiemnaście lat. Pochodziła spod Lwowa, w zachodniej Ukrainie.

– Magda Sawicka... – powtórzyła na głos Maria, przekazując fotografię Fablowi. – Olga X.

– Pochodziła z tej samej części Ukrainy co ja – ciągnął Turczenko. – Jej rodzina to dobrzy ludzie. Naszym zdaniem padła ofiara oszustwa, za którym stał handel żywym towarem. Zostawiła list, że obiecano jej kurs fryzjerski w Polsce, po którym miała zagwarantowaną pracę w salonie fryzjerskim w Niemczech. Sprawdziliśmy adres firmy organizującej kursy w Warszawie. Oczywiście okazało się, że taka firma nie istnieje. Nie ma kursów w Polsce, nie ma pracy w Niemczech.

– Przebył pan szmat drogi, żeby odnaleźć tę dziewczynę – powiedział Fabel, oddając Ukraińcowi fotografię. Turczenko wziął ją do ręki i chwilę się w nią wpatrywał, nim odpowiedział:

– To tylko jedna z wielu. Każdego roku tysiące dziewcząt są kuszone lub uprowadzane, a potem zmuszane do niewolniczej pracy. Magda Sawicka nie była wyjątkiem. Za to była czyjąś córką, czyjąś siostrą. – Podniósł wzrok. – Mam nadzieję, że jej zabójca jest w waszym areście.

– To prawda. Sprawa jest zamknięta – powiedziała Maria i wymieniła z Fablem spojrzenia. – Pracowała w Hamburgu jako prostytutka. Zamordował ją jeden z klientów. Mamy jego zeznania. Jestem natomiast wdzięczna panu za to, że podał nam pan jej prawdziwe nazwisko.

– Herr Turczenko nie przyjechał tutaj, żeby szukać mordercy – wtrącił się Ullrich z BKA. – Jego wizyta wiąże się z inną sprawą.

– Ścigam grupę przestępczą, która uprowadziła Magdę i zmusiła ją do prostytucji – wyjaśnił Turczenko. – Chcę unieszkodliwić szefów organizacji. A to naprowadziło mnie na trop kolejnej sprawy... – Turczenko wyjął z teczki następną fotografię i wręczył ją Marii.

– Niech to szlag!... – wykrzyknęła nieoczekiwanie Maria. Ledwie rzuciła okiem na zdjęcie i przekazała je Fablowi. Nie musiała się długo przyglądać tej twarzy. Prześladowała ją ona w dzień i w nocy. To była ta sama twarz, kopia tej samej fotografii, którą nosiła w torebce. – Wiedziałam! Wiedziałam, że ten bydlak jest w to zamieszany. Cholerni Ukraińcy!

Turczenko roześmiał się niepewnie i wzruszył ramionami.

– Zapewniam panią, Frau Klee, że nie wszyscy jesteśmy tacy sami.

Fabel wpatrywał się w zdjęcie Wasyla Witrenki.

– Zdaję sobie sprawę, że rozdrapuję stare rany... – odezwał się Ullrich.

Fabel mu przerwał.

– To chyba nie jest najodpowiedniejszy dobór słów, Herr Ullrich.

– Przepraszam... Nie miałem na myśli...

Maria zlekceważyła przeprosiny Ullricha.

– Wiedziałam, że handlem kobietami w Hamburgu zajmują się Ukraińcy. Podejrzywałam, że stoi za tym Witrenko.

– Głęboko ukryty – ciągnął Ullrich. – Wykonaliśmy kawał roboty... My, to znaczy wydział przestępczości zorganizowanej policji hamburskiej i BKA. Udało nam się rozpracować organizację tego Witrenki w Hamburgu. Wam udało się go wykurzyć. Ale nie wszystkie elementy układają nam się jeszcze w całość. Podejrzewamy, że Witrenko odbudowuje swoją silną pozycję w Niemczech.

– Witrenko jest wciąż w Niemczech? – Maria zbladła.

– Niekoniecznie – odparł Turczenko. – Jak pani wie, jest mistrzem w budowaniu skomplikowanych struktur dowodzenia, które pozwalają mu się trzymać z dala od prowadzonej działalności, a jednocześnie zapewniają mu lojalność członków organizacji. Niewykluczone, że steruje organizacją na odległość. Na pewno nie ma go w Hamburgu, niewykluczone, że dyryguje wszystkim z zagranicy. Kto wie, może wrócił na Ukrainę. Chociaż założyłbym się, że jest gdzieś w Niemczech. I dlatego przyjechałem tu, by go odnaleźć.

– Ustaliliśmy też, że nie koncentruje się już na Hamburgu ani na żadnym innym niemieckim mieście – powiedział Ullrich. – Wykorzystuje istniejącą do tej pory siatkę zorganizowanej przestępczości do odbudowania swojej potęgi. Poprzednio był poszukiwany za przejęcie całej zorganizowanej przestępczości w Hamburgu. Teraz na jego celowniku znalazły się najbardziej dochodowe interesy w Republice Federalnej. Między innymi handel ludźmi, zwłaszcza ten, który dotyczy seksbiznesu.

Maria sprawiała wrażenie zakłopotanej.

– Przecież zdjęliśmy większość jego ludzi, tak zwaną górę. Kogo w takim razie wykorzystuje do odbudowania swojej pozycji?

– Jak wcześniej, ma do dyspozycji ludzi z byłego specnazu. Lepszego źródła nie mógłby znaleźć. I tak jak wcześniej, wszystkich zna osobiście. Ale tym razem zmienił taktykę. Najnowsze wcielenie Wasyla Witrenki jest jeszcze bardziej tajemnicze niż poprzednie. – Ullrich wskazał fotografię

trzymaną przez Fabla. – Z tego, co wiemy, Wasyl może teraz wyglądać inaczej. Jest całkiem możliwe, że ma zupełnie inną, nową twarz. Nową twarz i nową tożsamość.

– Na czym w takim razie miałyby polegać nasza pomoc? – zapytał bez entuzjazmu Fabel. Czuł się osaczony przez upiory, które sam niechcący wywołał, wypowiadając przed naradą imię zabitego Paula Lindermanna. Dla Fabla, który przecież studiował historię, była to chwila, w której zaczął nienawidzić przeszłości i tego, w jaki sposób próbowała nim na powrót zawładnąć. Na pytanie odpowiedział ten, który do tej pory się nie odzywał, van Heiden.

– Najbardziej pomocna może być pani nadkomisarz Klee. Frau Klee, sądzę, że pani... hmm... potrafi... hmm... najlepiej przedstawić szczegóły śledztwa dotyczącego śmierci tej dziewczyny. Chcielibyśmy dowiedzieć się wszystkiego, co udało się pani ustalić.

– Prosiłem, żebyś dała sobie z tym spokój, Mario – powiedział ostro Fabel. – Dlaczego nie słuchasz poleceń?

– Ja tylko chciałam się rozpytać... – Zwróciła się do van Heidena i opowiedziała mu o spotkaniu z Nadią oraz o tym, czego dowiedziała się o „targu bydłem”. – Tyle udało mi się dowiedzieć. Wygląda na to, że nikt się nie interesował tymi handlarzami ludźmi.

Markus Ullrich podszedł do Marii i położył przed nią na stole kilka dużych odbitek w taki sposób, jakby rozdawał karty. Zdjęcia przedstawiały Marię rozmawiającą z prostytutkami na ulicy i barmanami w klubach. Na wierzchu położył jedno zdjęcie, które traktował zapewne jako kartę atutową.

– Zna pani tę dziewczynę? Czy to Nadia?

Maria zerwała się z miejsca.

– Śledziliście mnie?

Ullrich roześmiał się cynicznie.

– Proszę mi wierzyć, Frau Klee, nie jest pani dość ważna, żeby wydać nakaz śledzenia pani. Owszem, prowadziliśmy długotrwałą, bardzo skomplikowaną i wyjątkowo kosztowną obserwację działalności gangu ukraińskiego. Przy czym ostatnio trudno było o jakieś ujęcie bez pani udziału.

Dosłownie. A więc, Frau Klee, zna pani tę dziewczynę?

Maria usiadła. Skinęła głową, nie patrząc na Ullricha.

– To Nadia. Nie znam jej nazwiska. Pomaga mi. Na tyle, na ile może. Przyjaźniła się z Olgą... To znaczy z Magdą.

– Sama pani widzi, Frau Klee – podjął wątek van Heiden – że coś robiono w sprawie tych handlarzy żywym towarem. Cała operacja z udziałem specjalistów z BKA i we współpracy z naszymi ukraińskimi kolegami znajdowała się pod kontrolą. Celem było zlokalizowanie i aresztowanie człowieka, który panią tak poważnie zranił. Tymczasem pani działania zagroziły jej powodzeniu.

– Co więcej – Ullrich postukał palcem w zdjęcie Marii rozmawiającej z Nadią – naraziła pani jej życie. Nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, co się z nią stało. Zniknęła nam z oczu wkrótce po tym, jak pani z nią rozmawiała.

– Chciałabym zauważyć – odezwała się Maria – że przekazałam wszystkie swoje uwagi na temat sprawy Olgi X wydziałowi przestępczości zorganizowanej. Wspomniałam im też o swoich podejrzeniach, że w sprawę śmierci Olgi, a właściwie Magdy, zamieszani byli ludzie handlujący kobietami. Myślę, że roztropność nakazywałaby uprzedzić mnie o waszych działaniach. Wtedy...

– Pani nadkomisarz Klee – przerwał jej van Heiden – pani bezpośredni przełożony polecił pani przekazać wszystko wydziałowi LKA6 i nie angażować się więcej w tę sprawę. Pani ingerencja może kosztować tę młodą dziewczynę życie i oddala nas od osiągnięcia zamierzonego celu, jakim jest złapanie Witrenki. Maria zacisnęła zęby i nie odezwała się.

– Z całym szacunkiem dla naszych kolegów z LKA6 – odezwał się Fabel – chciałbym zauważyć, że jedynymi osobami, którym się prawie udało złapać Witrenkę, byłem ja i Frau Klee, która o mało nie przyplaciła tego życiem. Tak więc, choć zachowała się nieprzepisowo, prowadząc samodzielnie śledztwo, wydaje mi się, że zasługuje na trochę więcej szacunku. Van Heiden zmarszczył brwi, ale w odpowiedzi ubiegł go Turczenko.

– Czytałem raport na temat tego, co się stało tamtego

wieczoru, i jestem pod wrażeniem wielkiej odwagi, jaką wykazała się Frau Klee i dwóch policjantów, którzy stracili wtedy życie. Moim zadaniem jest wytropić pułkownika Witrenkę i jestem wdzięczny za wszystko, co państwo do tej pory zrobili. Wstyd mi, że mój kraj wydał na świat takiego potwora, i obiecuję, że zrobię wszystko, by Wasyl Witrenko stanął przed obliczem sprawiedliwości. Przemierzam jego tropem cały Hamburg. Byłbym zobowiązany, gdybym mógł w trakcie swojego pobytu tutaj liczyć na dalszą pomoc.

Fabel przyjrzał się Ukraińcowi. Miał raczej wygląd intelektualisty niż oficera policji, a jego spokojny sposób zachowania i perfekcyjny, choć obarczony cudzoziemskim akcentem niemiecki, budził zaufanie.

– Jeśli tylko będziemy mogli pomóc, to oczywiście – zadeklarował się Fabel.

– Przy okazji – Ullrich zwrócił się bezpośrednio do Marii – byłbym wdzięczny, gdyby zechciała pani sporządzić raport na temat zaginionej prostytutki i tego, co udało się pani do tej pory ustalić.

Fabel i Maria zebrali się do wyjścia.

– Zanim sobie pójdziesz, Fabel... – Van Heiden wychylił się w fotelu i oparł łokciami o biurko. – Co nowego w sprawie tych dwóch oskałpowań?

– Wiemy, że kobieta złapana na miejscu pierwszej zbrodni nie ma bezpośrednich związków z morderstwem. Technicy próbują teraz ustalić, do kogo należały pozostawione włosy. Istnieje prawdopodobieństwo, ale jest to na razie tylko przypuszczenie, że ofiary zostały wybrane dlatego, że były gejami. Właśnie to sprawdzamy. Poza tym nie mamy żadnych poważnych tropów.

Twarz van Heidena wyrażała oczekiwane niezadowolenie.

– Proszę mnie informować o postępach.

Fabel i Maria nie zamienili ze sobą słowa, póki nie wysiedli z windy.

– Do mojego gabinetu – powiedział Fabel. – Natychmiast.

Na żądanie Fabla Maria zamknęła za sobą drzwi, kiedy już znalazła się w jego gabinecie.

– Co tu się dzieje, do cholery? – Z trudem tłumiona złość powodowała, że jego głos zabrzmiał szorstko. – Mógłbym się spodziewać od czasu do czasu takiego postępowania po Annie, ale nie po tobie. Dlaczego uparłaś się, żeby mnie o niczym nie informować?

– Przepraszam, szefie. Wiem, mówiłeś mi, że mam przekazać sprawę Olgi X...

– Nie o tym teraz mówię. Mówię o tym, że w ogóle zaczęłaś mieć przede mną sekrety. Nie mówisz mi o rzeczach, o których powinienem wiedzieć. Dlaczego na przykład nie powiedziałaś mi, że jesteś pacjentką Kliniki Strachu doktora Minksa?

Zapadła cisza; Maria patrzyła na Fabla pustym wzrokiem.

– Ponieważ – odezwała się wreszcie – to jest moja osobista sprawa i nie powinna cię ona obchodzić.

– Na litość boską, Mario, jesteś w takim stanie psychicznym, że musisz się leczyć w klinice zajmującej się fobiami i mówisz mi, swojemu przełożonemu, że to nie moja sprawa? Nie próbuj mi wmawiać, że to nie ma wpływu na pracę. Widziałem twoją minę, kiedy Turczenko powiedział, kto jest jego celem. – Fabel oparł się o krzesło, próbując złagodzić napięcie w karku. – Myślałem, że mi ufasz.

Maria nie odpowiedziała od razu. Odwróciła się do okna i spojrzała na czubki drzew w Winterhude Stadtpark. Następnie, nie patrząc Fabelowi w oczy, odezwała się cicho:

– Cierpię na afefobię. Na stosunkowo łagodną jej formę, która niestety się pogłębia. Oznacza to, że boję się dotyku. Z tego właśnie leczy mnie doktor Minks. Nie mogę znieść bliskiej fizycznej obecności drugiej osoby. To rezultat dźgnięcia nożem przez Witrenkę.

Fabel westchnął.

– Rozumiem. Kuracja przynosi efekty?

Maria wzruszyła ramionami.

– Chwilami wydaje mi się, że tak. Ale potem to się znowu pojawia.

– A ta obsesja na punkcie Olgi X... Powodem, jak

podejrzewam, były twoje przypuszczenia, że stoi za tym Witrenko?

– Początkowo nie. To było... Widziałeś sam miejsce zbrodni. To mnie poruszyło. Biedny dzieciak. To nie w porządku, że umarła w taki sposób. Tak to czułam. Później, owszem... wydawało mi się, że Witrenko mógł mieć związek z tym zabójstwem.

– Mario, sprawa Witrenki była... zwykłą sprawą. Nie możemy zmieniać jej w osobistą krucjatę. Jak powiedział Turczenko, wszyscy chcemy oddać go w ręce sprawiedliwości.

– Problem w tym... – w głosie Marii brzmiała niecierpliwość, jakiej Fabel nigdy wcześniej nie słyszał – ...że ja nie chcę go oddawać w ręce sprawiedliwości. Ja chcę go zabić...

14.30, Altstadt, Hamburg

Paul Scheibe stał pod ratuszem. Ogromny Rathausmarkt, największy plac Hamburga, kipiał wprost od nadmiaru turystów. Scheibe był ubrany w lekki garnitur z czarnego lnu i białą koszulę bez kołnierzyka. Miał się spotkać z burmistrzem Hamburga Hansem Schreiberem i senatorem odpowiedzialnym za środowisko Bertholdem Müllerem-Voigtem. Mimo przewiewnego stroju czuł lepki pot na karku i plecach. Podczas spotkania Scheibe miał otrzymać gratulacje z powodu wyboru jego projektu KulturZentrumEins, starał się więc sprawiać wrażenie zadowolonego. Pewnie dlatego tyle osób pytało go, czy dobrze się czuje – jego znakiem firmowym była przecież arogancja i rezerwa wobec komercyjnych aspektów architektury. Mimo to było miło; strzelały korki od szampana. A szampana było sporo; Scheibe czuł teraz w ustach smak alkoholu, który pozbawił go sił.

Życie musi toczyć się dalej, pomyślał. I może tak będzie. Może to tylko zbieg okoliczności, że zostali zamordowani dwaj członkowie grupy, do której niegdyś należał. W taki sam sposób. Przez tę samą osobę.

Spoglądał na turystów i przechodniów, urzędników

i przedsiębiorców przemierzających plac. Gdzieś na moście Schleusenbrücke przerzuconym nad Alsterfleet uliczny grajek grał na akordeonie utwór Rimskiego-Korsakowa. Paula otaczali ludzie, otaczały dźwięki; stał w samym środku wielkiego miasta, ale nigdy nie czuł się podobnie wyobcowany i widoczny. Czy tak właśnie czuje się zwierzyzna, na którą polują?

Ruszył. Szedł szybko, jakby miał jakiś cel, choć nie wiedział jaki. Może sam ruch sprawi, że przyjdzie mu do głowy pomysł, co zrobić. Przeszedł w poprzek Rathausmarkt i ruszył Monckebergstrasse. Ciżba ludzka stała się gęstsza, kiedy znalazł się na deptaku pełnym sklepów. Pozwolił, żeby nogi same go dalej prowadziły. Było mu gorąco i czuł się brudny, włosy mokre od potu przykleiły się do skóry. Marzył, żeby zrzucić z siebie opończę gorącego letniego powietrza, które nie pozwalało racjonalnie myśleć. Nie chciał umierać. Nie chciał trafić do więzienia. Wyrobił sobie nazwisko i zdawał sobie sprawę, że jeden fałszywy krok mógłby je zniszczyć.

Zatrzymał się przed sklepem z elektroniką. Za szybą stał włączony telewizor; na ekranie ujrzał wiadomości regionalnej stacji NDR, a w nich nagrany wcześniej wywiad z Berthlodem Müllerem-Voigtem. Scheibe miał dość jego szyderczego, protekcyjnego uśmieszku podczas spotkania, a teraz patrzył, jak polityk znowu uśmiecha się do niego, tym razem z ekranu. Zupełnie jakby się z niego naśmiewał, tak jak to robił przez te wszystkie lata.

Müller-Voigt zawsze był w sposób zupełnie naturalny pewny siebie i wiarygodny, podczas gdy Scheibe musiał się dobrze napracować, żeby sprawiać podobne wrażenie. Müller-Voigt zawsze był bardziej bystry i opanowany, zawsze znajdował się w centrum wydarzeń. Paul nie potrafił mu tego wybaczyć. Było coś jeszcze, co doprowadzało Scheibego do furii – Müller-Voigt zabrał mu Beate.

Rzecz jasna, w tamtych czasach wszyscy gardzili czymś tak drobnomieszczańskim jak monogamia i Beate, kruczożarna, półkrwi Włoszka, studentka matematyki, w której Scheibe był zadurzony, nigdy nie pozwoliłaby żadnemu mężczyźnie myśleć,

że do niego należy. Mimo to była jego największą miłością. I nie chodziło o to, że Müller-Voigt poszedł z nią do łóżka – zrobił to z taką samą bezmyślną arogancją, z jaką sypiał z dziesiątkami innych kobiet. Dla niego nic to nie znaczyło, a dziś pewnie nawet nie pamięta tamtego epizodu.

Obecnie, dwadzieścia lat później, ilekroć Paul spotykał Müllera-Voigta czy nawet słyszał wzmiankę o nim, czuł tę samą zawiść i odrazę jak wtedy, gdy byli studentami. Później Scheibe zbudował sobie zupełnie nowe, inne i pełne sukcesów życie. Ale Müllerowi-Voigtowi udało się stworzyć dla siebie jeszcze lepsze. A co gorsza, wciąż był w otoczeniu Scheibego – jak stałe, lecz niechciane wspomnienie dawnych czasów.

Scheibe przycisnął twarz do szyby wystawowej w nadziei, że go ochłodzi, ale poczuł tylko wilgotne ciepło. Z zadumy wyrwał go wychodzący ze sklepu człowiek, który przypadkowo potracił go ramieniem. Co on tu robi? Co ma teraz począć? Opuścił Rathausmarkt z postanowieniem poszukania odpowiedzi.

Musiał znaleźć jakieś miejsce, gdzie będzie mógł się spokojnie zastanowić.

Oderwał wzrok od ekranu telewizora i ruszył dalej Monckebergstarsse, w stronę dworca kolejowego Hamburg Hauptbahnhof.

14.30, komenda główna policji, Hamburg

Śmierci towarzyszy biurokracja. Każde popełnione morderstwo wymaga wypełnienia stosu formularzy i napisania mnóstwa raportów. Po spotkaniu z policjantem z Ukrainy i Markusem Ullrichem Fabel nie potrafił się skupić na czekającej go papierkowej robocie. Po głowie krążyło mu tyle myśli, że stracił poczucie czasu i w pewnym momencie zdał sobie sprawę, iż od śniadania niczego nie jadł.

Zjechał windą do kantyny; na tacy położył krążki serowe i kawę. Kantyna była prawie pusta, podszedł więc do stolika pod oknem. W tej samej chwili zauważył Marię w towarzystwie Turczenki. Ukraińiec siedział na krześle ze wzrokiem

utkwionym w stojącej przed nim na stole filiżance kawy i wydawał się coś Marii tłumaczyć. Słuchała go uważnie. Było w tym coś, co się Fablowi nie spodobało.

– Mogę się przysiąc? – zapytał.

Turczenko podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście, panie nadkomisarzu. Bardzo proszę.

Maria też się uśmiechnęła, ale jej mina wskazywała, że nie jest zadowolona.

– Mówi pan znakomicie po niemiecku, Herr Turczenko – zagaił Fabel.

– Nauczyłem się na studiach. Studiowałem na uniwersytecie prawo. Spędziłem trochę czasu jako student w dawnych Niemczech Wschodnich. Dlatego to mnie wysłano na poszukiwania Witrenki.

– Służył pan też w siłach specjalnych? – zapytał Fabel.

Turczenko roześmiał się.

– Skądże... W policji jestem od niedawna. Wcześniej pracowałem jako adwokat we Lwowie. Po pomarańczowej rewolucji, w której brałem czynny udział, zostałem prokuratorem i dostałem od władz interesującą propozycję. Poproszono mnie, żebym utworzył nowy wydział przestępczości zorganizowanej, który zajmowałby się zwalczaniem przemytu ludzi i zmuszania do prostytucji. Krótko mówiąc, moim zadaniem jest ukrócenie współczesnego niewolnictwa. Wybrano mnie, ponieważ nie miałem żadnych związków z dawnym reżimem.

– Domyślam się, że na Ukrainie zachodzą poważne zmiany.

Turczenko uśmiechnął się.

– Ukraina jest pięknym krajem, Herr Fabel. Jednym z najpiękniejszych w Europie. Ludzie tu nie zdają sobie z tego sprawy. Jest też to kraj pełen wszelkich darów natury, nasza żyzna ziemia żywiła cały dawny Związek Radziecki. Mamy dużo surowców mineralnych i wspaniałe regiony turystyczne. Kocham swój kraj i wierzę, że czeka go wspaniała przyszłość. Że stanie się jednym z najbogatszych krajów Europy. Trzeba będzie więcej niż jednego pokolenia, żeby to osiągnąć, ale tak się stanie. Pierwsze kroki już zrobiliśmy – to demokracja

i liberalizacja. Napotyamy jednak również problemy. Ukraina jest podzielona. W zachodniej części wiążemy swoją przyszłość z Zachodem. Ale na wschodzie wciąż są tacy, którzy uważają, że stanowimy w jakimś sensie część Rosji. – Turczenko przerwał. – Wy, Niemcy, powinniście to rozumieć. Wasz kraj odradzał się kilka razy i nie zawsze to nowe wcielenie było dobre. Teraz odrodzenie czeka Ukrainę. Rozpoczynamy nowe życie. Nie ma w nim miejsca dla takich ludzi jak Wasyl Witrenko.

– Witrenko to zwierzyzna, którą wyjątkowo trudno upolować – zauważył Fabel. – Musi być pan bardzo czujny.

– Jestem z natury ostrożny. No i chroni mnie wasza policja. – Turczenko zatoczył ramieniem krąg, wskazując całą komendę. – Cały czas towarzyszy mi ochroniarz z GSG9. – Roześmiał się i popukał palcem w skroń. – Nie jestem człowiekiem czynu. Jestem od myślenia. Żeby go znaleźć i złapać, muszę go przechytryć.

Fabel uśmiechnął się. Spodobał mu się ten Ukrainiec; najwyraźniej wierzył w to, co mówi. Nie brakowało mu zapału do pracy. Fabel poczuł, że mu zazdrości.

– Życzę panu powodzenia – powiedział.

15.40, dzielnica Hohenfelde, Hamburg

– Jak ci poszło? – Julia zmarszczyła brwi. Cornelius Tamm czuł żal, że zmarszczenie brwi uwidaczniało na jej czole tak mało zmarszczek, jakby jej młodość nie chciała przejmować się jego troskami. Cornelius czuł się osaczony przez młodość. Młodość drwiła z niego, gdziekolwiek się pojawił.

– Nie poszło. – Rzucił klucze na stół i zdjął marynarkę.

Julia miała trzydzieści dwa lata; Cornelius był od niej dokładnie trzydzieści lat starszy. Trzy lata temu, w przeddzień swoich pięćdziesiątych dziewiątych urodzin, porzucił żonę dla Julii. Jego małżeństwo przetrwało prawie tyle lat, ile miała kobieta, dla której je przerwał. A Julia była zbliżona wiekiem do jego dzieci. W tamtej chwili Cornelius czuł, że odzyskuje młodość i wigor. Teraz cały czas czuł się zmęczony. Zmęczony

i stary. Usiadł przy stole.

– Co ci powiedział? – Julia naląła mu do filiżanki kawy i usiadła naprzeciwko.

– Powiedział, że mój czas minął. Po prostu. – Cornelius wpatrywał się w Julię, jakby zastanawiał się, co ona robi w jego kuchni, w jego mieszkaniu. W jego życiu. – I wiesz co? Miał rację. Świat idzie naprzód. I gdzieś po drodze mnie zostawił. – Odsunął od siebie filiżankę. Wyjął z kuchennej szafki szklaneczkę i butelkę szkockiej i nalął sporą porcję.

– To w niczym nie pomoże – stwierdziła Julia.

– Może i nie wyleczy choroby – wziął duży łyk i skrzywił się – ale na pewno złagodzi objawy. Uśmierzy ból.

– Nie przejmuj się. – Pocieszający uśmiech Julii jeszcze bardziej go rozzłościł. – Wkrótce ci się uda. Zobaczysz. À propos, ktoś dzwonił do ciebie. Jakies piętnaście minut temu.

– Kto?

– W pierwszej chwili się nie przedstawił. Potem prosił, żeby ci przekazać, że dzwonił Paul i spróbuje jeszcze raz się z tobą skontaktować.

– Paul? – Cornelius zmarszczył brwi, próbując dociec, o jakiego Paula mogło chodzić, i w końcu wzruszył ramionami. – Idę do swojego gabinetu. Zabieram ze sobą usypiacz.

Jego uwagę przykuło inne nazwisko. Wstając od stołu, rzucił okiem na leżący egzemplarz „Hamburger Morgenpost”. Odstawił szklanekę i sięgnął po gazetę. Długo się w nią wpatrywał.

– Co jest? – zapytała Julia. – Coś nie tak?

Cornelius nie odpowiedział; nie mógł oderwać oczu od artykułu. Napisano w nim, że ktoś umarł. Został zamordowany. To nazwisko było już od dwudziestu lat dla Corneliusa martwe. To był artykuł o śmierci ducha.

– Nic – powiedział, odkładając gazetę. – Zupełnie nic.

I wtedy domyślił się, co za Paul dzwonił.

19.40, stacja kolejowa w Nordenham, 145 kilometrów na zachód od Hamburga

Był piękny wieczór. Rozżarzone słońce chowało się za budynkami Nordenham, a Wezera toczyła bezgłośnie swoje połyskujące wody w kierunku Morza Północnego. Paul Scheibe nigdy wcześniej nie postawił nogi w Nordenham, na ironię więc zakrawał fakt, że to małe, prowincjonalne miasteczko położyło się tak długim cieniem na jego życiu.

Patrząc na budynek dworca kolejowego, przez chwilę znów był tylko architektem. Pod względem architektonicznym dworzec nie stanowił konstrukcji z jego bajki, ale solidny, surowy, północnoniemiecki styl mógł robić wrażenie. Przypomniawszy sobie, jak czytał, że budynek ma przeszło sto lat i jest wpisany na listę zabytków.

Więc to tutaj.

Tu się to wydarzyło. Na tym peronie. Na tej scenie rozegrał się największy dramat jego życia, choć wcale go tu nie było. Ani pozostałych. Sześciu ludzi, sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, podjęło decyzję o poświęceniu ludzkiego życia na tym peronie. Jedno życie zakończone, by sześć innych mogło zacząć żyć na nowo. A jednak nie tylko jedna osoba straciła w tym miejscu życie. Piet także zginął. I Michaela oraz jeden policjant. Mimo to Paul Scheibe nigdy nie czuł się winny. Zwyciężyło uczucie ulgi, wyzwolenia, kiedy wiadomo było, że już jest po wszystkim. Choć nie było. Coś – ktoś – powróciło z tamtych mrocznych czasów.

Zastanów się, powtarzał sobie w kółko. Zastanów się. Kto zabijał członków ich grupy? To musiało mieć coś wspólnego z tym miejscem i wydarzeniami, które tutaj się rozegrały. Ale kto za tym stał? Czyżby to któryś z pozostałej przy życiu czwórki? Scheibe nie potrafił sobie tego wyobrazić. Przecież niczego by w ten sposób nie osiągnął; nikt do nikogo nie czuł zadawnionej urazy.

Scheibe poczuł, jak przeszywa go lodowate zimno. A jeśli Franz nie zginął? Uwielbiali Franza, naśladowali go, ale przede wszystkim się go bali. Jeśli jego śmierć była zwykłą szopką,

wynikiem układu zawartego z władzami? A jeśli przeżył?

To nie miało sensu, ale przecież te morderstwa musiały się w jakiś sposób wiązać z tym, co się wydarzyło tutaj, na prowincjonalnej stacji kolejowej, dwadzieścia lat temu. Scheibe żałował teraz, że zostawił Corneliusowi wiadomość. Nie zamierzał ułatwiać zadania mordercy i nie chciał ryzykować kariery, odnawiając dawno zapomniane znajomości. Zbyt ciężko musiał pracować na to, co osiągnął; nie zamierzał tego stracić.

Zerknął na zegarek; dochodziła ósma. Czuł się zmęczony i brudny. Od lunchu w ratuszu niczego nie jadł i miał pusty żołądek. Usiadł na ławce na peronie i patrzył bezmyślnie przed siebie, na tory, płaski krajobraz w dali, na Wezerę i znajdującą się na jej drugim brzegu dzielnicę Luneplate.

Musiał się dobrze zastanowić. W tamtych czasach koledzy polegali na nim, na jego umiejętności układania strategii. Przecież potrafił zaplanować budynek. Nie tylko samą konstrukcję, ale wszystkie, najdrobniejsze szczegóły. To on był architektem tego, co tu się wydarzyło, on uwolnił siebie i pozostałych. Teraz musiał dokonać tego jeszcze raz. Sięgnął do kieszeni pomiętej lnianej marynarki i wyjął z niej telefon komórkowy. Nie, jego numer mógł być namierzany. Całkiem niedawno dowiedział się, że korzystanie z telefonów komórkowych nie jest bezpieczne. Zdawał sobie sprawę, że musi to starannie rozegrać. Zadzwoeni na policję. Anonimowo. Zawrze umowę, która pozwoli mu z tego wyjść cało. Tak jak poprzednim razem.

Budka telefoniczna. Musiał znaleźć budkę. Rozejrzał się wokół siebie.

I wtedy zobaczył młodego, ciemnowłosego mężczyznę wchodzącego na peron. Paul nie miał trudności z przypomnieniem sobie, gdzie czy kiedy widział tę twarz.

Młody mężczyzna skierował się w jego stronę.

– Wiem, kim jesteś – powiedział Paul. – Dobrze wiem, kim jesteś.

Mężczyzna uśmiechnął się i wyjął rękę z kieszeni marynarki, ścisnął w niej pistolet Makarow.

– Chodźmy porozmawiać w jakiejś bardziej ustronne miejsce. Przed dworcem stoi mój samochód. – Ruchem głowy wskazał wyjście z peronu.

20.00, dzielnica St Pauli, Hamburg

– Powiedz, jeśli ci przeszkadzam. – Anna Wolff uśmiechnęła się szeroko do Henka Hermanna, kiedy podchodzili do baru.

Firehouse był dużym budynkiem postawionym na planie kwadratu. Z zewnątrz wyglądał jak wszystkie te nijakie domy z cegły, które w latach pięćdziesiątych wyrastały jak grzyby po deszczu, zapelniając luki po wojennych bombardowaniach. Wnętrze było równie nijakie, ale w zupełnie odmienny sposób. Była to kolejna wariacja na ten sam, spotykany we wszystkich barach i klubach na świecie temat – nic zaskakującego, nic inspirującego, trochę retro. Nawet grająca w tle muzyka była przewidywalna, jakaś ścieżka dźwiękowa chill-out. Na Annie Firehouse nie zrobił w ogóle wrażenia. Ale w końcu to nie był klub dla jej pokolenia.

– Bardzo zabawne – mruknął Henk i skinął na czarnego barmana z ogoloną głową.

– Co wam podać? – Barman mówił po niemiecku z jakąś mieszaniną afrykańskiego i angielskiego akcentu.

W odpowiedzi Henk wyjął owalną odznakę policji kryminalnej.

– Chcemy cię zapytać o jednego z waszych klientów.

– Aha...

– To ma związek ze śledztwem w sprawie morderstwa – wtrąciła Anna. – Podejrzewamy, że ofiara była tu stałym bywalcem. – Położyła zdjęcie Hausera na barze. – Znasz go?

Barman zerknął przelotnie na fotografię i skinął głową.

– To Herr Hauser. Tak, znam go. A właściwie znałem. Czytałem w gazetach o jego śmierci. Straszne. Tak, przychodził tu regularnie.

– Z kimś?

– Z nikim konkretnym, z tego, co wiem. Pojawiał się tu

z różnymi facetami...

Pozostali dwaj barmani byli zajęci, a jakiś klient przy drugim końcu baru zawołał czarnoskórego.

– Przepraszam na chwilę... – Kiedy poszedł obsłużyć klienta, Anna rozejrzała się po klubie. Mimo dość wczesnej wieczornej pory zjawilo się już sporo gości. Tak jak się spodziewała, byli tu prawie wyłącznie mężczyźni, choć poza tym faktem nic innego nie wyróżniało Firehouse spośród innych barów i klubów. Część mężczyzn miała na sobie garnitury; wyglądało na to, że przyszedli tu prosto po pracy. Trudno było sobie Annie wyobrazić w tym miejscu Hausera; lokal wydawał się zbyt mainstreamowy. Barman wrócił i przeprosił za przerwę.

– Herr Hauser przychodził tu bardzo często, ale zwykle otaczał się dużo młodszymi facetami. Dużo, dużo młodszymi. Zapytałem o niego pozostałych barmanów. Martin twierdzi, że często pojawiał się z takim facetem z ciemnymi włosami.

– Sebastianem Langiem? – Anna położyła zdjęcie Langa na kontuarze obok fotografii Hausera.

– Nie kojarzę go sobie... Martin?! – Barman zawołał swojego kolegę.

– To on – potwierdził drugi barman. – Przychodzili tu razem przez jakiś czas, ale potem ten drugi przestał się pojawiać. Wcześniej Herr Hauser na ogół pijał z jakimś gościem bardziej w swoim wieku. Nie sądzę, żeby coś ich łączyło, chyba byli tylko przyjaciółmi.

– Zna pan nazwisko tego przyjaciela?

– Niestety nie.

– Czy on nadal tu przychodzi?

Barman pokręcił głową.

– Myślę, że przychodził, żeby spotkać się z Herr Hauserem.

– Dzięki – powiedział Henk i dał barmanowi swoją policyjną wizytówkę. – Jeśli go pan zobaczy ponownie, proszę do mnie zadzwonić pod ten numer.

Barman wziął kartonik z numerem.

– Jasne. – Zmarszczył brwi. – Chyba nie sądzicie, że ten facet miał coś wspólnego z zamordowaniem Hausera?

– Na razie próbujemy odtworzyć ostatnie dni życia ofiary –

odparła Anna. – I znaleźć ludzi, z którymi się zadawał. To wszystko.

Kiedy wychodzili z Henkiem z klubu, Anna nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że na razie nie udało im się odtworzyć niczego.

**DWANAŚCIE DNI PO PIERWSZYM MORDERSTWIE,
WTOREK 30 SIERPNI 2005**

10.30, komenda główna policji, Hamburg

Fabel zadzwonił ze swojego gabinetu w wydziale zabójstw do oficera z BKA Markusa Ullricha. Ullrich sprawiał wrażenie zaskoczonego, słysząc Fabla, ale starał się tego nie okazywać.

– Co mogę dla pana zrobić, nadkomisarzu? Czy chodzi o Frau Klee?

– Nie, Herr Ullrich. – To prawda, Fabel chciał porozmawiać z Ullrichem na ten temat, ale teraz nie była odpowiednia pora. Fabel potrzebował przysługi. – Pamięta pan, jak komendant van Heiden zapytał mnie o sprawę, którą się obecnie zajmuję? Tego Fryzjera z Hamburga?

– Owszem, pamiętam.

– Ktoś mi zasugerował, żebym przyjrzał się bliżej przeszłości ofiar. A zwłaszcza sprawdził, czy z ich studenckich czasów nie pozostały jakieś niewyjaśnione tajemnice. Albo z czasów, kiedy w kraju panowały niepokoje. Obaj do jakiegoś stopnia byli wtedy politycznie zaangażowani. Pomyślałem, że jeśli były wobec nich jakieś podejrzenia...

– ...To mamy w BKA jakiś ślad, czy tak?

– Przyszło mi to do głowy... – Fabel opowiedział w skrócie, czego do tej pory się dowiedzieli o ofiarach morderstw.

– Okej. Zobaczę, co da się zrobić.

Fabel rozłączył się i przeszedł do głównej sali wydziału, żeby porozmawiać z Anną. Opowiedział jej szczegółowo historię dokumentów znalezionych przy mumii w HafenCity.

– Mogłabyś się wybrać do archiwów państwowych i trochę tam pogrzebać? Chciałbym się dowiedzieć, czy przeżył jakiś

jego najbliższy krewny.

Anna spojrzała na papiery, które dał jej Fabel, i wzruszyła ramionami.

– Okej, szefie.

Fabel zatrzymywał się na chwilę przy biurku każdego ze swoich ludzi, żeby się dowiedzieć o ich postępy. Dwa morderstwa, którym towarzyszyło oskalpowanie, odsunęły wszystko inne w cień i Fabel cieszył się, że jedyną prowadzoną jeszcze sprawą była zakończona zabójstwem awantura przed klubem w St Pauli, ponieważ tę stosunkowo szybko się zamknie. Często zdarzało mu się myśleć w taki sposób: dobrze, że czyjaś gwałtowna śmierć jest tak prosta do rozwikłania, ponieważ nie wymaga nadmiernego zaangażowania jego zespołu. Nie znosił sytuacji, kiedy był zmuszony do bezdusznego wyjaśniania zagadki czyjejś śmierci.

– Nadal nic nowego w billingach obu ofiar – uprzedził jego pytanie Henk Hermann. – Nie znaleźliśmy żadnego numeru, którego nie dałoby się wyjaśnić.

Fabel podziękował Henkowi i wrócił do swojego gabinetu. Wciąż nie dawało mu to spokoju. Instynktownie czuł, że ofiary musiały znać zabójcę.

11.45, dzielnica Schanzenviertel, Hamburg

Pokój wypełniała intensywna, słodkawa woń kadzidełek. Żaluzje w oknach były zasłonięte, a pomieszczenie oświetlało łagodne, podrygujące światło dwóch tuzinów świec.

Beate Brandt siedziała z zamkniętymi oczami; jedną dłonią trzymała się za czoło, a druga spoczywała na piersi klienta. Jej długie włosy spadały kaskadą na ramiona, zupełnie tak samo jak wtedy, gdy miała osiemnaście lat. Ale ich zmysłowy blask, który zniewalał mężczyzn, znikł na dobre dziesięć lat temu. Teraz były szare i wypłowiałe, już nie tak czarne, suche i łamliwe, pozbawione połysku. To samo stało się z jej smagłą cerą, którą odziedziczyła po matce Włoszce. Pozostała tylko smukłość sylwetki i łagodność rysów twarzy, ale skórę

pokrywały zmarszczki, przypominające spękany werniks na cennym obrazie.

– Oddychaj głęboko... – zwróciła się do klienta, który mógł być w wieku jej syna i leżał na plecach z mocno zaciśniętymi powiekami. – Podróżujemy wstecz. Wracamy do czasów poza życiem, ale przed śmiercią. Przed doświadczeniem ponownych narodzin tylko raz możemy spojrzeć na minione życie.

Ucisnęła dłonią czoło klienta. Na palcach miała wielkie pierścionki; na niektórych z nich wygrawerowano astrologiczne symbole. Jej klient miał jasną, nieskazitelnie piękną skórę. Patrzyła na jego idealnie gładkie brwi, porównując je ze swoją pomarszczoną dłonią i pogrubiętymi, niegdyś tak smukłymi palcami. Dlaczego nasze ciała się starzeją, choć w środku czujemy dokładnie to samo co dawniej? – pomyślała.

– Cofaj się... – Jej głos był ledwie słyszalnym szeptem. – Cofnij się do swojego dzieciństwa. Pamiętasz? Potem cofnij się jeszcze bardziej. Jeszcze bardziej...

Beate cały czas z trudem wiązała koniec z końcem. A może poprawniej byłoby powiedzieć, że starała się związać koniec z końcem, żyjąc skromnie. Nie mogła znieść myśli, że miałyby zostać drobną kapitalistką, ale jeszcze bardziej odstręczał ją pomysł, żeby pracować u kogoś. Beate musiała też myśleć o swoim synu. Starła się ze wszystkich sił, żeby mu niczego nie brakowało. Dla samotnej matki nie było to proste. Istniała jeszcze jedna przeszkoda – jak głęboko ewentualny pracodawca zechciałby sięgnąć w jej przeszłość. Zaczynała od małego butik w Viertel, ale szybko okazało się, że jej pomysły na temat elegancji w Schanzenviertel nie nadążają za duchem czasu, gorzej, są spóźnione co najmniej o dekadę. Po zamknięciu sklepiku próbowała znaleźć jakiejś zajęcie, które przynosiłoby dochody. I wtedy przyszedł jej do głowy pomysł z „Ponownymi narodzinami”. Doskonale wiedziała, że to nonsens. Sama reinkarnacja w jakiś sposób ją pociągała, brzmiało to ciekawie i przyjemnie, ale te całe „Ponowne narodziny” były zwyczajnym stekiem bzdur.

Spojrzała na spoczywającego na leżance klienta. Był u niej stałym bywalcem, przychodził od trzech miesięcy. Od śmierci

Hansa-Joachima i Güntera postanowiła nie przyjmować nowych klientów. Nikogo obcego. Te morderstwa były dla niej szokiem. Przeraziły ją. Bo choć drogi jej i Hansa-Joachima nie skrzyżowały się od dwudziestu lat, to mieszkał tylko kilka ulic dalej.

Teraz Beate przyjmowała tylko tych klientów, z którymi miała do czynienia od dłuższego czasu. Próbowwała nawet zorganizować „terapię grupową”, żeby przyjmować więcej niż jednego klienta naraz, ale ponieważ jej „terapia” miała bardzo osobisty i intymny charakter, klienci nie chcieli uczestniczyć w sesjach grupowych. Jej najlepszym pomysłem było stworzenie strony internetowej, dzięki której mogła udzielać konsultacji online. Kupiła nawet oprogramowanie, które pozwalało klientom wpisać datę i miejsce urodzenia, a w zamian dostawali opis swojej przeszłości. Zapłata kartą kredytową następowała za pośrednictwem szyfrowanego, bezpiecznego łącza. Jednym słowem: żadnego ryzyka, żadnych nakładów, same zyski.

Główna idea pomysłu Beate na biznes sprowadzała się do tego, że każdy człowiek żył już wcześniej po kilka razy, musi więc istnieć klucz otwierający wrota do tamtych przeszłych wcieleń. Rzecz jasna było to statystycznie niemożliwe, biorąc pod uwagę rosnącą gwałtownie populację ludzi. Beate, która studiowała matematykę na Uniwersytecie Hamburgskim, dobrze o tym wiedziała. Był jednak taki czas, dawno temu, kiedy w imię wyższej idei porzuciła wątpliwości. Co więcej, w dzisiejszym świecie mnóstwo ludzi szukało czegoś, co nada ich życiu sens, co będzie mniej banalne niż szara codzienność. Tak więc Beate – ateistka, racjonalistka, matematyczka – uczyniła z siebie guru New Age, pomagając ludziom odkryć tajemnice ich wcześniejszego życia. Nauczyła się podstaw hipnozy, choć wątpiła, czy kiedykolwiek udało jej się skutecznie kogoś zahipnotyzować. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że jej klienci łądzą się, iż są w stanie hipnozy, dzięki czemu łatwiej było im uwierzyć w brednie, jakie opowiadała. Uwierzyć, że te historie to coś więcej niż tylko mieszanka wyobraźni, spełnienia pragnień i czegoś wyczytanego gdzieś

wcześniej. Dla uwiarygodnienia swoich działań mówiła o „wspomaganej medytacji”, przenosząc ciężar odpowiedzialności za hipnozę na klienta.

Ten pierwotny pomysł miał jedną wadę: Beate szybko zrozumiała, że klient, któremu pomogła odkryć własną przeszłość, wychodzi od niej szczęśliwy i już nigdy nie wraca, a zatem znika źródło dochodów. Uznała, że musi nadać swojej terapii nowy, dodatkowy wymiar – coś, co przedłuży cały proces. Wtedy właśnie utworzyła stronę internetową i wpadła na pomysł „Ponownych narodzin pełnej osoby”. Polegał on na tym, że człowiek musiał poznać wszystkie swoje dotychczasowe egzystencje i dopiero wtedy mógł się w pełni „narodzić na nowo” i rozpocząć prawdziwie nowe życie.

Beate dostrzegała całą ironię tej terapii. Tu, w tym pokoju, wyrzucała z siebie ochoczo mieszkankę typowej dla New Age mowy-trawy i żargonu psychoanalityków na temat reinkarnacji i ponownych narodzin. Podobnie jak reszta grupy, odnalazła się na nowo i oddzieliła grubą kreską dzisiejsze życie od przeszłości. W przeciwieństwie do pozostałych postanowiła jednak nie wychylać się zbyt mocno. Pragnęła anonimowości. Ale wyglądało na to, że takie niewychylanie się nie zapewniało należytej ochrony. Hans-Joachim Hauser zawsze był zadufanym w sobie egotystą, ale Günter Griebel, podobnie jak ona, starał się nie zwracać na siebie uwagi. A mimo to zwrócił.

Zerknęła na tarczę zegara na ścianie. Ta sesja ciągnęła się w nieskończoność. Młody mężczyzna był przekonany, że musi odkryć kilka swoich wcześniejszych egzystencji, ale skarżył się na jakieś przeciwności, na coś, czego nie potrafił ominąć. Beate westchnęła cierpliwie i spróbowała pomóc mu w podróży przez lata, przez stulecia, żeby wreszcie dowiedział się, kim był dawniej.

Czasami miała ochotę wykrzyknąć swoim klientom prosto w twarz, że to wszystko bujda, oszustwo; że nie ma nic do odkrycia prócz niemożności pogodzenia się z faktem, że tu i teraz jest jedyny świat, w jakim przyszło im żyć. Najbardziej zdumiewało ją to, że jej klientela, kiedy już odkryła mroki swojej przeszłości, nie umiała zachować chronologii zdarzeń,

zupełnie jak mierni autorzy historyczno-romansowych powieści. Wiele klientek, kobiet w średnim wieku, realizowało swoje fantazje, przypominając sobie, że były w przeszłości pięknymi kurtyzanami, ponętными pannami czy księżniczkami z bajki. Tylko w niewielu „przeszłych życiach” pojawiały się plagi, choroby, głód czy bieda, tak powszechne przecież w dawnych czasach.

Ten młody człowiek jednak był inny. Traktował całą terapię z powagą. Od samego początku z głębokim przekonaniem mówił o tym, że musi poznać swoje wcześniejsze wcielenia. Zachowywał się tak, jakby szukał jakiegoś rodzaju prawdy. Prawdziwej przeszłości. Prawdziwego życia.

A tego Beate nie potrafiła mu dać.

– Widzisz coś jeszcze? – zapytała.

Mężczyzna nastroszył brwi w geście koncentracji. Beate już podczas pierwszej wizyty zauważyła, że jest bardzo atrakcyjny. Nie opuszczało jej dziwne wrażenie, że już go kiedyś spotkała. Wtedy mogłaby go mieć. Mogła mieć każdego mężczyznę. Wszystko. Świat stał przed nią otworem. A potem obrócił się w proch.

– Coś widzę – powiedział niepewnie. – Tak, coś widzę. Jakieś miejsce. Stoję przed dużym budynkiem i czekam na coś lub na kogoś.

– W tym życiu czy w poprzednim?

– W poprzednim. To było wcześniej.

– Opisz ten budynek.

– Jest duży. Trzypiętrowy. Szeroki od frontu, z licznymi drzwiami. Stoję przed nim. – Mężczyzna miał cały czas zamknięte oczy, ale nagle w jego głosie pojawiła się jakaś niecierpliwość. – Widzę. Widzę bardzo wyraźnie.

– Co widzisz? – Beate ponownie zerknęła na zegar. Jeśli widział swoje poprzednie życie, lepiej, żeby to trwało krótko, w przeciwnym razie będzie płacił za dodatkową godzinę.

– Dwa życia. Trzy, łącznie z tym obecnym. Widzę każde z nich tak wyraźnie, jakbym sobie przypominał wczorajszy dzień.

– Trzy życia, mówisz?

– Trzy życia, a jakby jedno. Kontinuum. Śmierć nie jest końcem, to tylko krótka przerwa. Pauza.

Muszę to zapamiętać, pomyślała Beate. Kontinuum ze śmiercią jako krótką przerwą. Doskonale. Można to wykorzystać.

– Mów dalej – zwróciła się do młodego klienta. – Opowiedz o pierwszym życiu. Czy to wtedy stałeś przed tym dużym budynkiem?

– Nie... Nie, to było drugie życie. To poprzednie.

– Opowiedz mi o pierwszym życiu. Gdzie jesteś? Kim jesteś?

– Beate starała się opanować zniecierpliwienie.

– To nieistotne. Moje pierwsze życie było tylko przygotowaniem... Szykowano mnie.

– Kiedy to było?

– Tysiąc lat temu. Wcześniej. Zostałem złożony w ofierze w bagnie. W mętnej wodzie. Potem położyli na mnie gałęzie orzecha i brzozy i obciążyli kamieniami. Było tak bardzo zimno. I tak ciemno. Tysiąc lat w ciemności i chłdzie. A potem narodziłem się na nowo.

– Jako kto?

– Jako ktoś... – Mężczyzna zmarszczył mocniej brwi. – Jako ktoś... kogo znałaś.

– Ja znałam ciebie? – Beate przyjrzała się twarzy klienta. Wciąż miał zamknięte oczy. Nie wiedzieć czemu, to wyznanie ją poruszyło. Wszystko to było nonsensem, rzecz jasna, ale wróciła myślami do ich pierwszego spotkania. Już wtedy pomyślała, że go poznaje, że skądś go zna. Szybko jednak uznała, że po prostu przypomina jej kogoś innego, kogoś, kogo nie potrafiła sobie przypomnieć.

– Jestem w nim teraz. W budynku. Widzę wyraźnie... – Młody mężczyzna zignorował jej pytanie. Uniósł powieki i utkwił nieobecne spojrzenie w suficie. – To stacja kolejowa. Teraz to widzę. Stoję na stacji. Stacja jest mała, ale budynek wielki i stary. Przedemną, za peronem, roztacza się pusty, płaski krajobraz. Jest tam szeroka rzeka...

Zamilkł na chwilę, na jego twarzy widniał wyraz skupienia. Potem potrząsnął głową.

– Przepraszam... – Po raz pierwszy od początku sesji spojrzał wprost na nią. Uśmiechnął się przepraszająco. – Znikło.

– Powiedziałaś, że znałeś mnie w poprzednim życiu.

Klient spuścił nogi z leżanki i usiadł na jej brzegu.

– Sam nie wiem... To było tylko takie wrażenie. Nie umiem tego wytłumaczyć.

Beate zastanawiała się chwilę nad jego słowami. Potem spojrzała na zegar. Godzina minęła.

– Może podczas następnej sesji zaczniemy od tego samego miejsca. – Zajrzała do kalendarza i wpisała datę i godzinę następnego spotkania. Klient wstał i włożył marynarkę. – Myślę, że to była udana sesja. Po raz pierwszy wydajesz się bardziej zrelaksowany.

– Bo jestem. – Uśmiechnął się i podszedł do drzwi. – Czuję, że jestem bliski osiągnięcia wyjątkowego, pełnego spokoju stanu umysłu. Japończycy mają na to specjalną nazwę...

– Tak? – Beate otworzyła przed nim drzwi. Lada chwila miał się zjawić następny klient.

– Tak – powiedział, wychodząc. – Nazywają to *zanshin*.

12.40, Winterhuder Fahrhaus, Hamburg

Kawiarnia na przystani promowej Winterhude znajdowała się niedaleko komendy głównej. Fabel często wybierał ją na miejsce spotkań swojej ekipy, kiedy chciał z nimi porozmawiać o jakimś śledztwie mniej formalnie, z dala od murów wydziału zabójstw. Gdy rano zadzwonił Markus Ullrich, Fabel zaproponował, żeby spotkali się w tej właśnie kawiarni.

Fabel pojawił się wcześniej i zamówił kawę u kelnera, który znał go jako stałego klienta, choć nie miał pojęcia, że ma do czynienia z detektywem z wydziału zabójstw. Fabel był zadowolony z faktu, że większość ludzi nie widziała w nim policjanta i nigdy bez potrzeby nie chwalił się swoją profesją. Tak jakby miał dwie tożsamości. Dwa oddzielne życia w dwóch miastach: jedno w Hamburgu, w którym mieszkał i który ubóstwiał, i drugie w Hamburgu, w którym pilnował porządku.

Często zastanawiał się, czy po tak długim czasie odnalazł się w tym zawodzie. Wiedział, że wykonuje swoją pracę dobrze, ale każda nowa sprawa, każde okrucieństwo wyrządzone człowiekowi przez innego człowieka podkopywały jego wiarę. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, kim byłby, gdyby nie podjął decyzji o wstąpieniu w szeregi policji. Cały czas pamiętał o wizytówce Rolanda Bartza w portfelu, bilecie powrotnym do normalnego życia.

Z zamyślenia wyrwał go widok przysadzistej sylwetki Ullricha, schodzącego po schodach do kawiarni. Oficer BKA był ubrany z ciemny garnitur i ciemną koszulę, a pod pachą niósł elegancką dyplomatkę. Mógłby być agentem ubezpieczeniowym. Fabel przypomniał sobie spotkanie z ubranym w garnitur profesorem van Halenem. Wyglądało na to, że cały świat stawał się jedną wielką korporacją.

– Dziękuję za starania – powiedział, ściskając dłoń Ullricha.
– Myślałem, że nie ma szans na znalezienie czegoś na temat obu ofiar.

Mężczyźni usiedli. Przerwali rozmowę na czas składania zamówienia u kelnera.

– Mam dla pana parę interesujących rzeczy, Herr Fabel. – Ullrich położył dyplomatkę na kolanach i postukał w nią dłonią, dając do zrozumienia, jakie skarby kryją się w środku. Następnie odstawił ją ostrożnie na ziemię obok krzesła, tym razem dając do zrozumienia, że jej zawartość Fabel pozna później.

– Mamy do omówienia parę spraw, ale wcześniej chciałbym wyjaśnić sytuację z Marią Klee. Nie uznał pan, mam nadzieję, że obszedłem się z nią zbyt obcesowo. W końcu naraziła na niepowodzenie szeroko zakrojoną operację.

– Byłoby lepiej, gdyby omówił pan tę sprawę najpierw ze mną, zamiast biec na skargę do van Heidena.

Ullrich wzruszył ramionami.

– Nie miałem okazji, żeby tak postąpić. Dowódcy całej operacji, a zwłaszcza ci z LKA6, wściekli się, że Frau Klee niweczy ich trud. To była bardzo delikatna operacja.

– Na miłość boską, Ullrich, chyba pan wie, jak bardzo

osobiście zaangażował się mój zespół w śledztwo przeciwko Witrence.

– To było wcześniej. Przykro mi, ale świat idzie naprzód. Zajmujemy się zagrożeniem, jakie Witrenko stwarza teraz. I jest ono zbyt duże, by pozostawić to tylko na barkach policji hamburskiej. W operację byli zaangażowani ludzie z BKA, z LKA6, z Federalnej Służby Granicznej, z wydziału przestępczości zorganizowanej policji w Kolonii... Przepraszam, nie mogłem tego panu osobiście powiedzieć, ale w sprawę zaangażowanych jest też wielu polityków. Chcę, żeby pan wiedział, że nie zwróciłem się do pańskiego zwierzchnika specjalnie.

– Niech będzie – odparł Fabel.

– Tak czy inaczej... – Ullrich podniósł teczkę. – Zrobiłem, o co pan prosił, i poszukałem czegoś na temat pańskich ofiar.

– I?

– I choć powiązania są niejasne, to zbyt dużo jest tu, przynajmniej moim zdaniem, zbiegów okoliczności, żeby sądzić, że tak zwany Fryzjer z Hamburga wybiera przypadkowe ofiary. Tak jak pan podejrzewał, w LKA i w BKA mają tecki Hansa-Joachima Hausera. Do lat osiemdziesiątych był bardzo aktywny. Pomyślałem, że to może pana zainteresować. Zrobiłem kopie dokumentów... – Ullrich sięgnął do dyplomacji i wyjął grubą teczkę, którą położył na pomalowanym na biało blacie metalowego stolika. Na płowóżółtej okładce nie widniało nic, co wskazywałoby na zawartość teczek. Fabel chciał ją podnieść, ale Ullrich położył na niej dłoń. – Proszę, niech pan tego nie zawieruszy. To tylko kopia, ale i tak sytuacja zrobiłaby się niezręczna. Nie ma tam wielu rzeczy, które mogłyby pana zaskoczyć, Herr Fabel. Ciekawie zaczyna się robić dopiero tutaj... – Położył na stole drugą teczkę. – Druga ofiara też miała założoną teczkę w BKA.

Fabel pochylił się nad stołem.

– Griebel był obserwowany?

– Pomyślałem, że to pana zainteresuje. – Ullrich uśmiechnął się. – Pozornie nie ma żadnych bezpośrednich związków pomiędzy Hauserem i Griebelm prócz tego, że studiowali na

Uniwersytecie Hamburgskim mniej więcej w tym samym czasie i obaj byli zaangażowani w politykę. Ale najciekawsze jest to, że obaj byli później podejrzewani o przynależność do tak zwanego RAF-Umfeld.

– Griebel też? – Fabel znał ten skrót: RAF-Umfeld oznaczało bliżej nieokreśloną siatkę osób wspierających, zwykle finansowo i logistycznie, Frakcję Czerwonej Armii, czyli grupę Baader-Meinhof, oraz inne organizacje terrorystyczne.

– Griebel też – potwierdził Ullrich. – Jak pan wie, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, grupy niemieckich anarchistów były wspierane przez takie właśnie siatki. Zaczęło się od Schili, czyli „lewicowego szyku”, skupiającego liberałów z klasy średniej, wspierających działalność anarchistów. Schili byli głównie lewicowi prawnicy, dziennikarze, wykładowcy uniwersyteccy i tym podobni, przekazujący pieniądze na „akcję bezpośrednią”... Do chwili, gdy ta „akcja bezpośrednia” nie zmieniła się z włożenia do drogich restauracji, wypisywania haseł na murach i pozowania nago w porwania, morderstwa i podkładanie bomb. Dotychczasowi aktywiści zamienili się w terrorystów, a tego było za wiele dla modnej lewicy. Zaczęło się oddzielanie ziarna od plew i w końcu grupom terrorystycznym pomagały już tylko starannie wyselekcjonowane osoby, pełniące w społeczeństwie normalne funkcje i niełamące prawa.

– Wiem – przytaknął Fabel. – Tak zwani legalni.

– Właśnie. Ale prócz legalnych w całym kraju istniała siatka uśpionych. Tych ludzi można było wezwać do złamania prawa, zrobienia jakiejś machinacji finansowej, wsparcia głównej grupy terrorystycznej, a nawet zabicia kogoś. Ale z pozoru byli to ludzie, którzy wiedli normalne życie i nie zwracali na siebie uwagi. Grupy terrorystyczne często wybierały ludzi, którzy nigdy nie mieli związków z ruchami protestu czy inną formą aktywności politycznej. – Ullrich podsunął Fabelowi teczkę. – Tutaj dowie się pan, że Hans-Joachim Hauser był podejrzewany o to, że jest jednym z legalnych. Otwarcie popierał sprawę, ale nigdy nie złamał prawa. Tymczasem doktor Griebel był uważany za uśpionego...

– I podejrzewano ich, że mają związki z Frakcją Czerwonej Armii?

– Otóż to. Jak pan wie, istniało wiele grup, które wymieniały się twórczo swoimi myślami i doświadczeniami – Stowarzyszenie Socjalistycznych Pacjentów, Komórki Rewolucyjne, Rote Zora czy grupa Baader-Meinhof. Było także sporo wolnych strzelców walczących o lepszy świat. Wiem, że na początku swojej kariery w policji zetknął się pan z jednym z takich odłamów.

Fabel szorstko przytaknął. Ullrich miał najwyraźniej na myśli strzelaninę w Commerzbank w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim, urządzoną przez Grupę Akcji Radykalnej Hendrika Svenssona, w której zginął Franz Webern, a Fabel został ranny i ratując własne życie, zastrzelił młodą dziewczynę. Fabel nie był zachwycony, że człowiek z BKA sprawdza jego życiorys. Ale taką miał pracę.

– Pamięta pan pewnie – ciągnął Ullrich – że po samobójstwie Meinhof, Baadera, Ensslin i Raspego w więzieniu Stammheim w siedemdziesiątym szóstym i siódmym niemieccy terroryści stali się bardzo podzieleni, co znacznie utrudniło nam pracę. Stopniowo rosła też ich brutalność. Fakt, Hauser i Griebel nie byli zbyt ważnymi postaciami... Nigdy też nie padła żadna sugestia na temat ich znajomości. Mieli co prawda wspólnych znajomych, ale to nic wielkiego. Jest jednak coś na temat Griebla.

– Tak?

– Zwróciłem uwagę, że jego teczka była ostatnio uzupełniana. Kilka lat temu przyjrano mu się ponownie. Mam wrażenie, że to z powodu prowadzonych przez niego badań. Dlaczego dziedzina, w której się specjalizował, wydała się komuś interesująca, tego nie wiem, ale nasi spece od antyterroryzmu uznali za konieczne sprawdzić go jeszcze raz. Tak więc... życzę miłej lektury.

– Doceniam to, co pan dla mnie zrobił – powiedział Fabel, kiedy na stole pojawił się ich lunch.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Prosiłbym tylko, żeby mnie pan powiadomił, jeśli ich polityczna działalność okaże się

właściwym śladem. Być może w jakimś wymiarze będzie nas to interesowało. I jeszcze jedno, Herr Fabel... – Ullrich miał niepewną minę, jakby zastanawiał się, czy powiedzieć to, co chce.

– Tak?

– Proszę być ostrożnym. Jak pan się przekona po przeczytaniu tych dokumentów, część osób, które były przedmiotem naszego zainteresowania w przeszłości, pełni obecnie ważne funkcje. Wystarczy spojrzeć na gabinet Gerharda Schrödera. Minister spraw zagranicznych, który przyznał się do udziału w zamieszkach ulicznych, i minister spraw wewnętrznych, który był obrońcą grupy Baader-Meinhof. – Ullrich miał na myśli Joschkę Fischera, usuniętego z rządu po tym, jak Bettina Röhl, córka Ulrike Meinhof, pokazała prasie jego zdjęcie, jak atakuje policjanta, oraz Otto Schily’ego, który na początku swojej kariery adwokackiej reprezentował terrorystów przed sądem. – Znajdzie pan tam też inne nazwiska, silniej związane z Hamburgiem...

– Na przykład Müllera-Voigta?

– Właśnie. Jeśli pójdzie pan tym śladem, proszę mieć oczy naokoło głowy.

Fabel roześmiał się ponuro.

– Nie obawiam się politycznych gromów – powiedział. – Zdążyłem się do nich przyzwyczaić.

– To nie gromów politycznych powinien się pan obawiać... – odrzekł Ullrich. – Nie sądzę, żeby ci tak zwani uśpieni wierzyli nadal w te wszystkie brednie, ale w końcu prowadzili przez ostatnie dwadzieścia lat zupełnie normalne życie. Jestem pewien, że niektórzy są gotowi zrobić wszystko, żeby się bronić. Powtarzam więc, niech pan będzie ostrożny.

19.30, dzielnica Poseldorf, Hamburg

Fabel spędził popołudnie na lekturze teczek z BKA. Było tak, jak opisał to Ullrich: Hauser i Griebel żyli w podobnym środowisku, podążali podobnymi ścieżkami, znali tych samych

ludzi, ale brakowało dowodów, że te ścieżki kiedykolwiek się zeszyły. Zwykła logika wskazywała jednak, że powinni przynajmniej wiedzieć o sobie nawzajem. Fakt, że służba bezpieczeństwa nie zauważyła ich kontaktu, nie świadczył o tym, że nigdy do niego nie doszło.

Susanne pracowała do późna w Instytucie Medycyny Sądowej, więc Fabel wracał do domu sam. Po lunchu zjedzonym z Ullrichem nie było mowy o głodzie, zrobił więc sobie tylko kanapkę i zaniósł ją, wraz z butelką jevera, do salonu. Siedział przez chwilę, popijając piwo i spoglądając przez okno na Alsterpark i szerokie, połyskujące w wieczornym świetle wody rzeki Alster. Taka scena powinna uspokajać, ale mimo to wciąż czuł niepokój. Był człowiekiem systematycznym i zorganizowanym, w jego świecie musiała panować równowaga, a życiem kierować logika. Jak u większości systematycznych i zorganizowanych ludzi potrzeba ta wynikała ze strachu przed chaosem. Z drugiej strony był przerażony, widząc taką samą paranoję, tyle że w ekstremalnym wydaniu, w zachowaniu Kristiny Dreyer. Wątle powiązania i mnóstwo zbiegów okoliczności, jakie pojawiły się w związku z dwoma ofiarami morderstw, wymagały uporządkowania. Kiedy patrzył na to z pewnego dystansu, dostrzegał sieć wzajemnie krzyżujących się wątków, ale gdy próbował przyjrzeć się sprawie z bliska, sieć rwała się niczym pajęczyna na wietrze.

Usłyszał, że drzwi do mieszkania się otwierają; po chwili głos Susanne obwieścił jej powrót. Weszła do salonu i w geście skrajnego wyczerpania opadła na sofę obok Fabla, odkładając na bok klucze, torebkę i telefon. Pocałowała go.

– Ciężki dzień? – zapytał.

Susanne przytaknęła ze znużeniem.

– U ciebie też?

– Raczej pogmatwany. Należę ci kieliszek wina... – Po powrocie z kuchni zaczął opowiadać o spotkaniu z Ullrichem i informacjach zawartych w teczkach. – Myślisz, że przeszłość ofiar to mylny trop?

– Szczerze mówiąc... tak. – W głosie Susanne pobrzmiwała wywołana przez zmęczenie irytacja. Fabel złamał niepisaną

regułę i zaczął opowiadać w domu o sprawach zawodowych. – Zbyttnio wszystko komplikujesz. Przemysł to jeszcze raz. Zwróć uwagę na okaleczenie ciał. Na te rytuały, jak wywieszanie w widocznym miejscu skalpów. To robota psychopaty. Nadajesz nadmierne znaczenie przeszłości ofiar, która jest podobna dlatego, że byli prawie w tym samym wieku. Czy nie jest prostsze wytłumaczenie, że morderca czuje jakąś psychotyczną wrogość do mężczyzn w średnim wieku? A przecież okaleczenie ciał wyraźnie wskazuje na psychozę. Przypomnij sobie, jak wyglądają morderstwa z powodów politycznych... w dziewięciu przypadkach na dziesięć jest to bomba umieszczona w samochodzie albo strzał w głowę.

– Chyba masz rację – powiedział Fabel i wstał z sofy. – Zrobię ci coś do jedzenia.

19.40, dzielnica Schanzenviertel, Hamburg

Stefan Schreiner lubił dzielnicę Schanzenviertel. Była dla niego najbardziej różnorodną i tętniącą życiem częścią Hamburga. Tu znajdowało się jego mieszkanie. I to był jego rewir.

Schreiner był komisarzem mundurowej policji hamburskiej od siedmiu lat, z czego przez ostatnie cztery patrolował Schanzenviertel. Szczycił się tym, że zna dzielnicę jak własną kieszeń; znał sklepikarzy, mieszkańców, nawet tych, którzy handlowali narkotykami. Wiedzano, że choć czasem przymyka oko tam, gdzie nikomu nie dzieje się większa krzywda, to jest także sumiennym, oddanym pracy i skutecznym policjantem.

Nie dało się tego samego powiedzieć o funkcjonariuszu, z którym miał drugą zmianę. Peter Reinhard miał na pagonach gwiazdki sierżanta, Polizeimeistra, i w związku z tym był podwładnym Schreiner. Schreiner uważał, że ktoś taki jak Reinhard nie powinien się nigdy znaleźć w szeregach policji. Patrzył, jak jego młodszy kolega wraca z baru z papierowymi kubkami kawy w obu rękach. Reinhard był potężnie zbudowany; spędzał za dużo czasu na siłowni i poruszał się

nadmiernie dumnym, pewnym krokiem. Może to nie jest zły pomysł, żeby w Schenzenviertel gliniarz w ten sposób chodził, pomyślał Schreiner. Sam poświęcił zbyt wiele czasu na budowanie tu porozumienia z ludźmi, więc Reinhard nie był typem partnera, z którym chciałby być widywany.

Reinhard wcisnął się na siedzenie pasażera ich srebrno-niebieskiego mercedesa i wręczył Schreinerowi kubek z kawą. Następnie rozluźnił krawat i rozpiął guzik koszuli pod szyją.

– Te nowe mundury są super, co? – zagadnął.

– Chyba tak. – To nie była sprawa, która szczególnie obchodziłaby Schreiner. W poprzednim roku tradycyjne zielono-musztardowe mundury policji zastąpiły granatowe.

– Przypominają mundury amerykańskie... – Reinhard przerwał na chwilę. – NYPD... – wyrecytował skrót z angielska.

– Te poprzednie to było gówno, wyglądaliśmy w nich jak strażnicy leśni.

– Yhmm... – Schreiner słuchał go jednym uchem. Popijał kawę i obserwował jadącego wąską ulicą rowerzystę. Nagle przyszło mu do głowy, że o wiele lepiej byłoby patrolować dzielnicę na rowerze. Tak było w innych częściach miasta. Musi o to zapytać. Rowerzystą się zbliżył. Byłaby jeszcze jedna zaleta takiego rozwiązania – na rowerze nie znalazłoby się miejsce dla Reinharda.

– Po prostu wydaje mi się, że te lepiej się nadają dla policji...

– Reinhard wydawał się zadowolony z dyskusji prowadzonej z sobą samym. – Granat to taki międzynarodowy kolor...

Kiedy rowerzysta mijał radiowóz, Schreiner skinął mu głową, ale mężczyzna go zignorował. Nieufność wobec policji nie była w Schanzenviertel niczym wyjątkowym. Nie zatarły się jeszcze wspomnienia czasów, kiedy dla przeciętnego mieszkańca dzielnicy policja jawiła się jako faszyści.

– Cholera! – Nagle Schreiner pobudził się do działania. Wcisnął swój kubek Reinhardowi do ręki, rozlewając nieco kawy na jego cenną niebieską koszulę. Otworzył drzwi samochodu i wysiadł.

– Chwileczkę! Stop! – zawołał za rowerzystą, który obejrzał się przez ramię i mocniej nacisnął na pedały. Schreiner

wskoczył z powrotem do samochodu, zatrzasnął drzwi i uruchomił silnik. Ruszył z miejsca z takim impetem, że kolejne krople kawy spadły na koszulę Reinharda.

19.40, dzielnica Poseldorf, Hamburg

– Nie rozumiem tylko – powiedział Fabel, kładąc talerz spaghetti przed Susanne – dlaczego BKA ostatnio znów przyglądała się Griebłowi. Jego badania nie miały chyba tak wielkiego znaczenia dla państwa, żeby obejmować je szczególną ochroną.

– Mówisz, że był epigenetykiem? – Susanne włożyła do ust porcję gorącego makaronu i machała teraz dłonią przed twarzą. – A czym się dokładnie zajmował?

Fabel przekazał jej to, co wiedział, a czego do końca nie pojmował, na temat badań Griebła.

– Te pozostałe rzeczy, no wiesz... te o dziedziczeniu pamięci, brzmią dla mnie raczej nienaukowo.

– Wcale nie – odparła Susanne. – Nie wiemy, do czego służy ogromna większość DNA, która przechodzi z pokolenia na pokolenie. Kiedy opracowano mapę ludzkiego genomu, okazało się, że dziewięćdziesiąt osiem procent naszego DNA to tak zwane śmieci... czy może lepiej byłoby powiedzieć „niezakodowane”.

– A twoim zdaniem jakie jest ich przeznaczenie?

– Bóg jeden wie. Część naukowców uważa, że są w nich zakumulowane środki obrony przed retrowirusami. Wiesz, wszystkimi tymi wirusami, które udało nam się zwalczyć. Inni twierdzą, że pełnią one jakieś specyficzne funkcje, których nie znamy. Jest też teoria, że dziedziczymy dzięki nim zachowania instynktowne, a nawet że zawierają genetyczne wspomnienia. W ten sposób doświadczenia przodka mogłyby być przenoszone na potomków.

– To wszystko brzmi dość nieprawdopodobnie.

– Nie jestem w tej dziedzinie specjalistką – Susanne wzruszyła ramionami – ale czytałam o tym. Jest taka teoria, że

niektóre irracjonalne lęki czy fobie mają swoje źródło w pamięci genetycznej, przechowywanej w tych „śmieciowych” DNA. Lęk wysokości, na przykład, mógł zostać zakodowany, ponieważ jakiś nasz przodek doznał urazu w wyniku upadku lub był świadkiem śmierci spadającej z wysoka osoby. Może się w nas rozwinąć lęk przed ogniem, klaustrofobia i tym podobne w wyniku urazu, jakiego sami doznaliśmy, ale możemy też te fobie dziedziczyć.

Fabel pomyślał o Marii i jej lęku przed dotykiem wywołanym przez traumę, której doświadczyła. Zmroziła go myśl, że taki strach mógłby być przekazywany z pokolenia na pokolenie.

– Ale to są tylko spekulacje?

– Istnieje wiele rzeczy, których nie można wyjaśnić normalnym dziedziczeniem chromosomalnym. Na przykład tolerancji na laktozę. Nie moglibyśmy pić mleka innych gatunków. Tymczasem we wszystkich kulturach opartych na hodowli bydła, kóz, jaków, wykształcona została tolerancja na mleko tych zwierząt. Każde kolejne pokolenie nie musiało na nowo wykształcać w sobie tej tolerancji; raz osiągnięta, była przekazywana dalej. I nie można tego wytłumaczyć dobozem naturalnym czy przekazywaniem DNA. Musi istnieć jakiś mechanizm transferu genetycznego.

Fabel miał minę człowieka rozważającego sprawy, które nie do końca pojmuje.

– A co ze wspomnieniami? Myślisz, że mogą być przekazywane z pokolenia na pokolenie?

– Prawdę mówiąc... nie wiem. Dla mnie głównym problemem jest tu zaangażowanie zupełnie różnych procesów. Wspomnienia są zjawiskiem neurologicznym. Są związane z synapsami, komórkami mózgowymi, układem nerwowym. Tymczasem dziedziczenie DNA to proces genetyczny. Nie rozumiem, jaki mechanizm bimolekularny mógłby sprawić, że jedno oddziałują na drugie.

– Ale...?

– Ale zachowania instynktowne są trudne do wytłumaczenia, szczególnie te w najbardziej abstrakcyjnej formie, które nie mają nic wspólnego z naszym gatunkiem. Oczywiście

psychologia zarzuciła już teorie Junga, które zaszły za daleko... ale mnie najbardziej intrygują te najprostsze doświadczenia.

– Na przykład?

– Jak byliśmy na Sylcie, powiedziałeś, że kiedy znalazłeś się tam po raz pierwszy, miałeś wrażenie, jakbyś znał wyspę całe życie. To stosunkowo powszechne psychologiczne... doświadczenie. Weźmy na przykład rolnika, który nigdy nie wyjeżdżał z Bawarii i w ogóle z Niemiec i nagle rusza na wakacje do – powiedzmy – Hiszpanii. I oto nasz turysta, który nigdy wcześniej nie interesował się Hiszpanią, pojawia się w jakimś górskim miasteczku i ma nieokreślone bliżej wrażenie swojskości. Instynktownie wie, dokąd pójść, by trafić do zamku, na starówkę, nad rzekę i tak dalej. A kiedy już wróci do swojego domu w Bawarii, zaczyna odczuwać dziwną nostalgię.

– Czy to jest powszechne?

– Dość. Obecnie prowadzonych jest kilka niezależnych badań nad tym zjawiskiem. I nie mówimy tu o jakimś *déjà vu*. Ci ludzie jakoś zdobyli pewną specyficzną wiedzę na temat miejsc, których nigdy nie odwiedzali.

– Co to oznacza? Czy to dowód na reinkarnację?

– Wiele osób tak właśnie uważa, choć to nonsens. Niektórzy poważni psycholodzy i genetycy sądzą jednak, że może to być dowód na jakiś rodzaj dziedziczenia pamięci genetycznej. Ale, jak już powiedziałam, nie rozumiem, jak zjawiska neurologiczne czy psychologiczne mogłyby być przenoszone i zapisywane w fizycznej, bimolekularnej strukturze DNA. Skłaniam się raczej ku myśleniu, że te doświadczenia pochodzą ze skrawków informacji gromadzonych przez całe życie z książek, telewizji i tym podobnych. Są gromadzone podświadomie, a potem, w pewnym momencie, łączone w całość. Na przykład, nasz rolnik z Bawarii wysiada z autobusu i widzi wieżę kościoła. Ma dziwne uczucie *déjà vu*, ponieważ jego podświadomość składa z drobnych fragmentów informacji jeden, całościowy obraz.

– Ale są też naukowcy, tacy jak Günter Griebel, którzy uważają, że odpowiedzialne jest za to nasze DNA.

– Zgadza się. Może na przykład nasz bawarski rolnik miał

przodka, który żył w tym regionie Hiszpanii i po nim odziedziczył wspomnienia. Ale jest jeszcze jedno zjawisko, którego wszyscy doświadczamy. Wrażenie, że już kogoś wcześniej spotkaliśmy, choć widzimy go po raz pierwszy. Znajomy wydaje nam się nie tylko wygląd tego człowieka, ale także jego osobowość. Albo sposób, w jaki kogoś od pierwszej chwili lubimy lub nie lubimy. Zwolennicy reinkarnacji twierdzą, że grupa osób jest ze sobą powiązana we wszystkich swoich wcieleniach. I dlatego rozpoznajemy te osoby, kiedy spotykamy je w nowym wcieleniu.

Fabel poszedł do lodówki po kolejną butelkę piwa.

– A jak to zjawisko tłumaczy nauka?

– Jezu, Janie... to zależy od punktu widzenia. Jako psycholog mogłabym wskazać dziesiątki czynników natury psychologicznej, które powodują błędne rozpoznanie, ale wiem, że istnieje cała masa różnych szalonych teorii na ten temat. Faktem jest, że każdy człowiek na ziemi jest w jakiś sposób powiązany; nieważne, jak daleko od siebie żyjemy, wszyscy mamy wspólnego genetycznego przodka. Na świecie żyje dziś sześć i pół miliarda ludzi. Ale wystarczy cofnąć się o trzy tysiące lat, czyli do czasów tej mumii, o której mi opowiadałeś, a było nas niecałe dwieście milionów. Wszyscy jesteśmy kolejną wariacją tego samego tematu. Nie można zatem wykluczyć, że taka sama konfiguracja cech fizycznych powtarza się w tych samych typach osobowości. Mamy skłonność do wiązania pewnych cech z określonym rodzajem osobowości i osądzania z góry innych ludzi na podstawie ich wyglądu. Mówimy, że ktoś sprawia wrażenie inteligentnego, przyjacielskiego czy aroganckiego, opierając się tylko na jego wyglądzie zewnętrznym czy na naszych doświadczeniach z ludźmi o podobnym wyglądzie. Czasem, kiedy widzimy kogoś po raz pierwszy, mamy wrażenie, że już go wcześniej spotkaliśmy, bo tworzymy sobie obraz złożony z wizerunków iluś tam ludzi o podobnym wyglądzie i osobowości. – Susanne upiła wina i wzruszyła ramionami. – To nie jest żadna reinkarnacja. To zwykły zbieg okoliczności.

19.42, dzielnica Schanzenviertel, Hamburg

To powinien być nierówny pojedynek – policyjny mercedes kontra stary rower. Ale Schanzenviertel było labiryntem wąskich uliczek zastawionych zaparkowanymi samochodami i Stefan Schreiner był zmuszony co chwila na zmianę przyspieszać i hamować. W czasie gdy omijał kolejne przeszkody, jego partner Peter Reinhard walczył z plastikowymi wieczkami kubków.

– Mógłbyś mi wyjaśnić, co się dzieje, do diabła? – Reinhard znalazł papierowy ręcznik i wycierał poplamioną kawą koszulę.

– Ten rower... – Schreiner nie odrywał wzroku od ściganego – ...jest skradziony.

Znaleźli się na jednokierunkowej ulicy, z rzędem zaparkowanych przy chodniku samochodów, na której nie można było zawrócić. Rowerzysta zdawał sobie sprawę, że policjanci znaleźli się w niekorzystnej dla siebie sytuacji i zatrzymał się nagle, zmuszając Schreinerą do gwałtownego hamowania. Ale zanim policjant zdążył wysiąść z wozu, rowerzysta precyzyjnie się między dwoma zaparkowanymi samochodami, wjechał na chodnik i ruszył w przeciwnym kierunku. Schreiner wrzucił wsteczny bieg i ruszył do tyłu z maksymalną prędkością, na jaką pozwalała wąska ulica.

– Co takiego? – zawołał z niedowierzaniem Reinhard. – Zostałem obłany kawą z powodu skradzionego roweru?

– To nie jest zwyczajny rower. – Schreiner skręcił w Lipmannsstrasse. – Skradziono go Hansowi-Joachimowi Hauserowi. To może być jego zabójca.

Rowerzysta stracił przewagę, bo na tej ulicy nie stały przy krawężniku samochody, i ponownie wjechał na chodnik. Reinhard wychylił się do przodu w fotelu, zapominając o oblanej kawą koszuli.

– W takim razie dopadniemy bydlaka.

Widać było, że rowerzysta dobrze zna okolicę. Skręcił nagle wlewo i ruszył pod prąd jednokierunkową Eifflerstrasse, zmuszając ponownie Schreinerą do wciśnięcia pedału hamulca,

bo tylko tak można było uniknąć zderzenia z nadjeżdżającym z naprzeciwka volkswagenem. Schreiner wyskoczył z wozu i ruszył biegiem za rowerzystą, a za nim podążył Reinhard, zostawiając za sobą przeklinającego kierowcę volkswagena. Rowerzysta oddalał się; obejrzał się przez ramię, uśmiechnął szeroko i uniósł zaciśniętą pięść w geście lekceważenia. Krótco cieszył się zwycięstwem. Nieświadomy niczego kierowca samochodu zaparkowanego przy chodniku otworzył drzwi, o które zawadził rower uciekiniera. Rowerzysta upadł na plecy i pokoziołkował po chodniku. W tej samej chwili byli już przy nim obaj policjanci z bronią wycelowaną wprost w jego głowę.

– Leż! – wrzasnął Reinhard do zaskoczonego uciekiniera. – Ręce nad głowę! – Rowerzysta posłusznie spełnił żądanie.

– Okej... okej... – mruknął, nie odrywając oczu od wylotu lufy. – Przyznaję się... Ukradłem ten pieprzony rower!

21.10, komenda główna policji, Hamburg

Dla Fabla było jasne, że ten blady młody mężczyzna o blond włosach, siedzący teraz w pokoju przesłuchań wydziału zabójstw, nie miał nic wspólnego z zamordowaniem Hansa-Joachima Hausera. Leonard Schüler wyglądał jak zwierzę uchwycone w światła samochodowych reflektorów. Z jego kartoteki wynikało, że był drobnym złodziejaszkiem i zupełnie nie pasował do wyobrażenia o zabójcy Hausera.

Fabel oparł się plecami o ścianę obok drzwi. Pozwolił, by przesłuchanie prowadzili Anna i Henk.

– Nic nie wiem o żadnym morderstwie – rzekł Schüler. Przenosił spojrzenie z jednego policjanta na drugiego, jakby szukał w ich oczach potwierdzenia, że mu wierzą. – To znaczy... słyszałem, że ten cały Hauser został zabity, ale nawet nie wiedziałem, że mieszkał tam, skąd wzięłem rower.

– No tak. – Anna uśmiechnęła się. – Mam dla ciebie złą wiadomość. Jesteś na razie jedynym podejrzanym. Herr Hauser przypiął łańcuchem rower, kiedy wrócił do domu, około dwudziestej drugiej. Potem, o dziewiątej rano następnego dnia,

znajduje go sprzątaczką. Jest tylko jedna osoba, która była pomiędzy wieczorem a raniem blisko. Ty.

– Ale ja nie byłem blisko – zaprotestował Schüler. – Nie wchodziłem do mieszkania. Po prostu zobaczyłem rower i ukradłem go.

– O której to było? – zapytał Henk.

– Chyba około jedenastej. Jedenastej trzydzieści. Bawiłem się z kumplami i wypilem za dużo. Szedłem ulicą i zobaczyłem rower. Pomyślałem: po co mam drałować na piechotę, skoro mogę pojechać? To był tylko wygłup. Żart. Był przypięty łańcuchem, ale udało mi się otworzyć zamek.

– Czym? Z tego, co wiemy, Herr Hauser był bardzo przywiązany do swojego roweru i pewnie go solidnie zabezpieczał.

– Miałem ze sobą śrubokręt... – Schüler przerwał – i obcęgi.

– Zawsze chodzisz się napić z kieszeniami pełnymi narzędzi?

– Henk z hukiem rzucił na stół plastikową torbę na dowody rzeczowe. – To znaleźliśmy przy tobie w chwili aresztowania... Śrubokręt, obcęgi, brzeszczot i – to jest najbardziej interesujące – parę lateksowych rękawiczek. Nie mogę się połapać, jesteś stolarzem czy lunatykującym chirurgiem?

Schüler raz jeszcze spojrzął na Henka, a potem na Annę, jakby szukał u nich odpowiedzi.

– Posłuchaj, Leonardzie – ciągnął Henk. – Masz za sobą trzy wyroki za włamania do cudzych mieszkań i jeden za kradzież samochodu. To dlatego uciekałeś przed patrolem policji. Nie dlatego, że bałeś się przyłapania ze skradzionym rowerem, bo mogłeś przecież powiedzieć, że go znalazłeś. Szukałeś mieszkania, które można obrobić. Tak samo jak tamtej nocy, kiedy ukradłeś rower. Trudno mi uwierzyć, że nie przyszło ci do głowy sprawdzić, czy prócz roweru nie ma jeszcze czegoś ciekawego do zwędzenia.

– Powtarzam wam... nie zbliżałem się do mieszkania Hausera. Byłem trochę wkurzony, więc gwizdnąłem rower. Na miłość boską, myślicie, że zabrałbym tego grata, gdybym wcześniej stuknął właściciela?

– Celna uwaga... – Fabel ruszył się spod drzwi. Przysunął

krzesło i usiadł twarzą w twarz z Schülerem. W jego głosie, choć spokojnym, słychać było wyraźną groźbę. – Posłuchaj mnie uważnie, Leonardzie. Musisz jedną rzecz zrozumieć. Ja poluję na ludzi. W tym wypadku poluję na wyjątkowego człowieka... który podobnie jak ja poluje na ludzi. Różnica polega na tym, że on ich tropi, a potem robi im to... – Fabel spojrział na Annę i niecierpliwie pstryknął palcami. Anna szybko podała mu teczkę ze zdjęciami z miejsca zbrodni. Fabel wyjął jedno i przysunął do twarzy Schülera tak blisko, że ten musiał się cofnąć. Kiedy zorientował się, co przedstawia fotografia, skrzywił się z niesmakiem. Fabel zabrał zdjęcie i pokazał mu następne. – Widzisz, co robi ten facet? To on mnie interesuje, Leonardzie. To za nim się ugamiam. Ty jesteś tylko nędzną kreaturą, niezasługującą na to, żeby mi czyścić buty. – Fabel odchylił się w krześle. – Chyba najwyższa pora ustalić wreszcie właściwą hierarchię. Rozumiesz to?

Leonard w milczeniu skinął głową. Zaległa na krótko cisza.

– Chciałbym, żebyś rozumiał jeszcze jedno. – Fabel położył na stole zdjęcia obu ofiar. Martwe spojrzenia Hansa-Joachima Hausera i Güntera Griebła były utkwione w sufit. – Jeśli nie uda ci się mnie w ciągu kilku najbliższych minut przekonać, że mówisz prawdę... to wiesz, co zamierzam zrobić?

– Nie... – Schüler starał się za wszelką cenę nie okazać po sobie, jak bardzo wystraszył go Fabel. Bezskutecznie. – Nie. Co pan zrobi?

Fabel podniósł się z krzesła.

– Puszczę cię wolno.

Zaskoczony Schüler roześmiał się i rzucił okiem na pozbawione wyrazu twarze Anny i Henka.

– Pozwolę ci stąd wyjść – ciągnął Fabel – i postaram się, żeby ludzie dowiedzieli się, że jesteś głównym świadkiem morderstwa. Może nawet pozwolę, żeby jakaś pozbawiona skrupułów lokalna gazeta poznała z przecieku z komendy twoje nazwisko i adres. A wtedy... – Fabel roześmiał się krótko, okrutnie. – Wtedy, mój chłopcze, nie będziesz się musiał nami przejmować. Już ci mówiłem, nie poluję na takie płotki jak ty. Za to mogę cię wykorzystać jako przynętę. – Fabel zbliżył swoją

twarz do twarzy Schülera. – Ty nie rozumiesz tego człowieka. Nigdy nie będziesz umiał myśleć tak jak on. Za to ja potrafię. Złapałem już wielu takich morderców. Zbyt wielu. Wierz mi, oni widzą świat zupełnie inaczej niż my. Niektórzy nie odczuwają strachu. Serio. Niektórzy – a właściwie większość – zabijają po to, żeby zobaczyć, jak to jest, kiedy umiera człowiek. I tylko nieliczni delektują się śmiercią, tak jak my potrafimy delektować się dobrym winem czy posiłkiem. A to oznacza, że chcieliby to robić bez przerwy. Cieszyć się każdą chwilą. Wierz mi, Leonardzie... jeśli moi przyjaciele tutaj uważają, że mógłbyś doprowadzić nas do niego, że może go widziałeś, to on nie zawaha się cię zabić. Ale on nie tylko zabija. Wyobraź sobie, co czułbyś przywiązany do krzesła, kiedy on kroiłby cię nożem i zdejmował ci skalp. Ten ból i to przerażenie byłyby ostatnimi rzeczami, jakie przeżyłbyś na tym świecie. Wieczna chwila. Tak, Leonardzie, on nie tylko cię zabije. Najpierw zaprowadzi cię do piekła. – Fabel wstał i wskazał drzwi. – Więc jak, Leonardzie, chcesz, żebym cię wypuścił...?

Schüler zdecydowanie pokręcił głową.

– Powiem wam wszystko, co wiem. Tylko nie pozwólcie, żeby wyciekło moje nazwisko.

Fabel uśmiechnął się.

– Grzeczny chłopiec. – Podchodząc do drzwi, spojrzął na Annę i Henka. – Zostawiam go wam...

Po powrocie do swojego gabinetu Fabel nalał sobie kawy. Powiesił marynarkę na oparciu krzesła, usiadł przy biurku i spojrzął na zegarek. Dziewięta trzydzieści. Czasem miał wrażenie, że nie potrafi uciec przed pracą; i tak dopadnie go ona niezależnie od tego, gdzie będzie i o jakiej porze dnia. Był zły na siebie, że rozmawiał w domu z Susanne na temat śledztwa, nawet jeśli dotyczyło to tylko badań Griebła. Żałował też, że zabrał do domu teczki otrzymane od Ullricha. Z drugiej strony coś bez przerwy nie dawało mu spokoju w związku z drugą ofiarą, choć nie mógł sobie uzmysłwić co. Czuł się tak, jakby bezskutecznie szukał w swoim bucie uwierającego

kamyczka.

Wyjął z szuflady biurka duży notatnik. Otworzył go na stronie, na której zaczął robić notatki na temat Fryzjera z Hamburga. Czynił tak wielokrotnie, także podczas innych śledstw. Takie było przeznaczenie tego notatnika – zawierała perwersyjne treści, profile chorych umysłów, opis śmierci i bólu. Wspominał słowa wypowiedziane do Schülera. Wszystko to było, oczywiście, blefem, prócz jednego. Faktycznie polował na ludzi i potrafił z łatwością poznać sposób myślenia swojej ofiary.

Po raz nie wiadomo który zaczął się zastanawiać, jak to się stało, że trafił do policji i nurzał się we krwi innych ludzi. A stało się to niepostrzeżenie, choć musiały przecież istnieć jakieś kolejne, niewidoczne kroki. Pierwszym z nich było zamordowanie Hanny Dorn, koleżanki ze studiów. Nie znał jej długo ani dobrze, choć była znaczącą postacią w jego otoczeniu. I z tego otoczenia wyrwał ją nagle i brutalnie zabójca, który zupełnie przypadkowo wybrał Hannę na ofiarę. Fabel był tak wstrząśnięty i pogrążony w żalu, że zaraz po ukończeniu studiów wstąpił w szeregi hamburskiej policji. Potem była strzelanina przed Commerzbankiem. Fabel, ten pacyfista Fabel, który odsłużył wojsko w służbie cywilnej jako kierowca karetki w swoim rodzinnym Norden, został zmuszony do zrobienia tego, czego obiecywał sobie nigdy nie zrobić. Odebrał życie drugiemu człowiekowi. Potem, kiedy już pracował w wydziale zabójstw, każde kolejne śledztwo ociosywało go, aż wreszcie stał się tym, kim jest.

Czasem zdawało mu się, że wie życie kogoś innego, jakby z szatni w restauracji zabrał nie swój płaszcz. Nie zaplanował sobie takiej kariery.

Siedział wpatrzony w otwarty notatnik, nie widząc zapisanej w nim treści, próbując spojrzeć w głąb innego życia. I tym razem nie życia mordercy czy ofiary, lecz w głąb życia, które powinno być jego życiem. Kto wie, może sam stał się ofiarą mordercy.

Sięgnął do kieszeni marynarki po portfel. Wyjął z niego skrawek papieru, na którym Sonja Brun zapisała mu swój

numer telefonu, wizytówkę Rolanda Bartzę i obie kartki położył na biurku. Nowe życie. Wystarczyło podnieść słuchawkę telefonu, zadzwonić i wszystko by się zmieniło. Jak by to było mieć mniej zmartwień? Nie podejmować decyzji na wagę życia i śmierci? Spojrzał na aparat telefoniczny na biurku, wyobrażając sobie, że jest to portal do nowego życia. Potem westchnął, włożył kartkę i wizytówkę z powrotem do portfela i wrócił do zawartości notatnika.

Dwie ofiary jednego dnia. Żadnych poważnych tropów i niewiele punktów wspólnych. Jedna ofiara żadna rozgłosu, druga wiodąca samotnicze życie. Jedyne, co je łączyło, prócz prawdopodobnego politycznego radykalizmu w czasach młodości, to fakt, że wydawały się żyć tylko we wspomnieniach. Hauser chciał zostać guru obrońców środowiska, a stał się jedynie przypisem do biografii innych ludzi. Griebel, nawet kiedy żyła jego żona, realizował się wyłącznie w swojej pracy.

Wcześniej Fabel zapisał w notatniku nazwisko Kristiny Dreyer, zakreślił je flamastrem i połączył strzałką z Hauserem. Teraz przekreślił jej nazwisko. Z nazwiskiem Hausera połączone było też nazwisko Sebastiana Langa. Fabel nie przesłuchiwał go osobiście, ale Anna zapewniła go, że mężczyzna ma solidne alibi. Znak zapytania oznaczał starszego mężczyznę, którego widywano z Hauserem w klubie Firehouse. Czy był nim Griebel? Nie zachowało się zbyt wiele zdjęć naukowca tak skutecznie unikającego obiektywów, a fotografia pośmiertna z oskalpowaną głową nie ułatwiała identyfikacji. Fabel zanotował, że musi poprosić Annę, żeby poszła do klubu z portretem rysunkowym Griebela. Może ktoś go rozpozna.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu weszła, jak zwykle bez czekania na zaproszenie, Anna. Za nią wkroczył Henk Hermann.

– Dziękuję za zmiękczenie Schülera – powiedziała Anna takim tonem, że Fabel nie był pewny, czy aby nie miała mu tego za złe, i usiadła po drugiej stronie biurka. – Był tak wystraszony, że nie można mu było wejść w słowo.

– Powiedział coś ciekawego? – zapytał Fabel.

– Tak, szefie – odparł Henk. – Przyznał się, że krążył po

okolicy na piechotę, wypatrując mieszkań i domów. Jak twierdzi, robił tylko rekonesans, i to bez przekonania... Najchętniej włamuje się o świcie, kiedy mieszkańcy twardo śpią, ale Schanzenviertel to dzielnica pełna klubów i pubów, więc pomyślał, że wieczorem trafi na jakieś puste mieszkanie. Tak czy inaczej, nie miał tego dnia szczęścia; o mało nie został przyłapany przez właściciela jednego z domów, postanowił więc wrócić w nocy. Szedł do domu i zauważył zabezpieczony łańcuchem rower przed domem Hausera, więc pomyślał: czemu nie? Co ciekawe, powiedział, że chciał sprawdzić na wszelki wypadek to mieszkanie, okrążył więc kamienicę i wszedł na niewielkie podwórko, na które wychodziły okna salonu, sypialni i łazienki. Twierdzi, że zrezygnował, bo widział, że właściciel jest w domu.

– Widział Hausera?

– Tak – przytaknęła Anna. – Żywego. Siedział w salonie z drinkiem, więc Schüler postanowił zaopiekować się tylko rowerem.

– Ale najważniejsze jest to, że Hauser nie był sam – mówił dalej Henk. – Miał gości.

– Ooo! – Fabel wychylił się w fotelu. – Mamy opis?

– Schüler twierdzi, że gość Hausera siedział tyłem do okna – wyjaśniła Anna. – Sam myślał tylko o tym, by jak najszybciej uciec z podwórka, zanim zostanie dostrzeżony, więc nie przyglądał się uważnie obu mężczyznom. Ale z tego, co mówi, jednym z nich był na pewno Hauser. Tego drugiego opisał jako młodszego, może po trzydziestce, szczupłego, z ciemnymi włosami.

– Czy ten opis nie pasuje do faceta, który zastał Kristinę Dreyer na sprzątaniu miejsca zbrodni? – zapytał Fabel.

– Sebastiana Langa? – Anna uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Mam jego zdjęcie, wykorzystywałam je, rozpytując się o Hausera.

– Lang dał ci dobrowolnie swoje zdjęcie? – zapytał Fabel.

– Nie do końca. – Anna wymieniła spojrzenia z Henkiem. – Pożyczyłam je z mieszkania Hausera. Formalnie rzecz biorąc, stanowiło własność denata.

Fabel tego nie skomentował.

– Pokazaliście fotografię Schülerowi?

– Tak – odrzekła Anna. – Bezowocnie, można powiedzieć. Schüler twierdzi, że to może być ten sam mężczyzna; budowa ciała i kolor włosów się zgadzają. Ale nie przyjrzał się mu na tyle dokładnie, by go rozpoznać. Mimo to uważam, że powinniśmy złożyć Herr Langowi kolejną wizytę. Chciałabym się jeszcze raz przyjrzeć jego alibi.

– Tym razem pójdę z wami – oświadczył Fabel.

22.35, okręg Eimsbittel, Hamburg

Było po wpół do jedenastej, kiedy Fabel, Anna i Henk zapukali do drzwi mieszkania Sebastiana Langa, który mieszkał na drugim piętrze imponującej kamienicy przy Ottersbekallee, kilka minut drogi od mieszkania Hansa-Joachima Hausera w Schanzenviertel. Fabel nigdy wcześniej nie widział Langa. Był to wysoki mężczyzna po trzydziestce, bardzo szczupły, z jasną cerą, błękitnymi oczami i ciemnymi włosami. Jego wygląd pasował do opisu mężczyzny, którego Schüler widział w mieszkaniu Hausera. Twarz Langa miała idealne proporcje, ale te idealne rysy czyniły go nie tyle przystojnym, ile zniewieściałym. Był „ślicznym chłopczykiem”, jak określiła go Maria. Kolejną charakterystyczną cechą Langa był zupełny brak ekspresji na twarzy. Kiedy z westchnieniem usunął się na bok, żeby wpuścić policjantów do środka, nie było na jego twarzy nawet cienia złości.

Poprowadził Fabela, Annę i Henka do salonu. Mieszkanie, podobnie jak właściciel, wyglądało nienagannie; wszystko tu było na swoim miejscu. Jakby Lang starał się nie ingerować w środowisko, w którym mieszkał. Przed przyjściem policjantów musiał czytać; teraz rozłożona książka, okładką do góry, leżała na stoliku do kawy. Fabel wziął ją do ręki. Była to rzecz o historii politycznej powojennych Niemiec, otwarta na rozdziale opisującym rodzimy terrorizm lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

– Studiuje pan historię, Lang? – zapytał Fabel.

Lang wyjął Fablowi książkę z dłoni i zamknął ją, odkładając na swoje miejsce na półce.

– Jest późno, panie nadkomisarzu, i nie lubię, kiedy się mnie nachodzi w domu – powiedział Lang. – Zechce mi pan powiedzieć, o co chodzi?

– Naturalnie, Herr Lang. Przykro mi, że przeszkadzamy panu wieczorem, ale spodziewam się, że pan chętnie odpowie na kilka pytań, które pomogą nam zrozumieć, co się stało z panem Hauserem.

Kolejne westchnienie.

– Wystawia pan moją cierpliwość na ciężką próbę, Herr Fabel. To oczywiste, że chcę pomóc w złapaniu mordercy Hansa-Joachima. Ale kiedy policja zjawia się u mnie tak tłumnie po dziesiątej wieczorem, to przypuszczam, że chodzi o coś więcej niż o sprawdzenie kilku faktów.

– To prawda... – odpowiedział Fabel. – Pojawił się świadek, który widział kogoś w mieszkaniu Hausera tego wieczoru, kiedy został on zamordowany. Kogoś, kto z opisu przypomina pana.

– Ale to niemożliwe. – W dalszym ciągu ton protestu w głosie Langa nie przekładał się na jakikolwiek grymas na jego twarzy. – Albo inaczej, możliwe, że był to ktoś podobny do mnie. Ale to nie byłem ja.

– To właśnie musimy ustalić – wtrąciła Anna.

– Na litość boską, przecież szczegółowo wam opowiedziałem, gdzie byłem tamtego wieczoru... – Lang podszedł do stojącego przy drzwiach biurka i otworzył szufladę. Wrócił do policjantów, trzymając w dłoniach jakieś przedmioty. – To jest kupon biletu na wystawę, na której wtedy byłem. Spójrzcie, jest tu data, czwartek. A to... – Wręczył Fablowi bilet. W drugiej dłoni trzymał notes i pióro. – To są nazwiska i telefony osób, które mogą potwierdzić – i na pewno to zrobią – że były tam wtedy ze mną.

– Powiedział pan, że wrócił do domu około pierwszej, pierwszej piętnaście w nocy, czy tak? – Fabel przekazał bilet Annie.

– Tak. – Lang wyzywającym gestem skrzyżował ręce na piersiach. – Poszliśmy potem z przyjaciółmi na kolację. Podałem już tej pani – wskazał Annę – nazwę restauracji i opis kelnera, który nas obsługiwał. Wyszliśmy stamtąd jakiś kwadrans przed pierwszą.

– I wrócił pan do domu sam?

– Tak, Herr Fabel, sam. Później nie mam alibi.

– To może nie mieć znaczenia, Herr Lang – odrzekł Fabel. – Wszystko wskazuje na to, że Hauser zginął pomiędzy dwudziestą drugą a północą.

Fablowi zdawało się, że na beznamiętnej twarzy Langa coś drgnęło, jakby przypisanie męce i śmierci Hausera konkretnego czasu dodało jej realizmu.

– Pański związek z Hauserem nie opierał się na wyłączności? – zapytała Anna.

– Nie. Przynajmniej nie ze strony Hansa-Joachima.

– Wie pan o kimś, z kim mógłby być jeszcze związany?

Przez chwilę Lang sprawiał wrażenie zmieszanego.

– Co pani rozumie przez „związany”? Ach, tak... jasne. Nie. Hans-Joachim miał mnóstwo przygód, ale nie było nikogo... no więc, ja byłem jego jedynym... kompanem.

– Co pan pomyślał, kiedy zapytaliśmy, czy Hauser był z kimś związany? – zapytał Fabel.

– Nic szczególnego. Nie byłem po prostu pewny, czy chodzi wam o sferę prywatną, czy zawodową. A jeśli chodzi o Hansa-Joachima, polityczną. Był bardzo, hmmm, dziwny w stosunkach z ludźmi. Pewnego wieczoru sporo wypił i pouczał mnie, żebym się nie zadawał z nieodpowiednimi ludźmi. I nie dokonywał niewłaściwych wyborów.

Fabel rzucił okiem na półkę, na którą Lang odłożył książkę.

– Czy Hauser rozmawiał z panem kiedykolwiek o swojej przeszłości? Chodzi mi o czasy, kiedy aktywnie działał w polityce?

– Bez przerwy – odparł ze znużeniem Lang. – Wciąż rozprawiał o tym, jak jego pokolenie ocaliło Niemcy. Jak ich działania wpłynęły na kształt współczesnego społeczeństwa. Chyba uważał, że moje pokolenie to wszystko niszczy.

– A wspominał o własnej działalności? Albo o ludziach,

którymi się otaczał?

– O dziwo nie. Czasem tylko napomykał o Bertholdzie Müllerze-Voigcie. Tym senatorze od spraw środowiska naturalnego. Hans-Joachim strasznie go nienawidził. Często powtarzał, że Müller-Voigt widzi siebie w roli przyszłego kanclerza Niemiec. Uważał, że Müller-Voigt i burmistrz Schreiber są siebie warci. Że są bezwstydnymi oportunistami. Znał ich obu z czasów studenckich i już wtedy nimi gardził, a szczególnie Müllerem-Voigtem.

– Czy kiedykolwiek wspominał o zarzutach, jakie w prasie sformułowała Ingrid Fischmann wobec Müllera-Voigta? Chodzi mi o porwanie Wiedlera.

– Nie. W każdym razie nie w mojej obecności.

– Czy Hauser miał jakikolwiek kontakt z Müllerem-Voigtem? Oczywiście ostatnio?

Lang wzruszył ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Byłbym gotów przypuszczać, że Hans-Joachim raczej będzie go unikał.

Fabel pokiwał głową. Przez chwilę rozmyślał o tym, co usłyszał do Langa. Niewiele to wносиło do sprawy.

– Wie pan zapewne, że w ten sam sposób niecałe dwadzieścia cztery godziny później została zamordowana druga osoba. Doktor Günter Griebel. Czy to nazwisko coś panu mówi? Czy Hauser kiedykolwiek wspominał o doktorze Griebelu?

Lang pokręcił głową.

– Nie. Chyba nigdy nie słyszałem, żeby o nim mówił.

– Rozmawialiśmy z personelem w klubie Firehouse – powiedziała Anna. – Powiedzieli nam, że Hauser przesiadywał tam czasem z pewnym mężczyzną mniej więcej w jego wieku. Domyśla się pan, kto to mógł być?

– Przykro mi, ale nie – odparł Lang. – Proszę posłuchać, ja nie sprawiałem żadnych kłopotów. Po prostu Hans-Joachim włączał mnie do swojego życia w takim stopniu, jaki mu odpowiadał. Właściwie nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć na jego temat. Był bardzo skryty... mimo że szukał poklasku. Myślę czasem, że skrywał się za swoją publiczną maską.

Fabel zastanawiał się nad słowami Langa. To samo można

było powiedzieć o Griebłu.

– Wszyscy tak postępujemy – rzekł w końcu Fabel – w mniejszym lub większym stopniu.

Wracając do komendy, trójka policjantów rozmawiała w samochodzie o Langu.

– Jeszcze raz sprawdzę te wszystkie szczegóły – zapewniła Anna – ale, szczerze mówiąc, jego alibi na chwilę śmierci Hausera wcale nie jest takie mocne. Jeśliby poszedł z restauracji prosto do mieszkania Hausera i jeśli przyjmie odpowiedni margines błędu na czas zgonu, to mógł to zrobić.

– To za bardzo naciągane – odparł Fabel. – Chociaż muszę przyznać, że coś mnie w jego zachowaniu niepokoi. Mimo to sekwencja zdarzeń podana przez Schülera stawia Langa poza podejrzeniem. Schüler widział Hausera siedzącego ze swoim gościem pomiędzy jedenastą a jedenastą trzydzieści, a na ten czas Lang ma mocne alibi.

Fabel zostawił Henka i Annę pod komendą, a sam pojechał do domu. Ciepłą, ciemną hamburską noc rozświetlała luna nad miastem. Fabla dręczyła jakaś nieokreślona myśl, jakaś wątpliwość, ale był zbyt zmęczony, by się skupić. Wiedział tylko, że ma do czynienia ze sprawą, która przyprawia go o ciarki. Ze sprawą, w której nie było żadnych tropów. A to oznaczało, że pewnie nie zdoła jej rozwiązać, nim zabójca uderzy po raz kolejny. Biorąc pod uwagę, że zabił dwukrotnie w ciągu dwudziestu czterech godzin i od tej pory nic się nie wydarzyło, mogło to także oznaczać, że zakończył swoje dzieło.

I zniknął.

Północ, dzielnica Grindelviertel, Hamburg

Kiedy Fabel wracał samochodem z komendy policji do domu, Leonard Schüler siedział w swoim jednopokojowym mieszkaniu w dzielnicy Grindel i dziękował Bogu. Nie został o nic oskarżony. Przyznał się do kradzieży roweru, do próby włamania, ale tego starszego gliniarza niewiele to obchodziło. Policjant nieźle go nastraszył, mówiąc, że zrobi z niego

przynętę dla tego czubka, który oskalpował dwóch gości. Ale choć Leonard miał stracha, to nie był głupi, wiedział, że nie może im powiedzieć więcej poza absolutnym minimum. Prawdziwy powód jego niepokoju był taki, że widział tamtego faceta w oknie dużo lepiej, niż się przyznał. A tamten z kolei dobrze widział Schülera.

Schüler zamierzał się włamać do tego mieszkania, gdyby okazało się puste. Zaplanował sobie nawet drogę ucieczki. Najpierw pokonał zamek przy spinającym rower łańcuchu i oparł pojazd o ścianę kamienicy, a dopiero potem wszedł na podwórko. Noc nie była zbyt ciemna, ale otaczające domy rzucały na podwórko głęboki cień. To prawdziwy dar niebios, pomyślał wtedy Schüler. Niestety, któryś z mieszkańców kamienicy musiał być przeczulony na punkcie bezpieczeństwa i w pewnym momencie małe podwórko zalał blask reflektora uruchamianego przez czujnik ruchu. Światło na chwilę oślepiło Schülera. Pojemnik na śmieci, który zdołał ominąć, musiał być pełny, bo potracił nogą stojące obok niego butelki, które z brzękiem potoczyły się po bruku.

Dobra chwila minęła, nim wzrok Schülera przyzwyczaił się do jaskrawego blasku. Wtedy właśnie zobaczył tych dwóch mężczyzn. Hałas spowodowany przez Leonarda sprawił, że przerwali rozmowę i wyjrzeni przez okno wprost na niego – stał oddalony o półtora metra. Jeden z mężczyzn był starszy – teraz wiedział już, że nazywał się Hauser – a drugi młodszy. Leonarda najbardziej wystraszył wyraz twarzy tego młodszego – a właściwie brak jakiegokolwiek wyrazu. Stał z kamienną twarzą zabójcy, patrząc na niego.

Teraz, kiedy myślał o tym spojrzeniu, o tym przerażającym spokoju na twarzy tamtego, który wiedział przecież, jakich okrucieństw się za chwilę dopuści, Leonarda przeszedł zimny dreszcz.

Ten stary gliniarz, Fabel, miał rację. Opisał potwora, który przed śmiercią pokazywał swoim ofiarom, czym jest piekło. Schüler nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Kimkolwiek był morderca, policja i tak go nie złapie.

Schüler nie zamierzał jej pomagać.

TRZYNAŚCIE DNI PO PIERWSZYM MORDERSTWIE, ŚRODA 31 SIERPNIĄ 2005

9.10, komenda główna policji, Hamburg

Fabel siedział przy biurku od siódmej trzydzieści. Jeszcze raz przejrzał dokumenty, które pożyczył mu Ullrich, i zrobił własne notatki.

Zadzwoił do biura Bertholdta Müllera-Voigta. Wyjaśnił, kim jest, i usłyszał, że senator, co często mu się zdarzało, pracuje w domu. Nie pokonując zbędnych kilometrów do i z pracy, wnosił w ten sposób istotny wkład w ochronę środowiska. Sekretarka powiedziała jednak Fabelowi, że może umówić go z Müllerem-Voigtem jeszcze na dziś.

Fabel wykonał kolejny telefon. Henk Hermann dał mu wcześniej numer do dziennikarki Ingrid Fischmann.

– Halo, Frau Fischmann? Mówi nadkomisarz Jan Fabel z policji kryminalnej. Pracuję w wydziale zabójstw i prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa Hansa-Joachima Hausera. Czy moglibyśmy się spotkać? Myślę, że pani informacje mogłyby okazać się pomocne...

– Tak... rozumiem... – Kobięcy głos po drugiej stronie słuchawki brzmiał młodziej i mniej poważnie, niż się Fabel spodziewał. – Zgoda... Może być piętnasta w moim biurze?

– Doskonale. Dziękuję, Frau Fischmann. Znam adres.

Kilka minut później oddzwoniła sekretarka Bertholdta Müllera-Voigta i powiedziała, że senator chętnie się spotka z Fablem w swoim domu. Podała mu adres, niedaleko Stade w Altes Land pod Hamburgiem, na południowym brzegu Łaby. Nie przeszkadza mu, że to ja będę nabijał kilometry, pomyślał Fabel, odkładając słuchawkę.

Dom Müllera-Voigta był duży i nowoczesny; każdy szczegół architektoniczny zdradzał rękę drogiego architekta. Całość świadczyła dobitnie o tym, z jaką radością były lewicowy podżegacz prowadzi konsumpcyjny styl życia. Kiedy jednak Fabel podszedł do drzwi wejściowych, zauważył, że to co na pierwszy rzut oka wyglądało na marmur pokrywający całą frontową elewację, w rzeczywistości było fasadą z paneli słonecznych.

Müller-Voigt otworzył drzwi. Tak jak go Fabel zapamiętał z restauracji Lexa, senator był dość niskim, ale wysportowanym, barczystym mężczyzną o opalonej twarzy i szerokim uśmiechem ukazującym rząd równych białych zębów.

– Pan nadkomisarz... proszę wejść.

Fabel sporo słyszał o uroku Müllera-Voigta jego skutecznej broni wobec kobiet i politycznych oponentów. Wiedział też jednak, że kiedy było trzeba, senator szybko tę maskę zrzucił. Polityk zaprowadził Fabla do przestronnego salonu z wysokim, wykonanym z drewna sosnowego sufitem. zaproponował drinka, ale Fabel odmówił.

– Co mogę dla pana zrobić, Herr Fabel? – zapytał Müller-Voigt, siadając w rogu wielkiej sofy i pokazując nadkomisarzowi, by zrobił to samo.

– Na pewno słyszał pan o śmierci Hansa-Joachima Hausera i Güntera Griebla? – zapytał Fabel.

– Mój Boże, tak. To straszne.

– Pan chyba znał całkiem dobrze Hausera, prawda?

– Owszem, choć od lat nie utrzymywaliśmy kontaktów towarzyskich. Ostatnio właściwie wcale. Spotykałem go czasem na jakiejś konferencji czy naradzie. Güntera też znałem. Nie tak dobrze, ale znałem, choć nie widziałem go nawet dłużej niż Hansa-Joachima.

Fabel wyglądał na zaskoczonego.

– Przepraszam, senatorze... twierdzi pan, że znał obie ofiary?

– Tak, oczywiście. Co w tym dziwnego?

– Cóż... – odparł Fabel. – Głównym celem mojej wizyty było

przekonanie się, czy może pan rzucić jakieś światło na ewentualne związki łączące obie ofiary. Związki, których do tej pory nie udało nam się ustalić. A teraz okazuje się, że to pan może być tym łącznikiem.

– Pochlebia mi, że wydaję się tak ważną postacią w pańskim śledztwie – powiedział z uśmiechem Müller-Voigt – ale zapewniam pana, że nie jestem jedynym łącznikiem. Oni się przecież znali.

– Jest pan tego pewien?

– Najzupełniej. Günter był dziwnym facetem. Wysoki, tyczkowaty, małomówny. Z drugiej strony bardzo aktywny w ruchu studenckim. Nic dziwnego, że nie udało się panu znaleźć związków łączących go z Hauserem. W pewnym momencie zniknął. Jakby stracił zainteresowanie całym ruchem. Ale obaj z Hauserem przez pewien czas należeli do Stowarzyszenia Gaja. Podobnie jak ja.

– Och?

– Stowarzyszenie było efemerydą i działało krótko. Było raczej klubem dyskusyjnym. Zrezygnowałem z członkostwa, kiedy stało się zbyt... ezoteryczne, można by powiedzieć. Polityczny obiektywizm został w nim zamulony przez różne dziwaczne filozofie – pogaństwo i tym podobne. W końcu stowarzyszenie wyparowało. Ale to stare dzieje.

– Jak dobrze znali się Hauser i Griebel? – zapytał Fabel.

– Tego nie wiem. Nie przyjaźnili się. Chyba znali się dzięki Stowarzyszeniu Gaja. Może spotykali się poza nim, ale nic mi o tym nie wiadomo. Griebel był ceniony za swój intelekt, ale ja zawsze uważałem go za nudziarza. Zawsze był poważny i taki jednowymiarowy... jak większość ludzi zaangażowanych w ruch. Poza tym mało komunikatywny.

– I nie miał pan kontaktu z Grieblem od czasów Stowarzyszenia Gaja?

– Żadnych – odparł Müller-Voigt.

– Kto jeszcze działał w stowarzyszeniu?

– To było dawno, Herr Fabel. Wiek temu.

– Musi pan kogoś pamiętać...

Fabel patrzył, jak Müller-Voigt w zamyśleniu gładzi się po

równy przyszyty, przyprószony siwizną brodzie. Trudno było zgadnąć, czy rzeczywiście nie może sobie przypomnieć, czy tylko udaje.

– Pamiętam, że przez pewien czas była tam pewna kobieta – odezwał się w końcu Müller-Voigt. – Nazywała się Beate Brandt. Nie wiem, co się z nią później działo. I jeszcze Paul Scheibe... tak, on też był członkiem stowarzyszenia.

– Ten architekt?

– Tak. Właśnie wygrał konkurs architektoniczny na projekt HafenCity. To jedyna osoba z tamtej grupy, z którą mam regularne kontakty, jeśli nie liczyć sytuacji, kiedy natykałem się przypadkowo na Hansa-Joachima. Paul Scheibe był i nadal jest bardzo zdolnym architektem... bardzo innowacyjnym w projektowaniu budynków przyjaznych środowisku naturalnemu. Ten ostatni projekt Überseequartier w HafenCity jest znakomity.

Fabel zapamiętał Beate Brandt i Paula Scheibego.

– Pamięta pan kogoś jeszcze?

– Niestety... żadnych nazwisk. Ja właściwie nigdy nie byłem członkiem stowarzyszenia.

– A pamięta pan, czy był nim Franz Mühlhaus?

Müller-Voigt w pierwszej chwili wydawał się zaskoczony na dźwięk tego nazwiska, a potem stał się podejrzliwy.

– Ach, tak... rozumiem. Pana wcale nie interesują moje związki z ofiarami, prawda? Jeżeli przyszedł pan tutaj wypytywać mnie o Czerwonego Franza Mühlhausa z powodu fałszywych oskarżeń, które rzuciła Ingrid Fischmann, to proszę się wynosić z mojego domu.

Fabel uniósł uspokajająco dłoń.

– Po pierwsze, jestem tu wyłącznie dlatego, że chcę ustalić, co łączyło ofiary. Po drugie, przypominam panu, senatorze, że prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa i będzie pan odpowiadał na wszystkie moje pytania. Nie interesuje mnie, jakie stanowisko pan zajmuje. W tym mieście grasuje mianak, okalecza i morduje ludzi, w których kręgu pan się obracał w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Możemy porozmawiać tutaj albo w komendzie, ale i tak nie unikniemy

tej rozmowy.

Müller-Voigt wpatrywał się nieruchomo w Fabla, który czuł, że to uporczywe i natrętne spojrzenie nie wynika z wściekłości, ale jest próbą ocenienia, czy to nie blef. Rzecz jasna, Müller-Voigt był zaprawiony w politycznych bojach i nie dawał się łatwo wystraszyć. Jego zimna obojętność zbijała Fabla z tropu.

– Nie wiem, co pan myśli o ludziach mojego pokroju, panie nadkomisarzu. – Müller-Voigt rozluźnił się nieco i oparł wygodnie. – Mam na myśli ludzi, którzy byli zaangażowani w ruch protestu. Ale zmieniliśmy Niemcy. Wiele swobód, wiele fundamentalnych wartości i wolności, które wszyscy uważają za oczywiste, są rezultatem tamtego naszego sprzeciwu. Zbliżamy się do chwili, a może już ona nastąpiła, kiedy możemy na powrót czuć się dumni z tego, że jesteśmy Niemcami. Narodem liberalnym i pacyfistycznym. Dokonałiśmy tego, Herr Fabel. Moje pokolenie. Nasze protesty wymiotły wszystkie pajęczyny. Jesteśmy pierwszym pokoleniem, które nie pamięta osobiście wojny i Holocaustu, i udowodniliśmy, że nasze Niemcy nie mają nic wspólnego z tamtymi Niemcami. Przyznaję, wychodziłem na ulice. Przyznaję, bywało gorąco. Ale w głębi duszy jestem pacyfistą; nie wolno krzywdzić Ziemi, tak jak nie wolno krzywdzić drugiego człowieka. Owszem, w gorączce wydarzeń zdarzały się rzeczy, których dziś żałuję, ale nie mógłbym nigdy, ani wtedy, ani teraz, odebrać życia drugiemu człowiekowi z powodu przekonań politycznych.

Müller-Voigt przerwał, ale nie spuszczał uważnego spojrzenia z Fabla.

– Odpowiem panu na pytanie, którego może nie chce pan zadać. Wbrew insynuacjom Ingrid Fischmann i mimo kapitału politycznego, jaki chciała zbić na nich żona burmistrza, w najmniejszym stopniu nie byłem zamieszany w porwanie i zamordowanie Thorstena Wiedlera. Nie miałem z tym ani z grupą, która za tym stała, nic wspólnego.

– Jak już mówiłem, interesuje mnie tylko, co łączyło obie ofiary – odrzekł Fabel. – I chciałem się jedynie dowiedzieć, czy Mühlhaus był członkiem Stowarzyszenia Gaja.

– Dobry Boże, nie. Sądzę, że bym pamiętał. – Müller-Voigt zamyślił się. – Właściwie rozumiem, dlaczego pan o to pyta. Mühlhaus miał dość dziwne zapatrywania i były pewne podobieństwa pomiędzy jego ideami a ideami głoszonymi przez stowarzyszenie. Mimo to, nie, Czerwony Franz Mühlhaus z pewnością nie był członkiem stowarzyszenia.

– A kto był jego liderem?

Müller-Voigt się zmieszał.

– Tam nie było lidera. To było stowarzyszenie, więc miało kolektywne przywództwo.

Rozmawiali jeszcze przez kwadrans, po czym Fabel wstał i podziękował Müllerowi-Voigtowi za poświęcony czas i współpracę. W odpowiedzi Müller-Voigt życzył Fabelowi powodzenia w pogoni za zabójcą.

Nadkomisarz wyjechał na główną drogę prowadzącą do miasta, zadowolony, że znalazł wreszcie bezpośredni związek łączący Hansa-Joachima Hausera i Güntera Griebela. Zastanawiało go też, że Müller-Voigt był wobec niego tak otwarty, choć w gruncie rzeczy niczego nie powiedział.

Wracając do Hamburga drogą B73, Fabel zadzwonił do Wenera. Opowiedział mu o związkach łączących ofiary i streścił rozmowę z Müllerem-Voigtem.

– Muszę porozmawiać z tym architektem Paulem Scheibem – powiedział. – Możesz zdobyć jego telefon i umówić spotkanie? Najlepiej zadzwoń do jego pracowni.

– Oczywiście. Potem oddzwonię.

Fabel skręcił w A7, kierując się w stronę tunelu pod Łabą, kiedy zadzwonił jego telefon.

– Cześć, Jan – odezwał się Werner. – Właśnie skończyłem przedziwną rozmowę z ludźmi w pracowni Scheibego. Rozmawiałem z jego zastępcą, który nazywa się Paulsen. Strasznie się zdenerwował, kiedy powiedziałem, że jestem z wydziału zabójstw. Myślał, że chcę go powiadomić o odnalezieniu ciała Scheibego. Powiedział, że Scheibe był w poniedziałek na lunchu w ratuszu i od tamtej pory się nie

pokazał. Dziś wieczorem ma się odbyć oficjalna prezentacja projektu HafenCity i Paulsen martwi się, że Scheibe się na niej nie pojawi. Wygląda na to, że mamy osobę zaginioną.

– Albo ukrywającego się podejrzanego o morderstwo – odparł Fabel. – Wyślij tam kogoś, niech popyta dokładnie. Chyba powinniśmy się pojawić wieczorem na tej prezentacji. Wróć przed piątą. Teraz jadę na uniwersytet, a o trzeciej mam się spotkać z tą dziennikarką Fischmann. Coś jeszcze?

– Tylko to, że Anna znalazła ślad twojej mumii z czasów wojny. Rodzina nie mieszka już przy tej ulicy. Dom został zbombardowany w czasie nalotów, ale Anna znalazła kogoś, kto był przyjacielem zabitego. Chcesz, żeby szukała dalej?

– Nie, to wystarczy. Sam się tym zajmę. Poproś Annę, żeby zostawiła na moim biurku to, co ustaliła.

Ledwie Fabel się rozłączył, telefon odezwał się ponownie.

– Fabel... – rzucił zniecierpliwiony do słuchawki.

W słuchawce słyhać było jakieś zakłócenia. Po chwili rozległ się głos, który nie mógł należeć do człowieka.

– To jest ostrzeżenie... – Głos był zniekształcony, zapewne elektronicznie. Fabel zerknął na wyświetlacz, ale nie było tam numeru dzwoniącego.

– Kto tam, do diabła?

– To jest ostrzeżenie. Tylko jedno. – Połączenie się urwało.

Fabel spojrział na tworzący się przed tunelem korek. Głupi telefon. Być może ten ktoś nawet nie zdawał sobie sprawy, że dzwoni do oficera policji. Mimo to gdzieś w głowie Fablowi zapaliła się lampka alarmowa.

10.00, wydział archeologii, Uniwersytet Hamburgski

– Znalazł pan krewnych tego człowieka z HafenCity? – Doktor Severts uśmiechnął się i wskazał Fablowi krzesło.

– Niestety, jeszcze nie. Szczerze mówiąc, mam teraz wiele pilniejszych spraw na głowie.

– Tego Fryzjera z Hamburga?

– Owszem. Okazuje się, że to... – Fabel szukał odpowiedniego

słowa – ...wyjątkowo trudna sprawa. Chwytam się każdego możliwego tropu.

– Mam nieodparte wrażenie, że jestem dla pana jednym z takich tropów.

– Przepraszam, ale próbuję podejść do sprawy z każdej strony. Powinienem wiedzieć, jakie znaczenie ma skalpowanie ofiar przez tego szaleńca. Pomyślałem, że pan mógłby mi udzielić historycznego wyjaśnienia.

– Z tego, co widzę, znaczenia tego aktu nietrudno się doszukać – rzekł Severts. – Zabranie głowy czy skalpu pokonanego przeciwnika to jedna z najstarszych i najbardziej rozpowszechnionych form zdobywania trofeum. Kiedy zabija pan wroga, zabiera pan jego skalp. W ten sposób wroga nie tylko pan zabił, ale także zdeprecjonował i poniżył, a zdobył pan trofeum świadczące o pańskiej waleczności. Na każdym kontynencie istniała przynajmniej jedna kultura, w której ważną rolę odgrywało zabieranie głów lub skalpów pokonanych wrogów.

– Nie rozumiem... – Fabel zmarszczył brwi na wspomnienie gabinetu Griebła i łysiejącego skalpu przybitego do półki z książkami. – Zabójca nie zabiera skalpu z miejsca zbrodni. Zostawia go w widocznym miejscu w domu ofiary.

– Może to jest jego sposób na okazanie męstwa. Scytowie zakładali skalpy wrogów na uzdy swoich koni po to, żeby każdy mógł je zobaczyć. Pańskiemu Fryzjerowi wydaje się, że pozostawienie ich tam, gdzie zabił ofiarę, to najlepszy sposób pokazania ich światu.

– Mówi pan, że skalpowanie to powszechna praktyka. Tu też? W tej części Europy? – zapytał Fabel.

– Oczywiście. Znaleźliśmy na to w Niemczech mnóstwo przykładów. Szczególnie w pańskiej okolicy... to znaczy w regionie Fryzji Wschodniej. To niekoniecznie oznacza, że pańscy przodkowie zdejmowali skalpy częściej niż ludzie w innych kulturach. Po prostu warunki środowiskowe sprawiły, że w bagnach zachowało się tyle ciał i artefaktów. Poprzednim razem rozmawialiśmy o Rudowłosym Franzu. Otóż w Bentheim, koło granicy holenderskiej i niedaleko od miejsca,

gdzie znaleziono Rudowłosego Franza, na stanowisku archeologicznym z epoki brązu odkryto oskalpowane czaszki oraz same skalpy. – Severts podszedł do półki i zdjął z niej kilka książek. Przez chwilę szukał czegoś w jednej z nich. – Tak... tu mamy przykład z okolic pańskiego rodzinnego miasta. W latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku z bagien Tannenhäuser wydobyto pięć ciał.

Fabel dobrze wiedział, o jakiej okolicy mówi Severts. Tannenhäuser było wioską leżącą na północnych przedmieściach największego miasta Fryzji Wschodniej Aurich. Wioska znajdowała się kilka kilometrów na południe od Norden i Norddeich, gdzie dorastał. Były tam piękne wrzosowiska, mroczne bagna, jeziora i małe oczka wodne. Tannenhäuser leżało pomiędzy trzema wrzosowiskami: Tannenhäuser, Kreihütten i Meerhäuser. Jako chłopiec Fabel często jeździł tam na rowerze. To mistyczne miejsce. Pośrodku wrzosowiska znajdowało się rozległe jezioro Ewiges Meer, Wieczne Morze. Już sama nazwa wskazywała na niepamiętne czasy; na dodatek otaczające jezioro wrzosowisko poprzecinane było drewnianymi pomostami, zbudowanymi cztery, pięć tysięcy lat temu.

– Wszystkie pięć ciał miało oskalpowane głowy – ciągnął Severts. – Podobne znajdujemy w całej Europie, nawet na Syberii. Wygląda na to, że był to bardzo rozpowszechniony zwyczaj w epoce brązu, od Uralu aż po Atlantyk. Scytowie praktykowali go tak często, że starogreckie słowo oznaczające skalpowanie brzmi „apokythizein”.

Fabel pomyślał o szkockiej gałęzi swoich przodków. Szkoci uważają, że ich pierwotną ojczyzną były stepy Scytii, a do Europy dotarli przez Afrykę Północną, przed podbojem Szkocji zatrzymując się na kilka pokoleń w Hiszpanii i Irlandii. Wyobraził sobie kogoś podobnego do siebie, żyjącego kilka pokoleń wstecz i dokonującego takich samych aktów jak zabójca, którego teraz ścigał.

– Czy skalpowanie zawsze było demonstracją triumfu? – zapytał. – Pokazaniem, ilu wojownik zabił wrogów?

– Głównie, choć nie wyłącznie. Mamy dowody, że skalpy

zdejmowano także osobom, w tym dzieciom, które umarły z przyczyn naturalnych. Wygląda na to, że skalpowanie mogło być sposobem uczczenia pamięci zmarłego. Albo uhonorowania przodków.

– Nie wydaje mi się, żeby ten człowiek kierował się takimi motywami – odrzekł Fabel.

Severts rozparł się wygodnie w fotelu; za jego plecami wisiał na ścianie plakat przedstawiający Piękność z Loulan.

– Jeśli chce pan poznać moją opinię, bardziej osobistą niż zawodową, to powiedziałbym, że zdejmowanie skalpów było tak rozpowszechnione we wszystkich kulturach, że stało się działaniem niemal instynktownym. Nie znam się tak dobrze na psychologii, a tym bardziej na pańskiej pracy, ale wiem, że seryjni mordercy lubią gromadzić trofea po swoich ofiarach. Moim zdaniem zdejmowanie skalpu jest archetypem gromadzenia trofeów. Morderca robi to, ponieważ czuje, że powinien tak postąpić, nie zastanawiając się specjalnie nad kontekstem kulturowym czy historycznym.

Fabel wstał i uśmiechnął się.

– Może ma pan rację. – Ucisnął dłoń Severtsa. – Bardzo dziękuję za poświęcony mi czas, panie doktorze.

– Nie ma za co – odparł Severts. – Ale czy mogę prosić o przysługę?

– Oczywiście...

– Proszę dać mi znać, kiedy znajdzie pan rodzinę tego zmumifikowanego człowieka z HafenCity. W mojej pracy nieczęsto udaje się ludzkim szczątkom przypisać prawdziwe nazwisko i życiorys.

– Niestety, w mojej pracy jest na odwrót – powiedział Fabel. – Oczywiście, zawiadomię pana.

Południe, dzielnica Harvestehude, Hamburg

Fabel zadzwonił do komendy i poprosił Wenera, żeby przekazał zastępcy Paula Scheibego, że wybiera się do niego. Pracownia architektoniczna mieściła się w nowoczesnym

gmachu położonym pomiędzy studiami radia NDR i Innocentia-Park w dzielnicy Harvestehude. Proste linie i szerokie łuki biur przypominały Fabelowi dom Bertholdta Müllera-Voigta w Altes Land. Przyszło mu do głowy pytanie, czy przypadkiem Scheibe nie projektował domu Müllera-Voigta, i był zły na siebie, że nie zapytał o to podczas rozmowy z politykiem.

Południowe słońce zasnuło swoje oblicze delikatną zasłoną chmur. Fabel zdjął okulary przeciwsłoneczne, wsiadł do samochodu i chwilę siedział bez ruchu. Rozmawiając przez telefon z Wernerem, poprosił go także, by wydział techniczny spróbował ustalić, kto był autorem głupiego telefonu na jego komórkę. Niepokoiło go to. Użycie modulatora głosu przez zwykłego żartownisia było co najmniej dziwne i Fabel zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem nie rozmawiał z Fryzjerem z Hamburga. Spojrzał na mijającą samochód ładną dziewczynę, która śmiejąc się głośno, rozmawiała przez telefon komórkowy. Oto osoba prowadząca normalne życie i normalne rozmowy telefoniczne.

Kiedy Fabel wszedł przez ogromne, przeszklone drzwi do Architekturbüro Scheibe, przywitał go wysoki, szczupły mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, z ogoloną na łyso głową. Przedstawił się jako Thomas Paulsen, zastępca dyrektora pracowni. Uśmiechnął się, jakby przeproszał za pełnioną funkcję.

– Dziękuję, że pan przyszedł, panie nadkomisarzu, ale muszę z przyjemnością zakomunikować, że nasz niepokój o Herr Scheibego był nieuzasadniony. Dziesięć minut temu się z nami skontaktował.

– Nie przyszedłem tu w sprawie zaginięcia pańskiego szefa – odparł Fabel. – Muszę porozmawiać z nim na temat prowadzonego przeze mnie śledztwa. Gdzie on jest?

– Och... nie powiedział. Poprosił, że zniknął tak nieoczekiwanie, ale to była jakaś sprawa rodzinna. Musiał wyjechać z miasta zaraz po poniedziałkowym lunchu w ratuszu i dlatego nie mogliśmy się z nim skontaktować – wyjaśniał Paulsen. – Muszę przyznać, że spadł nam kamień z serca. Dziś

wieczorem w Speicherstadt ma się odbyć prezentacja projektu z udziałem publiczności i mediów. Herr Scheibe zapewnił nas, że pojawi się na niej.

– Rozmawiał pan z nim osobiście?

– No... właściwie to nie rozmawiałem. Przysłał e-mail. Ale zapewnił w nim, że będzie na prezentacji.

– W takim razie ja też przyjdę – powiedział Fabel. – Gdyby rozmawiał pan z szefem, proszę mu przekazać, że będzie musiał znaleźć czas na pogawędkę ze mną.

– Oczywiście... ale wiem, że będzie bardzo zajęty. Będzie tam...

– Proszę mi wierzyć, Herr Paulsen, że to, o czym chcę z nim porozmawiać, jest dużo ważniejsze. Do zobaczenia wieczorem.

Fabel postanowił zjeść lunch w budce Dirka Stellamanna nad Łabą. Chmury odpłynęły w dal i ostre promienie słońca odbijały się teraz jaskrawym blaskiem od jasnych stołów i parasoli otaczających budkę Dirka. Przy budce kłębił się tłum klientów, ale Dirk dostrzegł nadchodzącego Fabla, wyciągnął szyję i uśmiechnął się radośnie.

Było gorąco, Fabel lepił się od potu, zamówił więc piwo Jever i wodę mineralną oraz krążki serowe z kielbasą, a następnie ruszył ze swoją porcją do jednego ze stołów. Kiedy Dirk uporał się z naporem klientów, podszedł do Fabla.

– Jak idzie polowanie na Apacza?

Fabel zrobił zaskoczoną minę.

– Tego łowcę skalpów. Zrobiłeś postępy?

– Nic na to nie wskazuje. – Fabel ze zniechęceniem wzruszył ramionami. – Raczej ugrzęzłem w bagnie. Genetyczne wspomnienia... terroryści... Mógłbym już napisać książkę *Skalpowanie na przestrzeni wieków*...

– Dopadniesz go, Jannick – zapewnił go Dirk. – Zawsze w końcu wygrywasz.

– Nie zawsze... – Fabel przypomniał sobie, że Roland Bartz też nazywał go Jannickiem. – Mam ochotę rzucić to wszystko, Dirk.

– Robotę? Nigdy tego nie zrobisz. To całe twoje życie.

– Nie jestem pewny – odparł Fabel. – Nie jestem nawet

pewny, czy kiedykolwiek tak było. Zaproponowano mi coś innego. Mam szansę przejść do cywila.

– Nie wyobrażam sobie tego...

– A ja tak. Mam powyżej uszu śmierci. Cały czas widzę ją wokół. Sam nie wiem. Może masz rację. Ta sprawa mnie wkurza.

– Co miałeś na myśli, mówiąc o genetycznych wspomnieniach? Co to ma wspólnego z morderstwami?

Fabel opisał jak najkrócej i najjaśniej badania, którymi zajmował się Günter Griebel.

– Wiesz co, Janie... ja w to wierzę. Coś musi w tym być.

– Ty? – Fabel uśmiechnął się sceptycznie. – Chyba żartujesz...

– Nie. – Twarz Dirka była poważna. – Naprawdę wierzę. Pamiętam, jak nas kiedyś wezwano do włamania. Była zima i padał śnieg. Złodziej wyszedł przez okno z tyłu domu i zostawił ślady stóp na śniegu. Innych w pobliżu nie było. Pozostawało nam tylko pójść tym tropem. Ruszyliśmy i w końcu go złapaliśmy.

– Do czego zmierzasz? – zapytał podejrzliwie Fabel, jakby znał już puentę.

– Do tego, że kiedy szliśmy nocą, w śnieżycy śladami tamtej istoty ludzkiej, czułem się jakoś dziwnie. Nieprzyjemnie. Miałem wrażenie, że już kiedyś to robiłem. Czułem to, choć nie mogłem sobie przypomnieć tamtego poprzedniego razu.

– Nie mów, że wierzysz w reinkarnację.

– Nie, to nie to. To było jak jakieś obce, nie moje wspomnienie. – Dirk roześmiał się nieoczekiwanie. – Znasz mnie... zawsze byłem trochę mistykiem. To było dziwne, i tyle.

15.00, dzielnica Schanzenviertel, Hamburg

Secesyjny budynek stał dyskretnie na rogu. Spod szpecącego graffiti wyzierała elegancka kamieniarka gustownie wzbożona zdobieniami w stylu art déco. Na drzwiach nie było żadnych tabliczek wskazujących, jakie w środku mieściły

się biura. Fabel wykrzyczał do domofonu swoje nazwisko i wyjaśnił, w jakim celu przychodzi, po kilkusekundowej przerwie rozległ się brzęczyk otwieranych drzwi.

Ingrid Fischmann czekała na niego u szczytu schodów. Miała około trzydziestu pięciu lat i proste jasnokasztanowe włosy. Jej twarz można by uznać za ładną, gdyby nie zbyt ostre, niemal męskie rysy. Włosy do ramion i długa, luźna spódnica z bluzką nadawały jej wygląd hipiski, zupełnie niepasujący do jej wieku.

Uśmiechnęła się uprzejmie i wyciągnęła rękę na powitanie.

– Proszę wejść, Herr Fabel.

Prócz raczej ciasnej recepcji znajdowały się tu jeszcze dwa pokoje. Jeden był chyba używany wyłącznie jako archiwum, za to drugi stanowił gabinet Fischmann. Mimo mnóstwa regałów i półek na książki, korkowych tablic na ścianach, zachował wygląd zamienionego w biuro salonu.

– Moje mieszkanie znajduje się dwie ulice dalej – wyjaśniła Fischmann, siadając przy biurku. Na ścianie naprzeciwko jedyne w tym pokoju okna Fabel dostrzegł plakat grupy Baader-Meinhof z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku. Pod napisem „Anarchistische Gewalttäter – Baader/Meinhof-Bande” znajdowały się czarno-białe zdjęcia dziesięciu twarzy. Ten plakat był jak ikona; symbolizował pewien szczególny moment w historii Niemiec. – Wynajmuję to biuro. Nie wiem dlaczego, ale zawsze byłam zdania, że należy oddzielać życie zawodowe od prywatnego. Poza tym używam tego adresu do korespondencji służbowej. Biorąc pod uwagę wrażliwość ludzi, o których piszę, wolę nie afiszować się z prywatnym adresem. Proszę, nie pan siada.

– Czy mogę zapytać, dlaczego pani pisze o takich tematach? Przecież większość tych spraw działa się, kiedy pani nie było jeszcze na świecie.

Fischmann uśmiechnęła się, ukazując nieco za duże zęby.

– A czy wie pan, dlaczego zgodziłam się na spotkanie z panem?

– Mam nadzieję, że po to, żeby pomóc w ujęciu psychopatycznego mordercy.

– To też, oczywiście. Ale jestem przede wszystkim

dziennikarką. Czuję ciekawy temat i oczekuję pewnego *quid pro quo*.

– Obawiam się, że nie interesują mnie przetargi, Frau Fischmann. Moim jedynym pragnieniem jest złapanie zabójcy, zanim pojawią się kolejne ofiary. Życie jest dla mnie ważniejsze niż artykuły w gazetach.

– Proszę, Herr Fabel. Zgodziłam się z panem spotkać, ponieważ od wielu lat ujawniam hipokryzję tych, którzy maczali palce lub aktywnie uczestniczyli w aktach terroru w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, a później zrobili karierę w biznesie lub zajmują ważne stanowiska. Musiałam znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie faktu, że ci przedstawiciele zgniłej klasy średniej chcieli bawić się w rewolucjonistów. Najbardziej mierzył mnie sposób, w jaki niektóre osoby z lewicy starały się usprawiedliwić mordowanie i okaleczanie niewinnych obywateli. – Przerwała na chwilę. – Jako policjant sam pan wie najlepiej, ile wycierpiała policja hamburska z rąk Frakcji Czerwonej Armii i jej zwolenników. Chyba pan wie, że pierwszym policjantem zabitym przez Frakcję był właśnie policjant z Hamburga.

– Oczywiście, Norbert Schmid w siedemdziesiątym pierwszym. Miał dopiero trzydzieści trzy lata.

– A potem, w maju tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego, doszło do strzelaniny pomiędzy policją a Frakcją Czerwonej Armii, w której został ranny, w następstwie czego zmarł, nadkomisarz Hans Eckhardt.

– Tak, o tym też wiem.

– Kolejna strzelanina pomiędzy policją a odłamek Frakcji, Grupą Akcji Radykalnej, miała miejsce w osiemdziesiątym szóstym po nieudanym napadzie na bank. Tam jeden policjant zginął, a drugi został ciężko ranny. Ten ranny oficer przeżył. Zastrzelił jedną z terrorystek, Giselę Frohm. Wiedziłam, kim pan jest, gdy tylko pan się przedstawił, Herr Fabel. Pańskie nazwisko pojawiało się w mojej pracy o Hendriku Svenssonie i Grupie Akcji Radykalnej. To pan zastrzelił Giselę Frohm, prawda?

– Niestety tak. Nie miałem wyboru.

– Wiem. Kiedy dowiedziałam się, że to pan prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa Hausera, pomyślałam, że to jest temat dla mnie.

– Te morderstwa mogą nie mieć nic wspólnego z pani zainteresowaniami. Po prostu obie ofiary były rówieśnikami i kiedyś, w różnym stopniu, były uwikłane w radykalną politykę. Przyjrzałem się ich przeszłości i nie odkryłem żadnych bezpośrednich związków pomiędzy nimi. Faktem jest, że w ich przeszłości pojawiają się te same osoby. Jedną z nich jest obecny senator Bertholdt Müller-Voigt. Domyślałem się, że prześledziła pani jego losy jako radykalnego działacza.

– Jego losy jako terrorysty. – W głosie Fischmann pojawiła się nuta goryczy. – Polityczne ambicje Müllera-Voigta sięgają daleko poza hamburski senat. Już wypowiedział wojnę osobie, która była jego najbliższym politycznym sojusznikiem, burmistrzowi Hansowi Schreiberowi. Zrobił to tylko dlatego, że Schreiber jest jego potencjalnym rywalem na drodze, która ma zaprowadzić go prosto do Berlina. Jego ambicje mnie niepokoją, ponieważ jestem absolutnie pewna, że to on był kierowcą samochodu, którym uprowadzono przemysłowca Thorstena Wiedlera.

– Wiem o pani uprzedzeniach do senatora Müllera-Voigta. Wiem też, że cytowała panią żona burmistrza Hansa Schreiberera. Ale czy ma pani dowody?

– Co do Frau Schreiber... Ambicje polityczne jej męża wzbudzają niewiele mniejsze obrzydzenie niż ambicje Müllera-Voigta. Frau Schreiber wykorzystuje mnie do swoich celów, ale przynajmniej udało jej się wzbudzić zainteresowanie opinii publicznej. Ja sama nie zdołałabym tego zrobić. Ale odpowiadając na pańskie pytanie... Nie, nie mam dowodów, które byłyby wystarczające dla sądu. Ale pracuję nad tym. Sam pan wie, jak trudno zajmować się sprawą z odległej przeszłości, kiedy większość tropów została już zatarta.

– Taka jest właśnie moja praca. – Fabel uśmiechnął się gorzko. Pomyślał o wszystkich tych dawno zamkniętych śledztwach, które w swojej karierze udało mu się wznowić. Pomyślał też o zaniedbanej sprawie odnalezienia rodziny

nastolatka, który przeleżał sześćdziesiąt lat w suchym piasku w porcie.

– Wszystko, czego w mojej dotychczasowej karierze dokonałam, wszystkie sprawy z politycznej przeszłości, które wydobylam na światło dzienne... służyło zniszczeniu kariery Müllera-Voigta i postawieniu go przed sądem. Razem mogłoby nam się to udać, panie nadkomisarzu.

– Dlaczego wybrała pani akurat Müllera-Voigta?

Wyraz twarzy Fischmann był pełen zimnej determinacji. Wysunęła szufladę biurka i wyjęła z niej dwie fotografie. Na pierwszej Fabel ujrzał wielkiego czarnego mercedesa, model produkowany w latach siedemdziesiątych. Samochód stał przed jakimś biurowcem. Ubrany na czarno szofer otwierał tylne drzwi wysiadającemu mężczyźnie w średnim wieku i okularach w grubych czarnych oprawkach.

– Thorsten Wiedler? – zapytał Fabel.

Fischmann kiwnęła głową.

– I jego kierowca.

Drugie zdjęcie przedstawiało ten sam samochód, ale w większym zbliżeniu i stojący teraz na zwirowym podjeździe. Fabel dostrzegł tego samego kierowcę, tym razem bez czapki i marynarki. Mercedes połyskiwał w promieniach słońca. Obok przedniego koła stało wiadro z wodą. Fabel wszystko rozumiał. Szofer zrobił sobie przerwę w myciu samochodu i przykucnął obok sześć- czy siedmioletniej dziewczynki. Swojej córki.

– Tu znowu – odezwała się Fischmann – widzimy kierowcę Herr Wiedlera Wilhelma Fischmanna.

– Rozumiem. – Fabel oddał jej fotografie. – Przykro mi.

– Śmierć Thorstena Wiedlera znalazła się na czołówkach gazet. Tymczasem mój ojciec leżał sparaliżowany i o nim wspomniano tylko mimochodem. Zmarł pięć lat później w wyniku odniesionych ran. Ta tragedia zniszczyła życie mojej matce. Dorastałam w domu, w którym nie było miejsca na jakąkolwiek radość. A wszystko przez garstkę dzieciaków z klasy średniej, która przyswoiła sobie nie swoje idee i czuła się uprawniona do niszczenia życia innych ludzi, prowadząc te

swoje tak zwane misje.

– Rozumiem. Naprawdę mi przykro. Jest pani przekonana, że Müller-Voigt był w to zamieszany?

– Tak. Grupa, która dokonała porwania, nie należała do Frakcji Czerwonej Armii. Był to jeden z wielu odłamów, które się wtedy pojawiały. Spośród innych wyróżniała je tylko bardziej poetycko brzmiąca nazwa. Cała reszta miała fioła na punkcie skrótów. Przy okazji, wiedział pan, że jednym z powodów, dla których przyjęła się nazwa Frakcja Czerwonej Armii, było to, że jej skrót RAF był taki sam jak Royal Air Force? Ponury żart, prawda. Royal Air Force wykurzyło bombami nazizm z Niemiec. Ten nowy RAF miał zamiar wykurzyć faszyzm i kapitalizm z Niemiec Zachodnich. Miał pan bezpośredni kontakt z bandą RAG założoną przez Svenssona. Ci mieli z kolei bzika na punkcie ezoteryki. Nazywali samych siebie Zmartwychwstałymi. A ich przywódca Franz Mühlhaus znany był jako Czerwony Franz.

Fablowi zaczęło się coś kojarzyć. Czerwony Franz, człowiek budzący wyjątkową grozę. Jego grupa była całkowitym ekstremum na radykalnej lewicy. Fabel przywołał z pamięci obraz Rudowłosego Franza, który widział w gabinecie Severtsa – zmumifikowanego ciała, które przeleżało setki lat w zimnym, mrocznym bagnie w pobliżu Neu Versen.

– Mühlhaus a i jego grupę trudno było zakwalifikować – ciągnęła Ingrid Fischmann. – Pozostałe grupy anarchistycznej radykalnej lewicy nie ufały mu. Oskarżano go, że jego poglądy wcale nie są lewicowe. Był radykalnym obrońcą środowiska, a tego rodzaju grupy często współdziałały z lewakami. Z drugiej strony uważano, że Czerwony Franz nie wniósł niczego istotnego do ruchu lewicowego.

– Dlaczego?

Ingrid Fischmann wydeła wargi.

– Z wielu powodów. Nie mieli wyraźnie marksistowskich poglądów. Były jednak grupy o niemarksistowskich poglądach, a mimo to znacznie silniej związane z Baader-Meinhof, na przykład anarchistyczny Ruch Drugiego Czerwca z Berlina. Zmartwychwstali nie byli ściśle powiązani z Baader-Meinhof

i skupiali się na ekologii. W tamtych czasach marksistów, anarchistów i ekologów łączyły dwie wspólne kwestie... protesty antynuklearne i oczywiście Wietnam.

– Więc właściwie nie wiadomo, jaka wspólna sprawa łączyła Zmartwychwstałych? – zapytał Fabel.

– Otóż to. Podobnie jak inne grupy, wzięli sobie na cel przemysłowców. Ale nie dlatego, że byli kapitalistami, lecz z powodu niszczenia środowiska przez przemysł. Te same cele, inne powody... do pewnego stopnia. Zmartwychwstali nie poszli tą samą drogą co RAF i inne grupy lewaków, wybrali inną, choć, zbiegiem okoliczności, równoległą. Dobrym przykładem jest porwanie i zamordowanie w październiku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku Hansa-Martina Schleyera przez Baader-Meinhof-RAF i w listopadzie Thorstena Wiedlera przez Zmartwychwstałych. Jedno i drugie wydarzenie było częścią tak zwanej niemieckiej jesieni 1977. Różnica polegała na tym, że Schleyera wybrano bardzo starannie – był byłym nazistą, w czasie wojny Hauptsturmbannführerem w Czechosłowacji, a poza tym bogatym przemysłowcem, prezesem Daimlera-Benz, przewodniczącym zachodnioniemieckiej federacji pracodawców i miał silne powiązania z rządzącą partią CDU. Oprócz tego powodem porwania, sześciotygodniowego przetrzymywania i w końcu zamordowania Schleyera była akcja w Mogadiszu i samobójstwo Raspego, Baadera i Ensslin w więzieniu w Stammheim. Thorsten Wiedler, choć był również bogatym przemysłowcem, wywodził się z innego środowiska niż Schleyer, mianowicie z klasy robotniczej, był związany z socjaldemokratami, w czasie wojny został powołany do wojska jako młody chłopak i nie odgrywał żadnej ważnej roli politycznej. Zmartwychwstali upatrzyli go sobie jako swoją ofiarę głównie dlatego, że jego zakłady zatruwały środowisko. Padało oczywiście mnóstwo wzniosłych słów o tak zwanej solidarności z RAF podczas niemieckiej jesieni, jako że Wiedler był w końcu też przedstawicielem zachodnioniemieckiego kapitalizmu. Okazało się jednak, że zabicie go nie przysłużyło się dobrze „rewolucji” i doprowadziło do jeszcze większej

izolacji Zmartwychwstałych. Pewnie dlatego grupa nigdy nie wydała jasnego oświadczenia na temat losu Wiedlera. Stało się to dla nich kłopotliwe. Ciało Wiedlera nigdy nie zostało odnalezione i rodzina nie mogła go pochować. Na dodatek Czerwony Franz i Zmartwychwstali ubarwili swoją politykę elementem hipisowskim. Było tam mnóstwo bzdur, które teraz nazywamy New Age.

– Jakich bzdur? – zapytał Fabel.

– Zmartwychwstali to jedna z najtrudniejszych do badań grup, ponieważ była stosunkowo hermetyczna, ale jeden z jej członków Benni Hildesheim zraził się do niej i przeszedł do RAF. Kiedy go aresztowano w latach osiemdziesiątych, przyznał, że Zmartwychwstali byli stuknięci. Przyjęli swoją nazwę z przekonania, że Gaja, duch Ziemi, stworzyła grupę wojowników, prawdziwych wyznawców, którzy będą jej bronić przed niebezpieczeństwami. Ci wojownicy w razie potrzeby odradzają się raz za razem na przestrzeni dziejów. Stąd Zmartwychwstali. Czerwony Franz Mühlhaus zwykł mawiać, że jego grupę stworzyli ludzie, którzy już wcześniej żyli i walczyli razem w obronie Ziemi. Taki pogląd zupełnie nie pasował do racjonalistycznej i sztywnej ideologii marksizmu głoszonej przez Baader-Meinhof.

– A Müller-Voigt i Hans-Joachim Hauser pasowali do Czerwonego Franza Mühlhausa? – zapytał Fabel.

– Hauser? Tego nie wiem. On był mistrzem autoreklamy i pieniactwem. Nic nie wiem o jego bezpośrednich powiązaniach ze Zmartwychwstałymi czy Mühlhausem prócz tego, że wspierał słownie wcześniejsze „interwencje” Czerwonego Franza – zakłócanie obrad hamburskiego senatu, okupowanie siedzib korporacji i tym podobne. Kiedy jednak podniosła się temperatura wydarzeń, kiedy zaczęło się rabowanie banków, podkładanie bomb i zabijanie ludzi, Hauser, jak wielu innych lewicowców, nagle zamilkł. To oczywiście nie oznacza, że nie był bezpośrednio zaangażowany w działalność grupy. Jego zamilknięcie może być równie dobrze odczytane jako chęć pozostania w cieniu. Co do Müllera-Voigta, w latach siedemdziesiątych trzymał się blisko Czerwonego Franza.

Potem za Mühlhausem rozesłano list gończy za zabójstwo szefa firmy farmaceutycznej z Hanoweru i oczywiście Thorstena Wiedlera, i wtedy, jak podejrzewam, Müller-Voigt zaczął działać jako tak zwany legalny.

– Ale podejrzewa pani, że był mocniej zaangażowany w działania grupy?

– Powiem panu coś bardzo osobistego, Herr Fabel. Mój ojciec nagrał kasetę. Kiedy leżał w szpitalu, poprosił o magnetofon. To był człowiek wysportowany i pełen energii, życie w wózku inwalidzkim go przygnębiało. Ale także wywoływało w nim złość. Był zdecydowany zrobić wszystko, by pomóc w odnalezieniu Wiedlera i złapaniu jego oprawców. Po śmierci ojca, kiedy miałam zdecydować, jakie studia zamierzam wybrać, odsłuchiłam tę taśmę. Ojciec opisał w niej szczegółowo wydarzenia tamtego dnia. Jakby chciał, żeby prawda ujrzała wreszcie światło dzienne. To po odsłuchaniu tego nagrania postanowiłam zostać dziennikarką. I ujawniać prawdę.

– Co pani ojciec powiedział?

Ingrid Fischmann sprawiała przez chwilę wrażenie niezdecydowanej.

– Wyślę panu kopię nagrania. Poszukam też zdjęć i prześlę je panu e-mailem. A w skrócie, ojciec powiedział, że jego zdaniem było sześciu terrorystów. Dobrze widział twarz tylko jednego. Pozostali mieli na głowach kominiarki. Opisał szczegółowo wygląd tego jednego z porywaczy i na tej podstawie policja sporządziła portret pamięciowy. Tyle że nie przyniosło to żadnego rezultatu. Jak pan wie, nie złapano żadnego z porywaczy Wiedlera. Jeśli nie liczyć śmierci Czerwonego Franza Mühlhausa jako triumfu sprawiedliwości.

– Skąd ta pani pewność, że w porwanie zamieszany był Bertholdt Müller-Voigt? – zapytał Fabel.

– Pamięta pan, jak wspominałam o Bennim Hildesheimie? Tym, który przeszedł do grupy Baader-Meinhof? Zrobiłam z nim wywiad, kiedy wypuszczono go z więzienia. Powiedział mi, że kilka osób, dziś bardzo wpływowych, było bezpośrednio zaangażowanych w działania Zmartwychwstałych albo

udzielało grupie wsparcia logistycznego. Zapewniały bezpieczne kryjówki, broń, materiały wybuchowe i tym podobne. Hildesheim mówił też, że w porwaniu Wiedlera brało udział sześciu terrorystów, a więc tyłu, ilu naliczył mój ojciec. Twierdził, że zna tożsamość całej szóstki, a także tożsamość wszystkich osób wspierających grupę.

– Nie zdradził jej pani?

Ingrid Fischmann roześmiała się cynicznie.

– Hildsheim wykazał wyraźne odchylenie kapitalistyczne od swojej ideologii marksistowskiego terroryzmu. Chciał pieniędzy za informacje. Oczywiście nie wiedział, że jestem córką jednej z ofiar porwania, ale kazałam mu iść do diabła. Chciałam wiedzieć, kto strzelał do mojego ojca, ale nie ze wszelką cenę. Hildesheim był przekonany, że jakiś tabloid zgodzi się na jego cenę. Twierdził, że ujawnienie niektórych nazwisk wstrząśnie establishmentem. Musi pan pamiętać, że działo się to w tym samym czasie, kiedy córka Ulrike Meinhof Bettina Röhl wysłała do prokuratora generalnego sześćdziesięciostronicowy list z żądaniem pociągnięcia do odpowiedzialności ministra spraw zagranicznych Joschki Fischera za próbę zabójstwa policjanta w latach osiemdziesiątych. Niewykluczone, że w rządzie lub na innych eksponowanych stanowiskach jest więcej osób, które ukrywają jakieś tajemnice.

– Hildsheimowi nie udało się dobić targu? – zapytał Fabel.

– Nie. Zmarł przed zawarciem jakiegokolwiek porozumienia.

– W jaki sposób umarł? Było w tym coś podejrzanego?

– Nie. Żaden spisek. Typowy przykład mężczyzny w średnim wieku, który za dużo palił, a za mało ćwiczył. Zawał. Ale uzyskałam od niego coś tytułem zaliczki. Powiedział mi, że wie, kto tego dnia prowadził samochód i że ta osoba stała się później prominentem. Niestety, za uzyskanie od niego potwierdzenia tych słów i dowodów na ich prawdziwość zażądał pieniędzy. A potem umarł.

– Hildsheim nigdy nie wspominał o Hauserze?

Fischmann pokręciła przecząco głową.

– Ani o Güntherze Griebelu?

– Obawiam się, że nie... Chyba nigdy wcześniej nie zetknęłam się z tym nazwiskiem.

Później Ingrid Fischmann opisała jeszcze Fabelowi w skrócie historię ruchów lewicowych w Niemczech i ewolucję ich form działalności od protestów po akcje bezpośrednie i wreszcie terroryzm. Rozmawiali o celach różnych grup i wsparciu otrzymywanym z byłych komunistycznych Niemiec Wschodnich, o sieci sympatyków i stronników zapewniających terrorystom tak długą bezkarność. Doszli też do wniosku, że istnieje spora grupa ludzi, którym udało się skrzętnie ukryć wcześniejszą działalność i którzy wiodą teraz zupełnie normalne życie. W końcu, kiedy powiedzieli sobie wszystko, co mieli do powiedzenia, Fabel wstał.

– Dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić tak dużo czasu – powiedział, ściskając dłoń Ingrid Fischmann. – Bardzo mi pani pomogła.

– Cieszę się. Prześlę panu obiecane informacje, kiedy je odnajdę. Za dzień lub dwa – rzekła z uśmiechem. – Proszę chwilę zaczekać, zejdę z panem na dół. Muszę jechać do miasta.

– Może panią podwieźć?

– Nie, dziękuję – odrzekła. – Po drodze muszę się zatrzymać w kilku miejscach. – Założyła na czubek nosa okulary przeciwsłoneczne i po długich poszukiwaniach wyjęła z torebki niewielki czarny notes. – Przepraszam... mam nowy system alarmowy. Przed wyjściem muszę wstukać kod, którego chyba nigdy nie nauczę się na pamięć.

Zatrzymali się przy drzwiach, gdzie Fischmann powoli wstukała kod alarmu, zerkając co chwila do notesu.

Na ulicy Fabel pożegnał się z Ingrid Fischmann i patrzył, jak jej sylwetka znika w głębi ulicy. Młoda Niemka, która poświęciła życie na badanie dziejów poprzedniego pokolenia. Poszukiwaczka Prawdy. Fabel przypomniał sobie dewizę młodego kryminalistyka Franka Grübera: „Jesteśmy zmarłym winni prawdę”.

Właściwie, pomyślał Fabel, te słowa mogłoby być narodową dewizą niemiecką.

19.30, dzielnica Speicherstadt, Hamburg

Fabel wrócił do komendy przed piątą. Pośpiesznie zwołał naradę w wydziale zabójstw i streścił członkom swojego zespołu, czego dowiedział się w ciągu dnia. Pora przestać traktować sprawę jako serię zabójstw przypadkowych osób, ponieważ motywem może być ich wspólna polityczna przeszłość.

Anna i Henk opowiedzieli, co udało im się ustalić w klubie Firehouse. Coraz mniej przemawiało za tym, że zabójstwa miały związek z seksualnością Hausera i Anna przypuszczała, że starszy mężczyzna, z którym Hauser spotykał się w klubie, miał coś wspólnego raczej z jego polityczną przeszłością niż z preferencjami seksualnymi.

– Może był to Paul Scheibe – zasugerował Werner.

– Dowiemy się tego dziś wieczorem – rzekł Fabel. – Chcę, żebyście wy, Anna, Henk, Werner i Maria, poszli ze mną na tę prezentację. Będziecie przyglądać się gościom, a ja utnę sobie długą pogawędkę z Scheibem.

Fabel pojechał do domu; zjadł, wziął prysznic i przebrał się przed spotkaniem ze swoją ekipą w Speicherstadt. Anna i Henk pojawili się na miejscu pierwsi i porozmawiali już z ludźmi Scheibego.

– Będzie chryja – odezwała się Anna do Fabla. – Wygląda na to, że prezentacja się nie odbędzie. Nikt nie widział Scheibego. A to przecież jego wielki dzień. Wszyscy są bardzo poruszeni, bo Scheibe uparł się, że osobiście ma odsłonić makietę projektu. Chyba wykańczał ją sam, i choć senat widział projekt, to miało być wielkie wydarzenie... Podobno dodał parę rzeczy, o których nikt nie ma pojęcia.

– Co w takim razie zamierzają zrobić ludzie Scheibego?

– Na razie dostają szału z niepewności. Zebrali wszystkich wielkich tego miasta, a tymczasem brakuje gwiazdy wieczoru.

– Zdarzało mu się to wcześniej?

– Nigdy na tak ważnej uroczystości... Ale Paulsen ostatnio coraz bardziej się o niego martwił. Wyglądało na to, że Scheibego coś gryzie, a to u niego rzadkość. Picie, owszem, arogancja i pewność siebie, tak... ale Scheibe na pewno nie jest osobą podatną na stres.

– Co może sugerować pojawienie się jakiegoś nowego elementu – powiedział Werner.

– Albo starego... – zauważył Fabel. – Okej, wmieszajmy się w tłum.

Przeszli do sali, pokazując niezadowolonemu personelowi w drzwiach owalne odznaki Kriminalpolizei. Sala pełna była elegancko ubranych ludzi skupionych w niewielkich grupkach, rozmawiających i śmiejących się. Pomiedzy grupkami krążyli kelnerzy z tacami pełnymi kieliszków pinot grigio.

Fabel, Maria i Werner ruszyli w stronę przeciwległego końca sali. Anna i Henk na polecenie Fabela pozostali przy drzwiach, gdzie mieli czekać na pojawienia się Scheibego. Przeciskając się przez tłum, Fabel zauważył Müllera-Voigta otoczonego szczególnie dużym wianuszkiem ludzi. Fabel uchwycił spojrzenie senatora i ukłonił się, ale Müller-Voigt tylko wzruszył ramionami, jakby zmieszany obecnością policjanta.

Przygasły światła i nadkomisarz zauważył gwałtowne poruszenie obok podwyższenia, gdzie przykryta białym płótnem spoczywała artystyczna wizja przyszłości Paula Scheibego. Paulsen był zajęty ożywioną dyskusją z dwójką innych członków zespołu architekta.

Wreszcie Paulsen niezgrabnie wdrapał się na podwyższenie i stanął przy mównicy przed makieta. Przez chwilę z konsternacją wpatrywał się w mikrofon.

– Panie i panowie, dziękuję za okazaną cierpliwość. Niestety, Herr Scheibego nieoczekiwanie zatrzymały ważne sprawy rodzinne. Oczywiście postara się dotrzeć tu jak najszybciej. Niemniej wielkość i innowacyjność jego działań mówi sama za siebie. Wizja przyszłości HafenCity i całego Hamburga jest poruszającym i śmiałym projektem odzwierciedlającym wielkie ambicje naszego wspaniałego miasta.

Paulsen zrobił przerwę. Spojrzał na koniec sali, gdzie

pojawiła się właśnie kobieta, która, jak przypuszczał Fabel, była kolejnym członkiem zespołu Scheibego. Kobieta prawie niezauważalnie pokręciła głową i Paulsen ze słabym uśmiechem rezygnacji zwrócił się na powrót do publiczności.

– Okej... Myślę, że... hmm... najlepiej będzie, jeśli po prostu rozpoczniemy prezentację... Panie i panowie, mam wielki zaszczyt w imieniu Architekturbüro Scheibe przedstawić państwu wyjątkowy i śmiały projekt Überseequartier w HafenCity. Oto KulturZentrumEins...

Paulsen stanął z boku i nieskazitelnie biała zasłona zaczęła się unosić. Kiedy pojawiły się pierwsze zarysy makiety, zgromadzona publiczność zaczęła bić brawo. Nagle oklaski umilkły i w sali zapadła cisza. Cisza, która jakby zatrzymała czas. Fabel zdawał sobie sprawę, co widzi, choć jego mózg nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Reszta publiczności znalazła się w podobnej pułapce czasu, nie mogąc pojąć, co ukazało się ich oczom.

Reflektory, jeden czerwony, jeden niebieski, i pozostałe białe, były rozmieszczone tak, by wyeksponować i podkreślić każdy najdrobniejszy szczegół jaskrawobiałej makiety, a także dodać dramatyzmu. Tyle że dzieło, które rozświetlały z taką emfazą i surowym dramatyzmem, nie było autorstwa Paula Scheibego.

Rozległy się krzyki.

Rozprzestrzeniały się, obejmując jedną osobę po drugiej niczym płomień przeskakujący z jednej żagwi na drugą. Przenikliwe i dojmujące. Pośród nich Fabel wychwycił przekleństwo wypowiedziane ustami Anny. Kilka osób, szczególnie tych stojących najbliżej podwyższenia, zaczęło wymiotować.

W blasku reflektorów widać było krajobraz w miniaturze. Ale punkt centralny, KulturZentrumEins, pozostawał niewidoczny. Przygnieciony ciężarem nagiego ciała Paula Scheibego. Jakby jakiś ogromny, szkaradny bóg został zrzuty z niebios i runął na ziemię w HafenCity. Scheibe na wpół siedział, na wpół leżał pomiędzy roztrzaskanymi elementami swojej wizji. Jego nagie ciało połyskiwało w świetle reflektorów błękitem i bielą, a makieta błyszczała od krwi. Ten, kto umieścił tu ciało, musiał

je podeprzeć fragmentami makiety, tak by Scheibe siedział zwrócony w stronę publiczności.

Miał zdjęty skalp. Strzęp skóry, rozciągnięty i pofarbowany na nienaturalnie czerwony kolor, leżał u jego stóp. W blasku światła błyszcząca zakrwawiona naga czaszka. Miał też poderżnięte gardło.

Fabel nagle uświadomił sobie, że biegnie. Rozpychał zamarłą w przerażeniu publiczność, która bezwiednie ustępowała mu z drogi, niczym manekiny. Czuł, że Anna, Henk i Werner biegną za nim.

Jakiś fotoreporter nacisnął migawkę i światło flesza oświetliło audytorium. Rozpychając się łokciami, Anna dopadła do reportera, jedną ręką wyrwała mu aparat, a drugą go odepchnęła. Reporter zaczął protestować i domagać się zwrotu aparatu.

– To już nie jest twój aparat. Teraz to dowód w śledztwie. – Obrzuciła zimnym spojrzeniem pozostałych dziennikarzy. – To dotyczy was wszystkich. Jesteśmy na miejscu zbrodni i zabiorę aparat każdemu, kto tylko spróbuje go wyciągnąć.

Tymczasem Fabel dotarł do podestu i chwycił Paulsena wpatrzonego niewidzącym wzrokiem w makietę.

– Zabieraj swoich ludzi na korytarz! Szybko! – wykrzyczał mu prosto w twarz. – Anna, Henk... – zawołał do swoich podkomendnych – wyprowadzajcie ludzi. Werner... zabezpiecz drzwi, nikt nie ma prawa opuścić budynku. – Sięgnął po telefon komórkowy i wybrał numer wydziału zabójstw. Poleciał, by natychmiast przyjechała ekipa kryminalistyczna i grupa mundurowych do zabezpieczenia miejsca zbrodni. Wezwał też dodatkowych funkcjonariuszy po cywilnemu, którzy mieli pomagać w zebraniu zeznań od każdej osoby z publiczności. Skończył rozmawiać z wydziałem zabójstw i natychmiast wybrał kolejny numer.

Van Heiden nie zaprotestował, że zawraca mu się głowę w domu; wiedział, że Fabel dzwoni tylko w wyjątkowych sytuacjach. Wysłuchał beznamietnego opisu sytuacji. Można było odnieść wrażenie, że komendanta bardziej poruszył fakt, iż ciało zostało znalezione w obecności tak wielu osób niż to, że

kolejny człowiek stracił życie.

Kiedy Fabel skończył rozmawiać z van Heidenem, okazało się, że jest sam w pustej sali. Sam, jeśli nie liczyć tego, co kiedyś było Paulem Scheibem. Scheibe miał coś Fablowi do powiedzenia. Coś ważnego, może coś, czego chętnie by nie mówił. A teraz siedział na swoim tronie z listewek i kartonu, oskalpowany, nagi, martwy. Bez korony, milczący król spoglądający na swoje opustoszałe królestwo.

23.45, dzielnica Grindelviertel, Hamburg

Leonard Schüler za dużo wypił. Nie po raz pierwszy. W końcu to był ciężki tydzień. Wciąż prześladowała go tamta twarz – ta zimna, blada, pozbawiona jakichkolwiek emocji twarz w oknie mieszkania Hausera – choć z dnia na dzień coraz mniej o niej myślał. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że postąpił słusznie, nie opisując policji szczegółowo mordercy. Leonard Schüler, który w nic już nie wierzył i raczej nie oddawał się głębszym rozmyśleniom, przyłapał się na tym, że wraca myślami do tamtej nocy, do tamtego człowieka w oknie, zastanawiając się, czy istnieje coś takiego jak diabeł.

Powinien o wszystkim zapomnieć. Umieścić tamte wydarzenia tam, gdzie ich miejsce – w przeszłości.

Schüler postanowił to uczcić i spotkał się z kumplami w barze na rogu, dwie przecznice od swojego domu. Było to hałaśliwe, zadymione miejsce, buzujące żywiołowością i tętniące zbyt głośną muzyką rockową. W takim właśnie miejscu pragnął się znaleźć.

Była pierwsza w nocy, kiedy wyszedł. Szedł, nie zataczając się, ale zdawał sobie sprawę, że nieuświadomiany normalnie akt postawienia kolejnego kroku teraz wymagał pewnej koncentracji. To był udany wieczór; porządnie się wyładował. Zdaniem właściciela lokalu nawet zbyt porządnie. Ale wracając do domu, czuł w środku pustkę. Takie było jego życie. Tyle był wart. Nie pochodził z najlepszej rodziny, to prawda, ale innym, podobnym do niego, udało się osiągnąć więcej. Potrafił być na

tyle obiektywny, żeby winić siebie samego za życie, które wiódł, choć czasem zdarzało mu się obarczać częścią odpowiedzialności matkę. Matka Schülera była wciąż młodą kobietą, przekroczyła niedawno czterdziestkę, a urodziła Leonarda w wieku osiemnastu lat. Leonard nie znał ojca i wątpił, czy matka jest pewna, kto nim był. Ten temat matka starannie omijała, twierdząc, że ojcem Leonarda był jej chłopak, który zmarł przed ślubem na nierozpoznaną chorobę. Ale składając do kupy skrawki wiadomości o dawnym życiu matki i czytając między wierszami z jej wspomnień, podejrzewał, że przez pewien czas zarabiała na życie jako prostytutka, a więc jego ojcem mógł być któryś z klientów.

Wszystko to jednak działo się dawno temu. Matka wychowywała go sama i z jakiegoś zupełnie anachronicznego powodu wstydziła się tego. W pewnym momencie, kiedy Leonard był jeszcze niemowlakiem, stała się „nowo narodzoną” chrześcijanką. Teraz była wzorem napuszonej prawości i wstrzemięźliwości, a jego dzieciństwo upłynęło w cieniu wszechobecnej religii. Odkąd sięgał pamięcią, nienawidził tej prawości swojej matki. Wprawiała go ona w zakłopotanie. Irytowała. Mniej by się jej wstydził, gdyby w dalszym ciągu ciągnęła druta klientom. Leonard często dochodził do wniosku, że właśnie dlatego został złodziejem – żeby widzieć, jak jego matka się wstydzi.

– Nie będziesz kradzieży czynił... – powtarzała bez końca, kręcąc głową, kiedy policja po raz pierwszy przyprowadziła go do domu. – Nie będziesz kradzieży czynił... Wiesz, co z ciebie wyrośnie, Leonardzie? – mówiła. – Upomni się o ciebie szatan. Przyjdzie do ciebie szatan i zabierze cię wprost do piekła.

Te właśnie słowa odbijały się echem w głowie Leonarda, kiedy rozmawiał z nim policjant; kiedy opisywał, co robi z nim psychopata, jeśli się dowie o jego istnieniu. Jeśli go odnajdzie.

Schüler nie był głupi. Nie miał złudzeń, w jakim akcie został poczęty. Szybki, odrażający numerek za kilka marek. Mimo to zawsze sobie wyobrażał, że jego biologiczny ojciec był bogatym, odnoszącym sukcesy biznesmenem albo jakimś wybitnym naukowcem, który, zapewne po pijanemu, ten jeden raz został

klientem matki. Jakąś osobą z wyższych sfer. Jak inaczej mógł sobie Leonard wytłumaczyć swoją inteligencję? Chodził do państwowej Gesamtschule i bez wątpienia mógłby, przy odrobinie wysiłku, zdać maturę, która zapewniłaby mu miejsce na uniwersytecie. Ale Schüler nie podjął żadnego wysiłku. Uznał, że istnieją dwa sposoby na zdobycie tego, co w życiu mu potrzebne – można na to zarobić lub to ukraść. Zarabianie wymagało jego zdaniem zbyt wiele zachodu.

I oto jak skończył. Dwudziestosześcioletni bezrobotny złodziej. Czy było już za późno na zmiany? Na rozpoczęcie wszystkiego od nowa? Na zbudowanie nowego życia?

Otworzył drzwi kamienicy. Każdy krok po schodach zdawał się okupywać nadludzkim wysiłkiem. Otworzył drzwi mieszkania i rzucił klucze na stojącą w przedpokoju komodę. Stał w progu, na granicy światła padającego z klatki schodowej i mroku wnętrza mieszkania, i oparł się o framugę. Rozległo się kliknięcie automatu i światło na klatce schodowej zgasło, pogrążając go w całkowitych ciemnościach. Chłonał przez chwilę tę ciemność; w ustach czuł ciężki chmielowy smak piwa.

Nagle w pokoju rozblęsyło światło. Schüler stał, mrugając powiekami, i zastanawiał się, jakim cudem udało mu się przypadkowo nacisnąć włącznik. I wtedy zobaczył go siedzącego na krześle przed telewizorem. To był ten sam mężczyzna. Ta sama twarz, która patrzyła na niego przez okno mieszkania Hausera. Morderca.

Szatan przyszedł, żeby go zabrać do piekła.

CZTERNAŚCIE DNI PO PIERWSZYM MORDERSTWIE, CZWARTEK 1 WRZEŚNIA 2005

00.02, dzielnica Grindelviertel, Hamburg

W chwili gdy Leonard ujrzał mężczyznę z bronią siedzącego w kącie przed telewizorem, wiedział, że umrze. W taki czy inny sposób.

Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to ciemne włosy mężczyzny – zbyt ciemne w stosunku do bladej cery. W rękę trzymał czarny pistolet. Leonard zauważył na jego dłoniach chirurgiczne rękawiczki. Mężczyzna z bronią wstał. Był wysoki i szczupły. Leonard pomyślał, że z łatwością dałby mu radę, gdyby nie ten pistolet. Rzuć się na niego, pomyślał. Nawet jeśli strzeli, umrzesz szybko. A może chybi? Leonard przypomniał sobie dwie fotografie, które pokazano mu na policji; fotografie przedstawiające, co zrobił ten młody, ciemnowłosy i bladej mężczyzna o twarzy niewyrażającej żadnych emocji. Leonard myślał intensywnie; tak intensywnie, że rozbolała go głowa. Dlaczego się na niego nie rzuci? Co ma do stracenia? Kulka jest lepsza niż to, co zamierza z nim zrobić.

– Wyluzuj, Leonardzie. – Zdawało się, że ciemnowłosy czyta w jego myślach. – Zachowuj się spokojnie, a nie stanie ci się żadna krzywda. Chcę z tobą tylko porozmawiać. Nic więcej.

Leonard wiedział, że tamten kłamie. Powinien się na niego rzucić. Ale tak bardzo chciał wierzyć w te kłamstwa.

– Proszę, Leonardzie... Proszę, usiądź, rozmawiamy. – Mężczyzna wskazał mu krzesło, na którym jeszcze przed chwilą siedział.

Zrób to... chwyć za lufę. Leonard usiadł. Mężczyzna patrzył na niego beznamiętnie. Ten sam brak emocji, brak ekspresji.

– Nie powiedziałem im. Nic im nie powiedziałem – wyznał Leonard.

– Daj spokój, Leonardzie – mężczyzna powiedział to tak, jakby strofował dziecko – obaj wiemy, że to nieprawda. Nie powiedziałeś im wszystkiego, zgoda, ale wystarczająco dużo. To byłoby bardzo nierozsądne z twojej strony, gdybyś powiedział im więcej, niż musiałeś.

– Niech pan posłucha, nie chcę się w to mieszać. Musi pan to zrozumieć. Nie zamierzam mówić im nic więcej. Wyjadę... Obiecuję... Nigdy nie wrócę do Hamburga.

– Spokojnie, Leonardzie. Nie zamierzam cię skrzywdzić. Chyba że spróbujesz zrobić coś głupiego. Chcę tylko z tobą porozmawiać o naszej... sytuacji. – Ciemnowłosy mężczyzna oparł się o ścianę i położył pistolet na komodzie obok kluczy Leonarda. Zrób to! Zrób to teraz! Wszystkie instynkty Leonarda krzyczały wniebogłoso, a tymczasem on siedział jak przyspawany do krzesła. Mężczyzna sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej kajdanki. Rzucił je Leonardowi i wziął ponownie do ręki broń. – Nie panikuj. To dla mojego bezpieczeństwa, sam rozumiesz. Proszę... załóż je.

Teraz. Zrób to teraz. Kiedy założysz sobie kajdanki, on będzie miał nad tobą całkowitą kontrolę. Będzie mógł zrobić z tobą, co zechce. Zrób to! Leonard zapiął kajdanki na jednym nadgarstku, potem na drugim.

– Okej – odezwał się ciemnowłosy. – Teraz możemy się odprężyć. – Ale mówiąc to, poszedł do sypialni Leonarda i wrócił z niej z wielką skórzaną torbą. – Nie denerwuj się, Leonardzie. Muszę cię tylko związać. – Wyjął rolkę grubej czarnej taśmy izolacyjnej i zaczął nią przywiązywać Leonarda do krzesła. Ciasno. Następnie oderwał kawałek i zakleił nim usta chłopaka. Protesty Leonarda ograniczyły się do stłumionych sapnięć. Knebel na ustach i ciasno obwiązana taśma utrudniały oddychanie. Serce Leonarda zaczęło bić szybciej. Zadowolony z faktu, że Leonard przestał stanowić zagrożenie, mężczyzna ponownie odłożył broń na komodę. Przysunął sobie jedyne już wolne krzesło i usiadł naprzeciwko chłopaka. Pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach,

a podbródek na złożonych razem dłoniach. Długo wpatrywał się w Leonarda, nim zaczął mówić.

– Wierzysz w reinkarnację, Leonardzie? – Chłopak patrzył na zabójcę, niczego nie rozumiejąc.

– Wierzysz w reinkarnację? To nie jest skomplikowane pytanie.

Leonard potrząsnął energicznie głową. Miał szeroko otwarte oczy. I przerażony wzrok. Szukał w twarzy swojego oprawcy cienia współczucia, czegokolwiek bliskiego ludzkim uczuciom.

– Nie wierzysz? Jesteś w mniejszości, Leonardzie. Większość ludzi na świecie wierzy w reinkarnację. Hinduizm, buddyzm, taoizm... w wielu kulturach powrót duszy jest uważany za rzecz normalną i logiczną. W Nigerii możesz się natknąć na *ogbanje*... dziecko, które jest powtórny wcieleniem kogoś, kto sam zmarł w dzieciństwie. Przepraszam... nie masz nic przeciwko temu, że będę mówił, jednocześnie przygotowując wszystko? – Mężczyzna wstał i wyjął z torby dużą kwadratową płachtę czarnego poliuretanu, a następnie czarny plastikowy worek. Niezrozumiały dźwięk, jaki wydał z siebie zakneblowany Leonard, oprawca wziął za zgodę i kontynuował swój wykład.

– No więc, nawet Platon wierzył, że byliśmy istotami wyższymi, a narodziliśmy się w tym życiu za karę, z powodu utraty stanu łaski. To stanowiło też część wierzeń wczesnochrześcijańskich, póki nie zostało uznane za herezję. Jeśli chwilę się zastanowisz, przekonasz się, że reinkarnacja ma sens, skoro tkwią w nas doświadczenia, których nie potrafimy w inny sposób wytłumaczyć. – Morderca rozłożył płachtę na podłodze i stanął na niej. Zdjął marynarkę i koszulę, złożył je starannie i włożył do plastikowego worka. – To zdarza się wszystkim... spotykamy kogoś, kogo nigdy wcześniej nie widzieliśmy, a mimo to mamy dziwne wrażenie, że rozpoznajemy tę osobę, albo wydaje nam się, że znamy ją od lat. – Zdjął buty. – Albo idziemy w jakieś nowe dla nas miejsce, gdzie nigdy nie byliśmy, a ono wydaje nam się znajome. – Rozpiął pasek, zdjął spodnie i umieścił je razem z butami w worku. Stał teraz w samej bieliźnie i skarpetkach. Miał bladą

cerę, a ciało chude i kościste. Prawie chłopięce. Delikatne. Z torby wyjął biały jednoczęściowy kombinezon, podobny do tych, które noszą technicy kryminalistyczni na miejscu zbrodni, tyle że ten był błyszczący. Leonardowi zrobiło się nagle słabo, kiedy uzmysłowił sobie, że taki strój ochronny noszą pracownicy rzeźni. – Rozumiesz więc, Leonardzie, że wszyscy byliśmy tu już wcześniej. W takiej czy innej formie. Czasem wracamy albo jesteśmy odsyłani z powrotem, żeby rozwiązać jakąś nierozstrzygniętą kwestię z poprzedniego życia. Ja właśnie zostałem odesłany.

Mężczyzna wyjął z torby siatkę na włosy, nałożył ją na głowę, a następnie włożył kaptur i związał jego sznurki ściśle pod brodą. Na nogi włożył niebieskie plastikowe ochraniacze i zaczął robić miejsce pośrodku pokoju, przesuując meble do kąta z wielką ostrożnością, jakby bał się, że coś uszkodzi.

– Nie martw się, Leonardzie, wszystko odstawię na swoje miejsce... – uśmiechnął się lodowato – ...kiedy skończymy.

Przerwał, rozejrzał się po pokoju, jakby sprawdzał, czy wszystko jest gotowe do tego, co zaplanował. Ostrożnie złożył czarną plastikową płachtę i schował ją do torby.

Leonard czuł pieczenie łez napływających do oczu. Pomyślał o swojej matce. O tym, jak bardzo ją zawiódł. O tym, że kradł po to, by ją zranić.

Morderca rozwinął drugą płachtę czarnego plastiku, dużo większą od pierwszej, i rozłożył ją w miejscu opróżnionym z mebli. Następnie stanął za Leonardem, odchylił krzesło do tyłu i zaczął wędrować z nim przez pokój na środek czarnej płachty. Leonard czuł pulsowanie krwi w skroniach i w uszach; wargi drżały mu pod warstwą taśmy izolacyjnej.

– Tak więc – ciągnął swój wywód morderca – nie tylko wierzę w reinkarnację, ale wiem, że jest ona faktem. Prawem natury, tak samo niepodważalnym jak grawitacja. – Wyjął z torby sztruksowe zawiniątko i położył je na plastikowej płachcie obok krzesła. – Widzisz, Leonardzie, otrzymałem dar. Dar pamięci – pamięci wykraczającej poza narodziny i poza śmierć. Pamięci o moich wcześniejszych wcieleniach. Mam do wypełnienia misję. A tą misją jest zemsta za zdradę, jaka mnie

spotkała w poprzednim życiu. To dlatego byłem tam, gdzie mnie widziałeś, kiedy czałaś się pod domem Hausera. To był początek moich poszukiwań. Potem, następnej nocy, zabiłem Griebła. Ale mam dużo więcej do zrobienia, Leonardzie. Dużo więcej. Nie mogę pozwolić, żebyś mi w tym przeszkadzał.

Ciemnowłosa mężczyzna cofnął się kilka kroków i przyjrzał starannie związanej ofierze. Wyglądził pieczołowicie plastikową płachtę. Następnie obrzucił wzrokiem ściany, jakby je wymierzał. Podeszedł do jednej z nich i zerwał plakat z jakąś amerykańską grupą rockową, którym Leonard zasłonił widniejącą na tynku plamę. Znowu cofnął się kilka kroków i przyjrzał uważnie ścianie.

– Tak będzie dobrze. – Odwrócił się do Leonarda i uśmiechnął szeroko, ukazując idealnie białe zęby. – Wiesz, Leonardzie, że skalpowanie jest częścią starej europejskiej tradycji?

Leonard krzyknął, ale taśma zmieniła wrzask w rozpaczliwy bełkot.

– Skalpowali wszyscy, których krew jest naszym rodowodem: Celtowie, Frankowie, Sasi, Goci i oczywiście starożytni Scytowie na bezkresnych stepach, kolebce Europy. Zdejmowanie skalpów tym, którzy ulegli nam w walce albo po prostu zabitym przez nas osobistym wrogom, jest głęboko zakorzenione w naszej tożsamości kulturowej. Byliśmy łowcami skalpów i robiliśmy to z prawdziwą dumą. Słyszałeś o starożytnym historyku greckim Herodocie?

Jedyną odpowiedzią Leonarda był rozpaczliwy, wstrząsający całym jego ciałem szloch człowieka stojącego w obliczu śmierci. Morderca nie zwrócił na to uwagi i spokojnym, gawędziarskim tonem ciągnął swoją opowieść. Ten jego spokój, ta nonszalancja najbardziej przerażały Leonarda; łatwiej byłoby zrozumieć człowieka rozżłoszczonego lub wystraszonego.

– Herodot jest uważany za ojca historii. Podróżował po znanym jego współczesnym świecie i opisywał spotykane po drodze ludy. Ale zapuszczał się też na nieznaną ziemię, w dzicz oddaloną od cywilizowanego świata. Odwiedził Ukrainę leżącą w centrum królestwa Scytów i dokumentował życie tych,

których tam spotkał.

Morderca jeszcze raz przyjrzał się ścianie, z której zdarł plakat. Przerwał na chwilę swój wywód zajęty usuwaniem pinezek i doczepionych do nich skrawków papieru oraz przecieraniem poplamionej ściany dłonią w lateksowej rękawiczce.

– Według relacji Herodota scytyjscy wojownicy zdrapywali z wewnętrznej strony skalpów resztki tkanki, a następnie pocierali skalpy tak długo, aż stały się miękkie. Potem używali ich podczas uct jako serwetek, a wozili ze sobą zawieszane na uzdach koni. Im więcej takich serwetek ze skalpów miał wojownik, tym wyższy był jego status. Według Herodota najdzielniejsi wojownicy szyli nawet ze zdobytych skalpów peleryny.

Przez twarz mordercy przemknął cień podziwu.

– I nie mówimy tu o jakiejś odległej krainie i obcych ludziach. To była nasza kultura. Tam są nasze korzenie. – Przerwał i wpadł na chwilę w namysł. – Pomyśl o tym... Pomyśl o sali, w której jest dziewięćdziesiąt, może sto osób. To nie tak znów dużo. I każda z osób w tej sali jest blisko ze sobą spokrewniona – ojciec i syn, matka i córka. Wyobraź to sobie, Leonardzie, ale wyobraź sobie, że wszyscy są w tym samym wieku. Dziewięćdziesiąt pokoleń zebranych w tym samym momencie życia. Dostrzeżesz łączące tych ludzi podobieństwa. Sześć, siedem, może osiem pokoleń wstecz dostrzeżesz twarz taką jak twoja. Tylko tyle dzieli ciebie i mnie od tamtych scytyjskich wojowników, Leonardzie. Dziewięćdziesiąt blisko ze sobą spokrewnionych osób. I prawdą jest, prawdą, która musiałem odkryć, że przez pokolenia powtarzają się nie tylko nasze rysy, gesty, uzdolnienia czy skłonności. My sami się powtarzamy, Leonardzie. Jesteśmy wieczni. Wracamy raz za razem. Czasem nasze życia zachodzą na siebie. Tak jak moje. Byłem własnym ojcem, Leonardzie. Obserwowałem wszystko z dwóch punktów widzenia. I pamiętam oba...

Ciemnowłosa mężczyzna sięgnął po granatowe sztruksowe zawiniątko i rozłożył je na czarnym plastiku. Zamarł na chwilę w bezruchu, oceniając stan przygotowań. Leonard spojrział na zawartość zawiniątka. Był tam duży nóż, którego rękojeść

i ostrze wykonano z jednego kawałka nierdzewnej stali. Szloch Leonarda przybrał na sile. Zaczął się rozpaczliwie szarpać, ale więzy okazały się silniejsze. Morderca położył dłoń na jego ramieniu, jakby chciał ukoić jego lęk.

– Siedź spokojnie, Leonardzie. Sam to wybrałeś. Pamiętasz, myślałeś o tym, żeby wyrwać mi z ręki broń. Tak, tak, Leonardzie, potrafię czytać w twoich myślach, jesteś dla mnie otwartą księgą. W końcu postanowiłeś tego nie robić. Postanowiłeś uchwycić się tych ostatnich chwil w życiu, choćby nie wiem jak przerażających. Chcesz usłyszeć coś zabawnego, Leonardzie? – Wziął do ręki pistolet i podsunął go pod nos ofiary. – On nie jest prawdziwy. To atrapa. Oddałeś się w moje ręce, w ręce śmierci, opierając się na *idei* pistoletu. Na bezużytecznym kawałku metalu.

Leonard jęknął. Jego twarz była mokra od łez.

– No już, Leonardzie – powiedział morderca bez cienia złośliwości. – Wiem, że nie jesteś szczęśliwy w tym życiu. Dlatego zamierzam odesłać cię do następnego. Ale najpierw... widzisz tę przestrzeń na ścianie? Tam właśnie zamierzam powiesić twój skalp. – Przerwał i zamyślił się, nie zwracając uwagi na stłumione krzyki swojej ofiary. Nagle jego twarz rozpromienił uśmiech – zimny, bezlitosny uśmiech, niepasujący do dotychczas pozbawionego wyrazu oblicza. – Nie... nie tam... kiedy teraz o tym myślę, znalazłem dla niego dużo lepsze miejsce...

22.00, dzielnica Poseldorf, Hamburg

Fabel od dwudziestu czterech godzin był na nogach.

W mediach rozpętało się piekło, a wszyscy, którzy mieli coś do powiedzenia w Hamburgu, wpadli we wściekłość. Fabel po raz kolejny musiał planować dalszy przebieg śledztwa, lawirując pomiędzy zainteresowaniem mediów i naciskami polityków. To w jego pracy go do niej zniechęcało; kiedyś pewnie zawód policjanta był prostszy, a jedyna presja wiązała się z pragnieniem pochycenia przestępcy.

Po spędzeniu prawie całego dnia na miejscu zbrodni wrócił do komendy na poważną strategiczną naradę. Nagle okazało się, że nie ma problemu z dodatkowymi siłami i przydzielono mu funkcjonariuszy z całego Hamburga. Przeniósł z wydziału zabójstw do sali konferencyjnej wszystkie tablice i dokumenty. Okazało się, że jego audytorium stanowiło blisko pięćdziesięciu detektywów i sporo policyjnych grubych ryb. Zauważył też Markusa Ullricha i kilku innych ludzi z BKA. Jasne się stało, że sprawa ma wymiar nie tylko polityczny, ale jest też traktowana jako działanie terrorystyczne.

Susanne odwoziła wszystkich do domu samochodem Fabla. Uznała, że jest on zbyt zmęczony, by siadać za kierownicą, i potrzebuje trochę snu. Fabel twierdził natomiast, że potrzebuje jedynie drinka. Anna, Henk i Werner powiedzieli, że chętnie się przyłączą. Musieli trochę odetchnąć po wydarzeniach ostatnich dwudziestu czterech godzin. Maria również zgodziła się pójść do ulubionego pubu Fabla w Poseldorfie, ale zamierzała zaczekać na Franka Grübera i oboje mieli dojechać taksówką.

Kiedy dotarli na miejsce, dochodziła dziesiąta wieczorem. Szef barmanów Bruno przywitał Fabla z entuzjazmem. Fabel uścisnął mu dłoń i uśmiechnął się zmęczony. Fabel, Susanne i reszta ekipy zasiedli przy barze i zamówili drinki. Z głośników płynęła melodia futbolowej pieśni *Hamburg, meine Perle*, a grupa młodych ludzi przy drugim końcu baru na całe gardło śpiewała słowa tego nieoficjalnego hymnu. Ich zaangażowanie wzrosło, kiedy doszli do zwrotki, z której berlińczycy mogli się dowiedzieć, że „srają na nich i na ich pieśń”. Było głośno, wrzaskliwie, uroczo. Fabel chłonał tę atmosferę. Te wulgarne, pełne energii odgłosy życia, tak odległe od świata śmierci, w którym razem ze swoimi ludźmi żył przez ostatnie trzydzieści kilka godzin. Tego właśnie teraz potrzebował.

Miał ochotę się upić. Po szóstym piwie zaczął odczuwać skutki picia; zdawał sobie sprawę z powolności mowy i ruchów, która pojawiała się zawsze wtedy, gdy wlał w siebie za dużo

alkoholu. Zawsze dochodził do tego punktu, ale nigdy go nie przekraczał. Nigdy nie był zadowolony, gdy zbyt dużo wypił. Właściwie też nigdy, nawet w czasach studenckich, nie był mocno pijany. Zawsze nadchodził moment, kiedy zaczynał się bać, że straci nad sobą kontrolę i zrobi z siebie głupca.

Dołączyła do nich Maria z Grüberem i wszyscy przenieśli się z baru okupowanego przez hałaśliwy chór do stolika w głębi sali. Fabel, z jakiegoś niewiadomego powodu, poruszył temat pracy Güntera Griebela i przytoczył, co na temat swoich doświadczeń powiedział mu Dirk.

– Może wszyscy powracamy – rzekła Anna, a jej ponura mina świadczyła o tym, że wcale nie podoba jej się ta myśl. – Może wszyscy jesteśmy wariacją na ten sam temat, a doświadczamy każdej nowej świadomej formy życia jako czegoś wyjątkowego.

– Jest takie wspaniałe opowiadanie Luigiego Pirandella *Inny syn* – odezwała się Susanne. – O Sycylijce, która daje listy wszystkim wyjeżdżającym za chlebem do Ameryki, żeby wysłali je do jej dwóch synów, którzy wyemigrowali tam wiele lat temu i nie dają znaku życia. Ból rozstania, jaki odczuwa, jest przeogromny. Tamci dwaj synowie w ogóle o niej nie myślą, a tymczasem ona ma trzeciego syna, który został z nią i otacza ją swoją synowską miłością i oddaniem. Tymczasem ona nie potrafi znieść jego widoku, a tym bardziej okazać mu swojej miłości. Okazuje się, że wiele lat wcześniej, kiedy była młoda, na wioskę napadła okrutna banda. Jej herszt brutalnie ją zgwałcił i w rezultacie kobieta zaszła w ciążę. Kiedy chłopiec dorósł, mimo że był wrażliwym i czułym młodzieńcem, coraz bardziej przypominał wyglądem swojego biologicznego ojca, bandytę. Za każdym razem, kiedy matka patrzyła na kochającego ją syna, czuła do niego odrazę i pogardę. Nie był taki jak jego ojciec, ale mimo to widziała w nim powtórne wcielenie bandyty, który ją zgwałcił. To tragiczna i piękna opowieść. I nie pozostawia nas obojętnymi, bo przypomina nam o tym, co sami robimy. Widzimy w ludziach jakąś kontynuację.

– Ale to jest opowieść o wyglądzie zewnętrznym. O fizycznym podobieństwie ojca i syna, a przecież osobowość chłopaka była

zupełnie inna – zauważył Fabel.

– Tak – odparła Susanne – ale matka podejrzewała, że pod tym zewnętrznym podobieństwem kryje się taki sam człowiek. Wariacja na temat.

– Pamiętam – wtrącił w zamyśleniu Henk Hermann – jak będąc dzieckiem, miałem dość opowieści matki i babki o tym, jaki jestem podobny do dziadka. Z wyglądu, zachowania, charakteru. Miałem serdecznie dość słuchania „Och, to wykapany dziadek...” albo „Podobny do dziadka jak dwie krople wody...”. Dla mnie dziadek należał do prehistorii. Zginął na wojnie. W całym domu pełno było jego zdjęć i nie mogłem zrozumieć, gdzie jest to podobieństwo. Potem, kiedy umarła moja babka, znalazłem znowu te zdjęcia. I rzeczywiście bardzo go przypominałem. Na jednym miał na sobie mundur Wehrmachtu. Mówię wam, to bardzo głupie uczucie widzieć siebie w tym mundurze. Naprawdę daje do myślenia. Jakby ktoś taki jak ja żył w tamtych czasach...

Zmienili temat. Ale Fabel zwrócił uwagę, że Henk przez resztę wieczoru wydawał się bardziej przygaszony niż zwykle, i miał sobie za złe, że w ogóle poruszył ten temat.

Pub znajdował się nieopodal mieszkania Fabla, więc poszli z Susanne do domu piechotą. Kiedy dotarli na miejsce, Fabel otworzył drzwi i przesadnie szarmanckim ruchem poprosił Susanne, by weszła do mieszkania pierwsza.

– Jak się czujesz? – zapytała. – Musisz być wykończony.

– Przeżyję... – powiedział i pocałował ją. – Dzięki za troskę. – Zapalił światło.

Ujrzeli to w tej samej chwili.

Fabel usłyszał przeraźliwy krzyk Susanne, a okropieństwo tego, co zobaczyli, sprawiło, że w jednej chwili wytrzeźwiał.

Fabel wbiegł do pokoju. Wyrwał z kabury pistolet i odciągnął zamek, wprowadzając nabój do komory. Odwrócił się do Susanne. Stała sparaliżowana, z dłońmi zasłaniającymi usta i szeroko otwartymi oczami. Uniósł rękę, dając znak, by pozostała na miejscu. Ruszył w stronę sypialni, pchnął drzwi

i wszedł do środka, omiatając pistoletem każdy kąt. Nic. Zapalił światło w sypialni, sprawdził ponownie i przeszedł do łazienki.

W mieszkaniu nie było nikogo.

Fabel wrócił do Susanne, odkładając po drodze pistolet na stolik do kawy. Objął ją i zaprowadził do sypialni, starając się zasłonić swoim ciałem widok okna.

– Zostań tu, Susanne. Zadzwońię po pomoc.

– Chryste, Janie... w twoim domu... – Miała pobladłą twarz i rozmazany przez łzy makijaż.

Zamknął za nią drzwi sypialni i przeszedł przez salon, starając się nie patrzeć na okno, które zawsze swoim widokiem na rzekę Alster dawało mu tyle przyjemności. Chwycił za telefon i wcisnął guzik szybkiego wybierania numeru, by połączyć się z wydziałem zabójstw. Funkcjonariusza dyżurnego poinformował, że Anna Wolff, Henk Hermann, Maria Klee i Werner Meyer jadą właśnie do swoich domów, polecił mu zadzwonić na ich telefony komórkowe i przekazać, by przyjechali do mieszkania szefa.

– Ale przede wszystkim – powiedział głucho – przyślij tu ekipę kryminalistyczną. Mam wtórne miejsce zbrodni.

Odłożył na widelki słuchawkę, nie wypuszczając jej przez chwilę z ręki, odwrócony celowo plecami do okna. Wreszcie się obrócił.

Pośrodku szyby, przyklejony krwią i dodatkowo przezroczystą taśmą, wisiał ludzki skalp. Po powierzchni szyby spływał kleisty strumyczek krwi i czerwonej farby do włosów. Fabel poczuł mdłości i odwrócił wzrok, ale nie mógł wyrzucić z pamięci obrazu krwawych strzępów. Ruszył w kierunku sypialni, skąd dochodziło szlochanie Susanne. W oddali rozległo się wycie syren policyjnych samochodów nadjeżdżających ulicą Mittelweg.

1.45, dzielnica Poseldorf, Hamburg

Fabel zarządził, żeby jedna z policjantek odwiozła Susanne do domu i została z nią tam. Susanne otrząsnęła się już z szoku

i próbowała podejść do całej sprawy z profesjonalizmem godnym psychologa kryminalistycznego. Ale prawda była taka, że morderca wkroczył w ich życie prywatne. Nigdy wcześniej nikt tak nie postąpił. Fabel starał się zapanować nad kipiącą w nim wściekłością. W jego domu. Ten bydlak był tutaj, naruszył jego prywatną przestrzeń. To oznaczało, że wiedział o Fablu więcej niż Fabel o nim. To oznaczało także, że Susanne musi mieć ochronę.

Na miejscu był cały zespół. Po ich twarzach, nawet po twarzy Marii Klee, widać było, jak są wstrząśnięci i wściekli. Ekipą kryminalistyczną dowodził tu na miejscu przyjaciel Marii Frank Grüber, ale ponieważ wiedział, jak bliskie związki łączą Fabla z jego szefem, zadzwonił do Holgera Braunera do domu. Brauner pojawił się już po kilku minutach i choć pozostawił Grüberowi kierowanie pracą techników, to sam też osobiście badał każdy ślad.

Fabel czuł mdłości. Szok i przerażenie, jakiego doznali z Susanne po wejściu do mieszkania, wypity wcześniej alkohol i wyczerpanie po dwóch nieprzespanych nocach sprawiły, że zaczynało mu się robić słabo. Mieszkanie było zbyt małe, żeby wszystkich pomieścić, więc jego ludzie stali na zewnątrz, na klatce schodowej. Fabel musiał radzić sobie też ze swoimi sąsiadami, wykazującymi niezdrową ciekawość, z jaką niezliczoną ilość razy wcześniej spotykał się na miejscu zbrodni. Tyle że tym razem to byli jego sąsiedzi. A miejscem zbrodni – jego mieszkanie.

Zauważył, że jego zespół na klatce schodowej nad czymś się naradza. Po chwili Maria podeszła do niego, zabierając po drodze Grübera.

– Posłuchaj, szefie – powiedziała. – Rozmawiałam z pozostałymi. Nie możesz tu zostać, a poza tym wydaje mi się, że doktor Eckhardt potrzebuje trochę czasu, żeby się otrząsnąć z tego koszmaru. Przynajmniej przez kilka nocy będziesz musiał zamieszkać u kogoś z nas. Badanie miejsca zbrodni zajmie wiele godzin, a potem... a potem na pewno nie zechcesz tu zostać. Werner powiedział, że możesz sprowadzić się do niego, ale tam byłoby trochę ciasno. Później pogadałam na ten

temat z Frankiem.

– Mam duże mieszkanie w Osdorfie – odezwał się Grüber. – Mnóstwo pokoi. Może pan się tam zainstalować, na jak długo pan zechce.

– Dziękuję. Bardzo wam dziękuję. Ale zamieszkać w hotelu...

– Myślę, że powinien pan przyjąć propozycję Herr Grübera – rozległ się głos za plecami Fabla. U szczytu schodów stał komendant Horst van Heiden. Fabel przez chwilę sprawiał wrażenie zaskoczonego. Był zadowolony, że jego szef znalazł czas, by pojawić się tu osobiście w środku nocy. Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie tego faktu.

– Troszczy się pan o moje wydatki? – Żartowi Fabla towarzyszył słaby uśmiech.

– Po prostu uważam, że mieszkanie Herr Grübera będzie bezpieczniejsze niż pokój hotelowy. Do chwili ujęcia tego maniaaka będzie miał pan przydzieloną osobistą ochronę, Fabel. Przed domem Grübera rozstawimy posterunki. – Van Heiden spojrzał na Grübera, szukając w jego oczach potwierdzenia. Ten skinął głową na zgodę.

– Okej – odparł Fabel. – Dziękuję. Później zabiorę trochę rzeczy.

– W takim razie postanowione – powiedział van Heiden. Grüber wziął od Fabla kluczyki i powiedział, że Maria odwiezie Fabla, a on sam po skończonej robocie przyjedzie samochodem nadkomisarza.

– Dzięki, Frank – powiedział Fabel – ale najpierw muszę pojechać do komendy. Trzeba rozgryźć, o co tu chodzi.

Van Heiden ujął swojego śledczego za łokieć i poprowadził w kąt pokoju. Mimo że zmęczenie przesłaniało Fabelowi oczy mgłą, nie mógł się nadziwić, że van Heiden stoi przed nim w środku nocy w tak znakomicie wyprasowanym ubraniu.

– Niedobrze, Fabel. Nie podoba mi się, że ten człowiek wziął pana na cel. Czy wiadomo już, jak wszedł?

– Ekipa na razie nie znalazła żadnych śladów włamania. Sprawca, jak zwykle, nie zostawił praktycznie żadnych śladów swojej obecności na miejscu przestępstwa. – Fabel znów poczuł, jak żołądek podjeżdża mu do gardła na dźwięk

własnych słów, w których swoje mieszkanie nazywa miejscem przestępstwa.

– Czyli nie mamy pojęcia, jak się tu dostał – podsumował van Heiden. – Bóg jeden wie, jak się dowiedział, gdzie pan mieszka.

– Na razie mamy pilniejszą sprawę do wyjaśnienia... – Fabel wskazał ruchem głowy miejsce, gdzie wciąż widniał przyklejony do szyby ufarbowany na jaskrawą czerwień skalp. – Podstawowe pytanie brzmi: do kogo należy ten skalp?

2.00, komenda główna policji, Hamburg

Na miejscu był cały wydział zabójstw. Fabla wyprowadzał z równowagi fakt, że van Heiden w dalszym ciągu uważa swoją obecność za konieczną. Wszyscy mieli nienaturalny wyraz twarzy kogoś, kto powinien być zmęczony, a jest nerwowo pobudzony do pracy. Fabelowi trudno było się skupić, ale wiedział, że to na nim spoczywa obowiązek zmobilizowania zespołu.

– Kryminaliści w dalszym ciągu badają miejsce przestępstwa – powiedział – ale wszyscy dobrze wiemy, że znajdują tylko to, co ten facet chciał, żebyśmy znaleźli. To miejsce różni się od poprzednich dwoma aspektami. Po pierwsze, mamy skalp, ale brakuje ciała. Gdzieś to ciało musi się znajdować. Po drugie, wiemy już na pewno, że pozostawianie skalpów służy mordercy do przekazywania nam wiadomości. W tym wypadku wiadomość była skierowana do mnie. Jest to jakiś rodzaj ostrzeżenia czy groźby. Na logikę więc skalpy pozostawione w poprzednich miejscach zbrodni też miały na celu przekazanie jakiejś wiadomości. Ale komu?

– Nam? – Anna Wolff siedziała wbita w fotel. Na jej twarzy brakowało nieodłącznej szminki i makijażu. Sprawiała wrażenie bladej i zmęczonej. – Może myśli, że w ten sposób drwi sobie z policji. Wydaje się na to wskazywać fakt, że na miejsce swojego pokazu wybrał dom jednego z nas.

– Nie wiem – odparł Fabel. – Zgodziłbym się z tym przypuszczeniem, gdyby chodziło tylko o skalpy. Ale to

farbowanie włosów na czerwono... jeśli chce nam coś w ten sposób oznajmić, to ten sposób jest dla nas niezrozumiały. Może on nie mówi do nas, tylko poprzez nas do kogoś innego. Odnoszę wrażenie, że odbiorcą wiadomości jest ktoś inny.

– To możliwe, ale kim jest czwarta ofiara? – Van Heiden wstał i podszedł do tablicy. Przyjrzał się fotografiom trzech dotychczasowych ofiar. – Jeśli to ma coś wspólnego z ich przeszłością, to należy przypuszczać, że mamy kolejną ofiarę w wieku około pięćdziesięciu lat.

– Chyba że... – Anna raptownie poderwała się z miejsca.

– Chyba że co? – zapytał Fabel.

– Że to ten chłopak, którego zwinęliśmy. Potencjalny świadek. Nie sądzisz, szefie...

– Świadek? – Van Heiden wydawał się zaskoczony.

– Schüler? Wątpię. – Fabel zamilkł na moment. Przypomniał sobie, jak straszył drobnego złodziejzka widmem łowcy skalpów. To niemożliwe; nie było sposobu, żeby morderca się o nim dowiedział. – Ale na wszelki wypadek sprawdźcie to z Henkiem.

– O co chodzi z tym świadkiem, Fabel? – zażądał wyjaśnień van Heiden. – Nic mi pan nie mówił, że macie świadka.

– Bo nie mamy. To chłopak, który ukradł rower sprzed domu Hausera. Widział kogoś w oknie mieszkania, ale dał tylko częściowy, mocno nieprecyzyjny opis.

Kiedy Anna i Frank wyszli, Fabel z pozostałymi jeszcze raz omówili przebieg śledztwa. Nie wynikło z tego nic nowego. Nie pojawiły się żadne nowe tropy. Zabójca był tak skrupulatny w zacieraniu śladów swojej obecności na miejscu zbrodni, że pozostawała im tylko dedukcja oparta na doborze ofiar. To z kolei prowadziło tylko do jednego wniosku – podejrzania, że morderstwa mają związek z polityczną przeszłością ofiar.

– Zróbmy sobie przerwę – zaproponował Fabel. – Chyba wszystkim przyda się kawa.

Kantyna była prawie całkiem opustoszała. Tylko dwóch mundurowych siedziało w kącie, po cichu rozmawiając. Fabel,

van Heiden, Werner i Maria wzięli filiżanki z kawą i usiedli przy stoliku w przeciwnym końcu sali. Zapadła kłopotliwa cisza.

– Dlaczego wziął sobie pana na cel, Fabel? – zapytał w końcu van Heiden.

– Być może po to, żeby pokazać, co potrafi – odparł Werner.

– Pokazać nam, jaki jest sprytny i przebiegły. I jak groźny.

– Naprawdę wydaje mu się, że zastraszy policję? Że zarzucimy śledztwo?

– Oczywiście, że nie – odrzekł Fabel. – Ale zgadzam się z Wernerem. Poprzedniego dnia miałem ten dziwny telefon. Wtedy myślałem, że to głupi żart. Ale teraz jestem pewny, że dzwonił nasz zbrodniarz. Może wydaje mu się, że potrafi osłabić moją skuteczność. Wstrząsnąć mną. Fakt, udało mu się. Może nawet liczy na to, że zostanę odsunięty od śledztwa.

Ponownie zapadło milczenie. Fabel nagle zapragnął zostać sam. Potrzebował czasu do zastanowienia. Musiał się najpierw przespać, a potem wszystko przemyśleć. Zdał sobie sprawę, że obecność van Heidena, choć podparta dobrymi intencjami, paraliżowała jego proces myślenia. Wypił łyk kawy; miała gorzki smak, a ziarenka chrzęściły w zębach. Czuł pulsowanie w głowie. Zrobiło mu się gorąco i zaczął się pocić. Czuł się brudny.

– Przepraszam na chwilę – powiedział i skierował się do męskiej toalety. Ochlapał wodą twarz, ale nie poczuł się ani czystszy, ani ochłodzony. Mdłości ogarnęły go tak szybko, że ledwie zdążył wpaść do kabiny, by zwymiotować. Miał już pusty żołądek, ale wciąż wstrząsały nim odruchy wymiotne. Wreszcie nudności ustąpiły. Podszedł do umywalki i wypłukał zimną wodą usta. Ponownie przemył twarz; tym razem poczuł się nieco odświeżony. Zdał sobie sprawę, że za jego plecami stoi Werner.

– Wszystko w porządku, Janie?

Fabel oderwał kilka listków papierowego ręcznika i wytarł twarz, przyglądając się własnemu odbiciu w lustrze. Wyglądał na zmęczonego. Starego. I lekko wystraszonego.

– Nic mi nie jest. – Wyprostował się i wyrzucił zużyte

ręczniki do kosza. – Naprawdę. To był cholernie ciężki dzień. I noc też.

– Dopadniemy go. Nie martw się. Nie umknie nam...

Wernerowi przerwał dzwonek telefonu komórkowego Fabla.

– Halo? Szefie? – Z trwożliwie drżącego tonu głosu Fabel wywnioskował, co Anna chce mu powiedzieć. – Tak, szefie, to on. Ten bydlak zabił Schülera.

15.00, dzielnica Osdorf, Hamburg

Fabel obudził się zdezorientowany.

Przez szpary w ciężkich, ciemnych zasłonach, których przecież nie powinno tu być, wpadały promyki słonecznego światła. Leżał na łóżku, które było mniejsze niż zwykle i znajdowało się w niewłaściwym miejscu niewłaściwego pokoju. Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, nie mógł sobie uświadomić, gdzie jest i dlaczego tu się znalazł. Czuł się kompletnie zagubiony, a serce waliło mu w piersiach.

Pamięć wracała etapami. Każdy fragment z historii ostatnich dni uderzał z siłą parowozu. Przypomnił sobie tragedię w swoim mieszkaniu, przyprawiające o mdłości naruszenie porządku domowego; krzyk Susanne; obecność zatroskanego van Heidena; wymioty w toalecie. Wspomnienia chwil spędzonych z Susanne zdawały się odległą przeszłością.

Był u Franka Grübera. Przypomnił sobie wreszcie. Tak się umówili. Spakował walizkę i podręczną torbę i Maria zawiozła go do Osdorfu. Van Heiden załatwił, żeby pod domem pojawił się srebrno-niebieski policyjny samochód.

Przypomnił sobie również, co się wydarzyło, nim zjawił się w tym mieszkaniu. Kolejny horror. Tym razem Leonard Schüler, którego Fabel próbował tak mocno nastraszyć, siedział przywiązany do krzesła w nędznym, malutkim mieszkanku, pozbawiony skalpu, z poderżniętym gardłem, z twarzą poprzecinaną strużkami krwi i czerwonej farby do włosów. I leż.

Kiedy tak stali zgromadzeni wokół siedzącego, martwego

ciała Schülera, wszystkich dręczyła ta sama straszna myśl, której jednak nikt nie ośmielił się wypowiedzieć na głos – że spełniło się to, czym Fabel straszył tego drobnego oszusta. Fabel złapał za łokieć dowodzącego ekipą kryminalistyczną Franka Grübera i rzekł do niego błagalnie:

– Znajdź coś, co pozwoli nam ruszyć z miejsca. Cokolwiek. Proszę...

Fabel spuścił nogi na podłogę i usiadł na brzegu łóżka. Położył łokcie na kolanach i podparł głowę dłońmi. Był apatyczny i wyczerpany. Jakby otaczała go gęsta, wilgotna mgła, która wdzierала się do mózgu, otumaniała, utrudniała myślenie i sprawiała, że kończyny stawały się ciężkie. Próbował sobie uświadomić, co przypominało to bolesne uczucie ciężkości w piersiach. Nagle zdał sobie sprawę. Przypominało o poczuciu straty – o żalu, jaki czuł po stracie ojca. I o chwili, gdy rozpadło się jego małżeństwo.

Fabel siedział na brzegu cudzego łóżka i zastanawiał się, po kim czy po czym ta żałoba. Naruszono coś cennego, coś wyjątkowego, co starał się trzymać z dala od swojej pracy. Nie był człowiekiem przesadnym, ale przypomniał sobie, jak złamał niepisaną regułę o nierozmawianiu na temat pracy z Susanne. Czuł się tak, jakby tamtą rozmową w jego mieszkaniu otworzył szeroko drzwi, przez które wtargnął do jego prywatnego życia mrok zbrodni. Po blisko dwudziestu latach jego dwa światy nagle się ze sobą zderzyły.

Odnalazł lampkę nocną i zapalił ją, mrugając powiekami pod wpływem nagłej jaskrawości. Zerknął na zegarek; była trzecia po południu. Spał tylko trzy godziny. Był zachwycony wielkością i wygodą mieszkania Grübera. „Bogaci rodzice, bardzo bogaci...” – zdradziła kiedyś konspiracyjnym tonem Maria. Grüber pokazał mu przestronną sypialnię, większą chyba od salonu w mieszkaniu Fabla. Nadkomisarz podźwignął się z łóżka i poszedł do przylegającej do sypialni łazienki. Najpierw się ogolił, a potem wszedł pod zimny prysznic, który nie zdołał zmyć z niego uczucia brudu. Widział to już wcześniej wiele razy u ofiar lub świadków brutalnych aktów, ale sam nigdy tego nie doświadczył.

Fabel zorientował się, że Maria i Grüber wciąż są jeszcze w łóżku i nie chciał im przeszkadzać w wypoczynku, którego wszyscy po tej wyczerpującej nocy tak potrzebowali. Obserwował ich, kiedy pojawili się w tym domu. Zawsze bardzo lubił Grübera i zrobiło mu się smutno, że nie udało im się z Marią stworzyć pary. Teraz, oczywiście, wiedział już, co leży u podstaw tego braku intymności ze strony Marii w relacjach z Frankiem, rozumiał również, dlaczego Frank nie okazuje otwarcie Marii swojej sympatii. Mimo to przykro było patrzeć, jak dwoje młodych ludzi, którzy niewątpliwie coś do siebie czują, nie jest w stanie funkcjonować jako para, bo rozdziela ich jakiś niewidoczny mur.

Mieszkanie było dwupoziomowe i po kąpieli Fabel ubrał się i zszedł na dół do kuchni. Po krótkich poszukiwaniach znalazł herbatę, zaparzył sobie filiżankę i usiadł przy dużym dębowym stole. Usłyszał odgłos kogoś schodzącego po schodach i w kuchni pojawił się Grüber. Wyglądał na wyraźnie odświeżonego i nadkomisarz pozazdrościł mu tej młodzieńczej energii.

– Jak samopoczucie? – zapytał Grüber.

– Marne. Gdzie jest Maria?

– Jeszcze śpi. Mam ją obudzić?

– Nie... nie, niech wypoczywa. Ale ja muszę wracać do komendy. Jest pewien trop, którego nie możemy zgubić.

– Obawiam się, że już go gubimy – powiedział przeproszającym tonem Grüber. – Robiłem co w mojej mocy, naprawdę, ale nie znalazłem niczego, co pomogłoby nam w identyfikacji tego szaleńca. Jak zwykle zostawił swój znak rozpoznawczy, jeden rudy włos. Zadzwoiłem do Holgera Braunera, kiedy pan spał. Powiedział mi, że włos pasuje do poprzednich dwóch i też został odcięty dwadzieścia, trzydzieści lat temu.

– I nic więcej? – W głosie Fabela pobrzmiwało niedowierzanie. Tylko jeden mały przełom, o niczym więcej nie marzył. Drobne potknięcie mordercy.

– Obawiam się, że nie.

– *Shit* – zaklął Fabel. – Nie mogę uwierzyć, że ten bydlak

chodził po moim mieszkaniu, przykleił do szyby skalp ofiary i nie zostawił żadnego śladu.

– Przykro mi – powiedział Grüber, tym razem z lekką niechęcią – ale tak było. Zarówno Herr Brauner, jak i ja dwukrotnie przetrząsnęliśmy wszystko. Gdyby było tam coś do znalezienia, na pewno byśmy znaleźli.

– Wiem, przepraszam, nie chciałem sugerować, że zrobiłeś to niedokładnie. Chodzi o to, że... – Fabel dokończył zdanie bezradnym machnięciem dłonią. Jego zespół przesłuchał wszystkich sąsiadów; żaden z nich nie widział nikogo wchodzącego do mieszkania czy z niego wychodzącego. Wyglądało na to, że mają do czynienia z duchem.

– Nie wiem, kim jest nasz zabójca – odezwał się Grüber – ale za każdym razem mam wrażenie, jakby przed opuszczeniem miejsca zbrodni starannie je uprzątała. Jakby znał techniki kryminalistyczne.

– To znaczy co, sprząta po sobie?

– Więcej. – Grüber zmarszczył czoło, próbując się skupić. – Czuję, że odbywa się to w trzech etapach. Po pierwsze, musi pojawiać się na miejscu zbrodni doskonale przygotowany i w jakiś sposób zabezpieczyć pomieszczenie. Pewnie rozkłada jakiś brezent czy folię, może używa też odzieży ochronnej. Po drugie, po każdej zbrodni musi posprzątać. Oskarżaliśmy tamtą kobietę, sprzątaczkę, o zacieranie śladów pierwszego morderstwa. Ale ona nie zrobiła nic złego. Tam nie było już żadnych śladów, które mogłaby usunąć. I wreszcie, zostawia swój podpis, stary rudy włos. Robi to tak, żebyśmy ten włos znaleźli. A więc tak jakby wiedział, w jaki sposób pracujemy.

– Ale za pierwszym razem o mało go nie przeoczyłeś – zauważył Fabel.

– To była wina tej sprzątaczkki. Zalała włos wybielaczem i wcisnęła przypadkiem w fugę między płytkami. Założę się, że morderca zostawił włos w dużo bardziej widocznym miejscu.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że mamy do czynienia z technikiem kryminalistycznym?

Grüber wzruszył ramionami.

– Może po prostu się naczytał o stosowanych przez nas

technikach.

Fabel się podniósł.

– Jadę do komendy...

– Jeśli chce pan znać moje zdanie – powiedział Grüber, nalewając mu drugą filiżankę herbaty – powinien pan dziś odpocząć. Kimkolwiek jest zabójca, czy ma doświadczenie kryminalistyczne, czy nie, jest bystry i lubi to udowodniać. Ale dobrze obaj wiemy, że tego rodzaju ludzie nigdy nie są aż tak sprytni, jak podpowiada im ich ego. Wkrótce powinie mu się noga. A wtedy go złapiemy.

– Tak sądzisz? – spytał ponuro Fabel. – Po ostatniej nocy nie jestem tego taki pewny.

– Naprawdę uważam, że powinien pan tu zostać i odpocząć. Będzie pan jaśniej myślał. – Fabel rzucił Grüberowi ostre spojrzenie i młodszy mężczyzna w geście poddania uniósł ręce. – Wie pan, co mam na myśli... W każdym razie proszę czuć się jak u siebie w domu. A właściwie proszę ze mną...

Grüber zabrał ze sobą Fabla; przeszli długim korytarzem do dużego, jasnego pokoju, zamienionego przez gospodarza na gabinet. Pod ścianami stały regały z książkami, a pośrodku pokoju dwa biurka – jedno służyło do pracy, stał na nim komputer i leżały jakieś dokumenty, a drugie przypominało stół warsztatowy. Uwagę Fabla zwrócił gliniany model głowy, pozaznaczany w regularnych odstępach, z wystającymi małymi białymi haczykami.

– Pomyślałem, że ten pokój pana zainteresuje; spędzam tu czas, kiedy nie mogę w nocy spać. I tu prowadzę swoje badania.

Fabel podszedł bliżej i przyjrzał się ulepionej z gliny głowie.

– Słyszałem o tym – powiedział. – Od Holgera Braunera. Widzę, że jesteś ekspertem od rekonstrukcji.

– Z radością potwierdzam, że zajmuje mi to większość wolnego czasu. To, co tu widać, to głównie znaleziska archeologiczne, ale mam nadzieję, że uda się wykorzystać moją wiedzę w kryminalistyce wtedy, gdy znajdziemy ciało o stopniu rozkładu uniemożliwiającym identyfikację.

– Rzeczywiście, to może być bardzo przydatne. Czy pod tym jest czaszka? – zapytał Fabel. Mimo zmęczenia czuł się

zaintrygowany. Patrzył, jak Grüber nakłada kolejne warstwy tkanek miękkich na kość. Najpierw główne mięśnie, potem mniejsze ścięgna. W ten sposób powstało doskonale przedstawienie ludzkiej twarzy, pozbawionej tłuszczu i skóry. Była w tym jakaś anatomiczna precyzja. Poza tym model był, na swój dziwaczny sposób, piękny. Nauka przeradzała się w sztukę.

– Tak – odpowiedział Grüber – ale nieoryginalna. Z uniwersytetu przysłali mi odlew. Robią formę z włókien alginowych, dzięki czemu odlew jest idealną kopią prawdziwej czaszki. Na takim odlewie rekonstruuje twarz.

– Kto to jest? – Fabel przyglądał się jakiemuś szczegółowi dzieła, które przypominało szkice anatomiczne Leonarda da Vinci.

– Ona pochodzi ze Szlezwika-Holsztynu. Ale z czasów, kiedy nikt nie słyszał ani o Szlezwiku-Holsztynie, ani o Niemczech, a język, którym wtedy mówiono, nie przypominał niemieckiego. Mówiła językiem protocytyckim. Należała zapewne do plemienia Ambronów albo Cymbrów. A to oznacza, że jej język był bardziej zbliżony do walijskiego niż jakiegokolwiek innego współczesnego.

– To... ona jest piękna – stwierdził Fabel.

– Prawda? Za kilka tygodni powinienem ją skończyć. Pozostało mi tylko nałożyć trochę tkanki miękkiej na warstwę mięśni. To tchnie w nią życie.

– W jaki sposób oceniasz grubość tkanki? – zapytał Fabel. – To opiera się chyba tylko na przypuszczeniach?

– Wcale nie. Każda grupa etniczna ma charakterystyczną dla siebie grubość tkanek twarzy. Oczywiście ta kobieta mogła być otyła albo wyjątkowo szczupła, ale z drugiej strony żyła w czasach, kiedy brakowało nadwyżek żywności, a życie codzienne było dużo trudniejsze niż dzisiaj. Myślę, że potrafię oddać dość wiernie jej wygląd sprzed dwóch tysięcy dwustu lat.

Fabel pokręcił z podziwem głową. Podobnie jak w przypadku Człowieka z Cherchen, którego pokazał mu Severts, zyskał możliwość cofnięcia się w czasie o dwa tysiąclecia.

– Pracujesz głównie nad ciałami wydobytymi z bagien? –

zapytał.

– Nie. Rekonstruowałem żołnierzy wojen napoleońskich, ofiary dżumy z późnego średniowiecza, a także egipskie mumie. Mumie dają najwięcej satysfakcji, pewnie dlatego, że są starożytne. No i z powodu egzotyki ich kultury. To zabawne, ale czuję duchową więź z kapłanami, którzy mumifikowali ciała swoich królów, królowych i faraonów. Przygotowywali swoich władców do reinkarnacji, do ponownych narodzin. Mam wrażenie, że dopełniam ich dzieło... daję mumiom powtórne życie.

Fabel przypomniał sobie, że Severts mówił niemal to samo.

– Dla mnie najważniejsze jest – ciągnął Grüber – żeby to, co robię, było wierne. Prawdziwe. Robię to z tych samych powodów, dla których studiowałem archeologię, zanim zdecydowałem się na kryminalistykę. Z tego samego powodu, dla którego pan i Maria postanowiliście pracować w wydziale zabójstw. Przyświeca nam to samo motto – jesteśmy zmarłym winni prawdę.

– Prawdę mówiąc, po ostatniej nocy nie wiem, dlaczego wciąż tam pracuję – odparł Fabel i spojrzał na szczerą, zatroskaną twarz Grübera. Martwił się o Marię, ale nie wyobrażał sobie lepszego faceta dla niej.

– Proszę spojrzeć na to. – Grüber wskazał bok rekonstruowanej głowy, nad skronią. – Ten mięsień uzupełniamy w pierwszej kolejności, to mięsień skroniowy. A ten... – wskazał szeroki płat na czole – ...nazywa się potyliczno-czołowy. To dwa największe mięśnie ludzkiej głowy. Zabójca, zdejmując skalp, nacina skórę na czaszce dookoła. – Wziął do ręki ołówek i nie dotykając glinianego modelu, zatoczył łuk. – Zdjęcie skalpu jest stosunkowo proste. Wystarczy naciąć skórę dookoła i lekko pociągnąć. Skalp leży na górnej warstwie mięśni i jest z nią powiązany tkanką łączną. Ostatnie trzy skalpy zostały zdjęte w taki właśnie sposób, ale u Hausera cięcie było znacznie głębsze. Pamięta pan, ofiara wyglądała tak, jakby marszczyła czoło. To dlatego, że sprawca uszkodził mięsień potyliczno-czołowy i Hauserowi opadły brwi. – Grüber rzucił ołówek na biurko. – Nasz łowca skalpów

doskonali swoje rzemiosło, staje się coraz sprawniejszy.

Fabel wrócił na chwilę myślami do poprzedniej nocy, do swojego mieszkania. Do dowodu znajomości „rzemiosła”, jaki morderca tam zostawił.

– Jak mówiłem – ciągnął Grüber – ten facet nie jest tak bystry, za jakiego się uważa. Może to niewiele wnosi, ale dowodzi jednego – nie zawsze działa perfekcyjnie. – Grüber westchnął. – A tak w ogóle myślałem, że zainteresuje pana moja biblioteka. Maria wspominała, że studiował pan historię. Ja jestem archeologiem. Proszę korzystać z biblioteki do woli. Muszę jechać do pracy... jest kilka rzeczy, które trzeba dokończyć.

Kiedy Grüber wyszedł, Fabel usiadł i przyglądał się uważnie częściowo zrekonstruowanej głowie. Chciałby, żeby przemówiła, żeby nieosłonięte ciało mięśnie poruszyły ustami i żeby padło z nich nazwisko potwora, którego ścigał. Grüber rzeczywiście musiał być nadziany, skoro stać go było na takie mieszkanie. Większość mebli była antykami i wyraźnie kontrastowała z komputerem i pozostałym nowoczesnym i bez wątpienia drogim sprzętem.

Ciekawa mieszanina przedmiotów prywatnych i tych związanych z wykonywaną przez Grübera profesją przypominała Fablowi pokój, w którym znaleziono ciało Güntera Griebła. To podobieństwo zaskoczyło go i na chwilę wrócił myślami do miejsca, do którego wracał niechętnie. Co będzie, jeśli ten maniak zainteresuje się Fablem i jego zespołem? Mimo woli wyobraził sobie młodego Franka Grübera ze zdeformowaną głową, przywiązanego do antycznego skórzanego fotela. Pomyślał o Marii, która już przeżyła jeden atak nożownika, a teraz spała na górze, i o tym, jak w wyniku tego zdarzenia pojawiła u niej fobia na punkcie kontaktu fizycznego. Pomyślał też o Annie, która w trakcie tamtego śledztwa została odurzona narkotykami i była molestowana. A teraz taka okropność w jego domu.

Fabel poczuł potrzebę odnalezienia kluczyków do samochodu i pojechania do komendy, ale Frank miał rację – był zbyt wyczerpany i otumaniony, by się tam na coś przydać. Powinien

najpierw odpocząć kilka godzin, a najlepiej się przespać.

Podszedł nieśpiesznie do wykonanych z drewna orzechowego półek na książki. Zawsze dobrze się czuł w otoczeniu książek. Zbiór Grübera był obszerny, ale dość ograniczony tematycznie. Główny trzon stanowiły prace na temat archeologii, reszta dotyczyła historii różnych epok, geologii, technik i metodologii kryminalistycznej oraz anatomii. Wszystko, co nie dotyczyło archeologii, było z nią przynajmniej powiązane.

Fabel wziął z półki kilka książek i położył się na skórzanej kanapie. Pierwsza z książek, które go zainteresowały, traktowała o mumiach. Była wydawnictwem wielkoformatowym, pełnym kolorowych zdjęć. Znalazł w niej tę samą fotografię Człowieka z Cherchen, którą pokazywał mu Severts. Po raz drugi wpadł w podziw, patrząc na doskonale zachowaną twarz pięćdziesięciopięcioletniego mężczyzny, który zmarł przed trzema tysiącami lat. Przeczytał jeden akapit, a potem zaczął wertować książkę, aż znalazł równie poruszające zdjęcie Człowieka z Neu Versen – Rudowłosego Franza. Patrząc na czaszkę z gęstą czupryną włosów, poczuł uścisk w żołądku. Przed oczami stanęły mu skalpy, które morderca zostawiał na miejscu zbrodni. W książce opisano szczegóły odnalezienia w listopadzie tysiąc dziewięćsetnego roku ciała Rudowłosego Franza na wrzosowisku Bourtanger w pobliżu niewielkiego miasteczka Neu Versen. Postawiono w niej hipotezę dotyczącą życia i śmierci Franza. Za życia został ranny w walce, zginął z podejrzeniem najprawdopodobniej rytualnie gardłem, a jego ciało pochowano w torfiastym bagnie.

Fabel przerzucił jeszcze kilka stron. Każda z fotografii przedstawiała twarz z przeszłości, zakonserwowaną przez bagienną wodę lub suchy pustynny piasek, albo przygotowaną do pośmiertnego życia przez kapłanów, o których wspominał Grüber. Fabel usiłował czytać, skupić swoją uwagę na czymś, co pozwalałoby zapomnieć o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, ale w końcu opadły mu powieki. Zasnął.

Dopiero po dłuższej chwili pojawiło się marzenie senne. Śnił, że stoi na rozległej równinie. Wychowany wśród zielonych łąk

Fryzji Wschodniej, wiedział, że to gdzieś tam. Trawa, w której stał, sięgała mu do połowy łydki, ale była wysuszona i łamliwa. Odległy horyzont był zupełnie płaski i ostro odcinał się od bezbarwnego, ołowianego nieba z nielicznymi rdzawej barwy obłokami.

Powoli obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Wszystko wyglądało jednakowo – niczym niezmacona, bolesna jednostajność. Stał i zastanawiał się, co zrobić. Nie miało sensu iść, bo nie było dokąd; nie było też żadnych punktów orientacyjnych, którymi mógłby się kierować. To był świat bez kierunku i bez celu.

Nagle pojawiły się idące w jego kierunku postacie. Nie szły razem; były oddalone od siebie o kilkaset metrów i przypominały wycieńczoną karawanę wielbłądów wędrującą przez bezbrzeżną pustynię.

Pierwsza z postaci się zbliżyła. Był to wysoki, szczupły mężczyzna w jaskrawym ubraniu. Miał krótko przystrzyżoną bródkę i przydługie jasnobrązowe włosy, powiewające z każdym krokiem spletanymi kosmykami na wietrze. Fabel wyciągnął rękę, ale tajemnicza postać jakby tego nie zauważyła i minęła go obojętnie. Zwrócił uwagę, że mężczyzna miał nienaturalnie szczupłą twarz i nierówno opuszczone powieki. Szedł z wykrzywioną dolną wargą, ukazując zęby po jednej stronie. Fabel rozpoznał go. Stał z ręką wyciągniętą do powitania Człowieka z Cherchen, który minął go nieświadom jego obecności. Następną mijającą go postacią była bardzo wysoka, pełna wdzięku kobieta, w której rozpoznał Piękność z Loulan.

Tymczasem pojawieniu się trzeciej postaci towarzyszył okropny dźwięk. Przypominał grzmot burzy, ale był głośniejszy niż jakikolwiek grzmot, który zdarzyło mu się wcześniej słyszeć. Poczul, jak wysuszona ziemia zadrżała, wysuszona trawa się rozświetliła i uniosły się czarne ruiny domów, przypominające pociemniałe wyszczerbione zęby. Trzecia postać była mniejsza od pozostałych i miała na sobie współczesne ubranie. Podeszła bliżej – była młoda, miała rzadkie i rozwichrzone włosy i zbyt obszerny granatowy garnitur z serży. Kiedy się zbliżała do

Fabla, wokół wyrosło brzydkie, mroczne, puste jak śmierć miasto kanciastych budynków. Podobnie jak pozostałe mijające go mumie, młodzieniec miał zapadnięte policzki i otoczone głębokim cieniem oczodoły. Idąc, trzymał wyciągniętą sztywno przed siebie rękę, w takim samym geście, z jakim spoczywał na wpół zakopany w piasku, kiedy go pierwszy raz zobaczył na brzegu Łaby. Znalazłszy się obok Fabla, młodzieniec nie minął go tak po prostu jak pozostali, lecz przekrzywił głowę i spojrzał pustymi oczodołami na wyblakłe niebo.

Fabel też podniósł wzrok. Niebo pociemniało, jakby zasnuło je stado ptaków, ale wtedy usłyszał groźny warkot bombowców. Warkot stawał się coraz głośniejszy, ogłuszający. Fabel, niemy, stał bez ruchu, patrząc, jak z nieba spada kaskada bomb. Rozpętała się straszliwa burza, gorące powietrze wirowało z głośnym świstem, a czarne budynki lśniły niczym grudy węgla. Mimo to szalejąca wokół burza ogniowa nie czyniła krzywdy ani Fablowi, ani młodzieńcowi.

Młodzieniec przez chwilę wpatrywał się pustym wzrokiem w Fabla, a potem odwrócił się i zrobił kilka kroków w kierunku ogarniętego ogniem najbliższego budynku. Położył się na ziemi przed gmachem, który zdaniem Fabla mógł być kościołem Świętego Mikołaja, naciągnął na siebie koc ze stopionego asfaltu i żaru i zasnął z wyciągniętą przed siebie ręką.

Fabel usiadł na kanapie, wciąż w półśnie, i przez chwilę wyteżał słuch, próbując wychwycić warkot bombowców nad głową. Rozejrzał się wokół i poznał gabinet Grübera, z drogimi antykami, półkami na książki z orzechowego drewna i niedokończonym popiersiem dziewczyny ze Szlezwika-Holsztynu.

Spojrzał na zegarek; była szósta trzydzieści. A więc przespał kolejne dwie godziny. Wciąż czuł wywołaną zmęczeniem ociężałość kończyn, ale usłyszał jakiś ruch w kuchni i kiedy tam dotarł, zastał Marię Klee nad filiżanką kawy.

– Czujesz się dość dobrze, żeby pójść ze mną? – To pytanie zabrzmiało, wbrew jego woli, bardziej jak stwierdzenie. Maria

skinęła głową, wstała i wypila ostatni łyk kawy. – Świetnie – powiedział. – Zbieramy ekipę. Musimy jeszcze raz przyjrzeć się dokładnie temu, co mamy. Musieliśmy coś przeoczyć.

Opuszczając mieszkanie Grübera, Fabel z telefonu komórkowego zadzwonił do Susanne, żeby sprawdzić, jak się czuje. Uspokoila go, że u niej wszystko w porządku, ale w jej głosie brzmiał ton niepewności, którego Fabel nigdy wcześniej nie słyszał. Zabrał marynarkę i kluczyki i podszedł do czekającego na zewnątrz srebrno-niebieskiego radiowozu.

CZEŚĆ DRUGA

12

DWADZIEŚCIA CZTERY DNI PO PIERWSZYM MORDERSTWIE, NIEDZIELA 11 WRZEŚNIA 2005

Północ, okręg Altona, Hamburg

Zjawiało się coraz mniej publiczności.

Największy jej ubytek zaobserwował w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, kiedy pojawiło się nowe pokolenie wykonawców. *Schlager*, ckliwa i mdła forma niemieckiej muzyki pop istniała od zawsze, a jej bezsensowna obecność tylko pomagała takim śpiewakom jak Cornelius Tamm; swoim całkowitym brakiem treści stanowiła przeciwieństwo intelektualnego przesłania ich muzyki. Ale potem pojawił się punk, a jeszcze później rap, który był głosem nowego, apolitycznego i niezadowolonego pokolenia. Poza tym rynek zalewała nieznośna fala utworów brytyjskich i amerykańskich. Wszystko to razem marginalizowało Corneliusa i do niego podobnych; coraz rzadziej ich utwory pojawiały się w radiu.

Zawsze jednak można było liczyć na publiczność podczas występów estradowych – stałą rzeszę wiernych fanów, którzy starzeli się wraz z Corneliusem. Ale runął mur berliński i Niemcy się zjednoczyły. Protesty stały się zbędne, a pieśni polityczne przestały mieć sens.

Teraz Cornelius występował w piwnicach i salach miejskich dla widowni liczącej około pięćdziesięciu osób. Inni wykonawcy jego pokolenia po prostu przestali koncertować i sprzedawali swoje stare utwory przez internet.

Ale Cornelius potrzebował publiczności. Nieważne jak małej.

Zawsze dawał z siebie wszystko na koncertach, nawet kiedy fani zastępowali pustki na sali nadmiernym entuzjazmem. Lubił patrzeć na tę grupkę łysiejących lub siwiejących głów, zażywnych lub wymizerowanych twarzy ludzi, dla których swoją muzyką ożywiał dawno wyblakłe wspomnienia młodości.

Tego wieczoru publiczność nie była inna. Cornelius śmiał się, zartował, śpiewał, grał te same nuty na tej samej od czterdziestu lat gitarze. Dzisiaj występował w podziemiach starego browaru, położonego pomiędzy dwoma kanałami przecinającymi Hamburg. Publiczność siedziała na ławach przy długich, niskich stołach, piła piwo i uśmiechała się idiotycznie, kiedy śpiewał. Cornelius nie miał już sił poderwać słuchaczy.

Zauważył jedną młodszą twarz. Był to mężczyzna po trzydziestce; stał przy barze. Miał jasną cerę i ciemne włosy. Cornelius nie był pewien, ale wydawało mu się, że już gdzieś tego człowieka widział.

Cornelius zawsze kończył swój występ tym samym numerem. To była jego najśłynniejsza pieśń. Reinhard Mey miał *Über den Wolken*, a Cornelius Tamm swój *Ewigkeit. Wieczność*. Dopiero teraz publiczność zerwała się na nogi i zaczęła śpiewać słowa mówiące, że przedstawiciele ich pokolenia są wieczni. Że zatriumfują. Tyle że nie byli wieczni i nie zatriumfują. Wszyscy oni stali się banalni, mierni. Cornelius też.

Po zakończeniu występu Cornelius rozpoczął swoją rutynową i upokarzającą działalność – usiadł za stołem pełnym płyt CD na sprzedaż, choć trzeba przyznać, że robił to z dobrze wystudiowanym entuzjazmem. Zwykle udawało się sprzedać ledwie garść płyt. Nic dziwnego, skoro głosił swoje słowo już nawróconym, którzy zwykle mieli wszystkie jego nagrania. Jego rynek był, jak mawiają kapitaliści, nasycony.

Mimo to uśmiechał się i grzecznie rozmawiał ze wszystkimi, którzy zostali po występie. Rozmawiał z obcymi, jakby byli starymi, dobrymi znajomymi, tylko dlatego, że łączył ich ten sam wiek. Tyle że gdzieś w głębi jego dusza jęczała rozpaczliwie. Był kiedyś głosem swojego pokolenia. Wyrażał głośno tamten wyjątkowy moment w historii. Przemawiał do i dla milionów ludzi wściekłych z powodu grzechów ich ojców,

grzechów tamtych czasów. A teraz sprzedawał płyty CD z walizki w hamburskim *Bierkeller*.

Dochodziła druga nad ranem, kiedy podjechał swoim vanem pod tylne wyjście i zapakował do niego wzmacniacz i całą resztę wyposażenia. Dźwigając sprzęt, czuł ciężar swoich sześćdziesięciu dwóch lat. W czasie jego koncertu padał deszcz i teraz kałuże na podwórzu starego browaru lśniły w blasku księżyca. Jeden z pracowników baru pomógł mu zanieść wzmacniacz, powiedział „dobranoc” i zamknął drzwi, pozostawiając Corneliusa samego. Cornelius spojrział w górę na księżyc i wytrawione srebrzystą poświatą brzegi dachów. Gdzieś w oddali, na Ost-West Strasse wyla syrena przejeżdżającej karetki. Cornelius pomyślał o Julii, ciepłej, świeżej i młodej, leżącej w ich łóżku. O tym, jak bardzo do niej nie pasował. Jak nie pasował już do nikogo ani niczego. Cornelius Tamm patrzył na księżyc z pustego podwórza starego browaru i czuł się straszliwie samotny. Westchnął i zatrzasnął drzwi furgonetki. Podskoczył nagle zaskoczony obecnością młodego mężczyzny o bladej twarzy i ciemnych włosach.

– Witaj, Corneliusie – odezwał się nieznajomy. Jego ramię zakreśliło łuk i Cornelius dostrzegł cień czegoś długiego i ciężkiego. To coś uderzyło go w policzek; dał się słyszeć trzask, a w głowie Corneliusa eksplodował nagle ból. Upadł na ziemię tak szybko, że jego mózg nie zdążył tego zarejestrować. Na zranionym policzku czuł oślizgłą, wygladzoną powierzchnię kostki brukowej i zdał sobie sprawę, że kamień jest mokry nie od deszczu, a od krwi.

– Przykro mi z powodu twojej twarzy... – napastnik pochylał się teraz nad nim – ...ale nie mogłem cię uderzyć w głowę. – Cornelius poczuł na szyi ukłucie igły i światło księżyca nagle zgasło. – To uszkodziłoby twój skalp...

11.00, HafenCity, Hamburg

Od razu uderzyło Fabla, że widać stąd miejsce, gdzie znaleziono zmumifikowane ciało. Przyszedł mu na myśl

koszmar, jaki przyśnił mu się u Grübera. Procesja mumii, burza ogniowa. Może dziedziczenie wspomnień nie ma nic wspólnego z genetyką.

Bez wątpienia mieszkanie było najlepsze, jakie do tej pory oglądał. Ale mimo to nie wzbudzało nadmiernego entuzjazmu. Agentka nieruchomości Frau Haarmeyer była wysoką kobietą w średnim wieku z misterną fryzurą ufarbowaną na blady, piaskowy blond, typowy dla kobiet z północnej części Niemiec, wywodzących się z klasy średniej i pragnących ukryć pierwsze pasemka siwizny. W trakcie prezentacji Frau Haarmeyer udało się wyrazić jasno, choć bez słów, dwa uczucia: pierwsze, że jej zdaniem to mieszkanie jest znacznie powyżej oczekiwań Fabla i Susanne, i drugie, że ten rodzaj pracy, jaką wykonuje, jest znacznie poniżej jej oczekiwań. I choć wyrażała się z entuzjazmem o apartamencie i okolicy, to jej ton sugerował, że tylko udaje.

Susanne była bez wątpienia pod wrażeniem mieszkania i podążała za agentką, słuchając uważnie jej słów i przekrzywiając w charakterystyczny sposób głowę, co sugerowało maksymalne skupienie. Nic dziwnego zatem, że Frau Haarmeyer skupiła na niej swoją uwagę, niemal zupełnie ignorując Fabla. Tylko w chwilach, kiedy zabląkał się w tym czy innym kącie, żeby sprawdzić jakiś szczegół, Frau Haarmeyer obracała głowę i marszczyła z niezadowolaniem brew.

W pewnej chwili dostrzegł taką samą zmarszczkę zniecierpliwienia na czole Susanne. Zrozumiał, że powinien okazać większe zainteresowanie mieszkaniem. W końcu to był jego pomysł, żeby zamieszkali razem. Susanne była temu początkowo niechętna, ale wtedy jego entuzjazm zwyciężył. Tymczasem żadne z mieszkań, które oglądali, nie miało takiego widoku z okna jak jego lokum w Poseldorfie. Z drugiej strony czuł, że po tak brutalnym naruszeniu jego prywatności przez mordercę widok z tamtego okna nie będzie już nigdy taki sam. Przypomniał sobie, co czuł, kiedy rozpadło się jego małżeństwo – został zmuszony do rozpoczęcia nowego życia, podczas gdy chciał tylko powrotu dotychczasowego. Chciał cofnąć czas i naprawić to, co się rozsypało.

Susanne jakby nie rozumiała jego niechęci; robiła nawet aluzje, że to przejaw strachu przed zmianą i niezdolność do wyłamania się z rutyny. Ale było w tym coś więcej. Musiał dopiero to jakoś nazwać, ale czuł dziwny skurcz w żołądku za każdym razem, kiedy myślał o opuszczeniu swojego dotychczasowego lokum. Przecież miał tyle szczęścia, gdy kupował je w swoim wymarzonym miejscu. Co ważniejsze, to właśnie tam udało mu się podnieść po rozpadzie małżeństwa. Tam określił na nowo, kim jest Jan Fabel. Tam odnalazł swoje nowe życie.

Frau Haarmeyer zaprowadziła ich do kuchni. Podobnie jak w pozostałych pomieszczeniach ściany zewnętrzne były całe przeszklone. Kuchnia lśniła szkłem i stalą, a w powietrzu unosił się lekki i przyjemny zapach kawy. Fabel zastanawiał się, czy deweloperzy mają specjalny sprej, którym nadają kuchni właściwy jej aromat, czy to tylko powiew wiatru przygnał woń z palarni kawy w pobliskim Speicherstadt.

– Czyż nie jest wspaniała? – zapytała Frau Haarmeyer z entuzjazmem tak fałszywym jak kolor jej włosów.

– Robi duże wrażenie... – Susanne rzuciła Fabelowi znaczące spojrzenie.

– Doskonała – odpowiedział z takim samym przekonaniem jak agentka. Ponownie spojrział przez okno na miejsce, gdzie znaleźli zmumifikowane zwłoki. Wykopaliska archeologiczne zakończyły się już kilka tygodni temu i teraz w to miejsce wkroczyli deweloperzy. Jaskrawożółte koparki i ciągniki, małe i przypominające z wysoka skarabeusze, krążyły po terenie budowy. Kolejna faza wizji przyszłości Hamburga nakładała się na przeszłość, gdzie młodego mężczyznę udusił i upiekl piekielny żar wywołanej przez człowieka ogniowej nawałnicy.

Fabel poczuł niepokój z powodu nieskończonej roboty. Obiecał sobie przecież, że odnajdzie rodzinę zmumifikowanego mężczyzny, a do tej pory tego nie zrobił.

Kiedy agentka nieruchomości wyjaśniała, że będą mieli z okien widok na Kaispeicher A z cudowną nową operą i salą koncertową i będzie to jedna z najbardziej pożądanых lokalizacji w Hamburgu, Fabel nie odrywał oczu od placu

budowy. Ciekaw był, jak Frau Haarmeyer wykorzystałaby słowa *memento mori* do sprzedaży nieruchomości.

Na zewnątrz panował chłód, choć świeciło słońce, a niebo było jedwabiące błękitne.

– Naprawdę mi się tu podoba – odezwała się Susanne, kiedy wracali do samochodu. Spod jej miękkiego bawarskiego akcentu wylaniała się jakaś ostrzejsza nuta. – A ty nie odzywałeś się za dużo.

Fabel wyjaśnił jej, co widać z okien.

– Aż tak bardzo się tym przejmujesz? – zapytała Susanne, a jej ton sugerował, że nie powinien. – To chyba lepsze niż wspomnienie o... no, wiesz...

– Inna sprawa... – Fabel szukał mniej subiektywnego powodu do odrzucenia tej oferty – ...że to mieszkanie wydaje się takie... sam nie wiem, zimne. Bezduszne. To tak jakby zamieszkać w biurówcu.

Susanne westchnęła.

– Cóż, mnie się podobało.

– Przepraszam, Susanne. Problem w tym, że z powodu tego śledztwa nie potrafię się skupić na przeprowadzce.

– Posłuchaj, Janie. Ta historia to jeden z głównych powodów, dla których powinniśmy się wynieść z twojego mieszkania. A na ten apartament nas stać. To będzie początek nowego życia. Naszego wspólnego.

– Przemyślę to. – Uśmiechnął się. – Obiecuję.

11.00

Cornelius Tamm odzyskiwał świadomość etapami.

Pierwszym odczuciem był ból: silny, promieniujący w policzku i tętniący we wnętrzu czaszki. Następnie pojawiły się dźwięki: niewyraźne, dochodzące jakby z daleka. Metaliczny terkot i szum poruszanego mechanicznie powietrza. Wreszcie zdał sobie sprawę, że nie może się swobodnie poruszać, ale

ponieważ narkotyk, jaki zaaplikował mu napastnik, zaburzał poczucie integralności ciała, w pierwszej chwili nie wiedział, dlaczego ma ograniczone ruchy. Kiedy nareszcie odzyskał panowanie nad ciałem, zorientował się, że jest przywiązany do krzesła, z rękami spętanymi z tyłu, a w ustach ma knebel umocowany taśmą klejącą. Gdy wróciła mu pełna świadomość, uniósł powieki i powoli skupił wzrok na nowym otoczeniu.

Od razu przyszło mu do głowy, że siedzi w jakiejś jaskini ze lśniącymi szarymi ścianami. Po chwili uświadomił sobie, że jest otoczony zasłoną z grubego, nieprzejrzystego plastiku. Krzesło, do którego był przywiązany, stało na płachcie czarnej folii poliuretanowej. Poczul, jak żołądek podjeżdża mu do gardła; nie było wątpliwości, że folia miała zapobiec zabrudzeniu. A co innego mogłoby brudzić jak nie jego krew i flaki? Szarpnął się gwałtownie w więzach. Efektem była tylko kolejna fala bólu i strumień krwi z nosa. Krzesło, do którego był przywiązany, musiało mieć solidną konstrukcję, bo ledwie się poruszyło.

Cornelius miał wrażenie, że został uwięziony w jakiejś piwnicy. Ten, kto go tu przywłókł, przygotował starannie pomieszczenie – nawet sufit był osłonięty płachtą plastiku przymocowanego czarną taśmą. Zwisiała z niego pojedyncza goła żarówka, wokół której dostrzec można było szary tynk. Sufit był niski, zbyt niski jak na pomieszczenie służące do zamieszkania czy pracy, poza tym wciąż dobiegał skądś metaliczny warkot, przypominający pracę systemu wentylacyjnego w fabryce.

Zasłona z grubego plastiku rozchyliła się i w ciasnej przestrzeni pojawiła się jakaś postać. Cornelius rozpoznał młodego mężczyznę, który siedział przy barze podczas jego występów. Tego samego, który czekał na niego z żelaznym prętem na podwórzu na tyłach pubu. Teraz miał na sobie jasnoniebieski kombinezon i tego samego koloru plastikowe ochraniacze na buty. Jego czarne włosy skrywał plastikowy czepek kąpielowy, a nos i usta – maska chirurgiczna, która trochę zniekształcała mowę.

– Cześć, Corneliusie. Już ze dwadzieścia lat minęło od czasu, gdy cię ostatnio widziałem. Wygląd masz, nie obraż się, do

dupy. Nigdy nie potrafiłem pojąć, dlaczego mężczyźni w twoim wieku wiążą włosy w kucyk. Świat poszedł do przodu, od kiedy byłeś studentem. Dlaczego nie poszedłeś wraz z nim? – Pochylił się nisko, z twarzą oddaloną zaledwie o kilka centymetrów od twarzy Corneliusa. – Poznajesz mnie? Tak... to ja. Franz. Wróciłem.

Cornelius poczuł, że za chwilę oszaleje, tak jak szalony był jego prześladowca. Przez kilka sekund szukał podobieństwa pomiędzy mężczyzną a osobą, za którą się podawał. Ale to przecież niemożliwe. Franz nie żył od dwudziestu lat, a podobieństwo było tylko powierzchowne. Niemniej to wystarczyło, żeby w czasie koncertu Cornelius poczuł, że go skądś zna.

– Jesteś nikiem, Corneliusie. Nikogo już nie obchodzą twoje głupie piosenki. Udało ci się też rozwalić swoje małżeństwo. Jesteś kompletnym nieudacznikiem – zawiodłeś jako ojciec, jako mąż, jako muzyk. Zdradziłeś mnie po to, żeby odwrócić się plecami do dotychczasowego życia i rozpocząć nowe, tak? Zdradzając mnie, kupiłeś sobie czas i nowe życie.

Cornelius patrzył na prześladowcę szeroko otwartymi z przerażenia oczami, zdumiony ogromem jego szaleństwa. Ten człowiek najwyraźniej wierzył, że jest tym, za kogo się podawał. Potem, mimo strachu i bólu, Cornelius uświadomił sobie, że jednak widział tego mężczyznę wcześniej.

– Günter przynajmniej próbował coś zrobić ze swoim życiem. Wykorzystał czas, jaki zyskał dzięki swojej zdradzie, na zrobienie czegoś pozytywnego. Ale ty, Corneliusie... Ty wydałeś mnie na darmo... zmarnowałeś swoją przyszłość, próbując odtwarzać przeszłość. Zdradziłeś mnie. Ty i wszyscy pozostali.

Młody mężczyzna przykucnął i rozwinął na wyłożonej plastikiem podłodze sztruksowe zawiniątko. Wyjął trzy noże z błyszczącej stali, z których każdy miał nieco inny kształt i rozmiar.

– Pozostali bali się umierania. Kończyli życie w strachu i bólu. Ale oni nie byli dla mnie kimś wyjątkowym. Co innego ty. Ty byłeś dla mnie więcej niż towarzyszem. Nazywałem cię swoim przyjacielem. I twoja zdrada była najgorsza.

Wiem, kim jesteś! – przemknęło Corneliusowi przez myśl i już chciał to powiedzieć, ale powstrzymał go knebel w ustach.

– Jesteśmy wieczni – rzekł ciemnowłosy. Ale Cornelius wiedział już, że jego naturalne włosy nie były czarne. – Buddyści wierzą, że każde życie, każda świadomość jest niczym pojedynczy płomień świecy, ale pomiędzy tymi płomieniami istnieje ciągłość. Wyobraź sobie, że zapalasz jedną świecę od drugiej, a potem następną, i kolejną, i tak bez końca. Tysiące płomieni, przechodzących jeden w drugi przez pokolenia. Każdy daje inne światło, każdy pali się w inny sposób. Ale to wciąż jest ten sam ogień.

– A teraz, obawiam się, nadeszła pora, by zgasić twój płomień. Ale nie martw się, ból, który ci zadam, sprawi, że na koniec będziesz płonął jaśniej.

Przerwał i sięgnął po najmniejsze ostrze z zawiniątka.

– Zaplanowałem dla ciebie coś wyjątkowego, Corneliusie. Zamierzam poświęcić ci więcej czasu i wysiłku niż wszystkim pozostałym łącznie. Aztekowie też wierzyli w reinkarnację. Nie wiem, czy byłeś tego świadomy. Pojawianie się co roku nowych plonów traktowali jak odnowienie duszy. Odwieczny cykl. – Cornelius widział w oczach młodego człowieka pałające szaleństwo. – Każdej wiosny składali ofiary, ofiary z ludzi, bogom płodności. Widzieli, jak węże zrzucają skórę, jak rośliny gubią kwiaty i starali się odzwierciedlić to w swoich rytuałach. Widzisz, składali ofiarę z człowieka i obdzierali go ze skóry. Twoja śmierć mi nie wystarczy. Ważny jest dla mnie twój ból. Zamierzam zadać ci ból, Corneliusie. Okropny ból...

**DWADZIEŚCIA PIĘĆ DNI PO PIERWSZYM
MORDERSTWIE, PONIEDZIAŁEK 12 WRZEŚNIA
2005**

15.00, komenda policji, Hamburg

Fabel spędził większą część dnia, segregując i analizując informacje zebrane przez jego zespół, rozsyłając je, kierując śledztwo na nowe tory i przesuwał siły i środki.

Anna Wolff wybrała się ze zdjęciem Paula Scheibego do klubu Firehouse, gdzie czarnoskóry barman potwierdził, że Scheibe może być tym starszym mężczyzną, z którym spotykał się Hauser. Nie był jednak w stu procentach pewien. Fabel siedział sam w swoim gabinecie, kiedy do drzwi zapukał Markus Ullrich z BKA. Tym razem nie miał przyklejonego do warg służbowego uśmiechu.

– Herr Fabel... chciałbym zamienić kilka słów z panem i z Frau Klee... prywatnie...

– **Jadę** do Kolonii – stwierdziła Maria, kiedy Ullrich skończył. – To nie był przypadek.

– Akurat! – rzucił Fabel. W sali konferencyjnej prócz niego byli tylko Maria i Ullrich. – Śledztwo prowadzi tamtejsza policja. I może umknęło to twojej uwadze, ale my prowadzimy tu własne śledztwo.

– Policja z Kolonii nie wie, kim jest Witrenko. – Maria miała poważny wyraz twarzy. – Im się pewnie wydaje, że to był zwykły, cholerny zbieg okoliczności.

Ullrich zaprotestował, unosząc dłonie.

– Oni nie są głupcami, pani nadkomisarz. Powiedziałem tylko, że dowody wskazują na wypadek. Wypadek na

autostradzie. Proszę mi wierzyć, poinformowałem kolońską policję o tym, jakie znaczenie ma śmierć Herr Turczenki. I, jak mówiłem, tamtejsza policja już prowadzi śledztwo przeciwko Witrence.

Fabel przypomniał sobie, jak zaledwie dwa tygodnie wcześniej siedział z Turczenką w kantine i rozmawiał o odrodzeniu Ukrainy. A teraz Turczenko był martwy, a jego ochroniarz z GSG9 leżał w śpiączce w szpitalu w Kolonii.

– Okej – powiedziała Maria. – Dotrwam do końca śledztwa, które teraz prowadzimy. Ale kiedy tylko dopadniemy tego bydlaka, zamierzam pojechać do Kolonii i zająć się śmiercią Turczenki.

– Z całym szacunkiem – odezwał się Ullrich – ale pani „zaangażowanie” w nasze śledztwo zakończyło się już zniknięciem jednego ze świadków. Dlatego radziłbym się trzymać od tej sprawy z daleka.

Maria zignorowała jego uwagę.

– Jak już mówiłam, szefie, zamierzam pojechać do Kolonii, jak tylko zakończymy nasze śledztwo. Mam niewykorzystany urlop i zamierzam go wziąć. Jeśli zabroni mi pan wyjazdu, złożę rezygnację i pojedę tam tak czy inaczej.

Fabel westchnął.

– Porozmawiamy o tym później, Mario. Na razie chcę, żebyś całkowicie skoncentrowała się na bieżącym śledztwie.

Maria szorstko skinęła głową.

– A tymczasem – powiedział Fabel – muszę zobaczyć się z kimś w zupełnie innej sprawie.

18.00, dzielnica Schanzenviertel, Hamburg

Beate uchyliła drzwi, nie zdejmując łańcucha. Wcześniej spojrzała przez wizjer, ale mimo to chciała się upewnić, kto przyszedł do niej wieczorem bez uprzedzenia. Zarówno łańcuch, jak wizjer były całkiem nowymi środkami bezpieczeństwa, które zainstalowała, dowiedziawszy się o śmierci Hausera i Griebla. Może nawet nie zareagowałyby na

dzwonek do drzwi, gdyby nie przeczytała o kolejnym morderstwie, które popełniono wczoraj; czwarta ofiara nie miała absolutnie nic wspólnego z ich grupą. Może był to więc tylko zbieg okoliczności.

– Przepraszam – usprawiedliwił się młody, ciemnowłosy mężczyzna. – Nie chciałem przeszkadzać. Chodzi o to, że musiałem się z panią zobaczyć. Nie wiem, jak opisać to, co się ze mną dzieje... Wydaje mi się, że rodzę się na nowo... no, wie pani, tak jak to pani opisywała... Mam te wszystkie sny...

– Jest późno. Proszę zadzwonić do mnie jutro, umówimy się na wizytę.

– Proszę – odezwał się błagalnie mężczyzna. – Myślę, że nasza ostatnia sesja musiała podziałać stymulująco. Zbliżam się do przełomowego momentu i zaczynam odchodzić od zmysłów. Naprawdę potrzebuję pani pomocy. Zapłacę za wizytę poza wyznaczonymi godzinami...

Beate obrzuciła uważnym spojrzeniem młodego mężczyznę i westchnęła. Przymknęła drzwi, zdjęła łańcuch i wpuściła go do środka.

– Dziękuję i przepraszam za to najście. I przepraszam za to...

– Wskazał dużą torbę podręczną, którą trzymał w prawej ręce.

– Szedłem właśnie na siłownię...

19.30, dzielnica Hammerbrook, Hamburg

Heinz Dorfmann miał szczupłą i wysportowaną sylwetkę, ale po bliższym przyjrzeniu się Fabel stwierdził, że siedemdziesiąt dziewięć lat życia odcisnęło na nim swoje piętno. Widział wcześniej jego zdjęcie z Karlem Heymannem – dwóch młodzieńców uśmiechających się z czarno-białej przeszłości. Tyle że Fabel widział kilka tygodni wcześniej zwłoki Heymanna – ciało szesnastoletniego chłopca, twarz zasuszoną w wiecznej młodości. Herr Dorfmann przeprosił na chwilę i przeszedł do małej kuchni.

– Moja żona umarła siedem lat temu – powiedział, jakby tłumaczył się, dlaczego musi sam zaparzyć kawę.

– Współczuję, Herr Dorfmann – powiedział Fabel. Starszy pan nalał kawę i obaj przeszli do pokoju. Pokój był czysty i schludny, choć początkowo nadkomisarzowi zdawało się, że nie odnawiano go od lat siedemdziesiątych lub wczesnych osiemdziesiątych. Dopiero później zorientował się, że wciąż był odnawiany w takim samym stylu, w tonacji beżu i złamanej bieli. Fabla zawsze fascynowało to, do jakiego stopnia starsi ludzie przywiązywali się do pewnego okresu w swoim życiu – jakby to on definiował, kim są, albo oznaczał chwilę, w której przestali zauważać zmiany zachodzące w otaczającym ich świecie. Półki były tu pełne materiałów o Hamburgu – planów miasta, albumów fotograficznych, książek historycznych, wydawnictw encyklopedycznych, a także angielskich słowników i encyklopedii z różnych krajów. Na jednej z półek spoczywała tarcza herbowa z drewna tekowego z tłoczoną w miedzi plakietką przedstawiającą fortecę Hammaburg, będącą oficjalnym herbem miasta.

– Czy pan przypadkiem nie był przewodnikiem, Herr Dorfmann?

– Przez dwadzieścia lat pracowałem jako nauczyciel angielskiego. Potem zostałem przewodnikiem. Początkowo zatrudniało mnie miasto, a później pracowałem na własną rękę. Ponieważ dobrze mówię po angielsku, zwykle opiekowałem się grupami turystów z Kanady, Ameryki i Wielkiej Brytanii. Organizowałem też wycieczki objazdowe po całych Niemczech. Dla mnie to nie była praca. Kocham swoje miasto i cieszyło mnie, kiedy pomagałem odkrywać je innym. Ponad dziesięć lat temu przeszedłem na emeryturę, ale wciąż pracuję na pół etatu w ratuszu... oprowadzam turystów. Chciał mnie pan zapytać o Karla Heymanna? – Dorfmann nalał kawy.

– Od bardzo, bardzo dawna nie słyszałem tego nazwiska.

– Dobrze pan go znał? – Fabel pokazał mu fotografię dwóch nastoletnich chłopców, uśmiechających się niepewnie do aparatu.

– Mój Boże. – Dorfmann uśmiechnął się. – Jak pan to zdobył? Zdjęcie zrobiła siostra Karla. Pamiętam, jakby to było wczoraj, jak pozowaliśmy do tej fotografii. Był piękny,

słoneczny dzień. Lato czterdziestego trzeciego. Jedno z najcieplejszych, jakie pamiętam. – Podniósł wzrok. – Tak, znałem Karla Heymanna. Był moim przyjacielem. Mieszkaliśmy po sąsiedzku i chodziliśmy do tej samej klasy. Karl był bystrym chłopakiem. Często myślał za dużo, tam gdzie to było niepotrzebne. Znałem też jego siostrę Margot. Była kilka lat starsza od Karla i zawsze gdakała nad nim jak kwoka. Piękna dziewczyna, kochali się w niej wszyscy chłopcy. Miała zupełnego bzika na punkcie Karla... Kiedy zniknął, uparcie powtarzała, że na pewno uciekł z Niemiec. Że zamustrował się na frachtowcu, unikając w ten sposób poboru do wojska. Spotkałem ją po wojnie i wtedy powiedziała mi, że Karl jest w Ameryce i dobrze mu się tam wiedzie. Twierdziła, że planował wyjazd jeszcze przed wojną.

– Uwierzył jej pan?

Dorfmann wzruszył ramionami.

– Tak mi powiedziała. Chciałem w to wierzyć. Ale wszyscy wiedzieliśmy, że Karl zaginał po nocnym nalocie. Podobnie jak wielu innych. Właśnie tamtej nocy widziałem go po raz ostatni. To była noc umarłych, Herr Fabel, a nie żywych. Zawsze podejrzewałem, że Karl był jednym z zabitych. Kolejne nazwisko na kartce przypiętej do ściany. Tych kartek były tysiące. Niezliczona ilość karteczek z nazwiskami, czasem z fotografią, pytaniem, czy ktoś ich widział. Wisiały na ruinach domów i informowały, gdzie można odnaleźć rodzinę zaginionego. Pamięta pan, że to samo robiono po ataku na wieże w Nowym Jorku? Pamięta pan ściany pokryte kartkami i zdjęciami? W Hamburgu było tak samo, tylko karteczek było dziesięć razy więcej.

– Mówi pan, że widział tamtej nocy Karla? W nocy dwudziestego siódmego lipca?

– Mieszkaliśmy przy tej samej ulicy. To tam, za rogiem. Byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Nie serdecznymi, ale bliskimi. Karl był cichy. Wrażliwy. Wybieraliśmy się na drugi brzeg Alster, mieliśmy pojechać do miasta tramwajem. Ale nie pojechaliśmy.

– Dlaczego?

– Wsiadaliśmy już do tramwaju, kiedy nagle Karl złapał mnie za rękaw. Powiedział, że powinien trzymać się blisko domu. Zapytałem go dlaczego, ale nie podał żadnego powodu. To pewnie było przecucie. W każdym razie nie pojechaliśmy. Wróciliśmy do domu i wzięliśmy rowery. On miał rację. Tamtej nocy należało trzymać się blisko domu.

– Był pan z Karlem, kiedy zaczęło się bombardowanie?

Heinz Dorfmann uśmiechnął się smutno i niepewnie i wtedy po raz pierwszy Fabel dostrzegł w nim ducha z młodości.

– Jak już mówiłem, to było cudowne lato. Pamiętam, jaki byłem opalony. – Uniósł głowę, wystawiając twarz na promienie dawno zgasłego słońca. – Było tak jasno i ciepło. I tak sucho. Brytyjczycy o tym wiedzieli. Wiedzieli i to wykorzystali. Wiedzieli, że podkładają ogień pod beczkę prochu. Przyzwyczajaliśmy się do nalotów. Brytyjczycy bombardowali Bremę i Hamburg przez cały czterdziesty pierwszy, ale nie byli w stanie przeprowadzić żadnej zmasowanej akcji. Samoloty musiały po minucie czy dwóch zawracać. Co więcej, Hamburg był dobrze przygotowany. Zachęcano mieszkańców do przekształcania piwnic w schrony przeciwlotnicze. Poza tym w mieście znajdowały się duże schrony publiczne. Każdy z nich mógł bez trudu pomieścić cztery tysiące ludzi. Schrony były zbudowane z dwumetrowej grubości betonu i chyba żadne miasto w Europie nie miało takiej ochrony. Zabezpieczały nas przed wybuchami, ale nie przed żarem. Od tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego brytyjskie bombowce zabierały więcej bomb i pozostawały dłużej nad miastem. Coraz więcej czasu spędzaliśmy w schronach. I wtedy, pod koniec lipca czterdziestego trzeciego, Brytyjczycy uderzyli z całych sił. Dwie noce wcześniej zbombardowali centrum miasta... to wtedy trafili w Nikolaikirche i zoo. Kolejnej nocy przeprowadzili niewielki nalot, chyba tylko po to, żeby zdenerwować mieszkańców. Ale dwudziestego siódmego wieczorem i rano dwudziestego ósmego zamienili Hamburg w piekło. Ich intencje jasno wyrażała nazwa całej operacji, nie mogli się potem tłumaczyć, że to był przypadek. Nazwali to operacją Gomora. Chyba pan

wie, co stało się z biblijną Gomorą?

Fabel skinął głową.

– Zbliżała się północ. Nie wiadomo, dlaczego syreny nie wyły tak mocno jak zwykle. W naszym domu nie było piwnicy, więc wszyscy wylegliśmy na ulicę. Była piękna, ciepła noc, kiedy nagle niebo rozświetliło się jak choinka; tak właśnie, wszyscy nazywali to zjawisko „choinką”. Piękny widok, czerwone i zielone rozbłyski, nad nimi wielkie obłoki dymu, i wszystko to zaczęło spadać na miasto. Zatrzymałem się, żeby lepiej się przyjrzeć. To były oczywiście flary sygnalizujące miejsce zrzutu bomb przez kolejną falę bombowców. Słyszałem, jak się zbliżają. Nie wyobraża pan sobie, co to za dźwięk. Jeden ogłuszający ryk silników prawie ośmiuset samolotów. To niesamowite, jakie przerażenie może wywołać taki dźwięk. I wtedy usłyszeliśmy też inny dźwięk. Jeszcze bardziej przerażający. Jak grzmot burzy, ale tysiącokrotnie silniejszy. Przetoczył się przez miasto. Ludzie wpadli w panikę. Zaczęli biec. Krzyżeć. Cały świat wokół oszalał, a ja straciłem rodzinę z oczu. I Karła. Nie mogłem go nigdzie dostrzec. I nagle pojawił się obok mnie nie wiadomo skąd i chwycił mnie za ramię. Był oszalały z niepokoju – on też zgubił swoją rodzinę. Postanowiliśmy skierować się do głównego schronu publicznego, mając nadzieję, że nasze rodziny zrobią to samo. Dotarliśmy do schronu, ale jego pancerne drzwi były zamknięte. Walilem w nie pięściami, póki nie wpuścił nas do środka starszy mężczyzna w hełmie Luftschutz. Nie znaleźliśmy naszych rodzin, więc poprosiliśmy o wypuszczenie nas na zewnątrz, ale strażnicy nie otworzyli pancernych drzwi. Pamiętam, jak pomyślałem wtedy, że to nieważne, że i tak wszyscy zginiemy. Nigdy wcześniej nie słyszałem wybuchu tyłu bomb. Brzmiało to tak, jakby jakiś olbrzym rozgniatł miasto. Potem hałas się zmniejszył. Następna fala nie była już tak głośna. Wybuchy były cichsze, jakby zrzucali o wiele lżejsze bomby. To, oczywiście, nie była prawda. Dranie, zrzucali na nas fosfor. Wszystko mieli zaplanowane, pierwsze eksplozje miały zburzyć budynki, a potem bomby fosforowe – wzniecić pożar. Siedziałem tam i myślałem o matce i dwóch siostrach,

które zostały gdzieś na zewnątrz. Mogłem mieć tylko nadzieję, że znalazły jakieś schronienie. Z Karlem działo się to samo, tyle że on wpadał w histerię. Chciał wyjść i odszukać siostrę i matkę. Początkowo wszyscy w schronie zachowywali się spokojnie, ale wkrótce mieliśmy nerwy tak samo zszargane, jak zrujnowane były domy na powierzchni. Zaczęło się robić gorąco. To był żar, którego nie potrafię opisać. Schron zaczął zamieniać się w piekarnik. Jak każdy schron, także ten był szczelny, a powietrze tłoczyły do środka pompy. Używaliśmy ręcznych miechów, ale szybko z nich zrezygnowaliśmy, bo pomieszczenie zaczęło wypełniać się dymem i rozpalonym, gorącym powietrzem. W końcu zaczęliśmy się dusić. Nie wiedzieliśmy tylko, że to samo dzieje się we wszystkich piwnicach i schronach w Hamburgu. To była burza ogniowa. Bestia pożerająca tlen z powietrza. W całym mieście najpierw dzieci i starcy, potem pozostali dusili się lub piekli w pozbawionych powietrza schronach. Część z nas nalegała na otwarcie drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz, ale pozostali się temu sprzeciwiali. W końcu, kiedy odgłosy nalotu ucichły, wszyscy byliśmy tak złąknieni powietrza, że postanowiliśmy zaryzykować. Nie potrafię opisać tego, co zobaczyłem, Herr Fabel. Kiedy otworzyliśmy te drzwi, było tak, jakbyśmy rozwarli wrota piekieł. Pierwsze, co zobaczyłem, to powietrze wysysane ze schronu, ciągnące z sobą ludzi. Wszystko wokół płonęło. Ale nie tak, jak wyobrażamy sobie płonący budynek. To bardziej przypominało wielki piec. Brytyjczycy wymyślili sobie, że najpierw burzą budynki, a potem zrzucając fosfor, stworzą prąd wstępujący, który podniesie temperaturę na tyle, by wywołać samozapłon nietrafionych bezpośrednio przez bomby budynków i ludzi. W niektórych częściach miasta temperatura sięgała tysiąca stopni. Ślaniając się na nogach, wydostałem się z bunkra i zacząłem dyszeć, i z trudem chwytać powietrze, jakbym biegł. Brakowało powietrza. Nie mogłem uwierzyć w to, co widziałem. Ludzie płonęli jak pochodnie. Było tam dziecko... Nie wiem, czy to był chłopiec, czy dziewczynka, tak na oko miało osiem, może dziewięć lat. Leżało twarzą do ziemi na wprost

wtopione w asfalt. I wtedy zobaczyłem tamtą postać idącą ulicą. To była najbardziej przerażająca, ale i fascynująca rzecz, jaką kiedykolwiek przyszło mi oglądać. Kobieta niosła coś, mocno przyciskając do piersi. Myślę, że to było dziecko. Szła prosto ulicą. Nie chwiała się, nie biegła. Ale i ona, i jej dziecko... żarzyli się. Płonęli żywym ogniem. Zupełnie jakbym patrzył na ognistego anioła. Pamiętam, pomyślałem wtedy, że nieważne, czy jestem żywy, czy martwy. Że nic gorszego od czegoś takiego nie można zobaczyć. I wtedy kobieta zniknęła. Jak pan wie, burza ogniowa wytwarzała potężny ciąg. Wiatr o prędkości dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę porywał ludzi i zasysał ich w płomienie. Kobieta wraz z dzieckiem została uniesiona i wessana do płonącego budynku, zupełnie jakby ogień wyciągnął swoją rękę po smaczny kąsek.

Fabel przyglądał się staruszkowi. Jego głos brzmiał pewnie i spokojnie, ale oczy miał mokre od łez.

– Pamiętam, jak przeklinałem Boga za to, że dał mi życie. Za to, że pozwolił mi się urodzić w tym właśnie czasie i w tym miejscu. Myślałem, że to już koniec wszystkiego. Nietrudno było sobie wyobrazić, że ta wojna będzie końcem świata. I wtedy zauważyłem, że Karla nie ma obok mnie. Rozglądałem się za nim, ale było tak, jakbym szukał pojedynczej duszy w bezbrzeżnym chaosie przerażającego piekła. Pamiętam, jak instynkt podpowiedział mi, żeby szukać wody. Przyszło mi do głowy, że jeśli dotrę do Alsteru albo Łaby – a Alster był bliżej – zwiększę swoje szanse na przeżycie.

Dorfmann na chwilę zatopił się w myślach.

– Ciekawe, czy Karl próbował zrobić to samo. Przez telefon powiedział mi pan, że znaleźliście go na brzegu. Może chciał dotrzeć do Łaby. Kiedy ja znalazłem się na brzegu Alsteru, było tam już pełno ludzi. Martwych lub umierających. Żywych pochodni. Rzucali się do wody, próbując ugasić płomienie, ale ponieważ byli spryskani fosforem, płonęli, unosząc się na wodzie.

Fabel położył na stoliku do kawy nazistowski dokument tożsamości i zdjęcie zmumifikowanych zwłok. Heinz Dorfmann

założył okulary.

– To Karl... – Zmarszczył czoło, wpatrując się w zdjęcie. – Więc tak teraz wygląda? – Pokręcił ze zdumieniem głową. – To niesamowite. Jest taki chudy... wysuszony. Ale poznałem go od razu.

– Czy wie pan, co się stało z jego siostrą Margot? Może wie pan, gdzie mieszka, jeśli oczywiście jeszcze żyje. Próbuję odnaleźć jakichś krewnych.

– Obawiam się, że nie. Po wojnie wyszła za mąż za jakiegoś starszego mężczyznę. Nazywał się Pohle. Gerhard Pohle.

20.30, dzielnica Hammerbrook, Hamburg

Fabel wrócił do samochodu. Kiedy siedział w mieszkaniu Dorfmana, spadł deszcz, który po takim ciepłym dniu odświeżył powietrze. Idąc chodnikiem, Fabel spuścił głowę i patrząc na mokry asfalt, wspominał słowa Dorfmana o upalnej, suchej nocy, kiedy Hamburg stał się piekłem na ziemi. Nie potrafił sobie tego wyobrazić. Jego Hamburg.

Dotarł do samochodu, otworzył go pilotem i wsiadł do środka. Położył dłonie na kierownicy i przez chwilę trwał w bezruchu. Historia. Studiował ją; chciał jej uczyć. Jak na ironię, teraz, prowadząc kolejne śledztwa, czuł się przez historię stłamszony.

Włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił. Nic.

– *Shit!* – Był człowiekiem o szerokich horyzontach; jego wiedza wykraczała poza zwyczajne granice, zresztą lubił je przekraczać, by lepiej zrozumieć otaczający go świat. Ale na jednej dziedzinie nie znał się niemal wcale – na budowie samochodu. Zniecierpliwiony zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu telefonu komórkowego. Kiedy go wreszcie znalazł i chciał wybrać odpowiedni numer, ktoś go uprzedził i telefon zadzwonił.

– Halo... – Nie udało mu się ukryć irytacji.

– Witam, Herr Fabel.

Wiedział, że to głos mordercy. Tak jak poprzednim razem,

użył jakiegoś elektronicznego filtra, który zmienił jego czy jej głos. Wypowiedane niskim tonem słowa były spowolnione, zniekształcone, sztuczne. Nieludzkie.

– Tak się cieszę, że nie wyjął pan kluczyka ze stacyjki; w przeciwnym razie byśmy teraz nie rozmawiali.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – Fabel nagle poczuł suchość w ustach. Domyślał się, o co chodziło dzwoniącemu. Bomba. Pochylił się i sprawdził podłogę samochodu pod stopami. Potem zaczął szukać przewodów pod kolumną kierownicy. – Kto mówi?

– O tym porozmawiamy za chwilę, Herr Fabel. A teraz chcę pana poinformować, że podłożyłem w pańskim samochodzie przesadnie duży ładunek wybuchowy. Jeśli otworzy pan drzwi po raz drugi, bomba wybuchnie; jeśli wyjmie pan kluczyk ze stacyjki, także nastąpi wybuch; jeśli podniesie się pan z fotela... cóż, chyba już pan wie wszystko. Obawiam się, że skutkiem któregośkolwiek z powyższych działań będzie nieproporcjonalnie silna eksplozja. Spowoduje ona śmierć nie tylko pana, ale także wielu mieszkańców Hammerbrook, a także poważne uszkodzenia sąsiadujących budynków. Aha, powinienem jeszcze dodać, że mogę też w dowolnej chwili uruchomić detonator zdalnie.

– Okej – odparł Fabel. – Udało się panu mnie zainteresować. – Czuł, jak serce tłucze mu się w piersiach. Spojrzał przez przednią szybę na przyjemny letni wieczór, obmyte deszczem ulice i czerwień, jaką zachodzące słońce zalało ściany domów. Na śpieszących w swoich sprawach ludzi. Czuł się zupełnie osamotniony w swoim świecie, gdzie tylko on był świadomy tego, że śmierć i zniszczenie jest na wyciągnięcie ręki. Nagle obrazy przywołane przez Dorfmana powróciły z zupełnie nową wyrazistością. Przed maską bmw Fabla przeszła jakaś para pchająca wózek z niemowlęciem. Widać było, że idą bez żadnego celu, ot, żeby nacieszyć się letnim wieczorem. Fabel chciał opuścić szybę i krzyknąć, żeby uciekali, ale podejrzewał, że okna samochodu też były podłączone do zapalnika. Patrzył więc tylko, jak mijają jego samochód, a chwila ta wydawała mu się wiecznością.

– Jestem pewny, że zainteresowałem pana, Herr Fabel. – Elektronicznie przetworzony głos był zupełnie pozbawiony subtelności intonacji. – Oczekuję też w najbliższych godzinach zainteresowania wielu innych funkcjonariuszy policji, nie wyłączając oddziału saperów. Widzi pan, bardziej pasuje mi pozostawić pana przy życiu, bo wybawienie pana z tej trudnej sytuacji zajmie pańskim ludziom całe wieki. Na dodatek później pańska ekipa kryminalistyczna będzie mozolnie zbierała dowody. Ale z drugiej strony może pan być pewny, że jeśli tylko spróbuje zrobić coś nieodpowiedniego, nie zawaham się zdetonować ładunku.

Fabel gorączkowo myślał. Przypuszczał, że osoba dzwoniąca musiała go obserwować z bezpiecznej odległości. Przyjrzał się uważnie obu stronom ulicy, a potem sprawdził w lusterku wstecznym, co dzieje się za jego plecami. Jednocześnie starał się nie ruszać w fotelu.

– Ni z tego, ni z owego stał się pan ekspertem od materiałów wybuchowych? – W głosie Fabela słychać było wyraźną pogardę. – Mam uwierzyć, że potrafił pan w ciągu czterdziestu pięciu minut, na ruchliwej ulicy umieścić w moim samochodzie bombę? Myślałem, Winnetou, że bawisz się w ściąganie skalpów.

– Bardzo zabawne. – W słuchawce rozległ się śmiech jak z najgorszego koszmaru. – Winnetou... Proszę nie udawać, że nie rozumie pan prawidłowych odniesień kulturowych, Herr Fabel. Nie jestem czerwonoskórym bohaterem powieści Karola Maya. Doskonale pan wie, że tradycja, którą wskrzeszam, ma korzenie w starożytności i jest czysto europejska. A co do moich umiejętności konstruktora bomb, zostawiam panu wolną rękę... Wystarczy, że wysiądzie pan z samochodu. Jeśli kłamie, nic się nie stanie. A poza tym... jeśli chodzi o zapalnik... umieściłem go w pańskim samochodzie już jakiś czas temu. Tyle że teraz zdalnie go aktywowałem. I jeszcze jedno... podobał się panu ten skromny prezent, który zostawiłem w pańskim mieszkaniu?

– Ty chory bydlaku... – syknął do mikrofonu Fabel. – Dopadnę cię. Przysięgam, że cię znajdę, choćby miało to trwać

wieki.

– Coś panu powiem, Herr Fabel. Wykazuje pan sporą dozę agresji jak na faceta, który siedzi na skrzynce materiałów wybuchowych. Wystarczy, że nacisnę odpowiedni przycisk, a nie dopadnie pan już nikogo. Nigdy. Więc może pan się wreszcie zamknie i posłucha, co mam do powiedzenia?

Fabel się nie odezwał. Czuł, jak strużka potu spływa mu pomiędzy uchem a telefonem. Serce wciąż waliło mu jak młot i czuł mdłości. Wierzył w to, co mówił ten nieludzki głos, wierzył, że siedzi na bombie.

– No dobrze. Teraz możemy porozmawiać. Przede wszystkim jest pan pewnie ciekawy, dlaczego zadałem sobie tyle trudu, żeby narazić pańskie życie na niebezpieczeństwo. I po drugie, dlaczego do tej pory nie zdetonowałem bomby. To proste. Jak już mówiłem, wyciągnięcie pana z tarapatów zajmie sporo czasu. W tym czasie zdobędę kolejny skalp. Jest pan naprawdę w trudnym położeniu, Herr Fabel. Sam pan będzie musiał zdecydować, ile sił przeznaczyć na ratowanie siebie, a ile na powstrzymanie mnie przed odebraniem życia kolejnej ofierze.

– Dysponujemy większymi siłami, niż się panu wydaje – odpowiedział głucho Fabel.

– Być może, ale zapomniałem dodać, że siedzi pan na jednej z dwóch bomb. Te drugą umieściłem w miejscu, którego teraz panu nie zdradzę. Ale wydrukowałem informację z adresem i wszystkimi szczegółami.

– Gdzie ona jest?

– W tym sęk. Doczepiłem ją do ładunku wybuchowego w pańskim samochodzie. Jeśli więc nawet saperom uda się unieszkodliwić zapalnik ciśnieniowy pod pańskim fotelem i ten w drzwiach, to nie mogą przeprowadzić kontrolowanej eksplozji. Jeśli to zrobią, zniszczą jedyny ślad prowadzący do drugiej bomby. A ta druga bomba wybuchnie na pewno. Proszę mi wierzyć, Herr Fabel.

– Kiedy? Kiedy ma wybuchnąć druga bomba?

– Nie powiedziałem, że jest wyposażona w zapalnik czasowy.

– Więc teraz zgrywa pan terrorystę? O co w tym wszystkim chodzi?

– Nie jest pan głupi, Herr Fabel. Od początku chodziło o, jak pan to nazywa, terroryzm. I o zdradę. I w ten sposób przechodzimy do sedna. Chcę, żeby zrezygnował pan z prowadzenia tego śledztwa. Proszę wziąć urlop. Daję panu wymówkę. Stres po tak ciężkim doświadczeniu jak to. Jak pan widzi, dobrowolnie przekazuję panu więcej informacji w tej sprawie, niż sam zdołał pan zebrać. Ludzie, których zabijam, zasługują na śmierć. Sami są mordercami. Kiedy skończę, nigdy więcej nie będę zabijał. Nie zostało ich już zbyt wielu. Raptem dwóch. Kiedy umrą, znikną i nigdy więcej nikogo nie zabiję. Powtarzam, wszystkie moje ofiary są winne. Pan sam zastanawiałby się, czy nie oskarżyć ich o zdradę.

– Hauser? Griebel? Scheibe? Chce pan powiedzieć, że byli terrorystami?

– Słyszał pan, co powiedziałem. – Stłumiony elektronicznie głos mówił beznamiętnie. – Ale proszę dobrze zapamiętać, Herr Fabel, decyzja należy do pana. Może pan wycofać się z prowadzenia śledztwa i pozwolić mi dokończyć to, co zacząłem, albo doda pan do listy kolejne ofiary. Bardzo wyjątkowe ofiary. Nikt nie musi się dowiedzieć o tej części naszej rozmowy. Ma pan wybór – może pan się usunąć i żyć dalej, a także pozwolić żyć innym. W ostatecznym rozrachunku ludzie, których muszę zabić, nic dla pana nie znaczą. Ale inni... Inni, którzy nie zasługują na śmierć, mogą umrzeć. To zależy tylko od wyboru, jakiego pan dokona. Teraz się rozłączę. Niech pan bez zwłoki skontaktuje się ze swoimi kolegami z oddziału saperów. Ale wcześniej prześlę panu na telefon kilka zdjęć. Przy okazji... piękne włosy. Ładny, kasztanowy odcień. Prawie rude.

Połączenie się urwało. Wibracja telefonu zasygnalizowała Fablowi, że otrzymał wiadomość ze zdjęciami. Otworzył ją i poczuł gwałtowny skurecz w żołądku.

– Ty draniu... – Fabel czuł, jak napływają mu łzy do oczu.

Obejrzał zdjęcia jeszcze raz. Zdjęcia dziewczyny z długimi, kasztanowymi włosami. Zdjęcia zrobione, kiedy wracała ze szkoły do domu; kiedy bawiła się z przyjaciółmi; kiedy robiła zakupy z ojcem w sklepach na Neuer Wall.

21.15, dzielnica Hammerbrook, Hamburg

Cała ulica zamieniła się w teatralną scenę. Fabel siedział, mrużąc oczy w świetle reflektorów zamontowanych na wysokich stojakach wokół samochodu. Z najbliższej okolicy ewakuowano wszystkich mieszkańców. Fabel martwił się, co powiedziano Dorfmannowi, kiedy wyprowadzano go z domu. Oby nie to, że na ulicy jest bomba.

Pierwszą osobą, która rozmawiała z Fablem, był dowódca oddziału saperów z LKA7, który w pojedynkę podszedł do samochodu. Dowódca mówił spokojnie, ale na tyle głośno, żeby Fabel mógł go wyraźnie zrozumieć przez zamknięte okno. Poprosił, żeby przypomnieli sobie wszystko, co dzwoniący mówił na temat ładunku wybuchowego, a także wszystko, co mogłoby dać jakąś wskazówkę na temat miejsca podłożenia drugiej bomby. Fabel czuł mdłości i suchość w ustach, ale starał się skoncentrować, opowiadając o szczegółach rozmowy.

Dowódca słuchał, kiwał głową, robił notatki i cały czas przemawiał tym wyuczonym, spokojnym tonem, który sprawiał, że Fabel czuł się jeszcze bardziej zaniepokojony całą sytuacją. Wygląd dowódcy saperów też nie wpływał kojąco na Fabla; pojawił się obok samochodu ubrany w szeroki fartuch z grubego kevlaru nałożony na czarny kombinezon. Na głowie miał masywny hełm z grubą pleksiglasową osłoną na twarz. Położył się na ziemi i za pomocą teleskopowego wysięgnika zakończonego lusterkiem sprawdził podwozie.

Po chwili pojawił się znowu przy oknie Fabla, postępując z wysiłku przy wstawaniu.

– Okej... – Uśmiechnął się ponuro. – Obawiam się, że to nie jest głupi żart. Jeśli to nie jest przekonująco wyglądająca atrapa, to mamy podczepioną pod podwozie samochodu bardzo dużą ilość materiału wybuchowego. Wyciągniemy pana z tego, panie nadkomisarzu. Obiecuję. Ale na razie musi pan spokojnie tu posiedzieć.

Fabel uśmiechnął się słabo, odchylił głowę do tyłu, oparł ją

o zagłówek i przymknął oczy. Czuł się bezsilny i bezradny. Znał siebie, wiedział, że zawsze obsesyjnie chce panować nad sytuacją, ograniczając do minimum element przypadkowości. Tymczasem teraz znalazł się w sytuacji, nad którą nie miał żadnej kontroli. Starał się nie myśleć o ładunku pod samochodem, o tym, że jego życie spoczywało w rękach specjalistów, którzy rozbiją bombę, tak jak spoczywałoby w rękach chirurgów, gdyby leżał na stole operacyjnym. Pozostawało mu tylko siedzieć nieruchomo, dopóki go nie uwolnią.

Miał przynajmniej dość czasu do namysłu.

Wiedział, że jego ludzie są gdzieś niedaleko i czekają. Kiedy zadzwonił do komendy, najpierw skontaktował się z oddziałem saperów, a potem poprosił o połączenie z wydziałem zabójstw. Ale saperzy powiedzieli, że ma już nigdzie nie dzwonić i powinien natychmiast wyłączyć telefon. Fabel mógł co prawda zostawić swoim ludziom wiadomość, ale z tego zrezygnował. Nie wiedział, co właściwie ma powiedzieć swoim kolegom. Widok zdjęcia Gabi wystraszył go nie na żarty.

Ten człowiek musiał go śledzić. Chodzić za nim krok w krok. To tłumaczyłoby, skąd dowiedział się o Leonardzie Schülerze. Sukinsyn musiał obserwować każdy ruch ludzi z wydziału zabójstw. Może nawet szedł za Schülerem, kiedy ten wracał z komendy do domu. Nie. Coś tu nie pasowało. Skąd miałby wiedzieć o Schülerze? Młodego złodziejaska przywiozła do wydziału zabójstw policja mundurowa. Nagle w głowie Fabela zrodziła się pewna myśl – Leonard Schüler nie był z nimi do końca szczery, kiedy opowiadał o tym, co widział. Dlaczego nie powiedział wszystkiego? Czyżby był zamieszany w te zabójstwa? Był współnikiem tajemniczej osoby dzwoniącej do mnie? – pomyślał nadkomisarz. Może tym razem zawiodła mnie intuicja.

Do dowódcy oddziału dołączyło trzech specjalistów od ładunków wybuchowych. Przynieśli ze sobą cztery duże, czarne, płócienne torby. Wyjęli z nich swój sprzęt i rozłożyli go na ziemi. Fabel czuł się trochę uspokojony, widząc metodyczne i celowe ruchy saperów. Dwaj z nich wzięli do ręki coś, co

przypominało ogromny laptop, i zniknęli pod samochodem.

Fabel siedział w swoim bmw, którym jeździł od sześciu lat, i czekał. Starał się uporządkować myśli.

Gabi. Z trudem zapanował nad narastającą paniką i pohamował się przed przekazaniem swoim ludziom polecenia zapewnienia ochrony córce. Gdyby to zrobił, zabójca dowiedziałby się, że zdradził swoim zwierzchnikom treść ich rozmowy. Na razie Gabi była bezpieczna; Fryzjer z Hamburga na ten wieczór zaplanował zajęcie się jedną z osób ze swojej listy. Gabi była jego kartą przetargową, na razie odłożoną na bok. Fabel zdawał sobie sprawę, że choć morderca wydawał się mówić dużo, to powiedział tylko to, co chciał, żeby on usłyszał. Jedno stało się pewne – cała sprawa miała związek z przeszłością ofiar.

Pod samochodem pracowali specjaliści od rozbijania bomb i dochodził stamtąd głuchy odgłos stukania. Każde stuknięcie wyostrezone przez strach zmysły Fabla odbierały jak uderzenie młotem w dzwon.

Mógł to zrobić. Mógł odsunąć się od śledztwa. Gdyby opowiedział komendantowi van Heidenowi, co usłyszał od mordercy, jego szef wręcz nalegałby, żeby zrezygnował z prowadzenia sprawy. Z goryczą pomyślał, że zabójca miał rację, mówiąc, że tamci ludzie nic dla niego nie znaczyli. Najważniejsza była córka. Tak, odsunie się od śledztwa. Niech ktoś inny je poprowadzi.

Kolejne stuknięcie. Fablowi jeszcze bardziej zaschło w gardle. Zerknął na zegarek. Za kwadrans północ. Od trzech godzin nie mógł otworzyć drzwi ani okna i nie miał dostępu do wody. Może tu nastąpi koniec. Cięcie szcypcami, niewłaściwy przewód, i będzie po wszystkim. To byłby koniec drogi, którą wybrał całe lata temu po tym, jak została zabita Hanna Dorn. Niewłaściwej drogi.

Siedząc w dusznej kabinie samochodu, nasłuchując odgłosów dochodzących spod podwozia, Fabel myślał o tym, że człowiek, z którym rozmawiał blisko trzy godziny temu przez telefon, prawdopodobnie już zabił i okaleczył kolejną ofiarę. W jego głowie kłębiły się myśli i obrazy, ale był zbyt zmęczony, by nad

nimi zapanować. Co chwila przed oczami stawał mu obraz córki sfotografowanej przez maniaka.

Siedząc tam i czekając na wybawienie od śmierci, Jan Fabel podjął decyzję dotyczącą jego przyszłości.

Wszystko stało się tak szybko, że Fabel nie zdążył się zastanowić. Nagle jeden z policjantów otworzył szeroko drzwi samochodu, a drugi wyciągnął go zza kierownicy. Obaj oficerowie odciągnęli szybko Fabla od samochodu, poza zasięg reflektorów. Za kordonem zabezpieczającym stał van Heiden, Anna Wolff, Werner Meyer, Henk Hermann, Maria Klee, Frank Grüber i Holger Brauner. Grüber i Brauner i pięciu ludzi z ich ekipy miało już na sobie robocze kombinezony. Fabel dostał butelkę wody, i zaczął łapczywie pić.

Do Fabla podszedł dowódca oddziału LKA7.

– Ładunek wybuchowy jest już bezpieczny. Rozmontowujemy go teraz, żeby się dowiedzieć, gdzie została podłożona druga bomba. Na razie niczego nie znaleźliśmy. Co to jest za facet, Herr Fabel? To terrorysta, szantażysta czy zwykły maniak?

– Jest wszystkim po trochu – odparł ze znużeniem Fabel.

– Nieważne, co nim kieruje; ten facet wie, co robi. – Dowódca ruszył w stronę swojego pancernego pojazdu. Fabel zatrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Nie tylko on wie, co robi – powiedział. – Dziękuję.

– Nie ma za co. – Dowódca saperów uśmiechnął się.

– Wszystko w porządku, Janie? – zapytał Werner.

Fabel wypił kolejny łyk wody. Otarł usta wierzchem dłoni.

– Nie, Werner. Daleko mi do tego. – Odwrócił się do van Heidena. – Musimy porozmawiać, panie komendancie.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ DNI PO PIERWSZYM MORDERSTWIE, WTOREK 13 WRZEŚNIA 2005

9.45, komenda policji, Hamburg

Oświadczenie dla prasy i dziennikarzy radia i telewizji, tłoczących się na schodach komendy, wydał sam szef policji Hugo Steinbach; u jego boku stał komendant van Heiden.

– Mogę potwierdzić, że wczorajszego wieczoru starszy oficer policji hamburskiej stał się ofiarą nieudanego zamachu na swoje życie. W wyniku tego zdarzenia, dla zapewnienia mu bezpieczeństwa i umożliwienia dojścia do siebie, oficer ten został odesłany na urlop.

– Czy może pan potwierdzić, że tym oficerem był nadkomisarz Fabel z wydziału zabójstw? – Niski, gruby reporter o ciemnych włosach, w przyciasnej skórzanej kurtce przepchał się do przodu. Jens Tiedemann był dobrze znany w środowisku dziennikarzy.

– Na tym etapie śledztwa nie zamierzamy ujawniać tożsamości oficera – odpowiedział van Heiden – ale potwierdzam, że chodzi o funkcjonariusza z wydziału zabójstw, który w czasie zdarzenia był na służbie.

– Wczoraj wieczorem część dzielnicy Hammerbrook została otoczona kordonem i ewakuowana – Tiedemann nie ustępował i przekrzykiwał pozostałych dziennikarzy. – Stwierdzono, że został znaleziony ładunek wybuchowy, który był pozostałością po brytyjskich nalotach w czasie drugiej wojny światowej oraz że ten ładunek został rozbrojony przez saperów. Czy może pan potwierdzić, że w rzeczywistości była to bomba podłożona przez terrorystę pod samochodem tego oficera?

Pytanie Tiedemanna był iskłą, która wywołała grad pytań

pozostałych dziennikarzy. Odpowiedź szef policji Steinbach skierował do niskiego reportera.

– Potwierdzam, że do unieszkodliwienia ładunku wybuchowego skierowano oddział saperów – powiedział Steinbach – ale nic nie wskazuje na jakąkolwiek działalność terrorystyczną.

– Ale to nie była bomba z czasów wojny, prawda? – Tiedemann uczeplił się tematu z uporem teriera. – Ktoś próbował wysadzić w powietrze jednego z pańskich oficerów, czy tak?

– Jak już powiedziałem – odparł van Heiden – próbowano dokonać zamachu na życie oficera wydziału zabójstw. Nic więcej w tej chwili nie mogę ujawnić; śledztwo jest w toku.

Kilku innych dziennikarzy próbowało ciągnąć temat wywołany przez Tiedemanna, ale nie mieli tak dokładnych informacji. Niski dziennikarz stał w milczeniu, pozwalając innym podręczyć szefów policji. Wreszcie postanowił zadać decydujący cios.

– Panie komendancie van Heiden... – Jego głos utonął w gwarze przekrzykujących się dziennikarzy. – Panie komendancie van Heiden... – powtórzył głośniejsze. Pozostali dziennikarze umilkli. – Czy to prawda, że bombę pod samochodem nadkomisarza Fabela umieścił Fryzjer z Hamburga, seryjny morderca, który zabija dawnych działaczy ruchów radykalnych z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych? Czy prawdą jest też, że w wyniku tej próby zamachu na życie Herr Fabel wycofał się z prowadzenia śledztwa?

Van Heiden pociemniał na twarzy i rzucił gniewne spojrzenie Tiedemannowi.

– Oficer z wydziału zabójstw, o którym mowa, przestaje prowadzić wszystkie dotychczasowe śledztwa i przekazuje sprawy innym oficerom. Jedynym powodem takiej decyzji jest urlop, na który się wybiera. Nie ma tu drugiego dna. Zapewniam państwa, że oficerów policji hamburskiej nie tak łatwo zastraszyć...

Reporter nie odezwał się więcej. Uśmiechnął się tylko

i pozwolił dalej zadawać pytania swoim kolegom. Van Heiden i Steinbach odwrócili się na pięcie i weszli z powrotem do gmachu komendy, a ataki dziennikarzy odpierał już tylko rzecznik prasowy.

Kiedy tłum dziennikarzy zaczął rzednąć, jeden z nich zwrócił się do Tiedemanna.

– Skąd wiedziałeś, co się wydarzyło?

Reporter wskazał ruchem głowy budynek komendy.

– Mam tam swoje źródło. Naprawdę dobre źródło...

10.15, dzielnica Schenzenviertel, Hamburg

Może nie trzeba było włączać alarmu w biurze, skoro wychodziła tylko na chwilę. Ingrid Fischmann wróciła właśnie z oddalonej o jedną przecznicę poczty, gdzie wysyłała paczkę z fotografiami i informacją, którą przygotowała dla tego policjanta, Fabla.

Zakłęła, kiedy upuściła na podłogę czarny notes z kodem alarmu. Schyliła się, żeby go podnieść, co sprawiło, że teraz z kolei wypadła połowa zawartości torebki. Usłyszała, jak o płytki podłogi w korytarzu uderzają klucze. Zawsze przy wchodzeniu i wychodzeniu panowało zamieszanie, głównie dlatego, że nie pamiętała kodów. Z drugiej strony Ingrid Fischmann zdawała sobie sprawę, że alarm to zło konieczne. Musiała być ostrożna.

Frakcja Czerwonej Armii rozwiązała się oficjalnie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku, a upadek muru berlińskiego sprawił, że fundamenty systemu wierzeń takich grup legły w gruzach. RAF, IRA, a nawet, jak się zdawało, ETA przeszły do historii. Europejski, lokalny terroryzm, w przeciwieństwie do tego, który przyszedł z zewnątrz, chyba zaniknął. Terroryzm dwudziestego pierwszego wieku był zupełnie innego rodzaju, a jego ideologią stała się religia w miejsce socjopolityki. Mimo to ludzie, o których pisała Fischmann, żyli tu i teraz. I wielu z nich w przeszłości nadużywało przemocy.

– Okej, okej... – rzuciła w odpowiedzi na niecierpliwe pikanie dochodzące z konsoli alarmu. Podniosła notes, a ponieważ nie było czasu na założenie okularów, wyciągnęła ręce daleko przed siebie, odczytała liczby i wystukała je na klawiaturze. Pikanie ucichło. A właściwie nie.

Brzmiało to jak echo tamtego dźwięku, tyle że zmienił się ton. No i ten dźwięk nie dochodził z konsoli. Fischmann dłuższą chwilę stała bez ruchu, marszcząc czoło i próbując odgadnąć, skąd dochodzi. Z jej biura.

Weszła do środka i podążyła za źródłem dźwięku. Dochodził z jej biurka. Przekreśliła klucz i otworzyła górną szufladę.

– Och... – Tylko tyle powiedziała.

To było wszystko, co miała szansę powiedzieć. I tylko jej mózg zdążył jeszcze zinterpretować informację, jaką przekazały oczy – płatanina przewodów, baterie, migająca dioda, spora paczka w piaskowym kolorze.

Ingrid Fischmann umarła w chwili, gdy jej mózg zdołał złożyć razem zebrane informacje.

Bomba.

10.15, komenda policji, Hamburg

– Mam nadzieję, że to się opłaci – powiedział van Heiden. – Spora część naszych sukcesów zależy od dobrej współpracy z mediami. Jeśli dziennikarze coś zwietrzą, nie będą zadowoleni.

– Musimy podjąć ryzyko – odparł Fabel. Siedział przy stole konferencyjnym razem z Marią, Wernerem, Anną, Henkiem i dwoma ekspertami kryminalistycznymi Holgerem Braunerem i Frankiem Grüberem. Przy stole siedział jeszcze jeden człowiek – niski, tęgi mężczyzna w okularach i czarnej skórzanej kurtce.

– Przeboleją to – powiedział Jens Tiedemann – ale wolalibyśmy, żeby wszyscy uważali, że zostałem nabrany, niż że razem z wami konspirowałem.

Fabel kiwnął głową.

– Jestem ci bardzo zobowiązany, Jens. Wspaniała robota. Morderca wie, jak się ze mną komunikować, ale to działa tylko w jedną stronę. Jedynym sposobem, żeby uwierzył w moją rezygnację, jest ogłoszenie jej publicznie.

– Nie ma za co. – Tiedemann podniósł się do wyjścia. – Mam nadzieję, że on to kupi.

– Ja też – odparł Fabel. – Na szczęście moja córka Gabi jest już daleko od Hamburga i ma ochronę. Susanne też jest pod całodobową ochroną. A co do mnie, większość czasu będę spędzał tutaj, kierując akcją za pośrednictwem swoich ludzi, a z dala od wścibskich oczu. Oficjalnie śledztwem kieruje Herr van Heiden. – Fabel wstał i uściśnął dłoń Tiedemanna. – Dałeś bardzo przekonujące przedstawienie. Dzięki niemu zyskamy trochę czasu. Naprawdę, jestem ci wdzięczny.

– I powinienesz być. – Mięśista twarz Tiedemanna rozpromieniła się w uśmiechu. – Możesz być pewien, że pewnego dnia ci to przypomnę.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Kiedy reporter wyszedł, z twarzy Fabla zniknął uśmiech.

– Musimy działać szybko. Wygląda na to, że Fryzjer z Hamburga potrafi przewidzieć każdy nasz kolejny krok. Poza tym nie brakuje mu środków. Przypuszczam, że spodziewał się z naszej strony właśnie takiego oświadczenia, „wymuszonego” przez kłopotliwe pytania Jensa na konferencji prasowej. Jeśli to prawda, to mamy poważny kłopot. Ale jeśli dał się nabrać, to przestanie być tak czujny, wiedząc, że już nie kieruję śledztwem. Nie rozumiem tylko, dlaczego tak bardzo zależało mu na tym, żebym przestał się zajmować sprawą.

– Jesteś naszym najlepszym śledczym. I masz najwyższy wskaźnik wykrywalności – stwierdził van Heiden.

Po naradzie Fabel poprosił van Heidena o prywatną rozmowę.

– Oczywiście, Fabel. O co chodzi?

– O to... – Fabel wręczył mu zaklejoną kopertę. – To moja

rezygnacja. Wolę, żeby ją pan dostał teraz i wiedział o moich planach. Oczywiście, nie zamierzam zrezygnować przed zakończeniem tego śledztwa, ale zaraz potem odchodzę z policji.

– Chyba nie myślisz o tym poważnie? – Van Heiden był wzburzony. Fabel nie spodziewał się takiej reakcji po człowieku, który wydawał się wobec niego obojętny; po człowieku, któremu okazywał czasem jawne lekceważenie. – Powtórzę to, co już raz mówiłem – nie możemy sobie pozwolić na stratę kogoś takiego...

– Doceniam to, panie komendancie, ale już podjąłem decyzję. Kiedy zobaczyłem zdjęcia Gabi w swoim telefonie... Jestem pewny, że znajdzie pan odpowiedniego następcę. Maria Klee i Werner Meyer to znakomici oficerowie.

– Czy oni wiedzą?

– Jeszcze nie – odparł Fabel. – I jeśli pan pozwoli, wolałbym zachować to w tajemnicy do końca śledztwa. Mają teraz dość na głowie.

Van Heiden postukał kopertą o otwartą dłoń, jakby oceniał wagę jej zawartości.

– Proszę się nie martwić, Fabel. Nie powiem o tym nikomu, jeśli nie będę musiał. I mam nadzieję, że zmieni pan zdanie.

Rozległo się pukanie i do sali konferencyjnej weszła Maria Klee.

– Nie wiem, szefie, jak bardzo chcesz pozostawać niewidoczny, ale wiemy już, gdzie została podłożona druga bomba...

10.30, dzielnica Schanzenviertel, Hamburg

W miejscu, gdzie nastąpiła eksplozja, pojawiły się szychy z policji i Fabel. Dla zachowania pozorów, że został odsunięty od śledztwa, znaleziono mu odpowiednich rozmiarów mundur komisarza drogówki i zawieszono na miejsce zielonym furgonem mercedesa z przyciemnionymi szybami. Nad domem wisiał w powietrzu policyjny śmigłowiec.

Mundurowi odgrodzili teren i ewakuowali okolicznych mieszkańców.

Fabel wysiadł z samochodu i ocenił skalę zniszczeń. Z okien biura Ingrid Fischmann wyleciały wszystkie szyby i teraz przypominały one puste oczodoły. Wąski chodnik, ulica i dachy zaparkowanych przy niej samochodów, z wciąż wyjąłymi przeraźliwie alarmami, pokrywały drobiny szkła. Z jednego z okien zwisały postrzępione i osmalone resztki żaluzji. Na żądanie Fabela teren został otoczony przez specjalny oddział policji MEK, ale kręciło się też sporo uzbrojonych po zęby policjantów w kurtkach z napisem BKA na plecach, wskazującym, że są funkcjonariuszami Federalnej Policji Kryminalnej. Fabel nie był zaskoczony obecnością Markusa Ullricha. Cała sprawa miała przecież wyraźny podtekst polityczny.

Na miejscu był już Holger Brauner i jego zastępca Frank Grüber wraz z całą ekipą, ale BKA ściągnęła też swoich fachowców.

Na razie wszyscy stali za kordonem, a strażacy i saperzy sprawdzali, czy można bezpiecznie wejść na miejsce zdarzenia. Fabel skorzystał z okazji i zagadnął Markusa Ullricha stojącego przy nietkniętych przez wybuch drzwiach kamienicy. Ullrich rozmawiał z jakimś funkcjonariuszem z BKA, ale przerwał, widząc zbliżającego się Fabela, i uśmiechnął się ponuro.

– Bardzo gustowny – powiedział, wskazując pożyczony mundur Fabela. – Podejrzewam, że to nie był wybuch instalacji gazowej.

– Wątpię – odparł Fabel. – Proszę posłuchać, to jest sprawa hamburskiej policji. Kobieta, która wynajmuje te biura, pomogła nam w wyjaśnieniu tła morderstwa Hausera i Griebła. To nie jest zbieg okoliczności, że tu właśnie dokonano zamachu.

– Rozumiem. Ale z drugiej strony była to osoba, która grzebała się w bardzo niebezpiecznych obszarach niemieckiego życia publicznego. Niewykluczone, że zainteresowała się za bardzo kimś, kto postanowił wykorzystać umiejętności nabyte dwadzieścia lat temu – jak używać zapalnika i semtexu. Proszę

zrozumieć, to wystarczająca podstawa, żeby sprawą zainteresowała się BKA. – Słowa Ullricha nie brzmiały konfrontacyjnie, ale Fabel nie czuł się uspokojony. – Nie zamierzam z panem współzawodniczyć, Herr Fabel. Wolę współpracować. Łączą nas wspólne interesy. Wszystkie siły, jakie tu ściągnąłem, są do pańskiej dyspozycji. To samo dotyczy ekipy kryminalistycznej. Moja będzie pracowała pod kierownictwem pańskiego człowieka. Wiemy już, czy ona była w środku?

Fabel westchnął i trochę się rozluźnił. Wiedział, że Ullrich jest uczciwy.

– Jeszcze nie – odparł Fabel. – Sprawdziliśmy u niej w domu. Nie było jej tam. Próbowaliśmy się dodzwonić pod numer jej komórki. Bezskutecznie. – Uniósł głowę i spojrzął na budynek. – Obawiam się, że terrorysta osiągnął cel. Tak czy inaczej, proszę pamiętać, że to jest moje śledztwo.

– Oczywiście, ale będziemy się nim zajmować wspólnie. Czy to się panu podoba, czy nie, możemy mieć do czynienia z działaniem, którego skutki sięgają daleko poza Hamburg. A obecność funkcjonariuszy policji federalnej w pańskim zespole może okazać się użyteczna. Skoro ma pan prowadzić śledztwo zdalnie i z ukrycia, może się panu przydać pomoc. Na razie to pan dyktuje warunki.

– Okej... – Fabel skinął głową. – Zajmijmy się pańską hipotezą o byłym uśpionym terrorysty, który próbuje się ochronić. Choć moim zdaniem to może się łączyć ze sprawą Fryzjera z Hamburga. – Fabel opowiedział w skrócie Ullrichowi, czego dowiedział się od Ingrid Fischmann na temat porwania Wiedlera i zapewnień Benniego Hildesheima o tym, że zna tożsamość kilku Zmartwychwstałych i ma dowody na to, że Berthold Müller-Voigt był kierowcą furgonetki, którą uprowadzono Thorstena Wiedlera.

– O tym mówi się już od dawna, Herr Fabel – stwierdził Ullrich. – Przyglądaliśmy się uważnie tej sprawie. Nie ma dowodów, które pozwalałyby powiązać Müllera-Voigta z tym porwaniem. Co więcej, nie ma dowodów, że był w ogóle członkiem tej grupy. Po śmierci Hildesheima uzyskaliśmy

nakaz przeszukania, bo chcieliśmy znaleźć dowody, które, jak twierdził, ma. Nie znaleźliśmy niczego. To oczywiście nie znaczy, że w to nie wierzę. Obawiam się jednak, że nigdy nie uda nam się dowieść, iż to Müller-Voigt siedział za kierownicą furgonetki.

Fabel wskazał ruchem głowy uszkodzony budynek ze ścianami pokrytymi graffiti.

– Może ona była blisko dowiedzenia tego...

Zadzwoił jego telefon.

– Niech pan nie próbuje mnie namierzyć – wychrypiał elektronicznie zmieniony głos w słuchawce. – Dzwonię z komórki mojej ostatniej ofiary. Zanim ustali pan, gdzie jestem, zdążę uciec, a telefon zostanie zniszczony. Jak pan widzi, byłem zajęty. Ta suka Fischmann zasłużyła sobie na to. Żałuję tylko, że umarła tak szybko. Za to ubiegłej nocy miałem lepszą zabawę. Nie powiem, gdzie znajdzie pan kolejne zwłoki. Moim zdaniem syn ofiary wkrótce je odkryje.

– Przestań to robić... – powiedział Fabel.

– Rozczarowuje mnie pan, Fabel – przerwał mu głos. – Próbował mnie pan zwieść tą komedią dziś rano. Zabawą w przebieranki i czajeniem się w tyle furgonetki. Obawiam się, że będę musiał pana za to ukarać. Przez resztę życia będzie pan przeklinał siebie i obwiniał za horror, jaki spotka pańską córkę, nim umrze.

Połączenie się urwało.

– Gabi! – Fabel podbiegł do Marii. – Daj mi kluczyki do samochodu... On zamierza dopaść Gabi! Muszę do niej jechać!

Maria chwyciła go za rękę.

– Zaczekaj! – Stała naprzeciw Fabla i spojrzała mu prosto w oczy. – Co powiedział?

Fabel przekazał jej treść rozmowy. W tym czasie podeszli do nich Werner, van Heiden i Ullrich.

– Skąd wiedział? Dlaczego tak szybko to odkrył? – Fabel rzucił okiem na swój pożyczony mundur i zmarszczył brwi. – A przede wszystkim skąd wiedział o przebraniu? Muszę jechać do Gabi.

– Zaczekaj chwilę – powstrzymała go Maria. – Sam mówiłeś,

że może się na to nie dać nabrać. Ale co innego wiedzieć o twoim przebraniu, a zupełnie co innego zdobyć informację, gdzie ukryliśmy Gabi. On nas pewnie teraz obserwuje, a ty tylko go do niej doprowadzisz. Poza tym nie sądzę, żeby był zainteresowany ściganiem Gabi, tak jak nie był zainteresowany zabiciem ciebie. Sytuacja jest taka sama jak wtedy z Witrenką. Chodzi o odwrócenie uwagi. Opóźnienie naszych działań. – Spojrzenie Marii było poważne i szczerze. Runął mur obronny. – On się tobą bawi. Chce odwrócić twoją uwagę. Bomba miała związać ci ręce na czas, kiedy on robił swoje. Teraz jest tak samo. Chce, żebyś pojechał do Gabi, a w tym czasie on dokończy swoje dzieło.

– To brzmi rozsądnie, Fabel – stwierdził Ullrich.

Do Fabla podbiegł umundurowany policjant.

– Wzywają pana przez radio, panie nadkomisarzu. Ktoś właśnie zgłosił, że znalazł oskalpowane zwłoki. Kilka przecnic stąd.

Maria puściła rękę Fabla.

– To ciebie wzywają, szefie.

23.00, dzielnica Schanzenviertel, Hamburg

Grupa umundurowanych funkcjonariuszy już była na miejscu. Od razu wyprowadzili Franza Brandta z pokoju, w którym znalazł ciało matki. Kiedy pojawił się Fabel, Brandt wciąż jeszcze był w szoku. Skończył już trzydziestkę, ale sprawiał wrażenie młodszego. W jego wyglądzie najbardziej zwracała uwagę gęsta czupryna długich, kasztanowoczerwonych włosów okalających bladą, pokrytą piegami twarz. Pokój, do którego go zaprowadzono, był przestronny i łączył w sobie funkcję sypialni i gabinetu. Książki wypełniające półki przypomniały Fablowi o gabinecie Grübera – prawie wszystkie były uczelnianymi skryptami na temat archeologii, paleontologii i historii.

Książki nie były jedyną rzeczą, jaką Fabel rozpoznał; na ścianie wisiał duży plakat przedstawiający ciało Człowieka

z Neu Versen. Rudowłosego Franza.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – zwrócił się Fabel do Brandta. Mimo lat doświadczeń zawsze czuł się w takich sytuacjach nieswojo. Rzeczywiście było mu żal rodzin ofiar i miał wrażenie, że wkracza z buciorami w ich życie. Ale w końcu taką miał pracę.

– Domyślam się, że to pański pokój. Mieszkał pan z matką na stałe?

– Jeśli można to tak nazwać. Często wyjeżdżam za granicę na wykopaliska. W ogóle dużo podróżuję.

– Pańska matka prowadziła interes w domu? – zapytał Fabel.
– Czym się zajmowała?

Franz Brandt roześmiał się z goryczą.

– Głównie terapią w stylu New Age. Szczerze mówiąc, to oszustwo. Nie sądzę, żeby sama wierzyła w to, co robi. Dotyczyło to reinkarnacji.

– Reinkarnacji? – Fabel pomyślał o Günterze Griebliu i jego badaniach nad genetyczną pamięcią. Czyżby istniał jakiś związek? I nagle sobie przypomniał. Müller-Voigt wspomniał o kobiecie związanej ze Stowarzyszeniem Gaja. Wyjął notes i zaczął przeglądać zapiski. Znalazł. Beate Brandt. Spojrzał na bladego mężczyznę. Był bliski załamania. Potem rozejrzał się po pokoju i jego wzrok spoczął na plakacie.

– Znam tego dżentelmena... – powiedział z uśmiechem Fabel.
– Tak jak ja pochodzi z Fryzji Wschodniej. To zabawne, ale ostatnio często pojawia się w moim życiu. To chyba jakaś synchronia.

Brandt odpowiedział słabym uśmiechem.

– Rudowłosy Franz... Tak mnie nazywali na uniwersytecie. Z powodu włosów. Poza tym wszyscy wiedzieli, że to mój ukochany człowiek z bagien. To właśnie Rudowłosy Franz zainspirował mnie do zostania archeologiem. Po raz pierwszy przeczytałem o nim w szkole i od tej pory byłem zafascynowany odkrywaniem prawdy na temat życia naszych przodków. I śmierci. – Umilkł i odwrócił głowę w kierunku drzwi do salonu, w którym leżało ciało jego matki. Fabel położył dłoń na jego ramieniu.

– Proszę posłuchać... – Fabel mówił spokojnym, łagodnym tonem. – Wiem, jakie to dla pana trudne. Wiem, że jest pan wstrząśnięty i przestraszony, ale muszę zadać kilka pytań na temat pańskiej matki. Muszę złapać tego maniaka, nim znajdzie sobie nową ofiarę. Da pan radę?

Brandt wpatrywał się w Fabla błędnym wzrokiem.

– Dlaczego? Dlaczego on zrobił... coś takiego mojej matce? Co to ma oznaczać?

– Nie wiem.

Brandt wypił łyk wody, a Fabel zauważył, jak drżą mu ręce.

– Czy pańska matka miała jakieś związki z miastem Nordenham?

Brandt potrząsnął przecząco głową.

– Czy była w młodości aktywna politycznie?

– A co to ma do rzeczy?

– Muszę to wiedzieć. To może mieć coś wspólnego z motywem zabójcy.

– Tak... Tak, była. Działała na rzecz ochrony środowiska. I w ruchach studenckich. Głównie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Do tej pory interesowała się ekologią.

– Czy знаła Hansa-Joachima Hausera albo Güntera Griebła? Czy te nazwiska coś panu mówią?

– Hauser, tak. Moja matka dobrze go знаła. Dawniej. Oboje byli zaangażowani w protesty antynuklearne, a potem w ruch Zielonych. Nie sądzę, żeby w ostatnich latach miała z nim kontakt.

– A co z Günterem Grieblem?

Brandt wzruszył ramionami.

– Nigdy nie słyszałem tego nazwiska. Na pewno nigdy o nim nie wspominała. Ale nie umiem powiedzieć z całą pewnością, że go nie znała.

– Proszę posłuchać, będę całkowicie szczerzy. Nie wiem, czy tym maniakiem kieruje pragnienie zemsty, czy może po prostu ma coś przeciwko ludziom z pokolenia pana matki i ich sympatiom politycznym. Ale musi być coś, co łączy wszystkie ofiary, w tym pańską matkę. Jeśli mam rację, to jej śmierć ma związek ze śmiercią Hausera i Griebła. Czy zauważył pan coś

dziwnego w zachowaniu matki w ciągu ostatnich kilku tygodni? Zwłaszcza po tym, jak prasa doniosła o zamordowaniu Hansa-Joachima Hausera?

– Oczywiście, że na to zareagowała. Jak już mówiłem, w przeszłości działali wspólnie. Była wstrząśnięta, kiedy przeczytała, co z nim zrobiono. – W oczach Brandta pojawił się ból, kiedy uzmysłowił sobie, że mówi o takich samych okaleczeniach, jakich doznała jego matka.

– A co z pozostałymi morderstwami? Czy w ogóle o nich wspominała? Czy wiadomość o nich poruszyła ją w jakiś szczególny sposób?

– Trudno powiedzieć. Przez trzy tygodnie byłem na wykopaliskach, z dala od domu. Ale teraz, kiedy pan o to pyta, w ostatnich dniach wydawała się jakaś zamknięta w sobie, zgaszona.

Fabel uważnie wpatrywał się w mężczyznę.

– Znalazł pan matkę dziś rano, kiedy zszedł pan na dół na śniadanie?

– Tak. Wczoraj wieczorem wróciłem późno i poszedłem od razu do łóżka. Myślałem, że już śpi.

– Jak późno?

– Około wpół do dwunastej.

– I nie wchodził pan do salonu?

– Oczywiście, że nie. Gdybym wszedł, zobaczyłbym matkę... Od razu zadzwoniłbym na policję.

– A gdzie pan był wczoraj do jedenastej wieczorem?

– Na uniwersytecie, pisałem pracę.

– Czy ktoś tam pana widział? Przepraszam, ale muszę o to spytać.

Brandt westchnął.

– Widziałem się przelotnie z doktorem Severtsem. Prócz niego chyba nikt mnie nie widział.

Na wspomnienie nazwiska Severts Fablowi odświeżyła się pamięć.

– Poznaliśmy się już wcześniej. Męczyło mnie to. To pan odkrył zmumifikowane ciało w HafenCity.

– Zgadza się – odparł Brandt ponuro. Nie miał teraz głowy

do zajmowania się tym, że poznał wcześniej policjanta, który teraz prowadził śledztwo.

– Nie wie pan, czy matka spodziewała się wczoraj wieczorem jakichś gości?

– Nie. Powiedziała mi, że chce się wcześniej położyć spać.

Fabel zerknął na Franka Grübera, który wszedł do pokoju i skinął głową, dając znać, że Fabel może wejść do pokoju będącego miejscem zbrodni.

– Ma pan gdzie spędzić dzisiejszą noc? – zapytał Fabel Brandt. – Jeśli nie, wezwę samochód, który zawiezie pana do hotelu. – Fabel pomyślał o własnej sytuacji, o tym, jak z powodu zbrodni musiał opuścić swoje mieszkanie.

Brandt potrząsnął rudą czupryną.

– Nie trzeba. Mam przyjaciółkę, dziewczynę, u której mogę przenocować. Zadzwońię do niej.

– Dobrze. Proszę zostawić adres i numer telefonu, pod którym będzie pan uchwytany. Naprawdę bardzo mi przykro.

DWADZIEŚCIA SIEDEM DNI PO PIERWSZYM MORDERSTWIE, ŚRODA 14 WRZEŚNIA 2005

13.00, komenda policji, Hamburg

Dni straciły swoją wyrazistość; jeden przechodził w drugi, a wszystkie stanowiły ciągłość. Fabel zdrzemnął się kilka godzin w komendzie. Ale fakt, że dwa morderstwa, każde dokonane w zupełnie odmienny sposób przez tego samego zabójcę, są ze sobą powiązane, oznaczał, że mimo przydzielonych dodatkowych ludzi musiał pracować dłużej i ciężiej, niż powinien. Wszyscy byli zmęczeni. Kiedy jest się zmęczonym, trudno pracować efektywnie i skutecznie. Ale przecież szukali bardzo skutecznego mordercy.

Dopiero nad ranem nadkomisarz znalazł czas, żeby pójść do domu, trochę się przespać i wziąć prysznic, który powinien odświeżyć mu zmysły i przywrócić zdolność logicznego myślenia.

Na nieszczęście jechał do domu w porze, kiedy zaczynał się poranny szczyt komunikacyjny i przekręcił klucz w zamku swojego mieszkania dopiero o ósmej. W tej samej chwili dopadły go obrazy z domu Brandta. Zaczął podejrzewać, że w swoim mieszkaniu znajdzie kolejny skalp. Kiedyś to mieszkanie było jego azylem. Bezpiecznym miejscem, gdzie mógł się schronić przed szaleństwem i brutalnością innych ludzi. Już tak nie było. Okna, podobnie jak całe mieszkanie, zostały starannie wyczyszczone, a mimo to mógłby przysiąc, że czuje unoszący się w powietrzu subtelny zapach krwi. Poranne słońce świeciło jaskrawo nad wodami Alsteru, a jego promienie wpadały przez okno wprost do wnętrza. Dla zmęczonych oczu Fabela to światło było jednak jałowe i zimne. Jak w kostnicy.

Budzik wyrwał go ze snu tuż przed południem. Trudno było spać dalej w hałasie otaczającego go miasta. Kiedy wstał, ze zdziwieniem stwierdził, że zmęczenie wcale go nie opuściło. Wziął prysznic i postanowił coś zjeść przed udaniem się do komendy.

– **Masz** paczkę na biurku, szefie – powiedziała Anna, kiedy przechodził przez pokój wydziału zabójstw, kierując się do swojego gabinetu. – Przyszła dziś rano. Ze względu na to, co się ostatnio wydarzyło, trafiła najpierw na dół do ochrony i została dwukrotnie prześwietlona. Jest czysta.

– Dziękuję. – Fabel wszedł do swojego gabinetu i powiesił marynarkę na oparciu krzesła. Paczka była duża i ciężka. Kiedy ją otworzył, znalazł w środku grubą niebieską teczkę przewiązaną dwiema gumkami. Pod jedną z gumek znajdowała się kasetka magnetofonowa, a pod drugą kartka. Sięgnął po kartkę i wpatrywał się w nią długo, jakby nie rozumiał zapisanych wyraźnym i starannym charakterem słów.

„Tak jak obiecałam. Mam nadzieję, że to będzie pomocne. Serdecznie pozdrawiam, I. Fischmann”.

Patrzył na notatkę napisaną przez kobietę, z którą rozmawiał zaledwie dwa dni temu. Wydawało się niemożliwe, że w tak krótkim czasie zgasły inteligencja i jestestwo osoby, która to napisała.

Fabel wyjął kasetę i zdjął gumki. Ingrid Fischmann skrupulatnie zebrała całe dossier na temat Zmartwychwstałych, a także informacje o Baader-Meinhof i innych grupach terrorystycznych. Skopiowała i zeskanowała artykuły, zdjęcia, dokumenty. Wśród papierów nie było żadnego oryginału. Specjalnie dla Fabla zadała sobie trud zrobienia kopii wszystkich najważniejszych dokumentów. Teraz Fabel trzymał w rękach wszystko, co ocalało z jej pracy; oryginały, przezornie ukryte w bezpiecznym miejscu, zostały zniszczone przez eksplozję i wywołany nią pożar.

Sporą chwilę zajęło mu znalezienie w gmachu komendy magnetofonu, a kolejne piętnaście minut czekał, aż mu go

przyniosą. Czekając na magnetofon, przekartkował pozostałe materiały. Były obszerne i dokładne ich przeczytanie zajmie sporo czasu, ale wiedział, że musi to zrobić. Mógł się tam znajdować jakiś pozornie błahy szczegół, jakiś drobny ślad, który nada całemu śledztwu spójność.

Kiedy wreszcie mundurowy przyniósł magnetofon, Fabel zamknął drzwi swojego gabinetu, co dla wszystkich jego współpracowników było sygnałem, że nie chce, by mu przeszkadzano, a także wyłączył telefon komórkowy. Kasetą, którą Ingrid Fischmann mu przesłała, nie była oryginałem. Jednostajny szum w tle świadczył dobitnie o tym, że była to pewnie kopia kopii. Zwiększył głośność. Rozległo się kilka trzasków, odgłos przesuwanego mikrofonu i wreszcie z głośników popłynął męski głos.

– Nazywam się Ralf Fischmann. Mam trzydzieści dziewięć lat i byłem szoferem Herr Thorstena Wiedlera w Wiedler Industries Group. Podczas wykonywania swoich obowiązków zostałem trzykrotnie postrzelony przez terrorystów, którzy porwali Herr Wiedlera, raz w bok i dwa razy w plecy. Nie wiem, za jakie grzechy mnie to spotkało. A tym bardziej nie rozumiem, jakie grzechy musiał popełnić Herr Wiedler, że zasłużył sobie na coś takiego. Minęły już ponad dwa miesiące od dnia, kiedy zostałem postrzelony. Początkowo lekarze byli pełni optymizmu i mówili, że wystarczy poczekać, aż zabliźnią się rany. Aż zniknie opuchlizna rdzenia kręgowego. Opuchlizna znikła, ale lekarze nie są już tak optymistyczni. Jestem kaleką. Nigdy nie będę chodził. Wiem to i lekarze też, choć nie chcą tego potwierdzić. Jestem prostym człowiekiem. Nie jestem głupi, ale nigdy nie miałem wielkich ambicji. Chciałem jedynie ciężko pracować, zapewnić byt rodzinie i być dobrym człowiekiem. A jednak komuś to moje życie, spokojne i dobre, przeszkadzało. Tak bardzo przeszkadzało, że uznał za konieczne wpakować mi kulę w kręgosłup. Pracowałem dla Herr Wiedlera przez trzy lata. Był dobrym człowiekiem. Mówię o nim w czasie przeszłym, bo wydaje mi się nieprawdopodobne, żeby wciąż żył. Był dobrym człowiekiem i dobrym pracodawcą. Pochodził z Kolonii i był w typowy dla

mieszkańców tego miasta sposób zyciowy i twardo stapał po ziemi... traktował wszystkich pracowników równo. Jeśli zrobiło się coś złe, coś, co mu się nie podobało, mówił o tym wprost. Ale potrafił też postawić drinka w pubie i porozmawiać o rodzinie. Zawsze pytał, jak radzi sobie moja córka Ingrid i syn Horst. Wiedział, że Ingrid jest moim ukochanym maleństwem, i powtarzał, że na pewno zajdzie daleko. Moja praca dla Herr Wiedlera polegała głównie na prowadzeniu samochodu. Wozilem go codziennie z domu do biura i z powrotem, na różne spotkania w Hamburgu i po całej Republice Federalnej. Herr Wiedler nienawidził latać samolotem. Kiedy wybieraliśmy się w długą trasę, na przykład do Stuttgartu czy Monachium, rozmawiał ze mną, żebym nie poczuł znużenia. Czasem siadywał z tyłu i zajmował się papierkową robotą, ale zwykle siadał z przodu, obok mnie i rozmawiał ze mną. Herr Wiedler lubił dużo mówić. Bardzo go lubiłem i gdyby nie był moim pracodawcą, chętnie nazwałbym go przyjacielem. Cieszy mnie myśl, że on to samo myślał o mnie. Rano czternastego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku obaj jechaliśmy samochodem. Zabrałem Herr Wiedlera, jak co dzień, z jego domu w Blankensee. Ale tego dnia nie zawiozłem go do biura, tylko pojechaliśmy prosto do Bremy, gdzie był umówiony na spotkanie z klientem jego firmy. I to jest coś, co nie daje mi spokoju od chwili porwania. Zrozumiałbym, gdyby zastawiono na nas pułapkę na zwykłej trasie do biura, które znajdowało się w północnej części miasta, ale oni czekali na nas na drodze prowadzącej do centrum, gdzie mieliśmy zjechać na autostradę A1 do Bremy. Przychodzi mi do głowy tylko jeden wniosek – musieli mieć kogoś w firmie albo śledzili nas od domu Wiedlera i porozumiewali się ze swoimi współpracownikami przez walkie-talkie. Była mniej więcej dziesiąta trzydzieści. Mieliśmy właśnie zjechać na autostradę, kiedy nagle zauważyłem furgonetkę volkswagena, stojącą w miejscu, ale pod dziwnym kątem, co sugerowało, że musiała gwałtownie hamować. Jakiś mężczyzna w garniturze rozpaczliwie wymachiwał rękami nad głową, a na drodze leżało coś, co wyglądało na ludzkie ciało. Wszystko wskazywało na to, że

leżąca na drodze osoba została potrącona przez furgonetkę. Zatrzymałem się na poboczu. Za nami jechał jakiś samochód; on też się zatrzymał. Herr Wiedler i ja podbiegliśmy do rannego na drodze. Z samochodu, który zatrzymał się za nami, wysiadła jakaś młoda para i pobiegła za nami. Kiedy dotarliśmy do leżącego człowieka, zobaczyliśmy, że jest ubrany w niebieski kombinezon, ale trudno było ocenić, czy to kobieta, czy mężczyzna. I wtedy nagle ta osoba zerwała się na równe nogi. Zobaczyliśmy, że na głowie ma kominiarkę. Myślę, że to był mężczyzna, choć niezbyt wysoki. Mężczyzna w garniturze i modnym płaszczu wyciągnął broń i wycelował w nas. Wszyscy zamarliśmy. Herr Wiedler, ja i tamta młoda para. Nagle z volkswagena wyskoczyło jeszcze dwóch ludzi w niebieskich kombinezonach i z kominiarkami zasłaniającymi twarze. Oni też byli uzbrojeni w pistolety maszynowe. Pamiętam, jak pomyślałem, że tylko jeden terrorysta, ten w garniturze, nie miał kominiarki, i zacząłem mu się dokładnie przyglądać. On to zauważył, rozzłościł się i zaczął krzyczeć, żebym przestał się na niego gapić. Dwaj zamaskowani mężczyźni z volkswagena podbiegli do nas, złapali Herr Wiedlera i zaczęli go ciągnąć w stronę furgonetki, podczas gdy pozostali dwaj stali z bronią wycelowaną w nas. Zrobiłem krok naprzód, ale wtedy mężczyzna w kombinezonie uniósł broń, więc zatrzymałem się i podniosłem ręce. To wszystko, co zrobiłem. Nie wykonałem żadnego innego ruchu, zresztą było już za późno na jakiegokolwiek działanie. Dlatego nie rozumiem, po co do mnie strzelał. Mężczyzna w garniturze powiedział, że znów na niego patrzę, a następna rzecz, jaką pamiętam, to huk wystrzału. Pamiętam, jak pomyślałem wtedy, że używają ślepaków, bo przecież nie mógł chybić z takiej odległości, a ja nie poczułem ani bólu, ani siły uderzenia. Nic. Potem uświadomiłem sobie, że jakaś ciecz spływa mi z boku po nodze. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że krwawię z rany tuż nad biodrem. Odwróciłem się i zacząłem iść w stronę samochodu. Nie potrafiłem myśleć jasno, musiałem być w szoku. Pamiętam, jak myślałem, że muszę dojść do samochodu i usiąść. Wtedy usłyszałem dwa kolejne strzały i wiedziałem, że dostałem w plecy. Nogi

odmówiły mi posłuszeństwa i upadłem twarzą do ziemi. Usłyszałem krzyk tamtej młodej kobiety i pisk opon odjeżdżającej furgonetki z Herr Wiedlerem w środku. Nie widziałem tego, bo leżałem twarzą do ziemi, ale wiem, że tak to musiało wyglądać. Ta para młodych ludzi szybko znalazła się przy mnie. Kobieta pobiegła dalej drogą po pomoc, a mężczyzna został. To było dziwne wrażenie. Leżałem z policzkiem przyciśniętym do nawierzchni ulicy i wydawało mi się wtedy, że jest ona cieplejsza od mnie. Pamiętam, jak pomyślałem, że zawiodłem Herr Wiedlera. Że powinienem być zrobić coś więcej. Potem zacząłem myśleć o swojej żonie Heldze i małej Ingrid oraz Horście, o tym, jak poradzą sobie beze mnie. Poczulem wściekłość i postanowiłem, że nie mogę umrzeć. Leżałem, czekając na przyjazd karetki, i starałem się za wszelką ceną zachować przytomność. Pomagało mi w tym zapamiętywanie każdego szczegółu twarzy człowieka w garniturze. Pomyślałem wtedy, że jeśli go złapią, to znajdą też pozostałych. To były te szczegóły, które opisałem policyjnemu rysownikowi. Kazałem mu bez końca zmieniać portrety. Kiedy pytał mnie, czy udało się wychwycić ogólne podobieństwo, mówiłem, że tak, ale to jeszcze nie koniec pracy. Mówiłem mu, że możemy wiernie oddać postać człowieka, który do mnie strzelał. I rysowaliśmy od nowa. Kiedy skończyliśmy, to nie była już impresja artysty. To był prawdziwy portret. Będę przykuty do tego wózka do końca życia. Przez ostatnie dwa miesiące zastanawiałem się, co ludzie chcą osiągnąć, stosując przemoc. Nazywają to rewolucją, buntem. Ale buntem przeciwko czemu? Nadejdzie czas na mój rachunek sumienia. Może wcześniej umrę, ale ta taśma i portret pamięciowy człowieka, który do mnie strzelał, są moim zeznaniem.

Fabel wcisnął guzik „stop”. Teraz rozumiał, dlaczego Ingrid Fischmann tak bardzo chciała poznać prawdę. Głos z taśmy sprawił, że Fabel czuł się w obowiązku odnaleźć ludzi, którzy porwali i zamordowali Thorstena Wiedlera i skazali Ralfa Fischmanna na życie w wózku inwalidzkim. Nie próbował sobie nawet wyobrazić, jaką presję musiała odczuwać Ingrid,

córka Fischmanna.

Przekartkował dokumenty w poszukiwaniu portretu pamięciowego. Znalazł go. Poczul, że włosy jeżą mu się na głowie. Ralf Fischmann mówił prawdę; pomógł policyjnemu rysownikowi stworzyć coś więcej niż zwyczajny, dość ogólny zarys postaci. To był prawdziwy portret.

Fabel przyglądał się bardzo realistycznej twarzy bardzo realnej osoby. Twarzy, którą rozpoznawał.

– Teraz rozumiem, bydlaku – powiedział na głos. – Teraz rozumiem, dlaczego nie chciałeś się nigdy fotografować. Wszyscy pozostali mieli zasłonięte twarze, ty byłeś jedynym, którego twarz widziano.

Fabel odłożył portret młodego Güntera Griebla na biurko, wstał z krzesła i otworzył na oścież drzwi swojego gabinetu.

13.20, komenda policji, Hamburg

Werner zebrał cały zespół w głównej sali konferencyjnej. Fabel poprosił o zorganizowanie tej narady, chciał bowiem podzielić się ze wszystkimi swoim odkryciem dotyczącym Güntera Griebla. Teraz było już jasne, że wszystkie ofiary były członkami grupy terrorystycznej Czerwonego Franza Mühlhausa, Zmartwychwstałych. Za bardziej niż prawdopodobne uznał też, że wszystkie ofiary były zamieszane w porwanie i zamordowanie Thorstena Wiedlera. Żył przekonanie, że motywem ostatnich zabójstw było właśnie tamto wydarzenie. Tyle że osoba, która miała powód, by dokonać tych morderstw, Ingrid Fischmann, nie żyła. Wspominała wcześniej o bracie. Fabel postanowił zlecić komuś odnalezienie tego brata i ustalenie jego alibi na czas wszystkich zbrodni.

Większości członków ekipy wydziału zabójstw, podobnie jak Fablowi, dokuczał brak snu, a mimo to wyglądali tak, jakby nagle całe zmęczenie ich opuściło. Siedzieli wyczekująco wokół stołu konferencyjnego z wiśniowego drewna, a z tablicy spoglądał na nich rząd oskałpowanych nieboszczyków –

Hauser, Griebel, Schüler i Scheibe. Nie zdążyli jeszcze zdobyć fotografii ostatniej ofiary Beate Brandt, ale Werner dopisał jej nazwisko obok pozostałych, w miejscu przygotowanym dla niej pomiędzy martwymi, jak w świeżo wykopanym, ale jeszcze pustym grobie. Znad rzędu ofiar przewiercał spojrzeniem ze starej policyjnej fotografii Czerwony Franz Mühlhaus.

– Co macie? – Fabel usiadł przy końcu stołu, najbliżej drzwi i potarł nasadą dłoni oczy, próbując odegnać zmęczenie.

Wstała Anna Wolff.

– Zaczniemy od tego, że zaalarmowano nas o zaginięciu pewnej osoby. Zgłoszono zaginięcie Corneliusa Tamma.

– Tego piosenkarza? – zapytał Fabel.

– Tego samego. Ale on chyba nie jest z mojej epoki. Zainteresowaliśmy się tym zgłoszeniem, bo jest rówieśnikiem pozostałych ofiar. Ślad po nim zaginął trzy dni temu, po koncercie w Altonie. Nie odnaleziono także jego furgonetki.

– Kto się zajmuje tą sprawą? – zapytał Fabel.

– Mam ekipę – odparła Maria Klee. Wyglądała na tak samo zmęczoną jak Fabel. – Kilku policjantów, których nam przydzielono. Powiedziałam im, że najprawdopodobniej szukają kolejnej ofiary.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Fabel. – Sprawiasz wrażenie skonanej.

– Wszystko w porządku... po prostu boli mnie głowa.

– Co jeszcze mamy? – Fabel zwrócił się ponownie do Anny.

– Próbujemy rozgryźć, o co w tym wszystkim chodzi. – Anna Wolff uśmiechnęła się. – Czyżby Czerwony Franz Mühlhaus, prawdopodobnie od dwudziestu lat martwy, wstał z grobu? Cóż, może i tak. Sprawdziłam wszystkie dokumenty na jego temat i doniesienia mediów z tamtych czasów. – Anna przerwała i przekartkowała plik dokumentów leżących przed nią na stole. – Może Czerwony Franz powrócił, żeby dokonać zemsty. W postaci swojego syna. Mühlhaus nie był sam wtedy na peronie w Nordenham. Była z nim jego długoletnia przyjaciółka Michaela Schwenn i ich dziesięcioletni syn. Chłopiec wszystko widział. Patrzył, jak umierają jego rodzice.

Fabel poczuł mrowienie, ale powiedział:

– To nie znaczy, że jego syn się teraz mści.

– Według relacji oficerów z GSG9 ostatnie słowo Mühlhausa brzmiało „zdrajcy”. Te morderstwa nie są dziełem pozbawionego motywu szaleńca, szefie. To jest zemsta. Krwawa waśń. – Anna ponownie przerwała swój wywód. W kącikach jej ust tlił się ledwie zauważalny uśmiezek.

– Okej... – Fabel westchnął. – Posłuchajmy tych rewelacji...

Anna uśmiechnęła się teraz szeroko. Wskazała czarno-białą fotografię Mühlhausa wiszącą na tablicy.

– To ciekawe, jak niektóre obrazy stają się prawdziwymi ikonami. Jak automatycznie kojarzymy obraz z osobą, a osobę z czasem, miejscem, jakąś ideą...

Fabel skrzywił się zniecierpliwiony i Anna przeszła do rzeczy.

– Pamiętam, jakim szokiem była dla mnie fotografia Ulrike Meinhof z czasów, zanim stała się ubraną w dzinsy terrorystką o kudłatej fryzurze. Na tamtym zdjęciu jest z mężem na torze wyścigowym. Ubrana jak typowa, skromna gospodyni domowa z lat sześćdziesiątych. Zanim się zradyzalizowała. To mi dało do myślenia i zaczęłam szukać innych fotografii Mühlhausa. Sami wiecie, że niełatwo o nie. To zdjęcie, które mamy, jest powszechnie znane; zostało wykorzystane w liście gończym z lat osiemdziesiątych. Jest czarno-białe, ale widzicie sami, że Mühlhaus ma tu bardzo ciemne włosy. Właściwie czarne. I wtedy przypomniałam sobie o zdjęciu Andreasa Baadera zrobionym w chwili jego aresztowania w siedemdziesiątym drugim. Ufarbował sobie czarne włosy na popielaty blond.

Anna wyjęła dużą błyszczącą fotografię i przypięła ją do tablicy obok policyjnego zdjęcia. Ta fotografia była kolorowa. Przedstawiała młodego Franza Mühlhausa bez charakterystycznej koziej bródki. Ale jedna cecha jego wyglądu była bardzo widoczna. Włosy. Na zdjęciu z listu gończego Mühlhaus miał włosy gładko zaczesane do tyłu, a na tej drugiej zasłaniały czoło i okalały twarz grubymi, poskręcanymi puklami. Poza tym były rude. Bujna czerwień połyskiwała złocistym odcieniem.

– Przydomek Czerwony Franz nie odnosił się do jego poglądów politycznych. Chodziło o włosy. – Anna postukała

palcem w czarno-białe zdjęcie i utkwiała spojrzenie w Fablu. – Widzicie? Kiedy był ścigany, przefarbował jaskraworude włosy na czarno. BKA dostała informację, że zmienił kolor włosów, i odpowiednio poprawiła zdjęcie. Ale jest coś jeszcze... Syn Mühlhausea miał taki sam charakterystyczny kolor włosów. Jego włosy ojciec też przefarbował.

Kiedy Anna skończyła, zapadła cisza. W końcu Werner powiedział głośno to, o czym wszyscy myśleli.

– Jasna cholera. Te skalpy i ten farbowany włos... – Odwrócił się do Fabla. – Masz swój symbolizm.

– Czy wiemy, co się stało z jego synem? – zapytał Fabel Annę.

– Opieka społeczna nie ujawni dokumentów, póki nie zdobędziemy nakazu. Już nad tym pracuję.

Fabel wpatrywał się w fotografię młodego Mühlhausea. Musiał mieć wtedy około dwudziestu lat. Zdjęcie było z całą pewnością amatorskie, zrobione na zewnątrz latem, w pełnym słońcu. Beztroska, szczęśliwa młodość. Nic w tej twarzy nie wskazywało na przyszłość pełną zbrodni i przemocy. Tak samo jak na fotografii Ulrike Meinhof, o której wspomniała Anna. Tego rodzaju zdjęcia zawsze fascynowały Fabla; każdy miał jakąś przeszłość. Każdy był kiedyś kimś innym.

Uwagę Fabla przykuły lśniące czerwienią i złotem włosy. Widział już takie wcześniej. Widział je zaledwie kilka godzin temu.

– Anno... – obrócił się w kierunku stołu.

– Tak, szefie?

– Sprawdź pilnie przeszłość Beate Brandt. Muszę wiedzieć, co łączyło ją z Franzem Mühlhausem. – Fabel zwrócił się z kolei do Wenera. – A ty sprawdź adres, który podał nam Franz Brandt. Chyba będziemy musieli z nim jeszcze raz porozmawiać.

W tej samej chwili zadzwonił telefon komórkowy Fabla. To był Frank Grüber, który kierował pracą ekipy kryminalistycznej w domu Beate Brandt.

– Domyślam się, że znalazłeś kolejny włos – powiedział Fabel.

– Znalazłem – odparł Grüber. – Nasz przyjaciel robi się poetycki. Położył go na poduszce obok jej ciała. Ale to nie

wszystko. Przeszukaliśmy cały dom, żeby sprawdzić, czy zabójca nie popełnił jakiegoś błędu.

– I?

– I znaleźliśmy coś w szufladzie biurka stojącego w pokoju jej syna. Wygląda na to, że przechowywano w niej materiały wybuchowe.

14.10, okręg Eimsbittel, Hamburg

Kiedy pędzili przez Hamburg pod adres w Eimsbittel, który podał Wernerowi Franz Brandt, Fabelowi wszystko zaczęło się układać w głowie.

Brandt był opanowany. Bardzo opanowany. W trakcie przesłuchania Brandt zapytał Fabela, dlaczego zabójca farbował włosy na czerwono. Znał powód, ale użył udawanej rozpacz jako kamuflażu, żeby wypytać przesłuchującego, co policja wie na temat motywów tych zabójstw. Co więcej, siedział obok plakatu przedstawiającego Rudowłosego Franza z bagien i opowiadał, że tak go przezywali koledzy na studiach.

Wszystko pasowało: te same włosy, ten sam zawód, nawet imię. Pasował też wiek. Fabel podejrzewał, że Beate Brandt przygarnęła dziesięcioletniego Franza po tym, jak jego ojciec i prawdziwa matka zginęli w strzelaninie na peronie dworca w Nordenham. Być może Beate miała poczucie winy. Na pewno brała udział w tej „zdradzie” i dlatego Franz, choć był jej przybranym synem, dokonał na niej tego samego rytuału wymierzenia sprawiedliwości.

Zatrzymali się przed barierką, którą MEK odgrodził wjazd na ulicę. Fabel od razu poprosił antyterrorystów o wsparcie. Często zastanawiał się, czy istnieje jakaś wyraźna różnica pomiędzy terrorystą a seryjnym mordercą. Jeden i drugi zabijał masowo, jednym i drugim kierowała jakaś abstrakcyjna, trudna do zrozumienia przez innych idea. Tymczasem Brandt jak nikt inny zacierał różnice pomiędzy terrorystą a seryjnym mordercą. Swoich motywowanych zemstą zbrodni dokonywał z rytualnym symbolizmem prawdziwego psychopaty, ale

skomplikowane w konstrukcji bomby podkładał z zimnym wyrachowaniem. A kiedy zadzwonił do Fabela i powiedział mu o bombie podłożonej w samochodzie, skorzystał z urządzenia zniekształcającego głos, obawiając się, że Fabel rozpozna go po wcześniejszej krótkiej rozmowie na wykopaliskach w HafenCity.

Pod adresem podanym przez Franza Brandta stała czteropiętrowa kamienica z wejściem wprost z ulicy, co wykluczało zaskoczenie przy wkraczaniu do mieszkania.

– Niech pańscy ludzie nas osłaniają – polecił Fabel dowódcy oddziału MEK. – Ten facet jeszcze nie wie, że go podejrzewamy, a ja mam poważne powody, żeby go przesłuchać w sprawie śmierci jego matki. Ja z dwójką moich ludzi idę pod jego drzwi.

– Biorąc pod uwagę to, co pan opowiadał o tym człowieku, odradzałbym – odparł dowódca MEK. – Zwłaszcza jeśli jest tak dobrze wyszkolony we wszystkim jak w zakładaniu ładunków wybuchowych. Skontaktowałem się z saperami, już tu jadą. Proponuję, żeby na nich poczekać, a potem do środka wejdą moi ludzie.

Fabel już chciał zaprotestować, ale dowódca uciął dyskusję.

– Może pan iść ze swoimi ludźmi za mną, ale jeśli zdecyduje się pan pójść tam sam, pańscy ludzie mogą zginąć.

To oświadczenie dowódcy poruszyło Fablem. Taka sytuacja już kiedyś zaistniała, ścigał niebezpiecznego bandytę i kosztowało to życie dwójga policjantów.

– Zgoda. – Westchnął. – Ale muszę go mieć żywego.

Dowódca spochmurniał.

– Taki jest nasz cel, panie nadkomisarzu. Zawsze. Ale ta osoba to z całą pewnością dobrze wyszkolony terrorysta. Nie będzie to łatwe.

Fabel, Maria, Werner, Anna i Henk otrzymali kamizelki kuloodporne i ruszyli wzdłuż ściany budynku za czterema

oficerami MEK i specjalistą od rozbrajania bomb. Posuwali się szybko, z nisko pochylonymi głowami, tuż przy ścianie. Kiedy znaleźli się w środku, dowódca gestem ręki dał znak, że Fabel i jego ludzie mają pozostać na klatce schodowej, a antyterrorysty weszli po schodach na górę. Nadkomisarz nie mógł się nadziwić, jak tak dobrze zbudowani i uzbrojeni po zęby ludzie są w stanie poruszać się tak cicho.

Panowała ciężka, pełna wyczekiwania cisza, nagle rozdarta przez huk wyważanych drzwi. Z góry dobiegały krzyki antyterrorystów. I znów zapadła cisza. Fabel dał znak i jego ludzie ruszyli za nim po schodach. Zatrzymali się u szczytu. W drzwiach mieszkania pojawiła się postać dowódcy MEK.

– Czysto. Ale zaczekajcie tutaj, saperzy muszą sprawdzić mieszkanie.

U szczytu schodów minął ich drugi saper i wpadł do mieszkania.

– Do diabła z taką robotą – warknął Fabel. – Brandt nie wie, że chcemy go dopaść, a to jest mieszkanie jego dziewczyny. Nie podłożył tu bomby. Wchodzę do środka. – Wbiegł po dwa stopnie i wpadł do mieszkania za saperem, nie zważając na protesty dowódcy. Werner wrzucił ramionami i podążył za swoim szefem, a za nim Maria, Anna i Henk.

Mieszkanie było niewielkie; meble i całe wyposażenie świadczyły, że mieszkała tu kobieta. Fabel podejrzewał, że Brandt nie spędzał tu dużo czasu. Podobnie rzadko bywał w swoim pokoju w domu matki. Przez głowę przemknęła mu myśl, że być może młody archeolog miał jakieś inne lokum, kryjówkę, o której nic nie wiedzieli. Trudno było znaleźć w tym mieszkaniu jakiś punkt zaczepienia. Już na pierwszy rzut oka Fabel stwierdził, że przeszukanie mieszkania nie przyniesie niczego nowego, choć mimo wszystko zamierzał przysłać tu ekipę kryminalistyczną, gdy tylko skończy się to całe zamieszanie.

Zadzwoił telefon komórkowy Marii. W panującym w mieszkaniu rozgardiaszu nie mogła dosłyszeć swojego rozmówcy, wyszła więc na klatkę schodową.

Była to jedna z takich chwil, kiedy w głowie nagle zaczynają

się kłębić tysiące myśli naraz. A zaczęło się od tego, że jeden z saperów, odwrócony plecami do pozostałych policjantów, uniósł rękę i krzyknął: „Cisza!”.

I wtedy Fabel też to usłyszał. Pikający dźwięk. Drugi saper podszedł do pierwszego, zdjął hełm i nadstawił ucha. W jednej chwili wszyscy odwrócili się i wbili wzrok w saperów.

Leżało na odtwarzaczu CD. Na pierwszy rzut oka wyglądało jak jakiś kolejny sprzęt audio – nieduże, szare, metalowe pudełko z czerwoną diodą migającą w takt pikania.

Fabel stał jak zahipnotyzowany ze wzrokiem utkwionym w migającą diodę i zastanawiał się, co tu jeszcze robi, zamiast uciekać.

Nagle pikanie zmieniło się w jednostajny dźwięk, a czerwona dioda przestała migać i jarzyła się teraz równomiernie.

14.20, okręg Eimsbittel, Hamburg

Kiedy Maria Klee wróciła do mieszkania, z telefonem wciąż w dłoni, twarze wszystkich wydały jej się pozbawione nie tylko naturalnej barwy, ale także wyrazu.

– Coś mnie ominęło? – zapytała.

– Nie do końca – odpowiedział Fabel. – Myślę, że wszystkich nas coś ominęło.

Saper stał z szarym metalowym pudełkiem w rękach. Z pudełka zwisały pourywane przewody. Kiedy dioda przestała migać i zapaliła się na stałe, rzucił się i po prostu wyszarpnął detonator.

– Nie miałem nic do stracenia – wyjaśnił później. Jego kolega zdejmował teraz ostrożnie z półki odtwarzacz i wzmacniacz.

– Mam ją – odezwał się, wyjmując zza sprzętu małą opakowaną w plastik paczkę. – Jest bezpieczna.

– Dobra robota – pochwalił Fabel. – Gdyby nie zareagował pan tak szybko...

Saper potrząsnął przecząco głową.

– Żadna zasługa. Działalem pod wpływem impulsu. Nie zdążyłbym odłączyć zapalnika na czas. To zapalnik z jakiegoś

powodu nie zadziałał. Musiał mieć jakiś defekt. Nie sądzę, żeby przewody były poluzowane. Rozbrajałem bombę pod pańskim samochodem i wiem, że ten facet jest wyjątkowo skrupulatny.

Drugi saper ostrożnie przełożył paczkę do grubościennego pojemnika.

– Wielkość ładunku jest wystarczająca do zabicia każdej osoby w mieszkaniu, ale eksplozja nie naruszyłaby konstrukcji budynku. Tyle że stąd do Buxtehude wyleciałyby wszystkie szyby z okien.

– Rzeczywiście coś mnie ominęło – powiedziała Maria.

– Kto dzwonił? – zapytał Fabel.

– Ach... to był Frank. To znaczy Frank Grüber. Wrócił z domu matki Brandta. Zebrał w sypialni Brandta trochę włosów. Ze szczotki. Przeprowadził analizę porównawczą DNA włosów Brandta i tych starych, znalezionych przy ofiarach.

– I?

– Analiza wykazała dostateczną ilość wspólnych markerów, by podejrzewać bliskie pokrewieństwo. Prawdopodobnie na linii ojciec-syn. Wygląda na to, że znaleźliśmy Czerwonego Franza juniora.

Kiedy mija sytuacja zagrożenia, pojawia się uczucie znużenia. Krążąca w żyłach adrenalina wysysa z człowieka resztki energii. Mięśnie, do tej pory napięte jak struna, zaczynają boleć, a całe ciało ogarnia doprowadzające do mdłości wyczerpanie. Wracając do samochodu, Fabel czuł się całkiem wypluty.

Na fotelu pasażera usadowił swoje zwaliste ciało Werner. Obaj mężczyźni siedzieli przez chwilę w milczeniu.

– Chyba jestem już na to za stary – odezwał się w końcu. – Naprawdę myślałem, że już po nas. Nigdy w życiu tak się nie bałem.

Fabel westchnął.

– A ja, niestety, tak. To już trzecia bomba w mojej karierze. Mam dość. Zawsze chciałem chronić innych ludzi. Dla mnie bycie policjantem oznacza odgradzanie zwykłego człowieka, mężczyznę, kobietę czy dziecko, od niebezpieczeństwa. Wiele

lat temu, kiedy byłem jeszcze z Renate, a Gabi była mała, poleciliśmy na urlop do Stanów Zjednoczonych. Do Nowego Jorku. Pamiętam, jak zobaczyłem samochód nowojorskiej policji. Na drzwiach miał napis „Chronić i służyć”. Pomyślałem wtedy, że taki sam powinniśmy umieścić na radiowozach w Hamburgu. Pomyślałem też: to właśnie robię, to mnie określa.

– To był cholernie długi dzień – odezwał się Werner. – Pozwól, że ja poprowadzę. Odwiozę cię do domu.

– Co my tu robimy, Werner? Jakiś szaleniec bierze odwet na ludziach, którzy dwadzieścia lat temu planowali zabijanie innych. Musisz przyznać, że działa tu jakiś rodzaj naturalnej sprawiedliwości. Przez tych palantów o mało nie rozleciał się nasz kraj. Do tej pory mam w sobie odłamki pocisku wystrzelonego przez osiemnastoletnią dziewczynę. I po co to wszystko? Co zyskano na śmierci Franza Webera? Co zyskano na tym, że odstrzeliłem głowę dziewczynie, która powinna myśleć o chłopcach i o tym, w co się ubrać na dyskotekę? Teraz miałyby trzydzieści osiem lat. Gdybym jej nie zabił. Gdyby nie zatrul jej swoim jadem Svensson, odprowadzałyby pewnie teraz dzieci do szkoły. Chodziłaby trzy razy w tygodniu na siłownię, żeby zgubić zbędne kilogramy. I może, od czasu do czasu, pomyślałaby: jaka ja byłam głupia za młodu? Co mi chodziło po głowie? Miałyby dzieci, Werner. Zniknęło całe pokolenie tylko dlatego, że nacisnąłem na spust.

– Taka jest nasza rola, Janie – odparł Werner. – Gdyby nie było cię tam w czasie napadu na bank, zginąłby ktoś inny. Może dużo więcej ludzi.

– Muszę rozpocząć nowe życie, Werner. Z dala od tego wszystkiego. Powiedziałem już van Heidenowi, że to moje ostatnie śledztwo. Mam dość. Odejdę, kiedy tylko ten bydlak znajdzie się za kratami. Dawny kolega szkolny zaproponował mi pracę. Zamierzam przyjąć ofertę.

– Chyba nie mówisz poważnie. Nigdy nie mielibyśmy takiej wykrywalności, gdyby nie ty. A jeśli chodzi o to twoje gadanie o śmierci, pamiętaj, że zamykając każdego kolejnego mordercę, ratujesz Bóg jeden wie ile ludzkich istnień.

– Może masz rację, Werner, ale pora, żeby zajął się tym ktoś inny. – Fabel uśmiechnął się smutnym, zmęczonym uśmiechem. – Już się oswoiłem z tą myślą. No dobrze, a teraz wracajmy do komendy. Najpierw muszę skończyć swoją robotę.

Kiedy Fabel przekręcał kluczyk w stacyjce, poczuł na ramieniu ciężką dłoń Wenera. Obrócił głowę; Werner siedział jak zahipnotyzowany i wpatrywał się w coś przez przednią szybę.

– Powiedz mi, że to złudzenie – powiedział Werner, wskazując ruchem głowy policyjny kordon.

Fabel podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Jakaś młoda para wyklócała się z policjantem. Mężczyzna wskazywał ręką kamienicę.

Fabel i Werner jednocześnie otworzyli drzwi i ruszyli biegiem w stronę kłócącego się z policjantem Franza Brandta.

21.30, komenda policji, Hamburg

Przesłuchanie Franza Brandta prowadził Fabel. Anna i Henk zabrali jego dziewczynę Lisę Schubert do drugiego pokoju przesłuchań. Franz Brandt odpowiadał na pytania Fabla z niedowierzaniem, potem z rozpaczą, a w końcu ze złością. Zaklinał się, że nic nie wie o bombie w mieszkaniu Lisy Schubert, i sprawiał wrażenie coraz bardziej rozsierdzonego sugestiami, że mógłby mieć cokolwiek wspólnego ze śmiercią swojej matki. Fabel przerwał przesłuchanie, odesłał Brandta do celi i dowiedział się od Anny i Henka, że Lisa Schubert zeznaje podobnie. Wydawała się nawet lekko zaszokowana całą tą sytuacją.

Fablowi nie podobało się to wszystko. Brandt podczas prowadzonej przez Fabla kampanii zachowywał się rozsądnie i uważnie. Cały czas był jakby o krok z przodu. Taka bezmyślna strategia zaprzeczania wszystkiemu nie pasowała do niego. Ale z drugiej strony musiał być szalony, skoro popełniał tego rodzaju zbrodnie.

Fabel wrócił do swojego gabinetu. Wcześniej odesłał Marię do domu; zaczynała wyglądać naprawdę źle, a jej ból głowy nie ustępował. Na posterunku zostali Anna i Henk. Wreszcie wydano nakaz i Anna otrzymała kody i hasła dostępu do danych opieki społecznej. Chcieli tylko ustalić, że Franz Brandt to ten sam dziesięcioletni chłopiec, który widział, jak Czerwony Franz umiera na dworcu w Nordenham. Chłopiec, który słyszał słowa wypowiedziane przez swojego ojca przed śmiercią, wzywające do zemsty za zdradę. Kiedy przesłuchanie zakończyło się na dobre, Fabel powiedział Wernerowi, że może już jechać do domu odpocząć, ale on ma jeszcze coś do zrobienia w komendzie.

Fabel wyjął z szuflady dokumenty otrzymane od Ingrid Fischmann i położył je na biurku z westchnieniem człowieka, który musi jeszcze raz przebrnąć przez znane już fakty w poszukiwaniu odpowiedzi.

21.30, dzielnica Osdorf, Hamburg

Grüber dał Marii dwie tabletki kodeiny, a potem poszedł pod prysznic.

To, co początkowo było tylko nieokreślonym bliżej bólem głowy, przerodziło się w silną migrenę objawiającą się bezlitosnym bólem oczu. Zwykle była przeciwna zażywaniu tabletek, surowe luterańskie wychowanie podpowiadało jej, że lepiej pozostawić to siłom natury. Ale sama woda i północnoniemiecki purytanizm to było za mało, żeby zaradzić bólowi. Wyjęła więc szklanę z kuchennej szafki i napełniła ją wodą. Kiedy wracała do salonu, szklanka wysliznęła jej się z rąk i rozbija się o terakotową posadzkę. Maria zaklęła i rozejrzała się za szufelką i miotełką. Znalazła je w szafce pod zlewozmywakiem, tam gdzie Grüber trzymał wszystkie środki czystości.

Jej uwagę zwrócił pojemnik wepchnięty w głąb szafki, najdalej od drzwiczek. Uznała, że został w dziwny sposób umieszczony w najmniej widocznym i najtrudniej dostępnym

miejscu. Uklęła na twardej ceramicznej podłodze i zanurzyła głowę we wnętrzu szafki, starając się dosięgnąć pojemnika.

Farba do włosów.

To był najbardziej szalony wniosek, jaki mogła wysnuć i tylko przemknął on jej przez myśl. Wyobraziła sobie wszystkie miejsca zbrodni i skalpy pofarbowane na czerwono. A także Grübera stojącego w swoim kombinezonie z butelką farby do włosów. Wizja zniknęła. Była szalona. Co mogłoby łączyć Franka z ofiarami? Ponownie spojrzała na plastikową butelkę. Głęboka czerń, nie rudy. Westchnęła i już odstawiła butelkę na miejsce, ale nagle zawahała się i spojrzała na nią jeszcze raz. To kolor włosów Franka. Głęboka czerń. Czyżby Frank farbował włosy?

Maria odstawiła butelkę z powrotem na miejsce, etykietą w tył, tak jak ją znalazła i zasłoniła ją innymi pojemnikami. Uśmiechnęła się na myśl o próżności swojego partnera. Dlaczego farbował włosy? Czyżby zaczął przedwcześnie siwieć? Maria widziała zdjęcia jego rodziców, którzy mieli tak samo czarne włosy jak Grüber i na pewno nie osiwieli przed czasem. Chyba że oboje też stosowali farbę. Jeszcze chwilę wpatrywała się pojemnik z farbą. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ten mały sekret budzi w niej aż tak duży niepokój. Buteleczka była starannie ukryta. Może należała do poprzedniej przyjaciółki Franka. Ale dlaczego ją tam ukrył, zamiast po prostu wyrzucić?

Maria podniosła się, a pod jej stopą zachrząścił kawałek rozbitego szkła. Kiedy się odwróciła, stał tam. Stał blisko. Zbyt blisko. Stał w tym samym miejscu co Witrenko w jej snach. Jego oczy miały zupełnie inny kolor i kształt, ale po raz pierwszy w życiu Maria dostrzegła w nich to samo pozbawione emocji, bezwzględne okrucieństwo.

Zrozumiała. Uśmiechnęła się do Grübera.

– Nie zauważyłam cię – powiedziała lekkim tonem. – Przestraszyłeś mnie. – Mimo to wiedziała.

Frank Grüber odpowiedział zimnym, beznamiętnym uśmiechem. Wyciągnął rękę i odsunął z czoła Marii kosmyk blond włosów.

– Pamiętasz, kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy? – zapytał.

Maria skinęła głową.

– Zajmowałeś się zwłokami w Sternschanzen Park. Fabel wyjechał i ja prowadziłam śledztwo... – Maria ponownie się uśmiechnęła. Starła się wyglądać na rozluźnioną. Bronń zostawiła w przedpokoju na wieszaku. Wieszaku, który był antykiem jak większość mebli w tym domu. Wszystko tu przypominało o przeszłości.

– Zgadza się. – Grüber wciąż gładził jej włosy, policzki. Miał nieobecne spojrzenie. – Pamiętam, kiedy cię ujrzałem po raz pierwszy. Poznałem cię w jednej chwili, każdy szczegół twojego wyglądu, każdy twój gest. Tak jakbym cię rozpoznał. Jakbyśmy znali się już wcześniej, tylko nie wiadomo skąd. Czulaś to samo? W pierwszym momencie Marii przyszło do głowy, żeby skłamać, ale ostatecznie tylko wzruszyła ramionami. Próbowwała ocenić odległość dzielącą ją od drzwi i od wieszaka w przedpokoju, a także czas potrzebny na wyjęcie z kabury broni i odbezpieczenie jej. Jeśli trafi...

Grüber uśmiechnął się. Wyciągnął zza pleców rękę, w której trzymał pistolet Marii i przytknął lufę do jej podbródka.

– Kocham cię, Mario. Nie chcę cię skrzywdzić, ale jeśli będę musiał, zrobię to. To oznaczałoby, że musielibyśmy poczekać do kolejnego wcielenia, żeby się znowu spotkać.

Maria odchyliła głowę do tyłu, ale Grüber położył dłoń na jej karku i ponownie przycisnął wylot lufy do jej szyi.

– Nie próbuj robić niczego głupiego, Mario. Jestem gotów zabić nas oboje. Proszę, nie zmuszaj mnie do tego. Już kiedyś umarliśmy razem. Dawno, dawno temu, na peronie dworca kolejowego. Ale teraz to nie jest nasz czas. Jeszcze nie.

– Dlaczego, Frank? Dlaczego zabiłeś tych wszystkich ludzi?

Grüber uśmiechnął się.

– Chodź, Mario. Do tej pory nie widziałaś całego domu.

21.45, komenda policji, Hamburg

Anna Wolff przeciągnęła się i potarła oczy. Musiała chwilę odpocząć od ekranu komputera. Ostatnią godzinę spędziła na

przeoglądaniu dokumentacji opieki społecznej, szukając informacji, gdzie i kiedy Beate Brandt adoptowała Franza. Nie znalazła żadnego śladu. Wyszła na korytarz i naląła sobie kawy z automatu. Minęła ją grupka oficerów z wydziału zabójstw; porozmawiała z nimi przez chwilę, nie mając ochoty wracać do komputera i nieskończenie długiej listy nazwisk.

Wróciła do pokoju w chwili, gdy pojawił się tam Henk.

– Jak ci leci? – zapytał. Anna się skrzywiła.

– Nijak. Nie mogę znaleźć śladu po oddaniu Franza pod opiekę Beate Brandt.

– Bo pewnie zabraliśmy się do tego od niewłaściwej strony. – Henk usiadł na skraju biurka Anny. Na jego twarzy zagościł triumfalny uśmiech. – Chodźmy lepiej do Fabla.

21.55, dzielnica Osdorf, Hamburg

Umysł Marii pracował na najwyższych obrotach. Starła się nie ulegać panice i trzeźwo ocenić swoją sytuację. Grüber kazał jej założyć ręce do tyłu; pewnie chciał ją związać. Wtedy byłaby bezbronna. Miała jednak powody, żeby wierzyć, że mimo bestialskich czynów, których się dopuścił, nie zamierza jej zabić. Nie była w końcu częścią jego planu. Jej nazwisko nie widniało na liście jego ofiar. Z drugiej strony znalazły się na niej osoby, które przypadkowo weszły mu w drogę – Ingrid Fischmann czy Leonard Schüller. Zabił je, mimo że tego nie planował. Schüllera nawet oskalpował i ostentacyjnie powiesił jego skalp na oknie w mieszkaniu Fabla.

Maria przypomniała sobie, jak Grüber zadzwonił do niej, kiedy była w mieszkaniu dziewczyny Brandta. Urządził to tak, żeby wyszła stamtąd, kiedy zdalnie odpali ładunek wybuchowy. Czyli chciał, żeby żyła.

Wykonała polecenie Grübera i złożyła ręce za plecami. On związał jej nadgarstki sznurem. Wiedziała, że musi teraz odłożyć broń na blat kuchenny. W ułamku sekundy oceniła szanse na pozbawienie go równowagi i przechwycenie pistoletu. Ale w tej samej chwili poczuła, jak sznur wrzyna się

w jej skórę.

Grüber chwycił Marię delikatnie za ramię i wyprowadził z kuchni. Przeszli przez korytarz do schodów prowadzących na górę. Pod schodami były niskie drzwi prowadzące do piwnicy, gdzie podobno trzymał pudła z niepotrzebnymi rzeczami. Machnął pistoletem, dając znak, że Maria ma się od niego odsunąć, i sięgnął do kieszeni po klucz. Otworzył drzwi, sięgnął ręką w mrok, namacał włącznik i zapalił światło, a następnie popchnął Marię przed sobą.

Schodząc po schodach, Maria zaczęła robić sobie wyrzuty, że nie wykorzystała szansy, nim związał jej ręce.

22.00, komenda policji, Hamburg

Fabel siedział za biurkiem wpatrzony w fotografię i próbował wydostać z niej jej prawdziwe znaczenie, kiedy zadzwonił telefon. To była Susanne; dzwoniła ze swojego mieszkania. Fabel poczuł się przez chwilę speszony.

– Dobrze się czujesz? – zapytała. – Masz dziwny głos.

– Wszystko w porządku – odpowiedział, nie odrywając oczu od leżącej na biurku fotografii. – Jestem po prostu zmęczony.

– Kiedy będziesz w domu?

– Nie wiem. Jestem zawałony robotą. Pewnie wrócę późno. Nie ma sensu, żebyś na mnie czekała. Zresztą pewnie będzie lepiej, jeśli pojedę dziś do siebie. Przynajmniej cię nie obudzę swoim powrotem.

– Okej... – Fabel usłyszał w jej głosie nutę niepewności. – W takim razie do jutra. Na pewno dobrze się czujesz?

– Na pewno. Nie martw się o mnie. Muszę się tylko trochę przespać. Wracam do pracy... Do zobaczenia jutro.

Fabel odłożył słuchawkę, ale jego dłoń wciąż na niej spoczywała. Przypomniawszy sobie wszystkie podobne rozmowy ze swoją żoną. Nocne telefony z wydziału zabójstw albo z miejsca zbrodni, albo z kostnicy. Nadmiar tych rozmów zachwiały wiernością jego żony i jego małżeństwem.

Tyle że tym razem był wobec Susanne szczery. Miał ważne

powody, by jeszcze nie wracać. Dziś musiał być sam, musiał mieć czas i miejsce, żeby wszystko przemyśleć. Czuł się przytłoczony i tego ciężaru nie można było zrzucić z siebie jednym ruchem. Czuł się, jakby był w gruzowisku, z którego musi się sam powoli wydostać.

Jednym z kawałków tego gruzowiska była fotografia, która leżała przed nim na biurku.

Każdy ma jakąś przeszłość. Każdy był kiedyś kimś innym. Dotarło to do niego, kiedy patrzył na rodzinną fotografię Franza Mühlhausa z czasów, nim stał się terrorystą; kiedy Anna opowiedziała o zdjęciu Ulrike Meinhof tuż po ślubie. O życiu przed życiem, które znamy.

Ostatnie dwie godziny Fabel spędził na przeglądaniu dokumentów przesłanych tuż przed śmiercią przez Ingrid Fischmann. Rozłożył papiery na biurku: wycinki z gazet, wywiady, chronologię wydarzeń, wykresy przedstawiające podziały w łonie grup terrorystycznych, fotokopie książek na temat niemieckiego terroryzmu.

I zdjęcia.

To zdjęcie nie miało nic wspólnego ze śledztwem, które prowadził. Nie miało też nic wspólnego z tym, co przydarzyło się jemu samemu dwadzieścia lat wcześniej. Miało za to wiele wspólnego z czymś zupełnie innym.

Fabel znalazł tę fotografię z doczepioną notką, na samym dnie pliku dokumentów. Pochodziła z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego, czyli z czasów, kiedy *raison d'être* ruchów lewicowych szybko mizerniał. Mur dopiero co runął, a oba państwa niemieckie były jeszcze pełne entuzjazmu i nadziei. To był czas, kiedy świat obserwował, jak miliony ludzi w Europie Wschodniej zrywają się w proteście przeciwko komunistycznej dyktaturze. Dawne lewicowe hasła zaczynały pobrzmiwać pustką. Więcej, stały się żałosne.

Na notce dołączonej do fotografii widniał napis: „Christian Wohlmüt, anarchista z Monachium, podejrzewany o ataki na rządowe i handlowe przedstawicielstwa USA na terenie Republiki Federalnej. Sfotografowany z nieznaną kobietą”.

Nieznaną kobietą. Zdjęcie było niewyraźne i zostało zrobione

z dużej odległości. Dziewczyna, chyba w wieku studenckim, stała po lewej stronie Wohlmuta i nieco z tyłu. Była wysoka, szczupła i miała długie włosy, ale rysy jej twarzy pozostawały niewyraźne. Choć mimo to ktoś, kto ją znał, mógłby ją rozpoznać.

Fabel przeczytał dokumenty na temat Wohlmuta. To już były ostatnie podrygi dogorywającego ruchu. Wohlmut utworzył grupę, która w końcu się rozpadła, ale wcześniej podłożyła kilka niechlujnie skonstruowanych bomb pod amerykańskie cele. Wysłana w paczce bomba urwała palce prawej ręki dziewiętnastoletniej sekretarce zatrudnionej w amerykańskiej firmie naftowej. Wohlmut został schwytany i spędził trzy lata w więzieniu.

Fabel przyjrzał się jeszcze raz wysokiej dziewczynie z długimi ciemnymi włosami. Wohlmut mówił coś do jakiejś osoby poza kadrem, a stojąca obok niego dziewczyna uważnie go słuchała z przekrzywioną lekko głową.

Każdy ma jakąś przeszłość. Każdy był kiedyś kimś innym. Rozległo się pukanie do drzwi i Fabel schował zdjęcie pod plikiem papierów.

Weszli Anna i Henk.

22.00, dzielnica Osdorf, Hamburg

W piwnicy Grübera nie stały żadne pudła. Nie panował tam bałagan.

Piwnica była przestronna, nieproporcjonalnie duża w stosunku do wąskich drzwi, które do niej prowadziły. Maria omiotła spojrzeniem ściany, szukając jakiegoś okna lub drzwi, które wychodziłyby bezpośrednio na zewnątrz. Wiedziała jednak, że piwnica jest zbyt głęboka.

Piwnica miała zaskakującą wysokość, mniej niż dwa metry, i służyła Grüberowi jako miejsce pracy. Pod ścianami stały stoły warsztatowe z narzędziami i maszynami, regały na książki i metalowe szafki narzędziowe. Słyszała jednostajny metaliczny warkot i na jednej ze ścian zauważyła zawieszoną dużą

skrzynkę z obracającym się śmigłem wentylatora. Maria podejrzewała, że zainstalował tu jakiś system utrzymujący stałą temperaturę i wilgotność. Przestrzeń piwnicy łamały grube kwadratowe filary wspierające konstrukcję budynku. Stojące pośrodku cztery filary tworzyły narożniki pomieszczenia ze ścianami z grubej plastikowej folii. Maria poczuła narastający strach. Było jasne, że to pomieszczenie wydzielono w jakimś konkretnym celu, i odniosła wrażenie, że jego przeznaczenie ma ścisły związek z jej najbliższą przeszłością.

Grüber zdawał się wyczuwać jej strach. Zmarszczył czoło, a jego mina wyrażała jednocześnie złość i smutek. Poglaskał ją po policzku.

– Nie zamierzam cię skrzywdzić, Mario – powiedział. – Nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy. Nie jestem psychopatą. Nie zabijam bez powodu. Powinnaś to już wiedzieć. Otrzymałem dar widzenia przez zasłonę oddzielającą jedno życie od drugiego. I dlatego bardziej cenię każde życie. Ci, którzy zginęli... zasłużyli na to. Ale nie ty. I nie Fabel. Dlatego nie zdetonowałem bomby w jego samochodzie. Widzisz, wszyscy jesteśmy ze sobą związani. W każdym kolejnym życiu spotykamy się ponownie, by zakończyć to, czego nie skończyliśmy w poprzednim wcieleniu. Ty, ja, Fabel byliśmy tu już wcześniej i będziemy znowu w przyszłości. Nie martw się, Mario, nie skrzywdzę cię. Nie mogę tylko pozwolić, żebyś mi przeszkodziła w tym, co muszę dziś zrobić. Dziś moja zemsta będzie kompletna.

– Frank... – odezwała się Maria. – Dość zabijania. Niech to już się skończy. Zaopiekuję się tobą. Pomogę ci.

Grüber znów się uśmiechnął do niej.

– Kochana Maria. Ty nic nie rozumiesz, prawda? Wszystko, czego się w życiu nauczyłem, wszystkie umiejętności, jakie zdobyłem, służą temu, żeby zakończyć dziś to, co musi zostać zakończone. – Wziął ją za rękę i poprowadził w kierunku grubej płachty plastiku.

– Dam ci przykład tego, o czym mówię. Widziałaś rekonstrukcję twarzy, nad którą pracuję. Widziałaś, jak nakładam kolejne warstwy mięśni, tkanek, skóry. Odtwarzam

tożsamość. Ale potrafię też robić rzeczy odwrotne – usuwać kolejne warstwy. Niszczyć tożsamość...

Grüber rozsunął plastikową zasłonę. Maria usłyszała przeraźliwy dźwięk wypełniający przestrzeń piwnicy i zrozumiała, że to jej krzyk.

22.03, komenda policji, Hamburg

– Henk coś znalazł – powiedziała Anna.

– Okej... – odparł Fabel, siadając wygodnie w krześle. – Zobaczmy, co to takiego...

– Tak jak казаłeś, przyjrzelismy się przeszłości Brandta i jego matki. Frank Grüber z laboratorium, jak wiesz, potwierdził definitywnie, że Franz Brandt jest synem Franza Mühlhausa.

– Powiedzcie mi o tym, czego nie wiem – powiedział zmęczonym głosem Fabel.

– Może i Franz Mühlhaus jest jego ojcem, ale Beate Brandt go nie adoptowała. – Henk rzucił na biurko fotokopię jakiegoś dokumentu. – To akt urodzenia Franza Karla Brandta. Ojciec nieznany. Matka: Beate Maria Brandt, zamieszkała ówczesnie przy Hubertusstrasse 22 w Hamburgu. Ona go nie adoptowała. Franz Brandt mówił prawdę, ona jest jego biologiczną matką. Być może nawet nie wie, że jego ojcem był Czerwony Franz Mühlhaus. Nie znaleźliśmy absolutnie niczego na temat związków Beate Brandt i Czerwonego Franza ani niczego, co sugerowałoby, że w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych działała aktywnie w ruchach radykalnych. Natomiast badanie DNA potwierdza, że miała z nim dziecko.

– A więc Franz Brandt jest synem Franza Mühlhausa, za to nie jest synem Michaeli Schwenn. A to z kolei oznacza, że to nie on był tym chłopcem z ufarbowanymi na czarno włosami na peronie w Nordenham.

– Brat?

– Wiemy, że Mühlhaus miał przygody erotyczne z wieloma swoimi zwolenniczkami, a także z wieloma innymi kobietami niezwiązanymi z jego ruchem. Być może nasz morderca to

przyrodni brat, o którego istnieniu Brandt nawet nie wie – zasugerowała Anna.

– Zaraz, zaraz... – wtrącił Fabel. – Zapominacie, że Brandt podłożył w mieszkaniu swojej dziewczyny bombę, która miała nas zabić.

– A potem razem z nią trafił prosto w nasze ręce – zauważył Henk. – Sam mówiłeś, że to wydaje się dziwne. Moim zdaniem on nic nie wiedział o bombie.

– *Shit!* – zaklął Fabel. – To znaczy, że morderca jest wciąż na wolności. Musimy się dowiedzieć, co się stało z tym chłopcem z dworca kolejowego.

– To miałem na myśli, kiedy powiedziałem, że podchodzimy do sprawy z niewłaściwej strony – powiedział Henk. – Próbowaliśmy udowodnić, że Brandt jest synem, którego szukamy. Musimy jeszcze raz sprawdzić dokumenty adopcyjne. Tylko że tym razem będziemy szukać nazwiska Schwenn.

– Mam tu kody dostępu do bazy danych. – Anna pomachała notesem. – Mogę skorzystać z twojego komputera?

Fabel przesunął dokumenty otrzymane od Ingrid Fischmann na brzeg biurka i wstał, ustępując miejsca Annie. Anna zalogowała się do bazy danych i wprowadziła kryteria poszukiwań: nazwisko Schwenn i zakres czasowy 1985–1988.

– Mam! – zawołała. – Znalazłam cztery nazwiska. Dwa dotyczą adopcji z osiemdziesiątego szóstego roku. To będzie jedno z nich... – Anna kliknęła jeden z plików. – Nie, to czteroletnia dziewczynka. – Kliknęła następny. – To może być... nie... wiek się nie zgadza. – Wcisnęła klawisz po raz trzeci.

Mina Anny wprawiła Fabla w osłupienie. Spodziewał się triumfującego i trochę bezczelnego uśmiechu zadowolenia ze znalezienia ważnego dowodu, a tymczasem Anna zerwała się z krzesła z pobladłą nagle twarzą.

– Co się dzieje? – zapytał Fabel.

– Maria... – Każdy miesiąc na jej twarzy był napięty do granic możliwości. – Gdzie jest Maria?

– Odesłałem ją do domu. Miała migrenę – odpowiedział Fabel. – Przyjdzie jutro rano.

– Musimy ją znaleźć, szefie. Musimy ją natychmiast znaleźć.

22.05, dzielnica Osdorf, Hamburg

– Fascynujące, prawda?

Maria nie dosłyszała pytania Grübera. Dzwoniło jej w uszach i bolał ją każdy nerw, kiedy patrzyła na leżące na metalowym stole ciało mężczyzny. Był nagi. Nie miał na sobie nie tylko ubrania, ale także skóry. Widoczne były gołe, czerwone ścięgna. Na aluminiowej powierzchni stołu zastygło kilka okrągłych kropel krwi.

– Przygotowanie tak idealnego warsztatu pracy sporo mnie kosztowało. – Grüber był całkowicie opanowany. Skalę jego szaleństwa Maria mogła ocenić po spokojnym, wyważonym tonie. – Wydałem fortunę na wygłuszenie tego pomieszczenia. Wykonawcom powiedziałem, że będą tu pracować hałaśliwe maszyny. Dlatego musiałem zainstalować odpowiedni system wentylacyjny. Kiedy drzwi są zamknięte, pomieszczenie jest całkowicie hermetyczne i dźwiękoszczelne. A wszystko to przez niego. – Grüber wskazał na ciało odarte ze skóry i człowieczeństwa. – Wrzeszczał jak baba.

Marii zrobiło się słabo.

– Ach, przepraszam... to jest Cornelius Tamm. – Grüber przeprosił, jakby zapomniał kogoś przedstawić Marii na bankiecie. – Wiesz, ten piosenkarz.

– Dlaczego? – Marii tylko tyle przyszło do głowy.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobiłem? Ponieważ mnie zdradził. Oni wszyscy mnie zdradzili. Zawarli porozumienie z faszystowskimi władzami i mnie sprzedali. Sprzedali moje życie. Jediną osobą, o której policja wiedziała, był Piet van Hoogstraat, więc posłali go, żeby mnie wskazał. Ale negocjacje prowadził z bezpiecznej odległości Paul Scheibe. Pozostali do niego dołączyli. Nawet Cornelius, mój przyjaciel. – Odwrócił się twarzą do Marii. W kącikach oczu błyszczały mu łzy. – Ja umarłem, Mario. Umarłem. – Położył dłoń na piersi. – Do tej pory czuję, jak pociski wnikają w moje ciało. Widziałem, jak ty umierasz, a potem sam umarłem, klęcząc na peronie dworca.

– O czym ty mówisz? Co to znaczy, że umarłeś? Za kogo ty się uważasz, Frank?

Grüber się wyprostował.

– Jestem Czerwonym Franzem. Jestem wieczny. Żyję od blisko dwóch tysięcy lat. A może dłużej, tyle że nie pamiętam nic wcześniej. Byłem wojownikiem, który poświęcił życie dla swojego ludu, żeby ziemia mogła się odrodzić. Dwa razy. Razy ponad tysiąc pięćset lat temu i drugi raz jako Czerwony Franz Mühlhaus.

– Czerwony Franz Mühlhaus? – powtórzyła z niedowierzaniem Maria. – Pomijając już absurdalność całej tej teorii o reinkarnacji, to pomyliłeś się w rachunkach. Urodziłeś się na długo przedtem, nim zginął Mühlhaus.

– Nic nie rozumiesz. – Uśmiechnął się protekcyjnie. – Byłem ojcem i synem. Moje dwa wcielenia zaszyły na siebie. Patrzyłem na swoją śmierć z dwóch różnych punktów widzenia. Jestem własnym ojcem.

– Teraz rozumiem. Przykro mi, Frank. Więc Czerwony Franz Mühlhaus był twoim ojcem?

– Wciąż uciekaliśmy. Musieliśmy przefarbować włosy. Na czarno. – Grüber przeciągnął palcami po gęstej, zbyt ciemnej czuprynie. – Inaczej każdy zwróciłby uwagę na nasze rude włosy. A potem zostaliśmy zdradzeni. Moją matkę i ojca zamordowali funkcjonariusze GSG9. To był akt złożenia ofiary, przygotowany przez tych zdrajców. Patrzyłem, jak ojciec umiera. Słyszałem, jak mówi: „zdrajcy”. Potem mnie zabrano. Adoptowali mnie Grüberowie. Nie mieli własnych dzieci. Nie mogli mieć. Ale wychowywali mnie tak, jakby te pierwsze dziesięć lat mojego życia nigdy nie istniało. Jakbym był ich dzieckiem. I byłem nim. Po pewnym czasie sam zacząłem myśleć, że to, co się wydarzyło wcześniej, było tylko złym snem. Zauważyłem, że nie potrafię sobie przypomnieć wielu rzeczy. Tak jakby moje całe wcześniejsze życie zostało wymazane.

– Co się stało, Frank? Co takiego się wydarzyło, że się zmieniłeś?

– Byłem na uniwersytecie, studiowałem archeologię. Odwiedziłem Landesmuseum w Hanowerze. Tam go

zobaczyłem. Rudowłosego Franza. Leżał wystawiony na widok publiczny, z niemal całkiem przegniłą twarzą, ale za to ze wspaniałą grzywą rudych włosów. W jednej chwili zrozumiałem, że patrzę na szczątki ciała, które kiedyś zamieszkiwałem. Zdałem sobie sprawę, że możemy patrzeć na siebie takich, jakimi kiedyś byliśmy. Wtedy wróciła też pamięć. Przypomniałem sobie, jak ojciec mówił mi, że ukrył na starym stanowisku archeologicznym pudełko, że gdyby coś się z nim stało, mam je odnaleźć i wtedy poznam prawdę.

Grüber puścił plastikową zasłonę, która opadła i zasłoniła z powrotem obdarte ze skóry ciało Corneliusa Tamma. Podeszedł do jednej ze stojących pod ścianami piwnicy szaf. Kiedy się odwrócił, Maria spróbowała uwolnić się z więzów. Niestety, ręce miała ciasno związane. Grüber wyjął z szafy porzewiałe metalowe pudełko.

– Sekretny pamiętnik mojego ojca i szczegóły dotyczące jego grupy. Przypomniałem sobie, gdzie pudełko miało być ukryte. Odkopałem je i poznałem całą historię. Poznałem też nazwiska zdrajców. – Grüber przerwał. – Ale tamtego dnia, kiedy patrzyłem na Rudowłosego Franza, powróciły nie tylko wspomnienia mojego dzieciństwa. Powróciła cała pamięć. Wszystkie wspomnienia sprzed obecnego życia. Wiedziałem, że ciało, na które patrzę, należało kiedyś do mnie. Że ponad tysiąc pięćset lat temu zamieszkiwałem je. Wiedziałem też, że zamieszkiwałem ciało swojego ojca. Że ojciec i syn byli jednym. Tym samym.

– Frank... – Maria wpatrywała się w jego pobladłą, chłopcęą twarz. Przypomniała sobie, jak przezwala go Harrym Potterem, kiedy go pierwszy raz ujrziała. Zawsze uważała go za dobrego człowieka. Prawego – ...jesteś chory. Cierpisz na urojenia. Żyjemy tylko raz. Wszystko ci się... pomieszało w głowie. Rozumiem to. Naprawdę rozumiem. Byłeś świadkiem śmierci rodziców. Posłuchaj mnie, chcę ci pomóc. Potrafię ci pomóc. Tylko rozwiąż mnie.

Grüber uśmiechnął się. Podprowadził Marię do krzesła i posadził na nim.

– Wiem, że chcesz dobrze – zaczął. – Kiedy mówisz, że chcesz

mi pomóc, to mówisz prawdę, nie jest to żadna sztuczka. Ale dzisiaj, Mario, umrze największy zdrajca z ich grona. Był moim najbliższym przyjacielem, moim zastępcą w grupie Zmartwychwstałych. To on zaplanował porwanie Wiedlera. To on pociągnął za spust, zabijając Wiedlera, a potem próbował ukryć ten fakt. I nagle stałem się przeszkodą dla jego politycznych ambicji. Ambicji, które zaczął realizować. Ale dzisiaj wieczorem te ambicje umrą razem z nim. Nie mogę pozwolić, żebyś mi przeszkodziła w zrobieniu tego, co muszę zrobić. Przykro mi, Mario, ale nie mogę...

Grüber sięgnął po rolkę mocnej taśmy pakowej i przywiązał nią Marię do krzesła – najpierw tułów, potem uda.

– Naprawdę nie mogę pozwolić, żebyś mnie powstrzymała...
– powiedział, sięgając po sztruksowe zawiniątko.

22.30, dzielnica Osdorf, Hamburg

Fabel i Werner zatrzymali samochód przed domem Grübera. Dwa srebrno-niebieskie policyjne radiowozy jeszcze na zakręcie wyłączyły migające światła na dachu i zaparkowały za Fablem. Z wnętrza wyskoczyło czterech mundurowych.

Kiedy wszyscy zebrali się na chodniku, zadzwoniła komórka Wenera. Po kilku zdawkowych odpowiedziach Werner rozłączył się i odwrócił do Fabla.

– To była Anna. Nie udało jej się dodzwonić ani na telefon komórkowy Marii, ani na stacjonarny. Pojechała z Henkiem do jej mieszkania. Nikogo nie zastali. Już tu jadą. – Werner spojrzął na duży dom Grübera. – W takim razie Maria musi być tutaj...

– No dobrze – Fabel zwrócił się do policjantów. – Wy dwaj zabezpieczcie tyły. A wy idźcie z nami.

Główne drzwi wejściowe do willi były wykonane z dębowego drewna i kształtem oraz okazałością przypominały drzwi kościoła. Nikt nie miał wątpliwości, że niełatwo będzie je sforsować, dlatego Fabel kazał policjantom wybić szybę w oknie. Z trudem przypominał sobie układ mieszkania po

swojej wcześniejszej krótkiej wizycie i w końcu zaprowadził ich pod okno gabinetu Grübera.

– Kiedy wybijemy szybę, musimy jak najszybciej wejść do środka i odnaleźć Marię.

Na jego sygnał dwaj policjanci taranem wybili szybę. We framudze pozostały ostre odłamki, niepozwalające pokonać przeszkody, więc uderzyli jeszcze dwa razy. Fabel odbezpieczył pistolet i wskoczył przez wybite okno do środka, strącając na podłogę zrekonstruowaną głowę dziewczyny. Za nim do środka wszedł Werner i dwaj mundurowi.

Dziesięć minut później stali w głównym korytarzu u stóp schodów. Sprawdzili wszystkie pokoje, wszystkie szafy. I nic. Fabel wykrzykiwał nawet imię Marii.

Rozległo się pukanie do drzwi frontowych. Fabel otworzył je, wpuszczając do środka pozostałych dwóch policjantów.

– Sprawdziliśmy ogród i garaż. Nikogo tam nie ma, panie nadkomisarzu.

Przed domem zatrzymał się samochód i do korytarza wbiegli Anna i Henk.

– Nic... – powiedział ponurym tonem Fabel. – Widocznie ją stąd zabrał.

– Panie nadkomisarzu! – zawołał jeden z umundurowanych funkcjonariuszy. – Tu są jakieś drzwi. Chyba do piwnicy...

22.40

Frank Grüber zawsze lubił się uczyć. Studiował archeologię i historię, ale w wolnym czasie zdobywał przeróżne inne umiejętności. Bogaci przybrani rodzice mieli dość środków, by zmienić jego życie w nieustanny program szkoleniowy, przygotowanie do wypełnienia misji jego życia. Teraz, kiedy stał pod domem swojego głównego celu, czuł wyraźnie, że zbliża się najważniejszy moment w jego życiu.

Grüber stał na podjeździe ze sztruksowym zawiniątkiem w jednej ręce, służbowym pistoletem Marii w drugiej i z przymkniętymi powiekami powoli, głęboko oddychał.

Wyzbył się wszelkich emocji. Pozwolił, by spłynął na niego wielki spokój; spokój, który umożliwi mu działanie z idealną precyzją i śmiertelną skutecznością.

22.40, dzielnica Osdorf, Hamburg

Małe, zamknięte na klucz drzwi wykonano z takiego samego drewna dębowego jak drzwi frontowe i nie ustępowały pod kopniakami policjantów. Dopiero kilka uderzeń taranem sprawiło, że stanęły przed nimi otworem.

– Mario! – zawołał Fabel, przeciskając się do piwnicy.

– Tutaj!

Fabel pobiegł pędem przez piwnicę w kierunku, skąd dochodził głos. Znalazł ją przywiązaną do krzesła, tuż obok osłoniętej plastikową folią przestrzeni.

– Grüber... – wyrzuciła z siebie. – To Frank. On jest szalony. Uważa się za nowe wcielenie Czerwonego Franza. A tak naprawdę chyba jest jego synem.

– Owszem, jest – potwierdził Fabel, mocując się z taśmą krepującą ręce Marii. Wskazał pytająco ruchem głowy płachtę plastiku.

– Cornelius Tamm – odparła Maria. Fabel scyzorykiem przeciął więzy. Maria wstała. – Uwierz mi, to nie będzie przyjemne. Ale na razie zostaw go... Frank pojechał do swojej ostatniej ofiary.

– Do kogo?

– Do Bertholdta Müllera-Voigta. Powiedział, że teraz pora na najważniejszego członka grupy Mühlhausa. Powiedział też, że to polityk. Spójrz tutaj, na to pudełko. Mühlhaus ukrył je i powiedział Frankowi, gdzie je znajdzie po jego śmierci. Tam są wszystkie nazwiska.

Fabel otworzył pudełko. Było tam kilka zeszytów, dziennik, mała plastikowa torba, fotografia i księga rachunkowa. Wszystko to zawinięto w brązową skórę, pokrytą nalotem od długiego przebywania w wilgotnej ziemi. Fabel przyjrzał się zdjęciu. To była zwykła rodzinna fotka: Mühlhaus, kobieta

z długimi jasnymi włosami, Michaela Schwann, jak przypuszczał Fabel, i dziewięcioletni chłopiec, z pewnością Grüber. Ale uwagę Fabela przykuła właśnie kobieta.

– Jasna cholera – zaklął, wręczając jej fotografię. – Ta Michaela Schwann... ona wygląda zupełnie jak ty... podobieństwo jest uderzające...

Maria wpatrywała się w zdjęcie. Fabel przejrzał pozostałą zawartość pudełka. Wyjął plastikową torbę i znalazł w niej odcięty kosmyk włosów. Rudych włosów. Grüber zostawiał na miejscu zbrodni zawsze jeden włos, a kiedy ekipa kryminalistyczna przeoczyła go w łazience Hausera, to on go znalazł. Przekartkował zeszyty, próbując natrafić na niezbędne informacje. Wreszcie je znalazł.

– Jedziemy! – Ruszył w kierunku drzwi, polecając dwóm mundurowym zostać na miejscu i zabezpieczyć miejsce przestępstwa.

– Pomyślałaś o niewłaściwym polityku, Mario. Chyba wiem, dokąd go zabrał.

Maria jeszcze przez chwilę wpatrywała się w wizerunek kobiety, która była do niej tak podobna. Potem wrzuciła zdjęcie do pudełka i wybiegła za Fablem z piwnicy.

**DWADZIEŚCIA OSIEM DNI PO PIERWSZYM
MORDERSTWIE, CZWARTEK 15 WRZEŚNIA 2005**

**00.15, stacja kolejowa w Nordenham,
145 kilometrów na zachód od Hamburga**

Fabel zatrzymał samochód w poprzek drogi i zostawił go z włączonymi reflektorami. Razem z Wernerem obeszli od południa budynek dworca. Zgodnie z poleceniem Fabela, Anna, Maria i Henk objechali dworzec od północy. Ku jego wielkiej irytacji policjanci z Nordenham obwieszczali swoje przybycie wyciem syren i migotaniem świateł na dachu. Trzy radiowozy zajechały od tyłu i z boków dworcowego budynku, a trzy kolejne zatrzymały się po drugiej stronie torów, oświetlając reflektorami peron i budynek stacji.

Nagle syreny, odgłos biegnących ludzi, głośno wykrzykiwane rozkazy – wszystko to umilkło i nastąpiła cisza. Fabel stał teraz na peronie, świadomy tego, że ma przyspieszony oddech; słyszał go w zalegającej wokół ciszy; widział, jak tworzy szare obłoczki w nieruchomym, zimnym powietrzu. Czuł się nieswojo. Fakt, że ta grupa ludzi musiała się spotkać w tym miejscu o tej porze, wydawał się nieuchronny, a przy tym zupełnie surrealistyczny. Odnosiło się wrażenie, że oto wypełnia się przeznaczenie.

Ale to zupełnie inna grupa ludzi zgotowała ten los. Wszystko zostało starannie zorganizowane. Nikt nie doszukiwał się głębszego znaczenia w śmierci mordercy i terrorysty. Koniec Franza Mühlhausa oznaczał likwidację głowy, mózgu i serca Zmartwychwstałych. Jego śmierć oznaczała śmierć organizacji. Układ, jaki Paul Scheibe zawarł anonimowo ze służbą bezpieczeństwa, zakładał, że nie będzie dalszego śledztwa

w sprawie Zmartwychwstałych. Oraz, co oczywiste, gwarantował, że Zmartwychwstali po prostu znikną. Reflektory policyjnych radiowozów stojących po drugiej stronie torów wydobywały z mroku postacie na peronie jak aktorów na scenie. Ich przesadnie wielkie cienie padały na fasadę budynku stacji. Idąc w ich kierunku, Fabel wyciągnął z kabury broń.

– Na twoim miejscu zostałbym na miejscu! – zawołał do Fabla Frank Grüber. W jego rękę lśniło zimne ostrze. Grüber zmusił stojącego przed nim człowieka do ukłęknięcia. – Myślisz, że dbam o to, czy umrę, Fabel? To nic więcej jak zapomnienie... zapomnienie, kim się było wcześniej.

Fabel pośpiesznie rozważał tysiące sposobów, w jakie mogła się zakończyć ta sytuacja. Cokolwiek teraz powie, jakiegokolwiek podejmie działanie, będzie to mieć nieuniknione konsekwencje, zainicjuje cały łańcuch zdarzeń. A jedną z konsekwencji może być śmierć niejednej osoby.

Bolała go głowa od ciężaru odpowiedzialności. Nocne powietrze, które tworzyło szare mgliste obłoczki, miało sterylny, chłodny posmak. Zdawało się, że powietrze jest zbyt rozrzedzone, by nieść jakikolwiek dźwięk inny niż rozpaczliwy, na wpół łkający oddech klęczącego mężczyzny. Fabel spojrzał na swoich ludzi, mierzących z broni, sprawiających wrażenie, że za chwilę podejmą decyzję, by zabić. Szczególną uwagę zwrócił na Marię – jej pobladłą twarz, błyszczące lodowato oczy, naprężone ścięgna na dłoni, w której spoczywał sig-sauer.

Fabel prawie niezauważalnie poruszył głową w nadziei, że jego ekipa weźmie to za znak do powstrzymania się od jakichkolwiek działań.

Spojrzał twardo na stojącego w blasku świateł mężczyznę. Od tygodni razem ze swoimi ludźmi starał się nadać tożsamość zabójcy, którego ścigali. Okazało się, że jest nim człowiek o wielu nazwiskach; prowadząc perwersyjną krucjatę, sam siebie nazwał Czerwonym Franzem; tymczasem media w pogoni za niezdrową sensacją ochrzciły go mianem Fryzjera z Hamburga. Ale teraz Fabel znał też jego prawdziwe nazwisko – Frank Grüber.

Grüber stał ze wzrokiem utkwionym w reflektorach

radiowozów, a jego oczy zdawały się świecić jeszcze jaśniejszym, jeszcze czystszy, jeszcze zimniejszym blaskiem. Trzymał kłęzącego przed nim mężczyznę za włosy, odchylając do tyłu jego głowę i odsłaniając blade gardło. Wyżej, na czole, nad wykrzywioną ze zgrozy twarzą, a poniżej linii włosów ziała cięta rana. Twarz kłęzącego w rytm uderzeń serca zalewała krew. W pewnej chwili z jego gardła dobył się cienki zwierzęcy skowyt.

– Na litość boską, Fabel... – głos kłęzącego mężczyzny był napięty i drżący z przerażenia – ...pomóż mi... Proszę... Pomóż mi, Fabel...

Fabel zignorował błagania i nie spuszczał wzroku z Czerwonego Franza. Wyciągnął przed siebie dłoń, jakby chciał wstrzymać ruch uliczny.

– Spokojnie... tylko spokojnie. Nie pozwolę na to. Nikt z nas nie pozwoli. Nie będziemy tańczyć tak, jak nam zagrasz. Dzisiaj historia się nie powtórzy.

Czerwony Franz roześmiał się gorzko. Dłoń trzymająca nóż drgnęła i ostrze znowu błysnęło w świetle.

– Naprawdę myślisz, że tak po prostu odejdziesz? Ten bydlak... – Ponownie szarpnął za włosy kłęzącego mężczyzny, z którego zalanych krwią ust znów wyrwał się skowyt. – Ten bydlak zdradził mnie i to wszystko, co było dla nas ważne. Myślał, że za moją śmierć kupi sobie nowe życie. Tak jak kupił za śmierć innych.

– To czysta fantazja... – odezwał się Fabel. – Nie chodziło o twoją śmierć.

– Czyżby? Dlaczego w takim razie zacząłeś wątpić w to, w co wierzyłeś, kiedy mnie szukałeś? Nie istnieje coś takiego jak śmierć; są tylko wspomnienia. To, co różni mnie od innych, to fakt, że pozwolono mi pamiętać, tak jakbym patrzył na wszystko przez przeszkloną ścianę. Pamiętam wszystko. – Urwał. Krótką chwilę ciszy przerwał tylko daleki dźwięk samochodu przejeżdżającego ulicami Nordenham, gdzieś na tyłach stacji kolejowej, który po chwili zaniknął. – A historia, oczywiście, powtórzy się. Taka już jest jej natura. Historia powtórzyła *mnie*... Tak się szczycisz, że w młodości studiowałeś

historię. Ale czy ją kiedykolwiek rozumiałeś? Wszyscy jesteśmy tylko wariacjami na ten sam temat. Co już się zdarzyło, zdarzy się ponownie. Ci, którzy byli wcześniej, pojawią się znowu. Raz za razem. Historia to początek. Ona się tworzy.

– W takim razie stwórz własną historię – odparł Fabel. – Pozmieniaj wszystko. Daruj sobie, człowieku. Dzisiaj historia się nie powtórzy. Dzisiaj nikt nie umrze.

Grüber uśmiechnął się. Jego uśmiech był zimny, ostry niczym nóż, który trzymał w ręce.

– Naprawdę? Przekonamy się, panie nadkomisarzu. – Ostrze noża uniosło się w stronę gardła klęczącego mężczyzny.

Rozległ się krzyk. A potem padł strzał.

Fabel odwrócił się w kierunku, z którego padł strzał, na tyle szybko, że zobaczył, jak Maria pociąga za spust drugi raz. Pierwszy pocisk trafił Grübera w udo i sprawił, że ugięły się pod nim kolana. Drugi trafił w ramię i Grüber puścił włosy klęczącego mężczyzny. Werner rzucił się do biegu, złapał ofiarę i odciągnął ją na bok.

Maria podeszła z bronią wycelowaną w Grübera, który klęczał teraz na peronie. Miał twarz zalaną łzami.

– Nie, Frank – odezwała się do niego. – Dzisiaj nikt nie zginie. Nie zamierzam ci na to pozwolić. Rzuć nóż. Nie masz już kogo skrzywdzić.

Grüber spojrział na oddalające się sylwetki Wenera i człowieka, którego zamierzał zabić. Ostatnia ofiara do złożenia. Uniósł głowę, spojrział na Marię i uśmiechnął się. Tym smutnym, chłopięcym uśmiechem. Potem zaczerpnął głęboko powietrza. Wykonał błyskawiczny zamach obiema rękami i z całych sił wbił sobie nóż w piersi.

– Frank! – krzyknęła Maria i podbiegła bliżej.

Głowa Grübera powoli opadła. Umierając, rzucił w noc jedno słowo:

– Zdrajcy...

1.40, Wesermarsch-Klinik, Nordenham

Kiedy Fabel i Werner weszli do sali na trzecim piętrze Wesermarsch-Klinik, komendant Horst van Heiden już tam był; stał przy łóżku przewodniczącego hamburskiego parlamentu, pierwszego burmistrza Hansa Schreibera. Pielęgniarka przy biurku poinformowała Fabela, że Schreiber dostał lekki środek nasenny, ale jest z nim kontakt.

Schreiber miał na czole duży opatrunek, ale i tak widoczna była silna opuchlizna. Reszta twarzy też była opuchnięta i Fabel z trudem rozpoznał burmistrza. Schreiber obrócił głowę w stronę Fabela, ale najwyraźniej nie miał siły podnieść się do pozycji półsiedzącej. Uśmiechnął się słabo.

– Cieszę się, że pan tu jest, Fabel – powiedział burmistrz. – Jestem panu winien podziękowania. – Przerwał i poprawił się. – Zawdzięczam panu życie. Gdyby się pan tam nie zjawił... Gdyby Frau Klee nie strzeliła... – Niedokończony zdanie miało podkreślać tę gorszą możliwość.

Fabel skłonił głowę.

– Wykonywałem tylko swoje obowiązki.

Schreiber wskazał na swoją zabandażowaną głowę.

– Powiedziano mi, że będzie potrzebna operacja plastyczna. Poza tym zostały uszkodzone nerwy. – Do sali weszło dwóch umundurowanych policjantów. Fabel kazał im objąć posterunek na zewnątrz, pod drzwiami.

– Nikt tu nie może wchodzić prócz personelu medycznego zajmującego się bezpośrednio Herr Schreiberem – wydał im polecenie.

– Później ma przyjechać moja żona – odezwał się Schreiber.

– Powiedziałem: nikt – powtórzył Fabel.

– To naprawdę nie jest konieczne, Herr Fabel – zaprotestował Schreiber. – Niebezpieczeństwo minęło. Grüber nie żyje, a przecież działał sam pod wpływem swoich szalonych idei.

– Dlaczego w takim razie wybrał pana? – zapytał Fabel. – Wszystkie pozostałe ofiary były bezpośrednio powiązane z Czerwonym Franzem Mühlhausem i ze Zmartwychwstałymi.

Dlaczego w pana przypadku postąpił inaczej?

– Bóg jeden wie. – Na opuchniętej twarzy Schreibera trudno było dostrzec jakiegokolwiek uczucia, ale jego głos zdradzał poirytowanie. Fabel spodziewał się, że van Heiden będzie protestował przeciwko takiemu sposobowi przesłuchiwania burmistrza, ale komendant zachowywał milczenie. – Proszę posłuchać, Fabel – ciągnął Schreiber. – Jestem zbyt obolały, wyczerpany i zestresowany, żeby zajmować się psychoanalizą szaleńca, który próbował mnie zabić, albo odgadywać, jakie motywy nim kierowały. Był stuknięty. Tytułował się też terrorystą, a ja jestem szefem rządu landu i burmistrzem Hamburga. Proszę to sobie wyjaśnić. W końcu za to panu płacę.

– Już to wyjaśniłem, panie burmistrzu. – Fabel odwrócił się Wenera i wyciągnął rękę. Wenera podał mu przezroczystą plastikową koszulkę, w której znajdował się gruby notatnik w skórzanych okładkach, poplamionych od wilgoci i starości. – Czerwony Franz Mühlhaus czuł, że jego czas się kończy. Wiedział, że władze go w końcu złapią. Postanowił jednak, że nie da się wziąć żywcem. Miał też poważne wątpliwości co do lojalności swoich towarzyszy. A szczególnie wobec swojego zastępcy, którego dziennikarka Ingrid Fischmann zidentyfikowała jako Bertholdta Müllera-Voigta. To właśnie zastępca Mühlhausa prowadził furgonetkę, z której korzystano przy porwaniu przemysłowca Wiedlera. Po tym porwaniu wszyscy członkowie grupy zapadli się pod ziemię i władze znały tylko dwa nazwiska: Czerwonego Franza i Holendra Pieta van Hoogstraata. Tylko oni dwaj musieli się ukrywać.

– Fabel... – Schreiber westchnął i spojrzał boleściwie na van Heidena. – Czy możemy o tym porozmawiać innym razem?

– Oto co wydarzyło się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku na peronie stacji w Nordenham – kontynuował Fabel, nie zważając na słowa burmistrza. – Holender van Hoogstraat nie podzielał rewolucyjnego zapału Mühlhausa. Miał już dosyć prawie dziesięcioletniej ucieczki przed władzami. Chciał jakoś się z tego wyplątać, a jednocześnie nie spędzić reszty życia za kratami. Zawarł układ. Układ, który

gwarantował van Hoogstraatowi niższy wyrok. Ten układ zaakceptowali pozostali członkowie grupy, którzy chcieli już zamknąć tamten rozdział w swoim życiu. Ten układ zaakceptował też zastępca Mühlhaus, a głównym negocjatorem był Paul Scheibe. Członkowie grupy wiedzieli, że Czerwony Franz nie zostanie wzięty żywcem, a jego śmierć ostatecznie uwolni ich od groźby ujawnienia i aresztowania. Milczenie Holendra kupili już zawartym z władzami układem, a na dodatek poszczęściło się im i van Hoogstraat też zginął na peronie. Sprawa była załatwiona. Zmartwychwstali mieli już nigdy nie powstać z martwych.

Fabel przerwał i spojrzał na trzymany w dłoni notatnik.

– To zabawne – powiedział Fabel ze smutnym uśmiechem na ustach. – To Frank Grüber powiedział mi kiedyś, że „Jesteśmy zmarłym winni prawdę”. – Fabel zbliżył się do łóżka Schreibera. – Pytanie brzmi, w jaki sposób Grüber poznał tożsamość byłych członków grupy. Nikt prócz nich samych jej nie znał. Gdyby zabójcą był Brandt, miałoby to sens. Jego matka, też były członek grupy, mogłaby zdradzić synowi nazwiska. Ale tajemnica była pilnie strzeżona, nie powiedziała mu nawet, że jego ojcem był Mühlhaus. Jak zatem Grüber poznał tożsamość tych ludzi? W wieku jedenastu lat został adoptowany przez bogate małżeństwo i żył w zupełnie innym świecie w Blankensee. Dzieciństwo naznaczone ciąglą ucieczką przed policją, politycznym praniem mózgu przez rodziców musiało mu się wydawać jakimś odległym koszmarem. Ale zapamiętał z tego dzieciństwa jedną rzecz. Jak już mówiłem, Mühlhaus nie ufał swoim dawnym towarzyszom. Zaufał tylko jednej osobie. Swojemu synowi. Franz Mühlhaus był archeologiem i musiał opowiadać małemu Frankowi, jak ziemia skrywa prawdę o przeszłości dla przyszłych pokoleń. Mühlhaus zdradził synowi, że ukrył prawdę w ziemi. Kazał dziecku zapamiętać miejsce, gdzie zakopał dowody, które nie pozwoliłyby pozostałym członkom grupy żyć spokojnie i cieszyć się wolnością.

Hans Schreiber leżał bez ruchu ze wzrokiem wbitym w sufit i nie odzywał się słowem.

– Czerwony Franz Mühlhaus zakopał ten notatnik razem z kilkoma innymi dokumentami, zawierającymi szczegółowe informacje na temat wszystkiego, co działo się w grupie Zmartwychwstałych. Znalazły się tam również szczegółowe opisy wszystkich członków grupy i zakres ich odpowiedzialności. Jest też dziennik. Teraz, kiedy tu rozmawiamy, moi ludzie go czytają. Jestem pewny, że ujawni on tajemnice tego układu z władzami. Najzabawniejsze, że wśród nazwisk towarzyszy Mühlhausa nie było jednego, które spodziewałem się tam znaleźć. Bertholdta Müllera-Voigta. To nie on był zastępcą Mühlhausa. Nawet nie należał do grupy. Pewnie nie był też osobą wspierającą. Widzi pan, panie burmistrzu, organizacje terrorystyczne, takie jak Zmartwychwstali, są niczym czarne dziury w kosmosie. Same są niewielkie, ale swoją masą wywierają ogromny wpływ na otoczenie. Siła grawitacji, jaką wytwarzają, zasysa w nie wszystko, co znajdzie się w pobliżu. Weźmy, na przykład, młodego prawnika i radykalnego dziennikarza, który najpierw wspiera organizację, a potem zostaje jej członkiem. A jeszcze później drugim w hierarchii. Nie mam na myśli Bertholdta Müllera-Voigta. Jego jedyny związek ze Zmartwychwstałymi brał się stąd, że podobnie jak Mühlhaus miał romans z Beate Brandt. Tego nie potrafił znieść ani pan, ani Paul Scheibe, ponieważ obaj byliście w niej zadurzeni. Właśnie dlatego nie mógł pan dwadzieścia lat później nie wykorzystać okazji, żeby dać Ingrid Fischmann do ręki dowód obciążający Müllera-Voigta. To była ryzykowna zagrywka, zwłaszcza kiedy pańska żona dołała oliwy do ognia. Tymczasem Müller-Voigt nigdy nie złamał prawa. Troszczył się o środowisko, obchodziła go sprawiedliwość społeczna, ale zasady nie pozwalały mu zaakceptować odbierania życia innym ludziom. Ingrid Fischmann skupiła się nie na tym polityku, co powinna, prawda, panie burmistrzu?

– Mój Boże, Fabel – wyjęczał van Heiden. – Jest pan tego pewny?

– Nie mam żadnych wątpliwości. Tu jest wszystko. – Fabel uniósł rękę z notesem. – Mühlhaus dołączył do tego notesu

także inne obciążające dowody. Znaleźliśmy je w piwnicy Grübera. Dlatego wiedziałem, że Grüber zamierza zabić Schreibera. Najlepsze zostawił sobie na koniec.

Werner zrobił krok naprzód.

– Hansie Schreiberze, aresztuję pana pod zarzutem porwania i zamordowania Thorstena Wiedlera czternastego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku. Jestem pewny, że jako prawnik rozumie pan swoje prawa wynikające z konstytucji Republiki Federalnej Niemiec.

EPILOG

17

LUTY 2006, SZEŚĆ MIESIĘCY PO PIERWSZYM MORDERSTWIE

Dzielnica Barmbek, Hamburg

Hamburg sprawiał nierzeczywiste wrażenie, jak fantazja na temat miasta jakiegoś romantycznego malarza. Obfite opady śniegu zaskoczyły drogowców i sporo czasu zajęło im uprzątnięcie głównych ulic i chodników. Wreszcie śnieg przestał prószyć, ciężkie chmury odpłynęły, ale za to spadła temperatura i pokrywająca dachy, parki i pobocza ulic śnieżna pierzyna szybko zamarzła i iskrzyła się w jaskrawych promieniach słońca.

Dom opieki, w którym mieszkała Frau Pohle, znajdował się w Barmbek, na drugim krańcu miasta. Fabel zadzwonił do dyrektora ośrodka Frau Amberg, żeby umówić się na spotkanie.

– Frau Pohle jest trochę zagubiona, Herr Fabel. Nie pamięta tego, co się działo poprzedniego dnia, ale za to doskonale pamięta wydarzenia sprzed dziesięcioleci. To typowe w początkowym stadium demencji. Poza tym łatwo wprawić ją w przygnębienie. Obawiam się, że pańska wizyta może na nią źle podziałać.

Fabel wyjaśnił dyrektorowi, że znalazł własność należącą do zaginionego dawno temu brata Frau Pohle. Dyrektorka była już mniej przeciwna wizycie Fabla i w końcu go umówiła.

Do Barmbek nadkomisarz pojechał autobusem; częściowo z powodu pogody, ale także dlatego, że ostatnio często szukał

wymówki, by nie wsiadać do samochodu. Jeździł swoim kabrioletem bmw od sześciu lat i wóz dobrze mu służył. Ale od tamtej nocy, kiedy przez trzy godziny siedział przykuty do fotela, podczas gdy saperzy rozbrajali podłożoną przez Grübera bombę, nie czuł się w nim najlepiej.

Kiedy wsiadł do autobusu i zapatrzył się w pocztówkowe obrazki mijanych hamburskich ulic, zaczął się zastanawiać nad sensem swojej misji. Sam nie wiedział, dlaczego tak ważne stało się dla niego odszukanie siostry Karla Heymanna i poinformowanie jej o odnalezieniu jego ciała. Wydawało mu się, że musiała cierpieć, nie mogąc urządzić bratu pogrzebu. Teraz, gdy pojawi się miejsce, które mogłaby odwiedzać, niewykluczone, że przyniesie jej to jakieś ukojenie. Frank Grüber w jednym miał rację – jesteśmy zmarłym winni prawdę.

Frau Amberg powitała Fabla w wejściu i zaprowadziła go do jasnego pokoju dziennego z dużymi oknami wychodzącymi na ogród z fontanną pośrodku. Pod grubą warstwą skrzypiącego śniegu widać było teraz ledwie zarysy fontanny.

Frau Pohle siedziała przy oknie na krześle z wysokim oparciem. Wyglądała młodo na swoje osiemdziesiąt osiem lat i widok ten zasmucił Fabla. Miał wrażenie, że powód złego stanu jej zdrowia tkwi w niej samej, w jej umyśle. Była elegancko ubrana; pewnie włożyła swoją najlepszą sukienkę dla niespodziewanego gościa. Kiedy Fabel podszedł do niej, uśmiechnęła się niecierpliwie. Wyczekująco.

– Dzień dobry, Frau Pohle. Nazywam się Jan Fabel. Przyszedłem porozmawiać o pani bracie Karlu. – Fabel wyciągnął dłoń na powitanie. Frau Pohle uściśnęła ją oburącz.

– Dziękuję, że pan przyszedł, panie... – Zdażyła już zapomnieć nazwisko Fabla. – Tak się cieszę. Musi być pan zmęczony po długiej podróży. Od tak dawna czekam na wiadomości od Karla. Jak on się miewa? – Roześmiała się głośno. – Założę się, że mówi teraz z tym okropnym amerykańskim akcentem. Jak pan go zobaczy, proszę mu powiedzieć, że jestem bardzo zła. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz miałam od niego wiadomość. Proszę, niech pan

usiądzie i opowie mi wszystko o Karlu.

Pielegniarka przyniosła herbatę i ciasteczka, a Frau Pohle zaczęła tłumaczyć Fablowi, jak Karl ciągle powtarzał, że ucieknie z Niemiec do Ameryki, żeby nie wcielono go do nazistowskiego wojska. Zawsze była przekonana, że Karl wykorzystał zamieszanie wywołane przez nalot bombowy i uciekł. Zapytała, czy Fabel jest też z Ameryki i czy Karl miewa się dobrze.

Mimo wypełniającego jego duszę smutku Fabel uśmiechał się, słuchając fantazjowania staruszki. Fantazjowanie, które dodawało jej sił przez sześćdziesiąt długich lat, teraz stało się dla niej niezaprzeczalną prawdą.

Fabel przez kwadrans siedział i okłamywał staruszkę. Wymyślił życie i rodzinę, które powinny istnieć, a nigdy nie zaistniały. Wstając do wyjścia, zobaczył w oczach Frau Pohle łzy i wiedział, że są one oznaką gorzkiej radości.

– *Goodbye, Mrs Pohle* – pożegnał się po angielsku, zostawiając ją siedzącą przy oknie wychodzącym na pokryty warstwą śniegu ogród.

Nie zawsze jesteśmy zmarłym winni prawdę.

Tytuł oryginału
Eternal

Przeład
Jerzy Malinowski

Redakcja
Jacek Ring

Korekta
Monika Buraczyńska, Jacek Ring

Projekt okładki
Krzysztof Kielbasiński

Skład TYPO

Copyright © Craig Russell 2007

This translation published by arrangement with Doubleday, an
imprint of The Knopf Doubleday Publishing Group, division of
Random House, Inc.

All rights reserved

© Copyright by GWF sp. z o.o., Warszawa 2013

ISBN 978-83-7881-047-6



Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl

lesiojot

Craig Russell [ur. 1956] – znany i ceniony autor powieści kryminalnych. Brytyjczyk o szkockich korzeniach, pracował jako oficer policji, a potem jako copywriter, zanim zajął się pisarstwem. Zadebiutował powieścią *Blond Eagle* [wyd. polskie: *Krwawy orzeł*], która zapoczątkowała hamburskie kryminały z detektywem Janem Fablem. Drugą linię w twórczości Russella tworzą kryminały „szkockie” – ich akcja rozgrywa się w latach 50. w Glasgow – których bohaterem jest prywatny detektyw Lennox. Nawiązują one do poetyki noir i powieści Raymonda Chandlera.



MROCZNA SERIA

Craig Russell po raz kolejny stworzył wciągającą historię, która nikogo nie pozostawi obojętnym!

Dwa morderstwa w ciągu 24 godzin: znany kiedyś radykalny obrońca przyrody oraz genetyk, który pracował nad zagadnieniem dziedziczenia, zostają znalezieni martwi. Zabójca obu oskalpował, a na jednym i drugim miejscu zbrodni technicy odkrywają „podpis” mordercy: rude włosy, które pochodzą z tej samej głowy, odcięte przed 20 laty.

Jan Fabel i jego ludzie z wydziału zabójstw pracują pod ogromną presją. Rozpętuje się medialna burza, prasa pisze już o seryjnym zabójcy, Hamburgskim Fryzjerze. Czy zbrodnie w Hamburgu to makabryczny rytuał, czy chodzi może o zemstę?

W A B .
C O M .
P L

w
ab
ydawnic
two

ISBN 978-83-7881-828-1



cena sugerowana: 34,90 zł

lesiojot